

V- 23197/12

(1979)

12

PROZA
POEZJA
ESEJE
KRONIKA

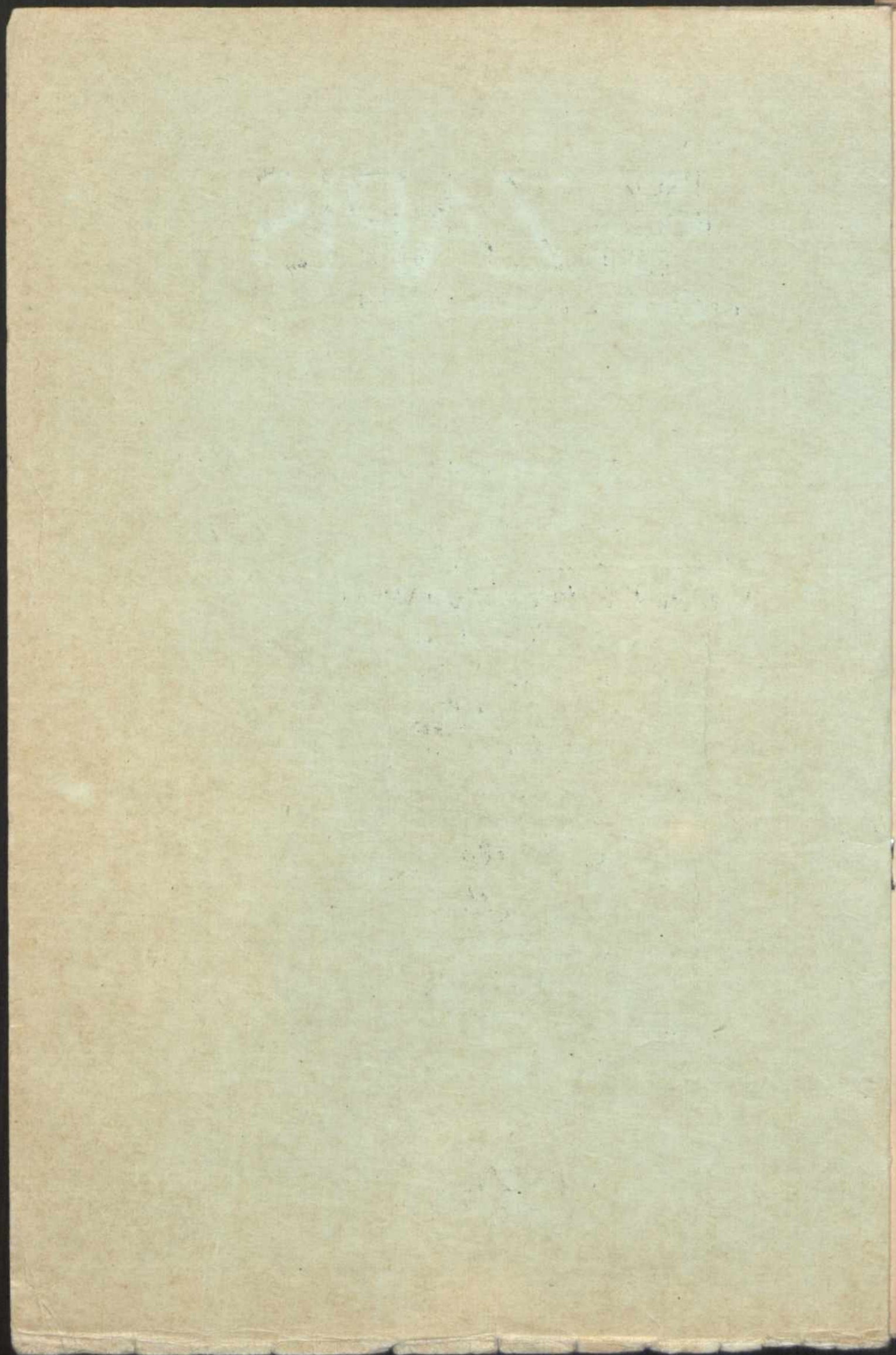
ZAPIS

październik 1979

w numerze:

Tomasz BUREK
Kazimierz BRANDYS
Władysław BARTOSZEWSKI
Jakub ŚWIĘCICKI
Isaac Bashevis SINGER
Jacek BOCHENSKI
Arnold SŁUCKI
Kazimierz DEJMEK
Jan WALC
Andrzej SZCZYPORSKI
Leszek SZARUGA
Barbara TORUŃCZYK
Adam MICHNIK
Tadeusz NYCZEK
Ryszard KRYNICKI

niezależna
oficyna
wydawnicza



S P I S T R E Ś C I

Na 70-lecie Jerzego Andrzejewskiego	3
Tomasz Burek: Przeciwnieństwa istnienia. Pisarski świat Jerzego Andrzejewskiego	6
Kazimierz Brandys: Miesiące II. (fragmenty)	20
Władysław Bartoszewski: Powstanie Warszawskie 1944-1979	59
Jakub Świąciecki: Isaac Bashevis Singer.	62
Krótką rozmowa w Sztokholmie (wywiad z I.B.Singerem)	66
Jacek Bocheński: O Arnoldzie Słuckim.	69
Arnold Słucki: Wiersze.	72
Czy mogę robić te buty - "Zapis" rozmawia z Kazimierzem Dejnkem.	77
Jan Walcz: Ja doszedłem tam dokąd szliśmy	88
Andrzej Szczypiorski: Grupstwo.	93
Leszek Szaruga: Wiersze	95
Barbara Toruńczyk: OZN i endecja: Kilka odróżnień	98

RECENZJE

Adam Michnik: Cosas de Polonia.	107
Tadeusz Nyczek: 10 lat później.	110
Ryszard Krynicki: Antologia przekładów, a nie poezji.	116
St.B.: Index on censorship: Cenzura na zenzurowanym	119

KRONIKA

Papież o kulturze (123) +++ Spotkanie Jana Pawła II z redaktorami pism katolickich (123) +++ 50 sesja Polskiej Akademii Nauk i sprawa cenzury (125) +++ Tydzień Kultury Żydowskiej 1979 (126) +++ Oświadczenie redakcji "Zapisu" (126) +++ Historia Miazgi (127) +++ Plan "Czytelnika" na rok 1980 (128) +++ Pamięci Jerzego Zawieyskiego (128) +++ "Żywa śmierć" (129) +++ Cenzura działa (129) +++ Nowi rewizjoniści? (130) +++ Kuśmerek w Krytyce (131) +++ Sztuka o targowiozanach - nie na czasie (132) +++ Nowy teatr w systemie Eref (132) +++ Nowe kierownictwo kinematografii (132) +++ "Na Srebrnym Globie" (133) +++ Filmy na 35-lecie (133) +++ "Życie na gorąco" (133) +++ Kto się nada na członka Związku Literatów (133) +++ Koło Młodych (134) +++ Pisarze kombatanzi i "Mała Ziemia" (134) +++ Nagroda wrocławskiego SKS-u (134) +++ Nowa książka Marka Nowakowskiego (134) +++ Seria wydawnicza "Libelli" (135) +++ Co nowego w "Kulturze" (135) +++ Kisielewski w "Spotkaniach" (135) +++ Druga "Res Publica" (136) +++ Z życia pisarzy NRD (136) +++ Z życia pisarzy radzieckich (137) +++	
--	--

Wyjaśnienie	137
Książki nadesłane	137
Noty o autorach	138

Copyright by

Tomasz Burek
Władysław Bartoszewski
Kazimierz Brandys
Jacek Bocheński
Kazimierz Dejmek
Adam Michnik
Tadeusz Nyczek
Ryszard Krynicki
Andrzej Szczypiorski
Leszek Szaruga
Jakub Świeciński
Barbara Toruńczyk

Warszawa 1980

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA

SPROSTOWANIE

W wydanym przez Niezależną Oficynę Wydawniczą 11 numerze "Zapisu" podano wskutek nadgorliwej "korekty" niezgodny z rzeczywistością skład redakcji, która numer ten przygotowała. W pracach nad numerem 11 nie uczestniczył już - z powodu wyjazdu za granicę - Adam Zagajewski, a nie zaczął jeszcze uczestniczyć Jerzy Ficowski. Nazwiska obu tych naszych kolegów redakcyjnych zostały tym razem wymienione przez nieporozumienie, za co Ich i Czytelników przepraszamy.

* * *

Z tego samego numeru 11 wypadły przez niedopatrzienie techniczne podpisy autorskie pod wszystkimi drukowanymi tam pracami. Ponadto zgubił się w całości tekst następującej treści:

"Prośba do Naszych Autorów"

Serdecznie dziękując zaprzyjaźnionym z nami Znakomitym Autorom w kraju i zagranicą, oddającym swe - nieraz bardzo wybitne - prace do dyspozycji "Zapisu", prosimy usilnie Wszystkich, aby powierzali nam wyłącznie materiały, których nie zamierzają jednocześnie oferować innym redakcjom. Ze zrozumiałych względów "Zapis" nie może pozwolić sobie na zamieszczanie tekstów dostępnych już w języku polskim na łamach innego czasopisma.

ZAPIS"

NA SIEDEMDZIESIĘCIOLECIE JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO

19 sierpnia roku 1979 ukończył 70 lat nasz najstarszy w "Zapisie" Kolega i Przyjaciel, wspaniały pisarz, dziś już klasyk współczesnej literatury polskiej, od dawna uczestnik lub wręcz inicjator wystąpień w obronie swobody słowa i ludzkiej godności, swego czasu sygnatariusz historycznego "Listu 34", obecnie członek Komitetu Samoobrony Społecznej KOR, Jerzy Andrzejewski.

O tym, co w życiu i działalności Jerzego Andrzejewskiego jest rzeczą główną i stanowi wartość najcenniejszą, o Jego twórczości, pisze nieco dalej Tomasz Burek /będzie kontynuował te refleksje w następnym numerze/. Tu my, współredaktorzy "Zapisu", ludzie różnego wieku, różnych biografii i zawodów, niektórzy związani z Jerzym starą przyjaźnią, wspomnieniami wspólnych prac, rozmów, trosk, zabaw, podróży bądź sąsiedztwa, pragniemy po prostu złożyć Jubilatowi życzenia i gratulacje. A gdy zastanawiamy się, jak te gratulacje ująć w jednym zdaniu, gdy stojąc wobec tak niepospolitej osobowości, tak niezwykłego życia, tak świetnych książek i tak śmiałych działań, zadajemy sobie pytanie, czego Jemu z perspektywy siedemdziesięciu lat należałoby przede wszystkim gratulować, przychodzi nam na myśl, że właśnie wielostronności. Albowiem żyjemy w czasach, gdy uzurpatorska, zacieklej jednostronność przyczynia najwięcej szkód człowiekowi i narodowi. Umiejętność odnoszenia się do świata r ó ż n i e, na swój sposób i na twój sposób, krytycznie i wyrozumiale, uroczyście i drwiąco, przychylnie i z protestem, ta umiejętność humanistyczna, przenikająca dzieło i życie Jerzego Andrzejewskiego jest, być może, tego dzieła i życia osiągnięciem największym.

Jej więc gratulujemy po namyśle Jubilatowi, życząc Mu, by ona właśnie została dostrzeżona i należycie zrozumiana przez tych, którzy jej w sobie nie mają.

Przyjaciele i Współpracownicy z "Zapisu"

Tomasz Burek

PRZECIWIENSTWA ISTNIENIA

PISARSKI ŚWIAT JERZEGO ADNRZEJEWSKIEGO

Wprowadzenie

Znakomity Hermann Eisberger, osobistość i osobowość o zdecydowanie ponadprzeciętnym, rzec by można: imponującym, a kto wie czy nie wręcz charyzmatycznym formacie i wymiarze, artysta-humanista z rodu tytanów duchowych, pisarz niestrudzony, autor całej półki bardzo sławnych tytułów, owych arcydzieł, ku zamętowi współczesnego świata boleśnie nachylonych, ale i z najgłębszych tradycji moralnych Europy obficie i umiejętnie pokrzepienie czerpiących, jako to - że poprzestaniemy na kilku najbardziej charakterystycznych tytułach - "Wiara, nadzieja, miłość", "Czas zagłady i zbawienia", "Jeżeli nie umiera miasto", "Powrót Odyseusza", i stąd też, ma się rozumieć, laureat najwyższych nagród literackich, Nobla nie wyłączając, oraz doktor honoris causa osiemnastu aż przeświatnych uniwersytetów Starego i Nowego Świata - tenże właśnie wielki i chwały syty człowiek, rażony groźnym atakiem choroby niedługo po uroczystościach swojego osiemdziesięciopięciolecia, i pośpiesznie przewieziony do kliniki w Zurychu, dogorywa tu pod tlenowym namiotem, a raczej d o ś n i w a. Sen bowiem teraz jest prymarnym żywiołem i niemal jedynie możliwym sposobem egzystencji jego ducha, dośniwa zatem swoją końcówkę. Fin de partie.

"Chociaż pacjent, zgodnie z rygorami suberdynacji, przestrzegał pozycji poziomej, ruch mimo fizycznego bezruchu był jego udziałem, ruch, wędrowanie, nawet walka, o tak! walka na pewno, wprowadzie nie bój krwawy, lecz śmiertelne i wyczerpujące zapasy z ciemnym aniołem".

Tym więc razem burza nie cichnie o zmierzchu: nie stygną konflikty i nie godzą się przeciwieństwa w uśpionej zda się i odrętwiałej duszy Hermanna Eisbergera - klasyka XX wieku; na odwrót, niepokój całej jego istoty duchowej koncentruje się i zaostrza; wzburzone głębiny wyrzucają z siebie strugę złowieszczo symbolicznych wizji, majaków, zwiądów i straszydeł: śnią się, skłonne do szlachetnych wzlotów, labiryntowe przestrzenie-pułapki, jaskinie, czełuscie, podziemne korytarze, nieprzebyte ostępy leśne, być może, iż są to zamaskowane karcery; wzorowemu humaniście - wielkie nieba! - śni się bestiariusz najstrasliwsze, szczeniok, iguanodon, hatteria, monstrialne poczwary; owe somnia dreszczem grozy napawające, owe nocturnos lemures, owe obrazy-symptomy mówią same za siebie: oznaczają grzeszno-archaiczne pokłady jaźni śniącego: sygnalizują pęd do samodręczycielstwa, na tle rozbudowanego kompleksu winy i przesadnie zaniżonej oceny samego siebie; są znakami świadomości upadku i odtrącenia, fantazmatami zrodzonymi z lęku: świadczą o psyche skłóconej, zachwianej, dalekiej od harmonii...

Kim przeto jest Hermann Eisberger? Jest kim innym dla świata, a kim innym dla siebie. W blasku jupiterów kultury światowej - jest uznanym powszechnie przedstawicielem ludzkości, rzecznikiem moralnego zdrowia i nadziei, stronnikiem się postępu wbrew nieprzeliczonym plagom i porażkom historii humanistycznej. Jako pisarz - reprezentuje klasyczne cnoty jasności,ładu i umiaru, najbliższa jest mu zasada formy przejrzystej, złączonej z myślą konstruktywną. We własnym natomiast wnętrzu - kiedy daje się unieść fali snów - zamienia się jakby w poetę nocnego i grobowego, najczarniejszego z czarnych romantyka, co obłądnie wpelza w otchłań niedostępną dla ludzkich oczu, w tajemną, pierwotną, infantylną grootę-labirynt, by napotkać potwora, który go osobliwie fascynuje, przeraża, a wreszcie dekonspiruje i kompromituje. Mianowicie: swoje przeciwstawne ego alter. Swoją drugą pokowę.

Krótko mówiąc, świadomość zdegradowana, wypchnięta i przekształcona w podświadomość, nieszczęśliwa i mroczna świadomość egzystencjalna, stanowi prawdę ukrytą górującej i pozornie niezachwianej świadomości olimpijskiej Hermanna Eisbergera. Pozornie niezachwianej - powiadamy. Albowiem ów retoryczny i

literacko zaakraglony, a przez to i ukatwiony humanizm, jakim autor "Czasu zagłady i zbawienia" zapracował na sukces i skawę u współczesnych, nie przetrwał próby jego własnego snu. Świadomość idealna nie zwyciężyła w grze "agonu" z wysłannikiem niższego świata, ciemnym aniołem, który, zadowolona, stracił z akademickiego Olimpu, ściągnął z wyżyn promiennej i błogiej sérénité na ziemię Hioba, ziemię miazgi i popiołu.

Świat wydziedziczenia i spustoszenia, jakości i wstydu, poniżenia, zniewolenia i nieprawości, nie tylko nie pozwala o sobie zapomnieć, ale poczyną dominować w infernalnym śnie, którego demirurgicznym sprawcą, bohaterem i ofiarą zarazem, jest tenże Hermann Eisberger - "zlepek wielu cytatów i fikcji" - istota niemal zbiorowa: w jednej osobie przemądry starzec i nieświadome dziecko, geniusz i kretyn, gołębicą i larwa, duchostwórca zwycięsko i swobodnie polatujący w światłach dnia i przeciwważny mu duch melancholijnego spartaczania i perwersji zagrzebany w ciemnościach pradziejów; ponadto oportunistą, zdaje się, życiowy i patetyczny l'homme révolté; stylista uwieniczony wawrzynem, kładący słowa niczym balsam pocieszenia na otwarte rany ludzkości i Europy, i przecież pisarz zboleży, świadom własnego błędu i fałszerstwa, radykalnie wąpiący w literaturę; ucieleśniona sprzeczność i zmienność; prawdziwy artysta e p o k i c i e m n e j. Epoki kompletnego zamieszania i rozkładu, kiedy dotychczasowe kategorie myślowe, wyobrażenia i pojęcia stają się zwodnicze i bezużyteczne: epoki rzeczy i przemian zatajonych i ukrytych pod osłoną nocy. Orfeuszem takich czasów - powtórzmy - jest Hermann Eisberger.

Będąc zaś symbolicznym portretem wewnętrznym twórcy współczesnego /portretem w istocie niemożliwym; więc tylko przybliżeniem: ułamkiem pękniętej całości; fragmentem fragmentu/; zarazem będąc odzwierciedleniem stanu ducha panującego w literaturze naszej doby - postać Hermanna Eisbergera zawdzięcza naturalnie rozmaite właściwości i cechy swej fizjonomii duchowej, zresztą nader swobodnie przetasowanym, życiorysem, gestom publicznym, utworem i charakterom moralnym wielu najwyższej i także mniejszej miary pisarzy, od H.H., T.M., A.G., A.C., J.I., poprzez Igrala zapewne, aż do... Jerzego Andrzejewskiego.

1. TWORCA

1. Pisarz prawie nieznamy

Kim jest Jerzy Andrzejewski? Nie radzę bawić się w szukanie prostych analogii pomiędzy nim samym jako artystą dwudziestowiecznym a protagonistą opowiadania "Już prawie nic" /"Twórczość" 1976, nr 9/. Bo niemal nic to nie da. Mamy tu do czynienia z podobieństwem metaforycznym, przenośnym, zatem z natury wieloznacznym. Wszakże na jedno zjawisko, upodabniające się do granicy utożsamienia fikcyjną postać Eisbergera z realną - Andrzejewskiego, wypadnie palcem wskazać. Chodzi o paradoks publicznego zainteresowania osobą znanego twórcy. Mianowicie o ten przedziwny fakt, iż mimo szerokiego często rozgłosu pozostaje on /twórca/ zaledwie połowicznie obecny wśród swoich współczesnych, a w gruncie rzeczy - nie znany. Pod tym jednym względem rzeczywiście obydwa są do siebie bliźniaczo podobni. Każdy z nich: i Andrzejewski, i Eisberger, przywodzi na myśl - lodową górę. Znani publiczności literackiej prawie wyłącznie od wierzchu, od strony poniekąd widowiskowej i sensacyjnej - albo przez insynuacje i domysły małych sekretarzy literackich w rodzaju Otto Helda - resztę prawdy kryją w głębokim cieniu. Nie, skądże, nie muszą, to być zaraz tajemnice konfesyjne, ani rewelacje przeznaczone dla uszu psychoanalityka. W wypadku Andrzejewskiego są to najprzód pewne tajemnice bibliografii.

Rzadko kiedy we współczesnym pisarstwie występuje aż tak rażąca dysproporcja między superlatywem /względnie diminutiwem/ krytycznym z jednej strony, a stopniem znajomości chwalonego /względnie potępianego/ dzieła - z drugiej. Całokształt bowiem pisarskiego dorobku autora "Miazgi" jest trudno dostępny i słabo nawet przez badaczy spenetrowany, jest to twórca dzięki kilku swoim osiągnięciom głośny i bez wątpienia legendarny, ale znany w stopniu bardzo ograniczonym, żeby nie powiedzieć: niedostatecznym. Złożyło się na taki

stan rzeczy wiele różnych powodów. I parę generalnych nieporozumień. W ich skumulowanym efekcie "ma się wrażenie", że "z grubsza" wiadomo o co chodzi, kiedy na ekranie świadomości pojawia się nazwiskowy sygnał: Jerzy Andrzejewski. Najprostszy odruch: pisarz-moralista. Naturalnie z powołaniem się na ustalenia Włodzimierza Maciaga. Ale i niejednemu przypomni się też literat-opozycjonista. Szeregowy konsument kultury myć może podeprze tutaj swoje rozeznanie pamiętnym artykułem Bohdana Rolinśkiego, wyciętym z "Życia Warszawy". Natomiast człowiek o uniwersyteckiej kulturze umysłowej, a przy tym z pretensjami do kreowania niezależnych opinii i ocen w sprawach literackich, zapytany o Andrzejewskiego wyrecytuje, gotów jestem zaręczyć, tekst nonkonformistycznego profesora Sandauera. Cóż jeszcze? W zakamarkach świadomości dorosłej części społeczeństwa ciągle bodaj tkwi i płacze się, zapewne, papierowy, ale i do niczego nie pasujący konterfekt Andrzejewskiego z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych; Andrzejewskiego jako autora broszur politycznych, które mógł być wówczas napisać Roman Bratny, gdyby tylko dopracował się lepszego stylu. Lecz nie żartujemy. Ta fotografia błyskowa wielkiego polskiego pisarza, zdjęta przy świetle gilotynowych dziejów, i otoczona girlandą wzorowo dobranych cytatał ze Stalina, Bieruta, Bermana, Mao Tse-tunga i Fadiejewa, ma przecież sens zastanawiający. Jest w niej nie wymyślony diabolizm, Oraz doniosła przestroga i nauka. Działwa szkolna jednakże nic o tym epizodzie i październikowej jego replice nie wie, obcując z Andrzejewskim regulaminowo przez władze oświatowe przyszytych, przesłanym i niewinnie podkolorowanym. No i oczywiście wszyscy widzieli kiedyś film "Popiół i diament" według Jerzego Andrzejewskiego. Gdzie w całym tym galimatiasie Andrzejewski autentyczny? Może właśnie w niepodważalnych faktach bibliografii?

Niestety, próżno szukać zgodnego z prawdą obrazu twórczości pisarza w bibliografiach zredagowanych na użytek krajowego czytelnika. Spisy książkowych publikacji Andrzejewskiego, zawarte w nowszych opracowaniach krytycznych i naukowopopularnych /Maciag, Teresa Walas/, nie odnotowują faktu wydania powieści "Apelacja" przez Instytut Literacki w Paryżu /1968/. Zwyczajny czytelnik nie ma prawa i nie powinien nawet domyślać się istnienia podobnego tytułu. Co tu zresztą mówić o znajomości "Apelacji". W końcu ilu czytelników miało w rękach zeszyt "Twórczości" /1966, 10/ z fragmentami "Miazgi"? Wspomniane bibliografie nie dokumentują - czasopiśmienniczej wprawdzie, fragmentarycznej, bo fragmentarycznej, obłamanej, ale do innej latami przecie dojść nie mogło - egzystencji tego kluczowego dzieła. Owe Andrzejewskiego oficjalne rejestry ksiąg w pewnym sensie nie kłamią. Ujawniają bowiem niechcący rozmiały spustoszeń powodowanych zarówno dzikimi cenzuralnymi ingerencjami, jak i bardziej "zróżnicowaną" polityką represyjną w dziedzinie literatury. Dwudzieste wydanie "Popiołu i diamentu" nie zdoła ukryć takich jednoznacznych faktów, jak nieczęste wznowienia mistrzowskich opowiadań i nowel, jak bardzo odporne rzedycje "Ciemności kryją ziemię", "Bram raj", "Idzie skacząc po górach": opowieści, z których każda następną wydaje się ważniejsza i literacko świetniejsza od poprzedniej. Znam grupę młodych, rozbudzonych umysłowo, tym samym nieco już zirytowanych przerysowaną wykładnią pedagogizującą "Popiołu i diamentu"; prawdziwy Andrzejewski zaczyna się dla nich dopiero po 1956 roku: wraz z "Ciemnościami" i "Bramami raj". Ale dla wielu innych pozostaje właściwie autorem jednej książki.

A więc głośny pisarz nieznany? Jak to należy rozumieć?

2. Wielki fragmentarysta

Rzecz nie sprowadza się bynajmniej do incydentów zewnętrznych. To znaczy do wzajemnie zsynchronizowanych zarządzeń polityczno-administracyjnych i praktyk wydawniczych, mających ograniczyć zasięg oddziaływania niewygodnego, a zarazem wybitnego w skali światowej twórcy, przeszkodzić w upowszechnieniu i należytej prezentacji jego dorobku na forum krajowym. Jak rozległego dorobku i z jakich części się składającego - szkopuł w tym, że nikt tego dobrze nie wie. Czemu? Trzeba niewątpliwie uwzględnić czynnik immanentny, zasadniczo nieobliczalny: sam, by się tak wyrazić, przyrodzony "charakter pisma", samą r o z r z u t n ą naturę pisarskich zamierzeń i przed-

sięwzięć Jerzego Andrzejewskiego.

Bywał on nie tylko narratorem - twórcą nowel i powieści. Próbował także sił w żartobliwym dramacie /"Święto Winkelrida", 1946/ i w poetycko-mitologicznym widowisku /"Prometeusz", 1973/. Już przed wojną występował jako krytyk teatralny i recenzent literacki, uprawiał publicystykę, coraz śmielej wkraczał na tereny eseju. Wielka szkoda, że nie poszedł w ślady Zofii Nałkowskiej /"Widzenie bliskie i dalekie"/ czy Tadeusza Brzezy /"Notatnik literacki"/ i nie zdecydował się zgromadzić w jednej dużej księdze swej literackiej felietonistyki, wrażeń z teatru, rozmyślań nad lekturami, komentarzy o sprawach i ludziach, szkiców i zwierzeń prywatnych. Tom taki byłby zarówno wzbogaceniem biblioteki idealnej polskiego eseju nowoczesnego, jak też mógłby stanowić nieoceniony przyczynek do poznania zainteresowań i kultury wewnętrznej pisarza.

Inne uprawy pisarskie, inne pola literatury, dogłądane i pięknie kultywowane przez Andrzejewskiego, to autobiografia i dziennik. Stała od lat siedmiu rubryka "Z dnia na dzień" w "Literaturze" bywa nierzadko jedyną pozycją, jaka w tym wyjątkowym czasopiśmie daje się bez obrazy rozumu przeczytać. Żal, że wytrwałość i pasja dziennikowa Andrzejewskiego, z natury talentu - intymisty i diarysty, nie znalazła dotąd uwidocznienia w książkowym plonie. Wszak mamy w literaturze współczesnej rozmaite precedensy ogłaszania przez literatów i uczonych swoich dzienników, całych lub ich specjalnie zredagowanych części, w postaci cyklicznych bądź pojedynczych tomów /Gombrowicz, Herling-Grudziński, Zawieyski, Kubański, Żakiewicz.../. Wiadomo: dziennik dziennikowi nierówny. Chociaż ryzyko podobne. Jestem przekonany, że swoista kreacja pisarska Andrzejewskiego, w jaką niepostrzeżenie - z dnia na dzień właśnie - przerodziły się luźne, jakby od niechocenia notowane kartki raptularza, zmieszane z mikroesejami, z embrionami pomysłów i zaczątkami fabułek, te z "Literatury" i te drukowane po czasopismach w odleglejszych latach - że podobna kreacja, gdyby ostatecznie doszło do jej prezentacji wydawniczej, dorównałaby swą oryginalną jakością najbardziej znanym osiągnięciom w pozornie niewiążącym gatunku, jakim jest dziennik. A już z całą pewnością świeciłaby nowym, nie odbitym blaskiem, ustawiona w jednym szeregu z klasycznymi "dziennikami pisarzy".

Pisma autobiograficzne różnych odmian cieszą się od dłuższego czasu znacznym powodzeniem u krytyki i publiczności, są z reguły rozchwytywane i wysoko cenione. Dość wymienić ostatnie wielkie sukcesy "Alfabetu wspomnień" Skonimskiego, "Kalendarza i klepsydry" Konwickiego, dobre przyjęcie "Z domu" Juliusza Żukawskiego, trzy wydania "Książki moich wspomnień" Iwaszkiewicza, intelektualnie kapitalną, choć nie wznawianą "Kwestię gustu" Ważyka, wreszcie pełną uroków Brandysowskiego sentencjalizmu "Małą księgę". Można by tę listę jeszcze wydłużyć. Ale uderzające: brak na niej Andrzejewskiego. Sądząc zaś po ogłaszanych sporadycznie fragmentach "Notatek do autobiografii", właśnie Andrzejewski wydaje się być czołowym przedstawicielem owego intymnie pamiętnikowego i niepowierzchownie autobiograficznego nurtu w obecnej prozie. Czołowym przedstawicielem oraz, w poważnym stopniu, inicjatorem, jeśli przywołać tu "Książkę dla Marcina" /rozpoczętą u schyłku wojny, opublikowaną w 1954 r./.

"Książka dla Marcina" sprawia wrażenie świetnego fragmentu. Jakby uwer-tury i obietnicy czegoś większego i bardziej rozbudowanego, Wojenny "Powrót", włączony do kolekcji opowiadań, opatrzony został przez autora podtytułem: "fragment powieściowy". W tym wypadku jest to więc forma jawnie graniczna, fragmentaryczna, embrionalna. Z kolei heroikomiczny epos pt. "Wojna skuteczna, czyli Opis bitew i potyczek z Żadufkami", pierwotnie zaprojektowany na trzy tomy - urwał się /1953/ na tomie pierwszym i jedynym. Summa literacka Andrzejewskiego, "Miazga", paradoksalnie do tego stopnia zrosła się ze swym wieloletnim bytem fragmentarycznym, że spora część zdeorientowanych czytelników uznaje urywkową publikację czasopiśmienniczą za jej kształt ostateczny. Chciałoby się powiedzieć: i tak dalej... Od szczytków nigdy nie ukończonych powieści młodzieńczych: "Noc" i "Zniebastapienie", przez powieść, która nie przetrwała czasów wojny i okupacji: "Natchnienie świata", aż po prawdziwy fenomen literacki: powieść historyczno-współczesną "Sto lat temu i teraz", złączoną genetyczną i strukturalną pewnością z podłożem autorskiego dziennika, dosłownie wmieszaną w bieżącą materię życia i przypadki losowe autora, odnotowywane na kartkach "Z dnia na dzień"; powieść więc skazaną

z góry na byt poczwarki, na niedowcielenie, na kształt zaprzeczony wewnętrznie, na formę, jeśli wolno jeszcze raz posłużyć się paradoksem, monumentalnie bezkształtnego urywku.

Konkluzja naszego przeglądu nie może brzmieć inaczej: dzięki pisarskie Andrzejewskiego to twór pokruszony i rozproszony, w szczególny sposób ułomny, n i e d o k o n a n y. To jedno z arcydzieł literatury fragmentarycznej. Jak wszyscy fragmentaryści czy też fragmentyści - pisarze genialnej inicjatywy i dekadencjonalnej melancholii, porwani młodzieńczym rozmachem wyobraźni twórczej i sparaliżowani świadomością metafizycznego fiaska - buduje Andrzejewski swoje utwory na wąskiej granicy dzielącej doskonałość od formalnego niepowodzenia. Jest on - powiedziano - pisarzem, którego urzekają problemy moralne". Owszem, ale urzeka go również absolut artystyczny, rozjāttrza żądza doskonałości i zupełności w "oddawaniu" i wyrażaniu słowami - życia. Najbardziej udręczać jąca, najbardziej niesamowita, ciągle nienasycona i zawsze daremna pasja ludzka. Pasja wirtuoza sków - artysty. Pragnąc całości i zarazem dotkliwie rozumiejąc, że w płynnym, nietrwałym, poszarpanym, tymczasowym porządku doczesnym, w istocie: nieporządku i bezkształcie świata, całość jest nieosiągalna, że może ona być tylko - nadzieją, twórca taki jak Andrzejewski idzie od jednej skrajnej próby literackiej do drugiej, przeciwstawnej, nie może zatrzymać się i ograniczyć do jednego mētier, nie chce poprzestać na żadnej zdobytej formie i każdą okazuje na to, by pozostała - wiecznym fragmentem.

Toteż nie dziwnego, że i opracowania krytyczne poświęcone twórczości Andrzejewskiego noszą na sobie znamienne piętno fragmentaryzmu. Są często mozaikowym zbiorem recenzji o poszczególnych utworach. Nawet najlepsze studia i wizerunki, ciekawie i żywo kreślące ideowe i artystyczne oblicze pisarza, nie satysfakcjonują w pełni, mają bowiem charakter szkicowy i prowizoryczny: urywają się grubo za wcześnie, na prozie okupacyjnej, jak "Traktat o zbawieniu" pióra Andrzeja Kijowskiego /w jego książce "Arcydzieło nieznane", 1954/, bądź też zaczynają się od środka, tj. od "Popiołu i diamentu" i nie wykraczają poza ogłoszony drukiem fragment "Miazgi", jak szkic Jana Błońskiego "Portret artysty w latach wielkiej zmiany" /w jego książce "Odmarsz" 1978/. Są to więc portrety nie domalowane.

De fakto jedna trzecia biografii twórczej pisarza, lata 1966-1979 i ich bogaty, lecz rozproszony dorobek: powieści "Miazga" i "Apelacja", wspomniany "Prometeusz", różnych rozmiarów opowiadania: "Ciemna gwiazda" /"Literatura" 1974, nr 14-16/, "Po tamtej stronie" /"Twórczość" 1975, nr 6/, "Już prawie nic" opowieść "Teraz na ciebie zagłada" /1976/, dziennik i zmieszana z jego kartkami, nie uformowana do końca próba narracyjna "Sto lat temu i teraz" - znalazły się poza domeną poważnej krytyki i bardziej systematycznej refleksji krytyczno-literackiej, oddane na pastwę recenzentkich światopoglądów. Albo po prostu padły łupem milczenia. Nie trzeba też przypominać, że do tej pory nie znalazło się dla Andrzejewskiego miejsca w PIW-owskiej serii "Portrety współczesnych pisarzy polskich". /Chociaż seria zaczęła się ukazywać już w początkach lat 70-tych/. Zważywszy to wszystko, zrozumiemy jak bardzo nieznanym pisarzem jest znany pisarz Jerzy Andrzejewski.

3. Artysta-kameleon?

Jest pisarzem i w takim też sensie nieznany, że stereotypowy pogląd o naturze jego pisarstwa, urobiony głównie za pośrednictwem Artura Sandauera /patrz: "Szkoła nierzeczywistości i jej uczeń. Esej krytyczny osnuty..." itd. Pierwodruk w cyklu: "Bez taryfy ulgowej". Potem wielokrotnie wznowiany w licznych edycjach pism A.S./, że ów stereotyp usankcjonowany i w pewnym momencie przecież formowany w redakcjach takich czasopism, jak "Współczesność" /A. Mencwel: "Miazga i fetysz", 1969, nr 21-22; J. Wagner: "W labiryncie zaprzeczeń", 1969, nr 26, 1970 nr 1/ i "Miesięcznik Literacki" /K. Mętrak: "Rozdarta scena duszy i diabeł konwersji", 1969 nr 11/, w dodatku cichcem popieranym przez partyjnych dyrygentów kultury, a nie znajdujący polemicznej przeciwwagi: powiedzmy ostrzej, że substytut i liczman obiegowy zdołał zdominować i przytłoczyć swoją wielosłowną masywnością rzeczywisty obraz twórcy "Idzie skacząc po górach". Kiedy na wykładzie monograficznym o twórczości Jerzego Andrzejewskiego, prowadzonym w Warszawie w ramach Towarzystwa Kursów Naukowych w roku akademickim 1978/79, pojawiać się zaczęli zorganizowani w "grupy dyskusyjne" agresywni

oponenci /rzadko - dyskutanci/, mieli usta pełne, nie, nie argumentów bynajmniej, pełne pojęciowej papki, której źródłem okazywał się wspomniany stereotyp; z historycznym zapakem szermowali jego historycznymi resztkami. To miały być te ciosy zadane "z właściwych pozycji", ciosy intelektualnie nokautujące zarówno wykładawcę, jak jego bohatera.

Na stereotyp, o którym mowa obecnie, złożyły się następujące elementy. Po pierwsze: Andrzejewski to pisarz, który z łatwością nader podejrzaną zmieniał poglądy i postawy; zakosztował i biologizmu, i katolicyzmu, i tragicznego humanizmu, i marksizmu w stalinowskim wydaniu, i antyhistorycystycznego ironizmu, i egzystencjalnego pesymizmu, i paryskiego nihilizmu, i romantyczno-narodowego moralizmu, i jakiegoś specjalnie zdrożnego desperacjonizmu /przywiałńskiego?/, i czego tam jeszcze. Po drugie: jego kręta - jak widać - ewolucja ideowa uwarunkowana była brakiem istotnej wiary w cokolwiek i wynikającą stąd uległością i elastycznością jego mieszczańsko-inteligenckiej psyche, a nie racjami z głębszego porządku merytorycznego. Po trzecie: kameleonizmowi politycznemu i światopoglądowemu towarzyszyła podatność na sezonowe mody w literaturze, przerzucanie się od stylu do stylu i od techniki do techniki, miotanie się między ekstremami /naturalizm - oniryzm, realizm - alegoryzm, tragika - groteska, dydaktyka - parodia, sztuka polityczna - sztuka wizjonerska/, słowem, zmienność i efemeryczność inspiracji i upodobań. "Nie ma w naszej współczesnej literaturze bardziej eklektycznego pisarza" - sędzi Jacek Wegner /i nie on jeden/. W sumie więc: kapryśnie wielostylowej twórczości Andrzejewskiego brak jest autentyzmu i wyrazistego oblicza, jest ona uwikłana w nieustającą grę literackich maszek i wskutek tego - wtórna i niejednolita.

"Ani przez pięć minut nie wierzyłem w katolicyzm Jerzego Andrzejewskiego - pisze Gombrowicz w "Dzienniku /1953-1956/" - strach mnie zdejmował na widok tego wstępu do późniejszej Wielkiej Maskarady". Od Gombrowicza do Sandauera, od Sandauera do Menowela i Wegnera, od Wegnera do socaktywisty i studenta-boksera... Tak to nieobliczalnie /ale czyż nie dialektycznie?/ ewoluował i taką to zawrotną karierę zronił argument puszczony niegdyś w ruch przez naszą bezkompromisową intelektualnie szkołę podejrzeń.

Trudno przeczyć oczywistemu wrażeniu, że Andrzejewski zmieniał się nieustannie, prawie z utworu na utwór, często w sposób przechodzący swoją raptownością i ekstremalnością naturalne wyobrażenie o człowieku jako istocie względnie ukształtowanej, spójnej i tożsamej. Mogło nieraz wyglądać, że nie dba wcale o konsekwencję kolejnych wypowiedzi literackich ani tym bardziej o identyczność i skonsolidowanie własnego oblicza moralnego. Wierzę, iż oku nie wywiczonemu albo - na odwrót - specyficznie uprzedzonemu, które ślizga się po powierzchni tekstów i tytułów: "Ład serca"... "Partia i twórczość pisarza"... "Bramy raju"... "Prometeusz"... wszystko, co napisał dotąd Andrzejewski, musiało i musi się układać w bibliotekę chaotyczną i dowolną, złożoną z drastycznych przeciwieństw. Ale nie przesadzajmy i nie śpieszmy się ze zgorznięciem. Proteuszowa biografia pisarska nie jest niczym wyjątkowym w niespokojnej literaturze niestabilnego Wieku.

"Krytyk penetrujący ten rozległy obszar pisarstwa nie napotyka tu żadnej nici, która by powiodła go szerokim traktem od pierwszych do ostatnich dzieł" - żali się jeden z interpretatorów Andrzejewskiego, prawdziwie bezradny krytyk-biedaczek. I nie może wyjść ze zdumienia nad "skalą owych poszukiwań", która jego zdaniem "jest ponad miarę rozpięta i płynna". Ponad miarę! Cóż w takim razie powiedzieć o André Gidzie, który zaznał wszystkich pokus i wszystkich rozozarowań "zaangażowania" w zmienne systemy wartości naszej epoki: który pragnął, aby każda z jego książek była jakąś zasadniczą konfrontacją i "rozdrożem"; i u którego rzeczywiście każda książka jest napisana po to, aby negować orędzie poprzednie. Cóż powiedzieć o Tomaszu Mannie, o jego długiej drodze przemian - w filozofii politycznej i praktyce artysty. Cóż o T.S. Eliocie, który w jednym życiu zdołał zmienić i ojczyznę, i wiarę, i przekonania społeczne /sympatyzował przecież w pewnym okresie z doktryną społeczną faszyzmu, umarł zaś w glorii wielkiego pisarza-humanisty/, i nie jeden raz zmieniał także - wzory literackie. Cóż o W.H. Auden, komunizującym przywódcy pokolenia poetyckiego w Anglii lat 30-tych, od czasu wojny - poecie amerykańskim, freudyście, zarazem religijnym konwertycie.

Cóż o dziesiątku innych - podobnie "nie ustalonych" w estetycznych założeniach twórczości i w poglądach na świat - pisarzy, pisarzy narzucających w XX wieku miary stylu i myśli, takich jak M. Leaux i Sartre, jak Aldous Huxley i Orwell, jak Brzozowski i Czesław Miłosz. Cóż rzec o nich wszystkich? Czyżby razem wszyscy należało współczesną epokę literacką ochrzcić mianem epoki kameleonów?

A wreszcie dajmyż temu pokój. Nie o apologię zmienności samej sobie nam chodzi - kiedy powracamy do sprawy Jerzego Andrzejewskiego - ale całkiem odwrotnie: o wydobywanie i podkreślenie elementów stałych w zmienności artysty. Bo trzeba sięgnąć p o d historycznie zmienne wyznaczniki i składniki twórczości literackiej Andrzejewskiego, p o d ulegającą licznym przeróbkom i odmianom, częstokroć fragmentaryczną, z istoty swej różnorodną tkaninę jego pisarstwa, aby odkryć to, co w dziele tym macierzyste, jednorodne i nadrzędne, konstanty, symbole tożsamości, swoiste konfiguracje, świat własny autora, jego mityczny krąg pierwszy, jego obsesyjny

4. Obraz podstawowy

Na istnienie takiego praobrazu, w którym drzemie, oczekując magicznego przebudzenia i ponowienia, całe pierwotne przeżycie i wyobrażenie bytu i świata, całe najwcześniejsze doświadczenie, egzystencjalna, cała, jeszcze utajona, tematyka i dramaturgia "ja" twórczego - tematyka i dramaturgia przedrefleksyjnej świadomości g ł ę b o k i e j - naprowadza i wskazuje sam Andrzejewski w utworach autobiograficznych. Najpierw w "Książce dla Marcina".

W klasycznie prostej opowieści o "Warszawie najdawniejszych wspomnień", o rodzicach, szkole, o młodzieńczych wtańczeniach, o kolejnych przeprowadzkach z mieszkania do mieszkania, o wielu rzeczach zwyczajnych a realistycznie ujętych - wyłania się, nie w jednym rzucie, ale stopniowo i fragmentami, jakby mimochodem, ów obraz podstawowy, jak się okaże: konstytutywny i charakterystyczny dla omawianego pisarstwa, obraz niestabilności świata, nietrwałości ulic, domów, przedmiotów, niepewności kondycji ludzkiej, przemienności wszystkiego. Wyłania się temat losu jako gry przeciwieństw. Egzystencji jako polaryzacji. S t a w a n i a s i ę jako dramatycznego napięcia między krańcowymi możliwościami.

Osnowę w tymże obrazie-temacie stanowić będzie szereg różnorodnie aktualizowanych przeciwieństw: pełnia - pustka; trwanie - zniszczenie, związaną - rozluźnienie; tradycja - niepamięć; powodzenie - klęska, wzrost - upadek, rozkwit - zagłada; starość - młodość, schyłek - inicjacja; blask - mrok, światłość - ciemność; sacrum - profanum.

Następstwa wymienionych kontrastów i antyestetycznych sposobów istnienia, zaobserwowane w "Książce dla Marcina", w rzeczywistym rytmie dziejów miasta i rodziny; zatem uobecnione i uwierzytelnione historią zbiorową, pojawia się jednak w prozie Andrzejewskiego znacznie wcześniej: u samych jej początków i powtarza wielokrotnie aż do dzisiaj. Ma więc charakter ponadhistorycznie trwały. Posiada właściwości i znamiona metafizyki i mitologii artystycznej. Organizuje i tematyzuje świat wyobraźni pisarza. I naznacza ów świat insygniami symbolicznymi.

W "Notatkach do autobiografii" /"Literatura" 1972 nr 7/ Andrzejewski wskazał otwarcie na źródło takiego właśnie a nie innego widzenia świata i losu ludzkiego w tym świecie. Wskazał na dwie sprawy. Na społeczne miejsce swojego urodzenia. I na duchowo niepokojącą przygodę młodości jako trampolinę i pierworodne, bezcenne tworzywo swojej wyobraźni. "Żałuję niekiedy - wyznawał - że się nie urodziłem w rodzinie bogatej lub całkiem biednej i do moich doznań najwcześniejszych nie mógł świat zewnętrzny wtargnąć ani blaskiem zbytku ani dramatyczną i ciemną brutalnością". Jak ten brak nadrobić? Nieunikniona droga Jerzego Andrzejewskiego, droga z psychomoralnej strefy średniej: wygładzonej, s z a r e j, letniej, powściągliwej /ojciec był właścicielem sklepu kolonialnego w handlowej dzielnicy Warszawy, matka pochodziła ze środowiska zdeklasowanej, poszlacheckiej inteligencji/, droga ku zaznaniu pełnej skali istnienia od krańca po krańce - od biegunu boskości po biegun diabelstwa - wiodła przez doświadczającą swoich mocy wyobraźnię. Innymi słowy: przez symboliczną projekcję i rekompensatę Literatury.

II. DZIEŁO

5. Jedność dzieła

W którymś miejscu cytowanych "Notatek do autobiografii" Andrzejewski powiada: "gdy spoglądam wstecz - widzę jasno, jak poszczególne etapy mojej pracy, nieraz oceniane z zewnątrz za wyraz skrajnych przeciwieństw, jak moje tzw. "przełomy" i "niespodzianki" formalno-treściowe są tylko pozorne i jak bardzo od pierwszych moich poczyniń aż po ostatnie ogarnia i przenika tę całość ukształtowany przed przeszło czterdziestoma laty krąg mojej młodości".

Przyjdzie zgodzić się z autorefleksyjną wypowiedzią pisarza. Istotnie bowiem wszystkie prawie teksty składające się na dorobek pisarski Jerzego Andrzejewskiego zbiegają się na naszych oczach w jedną całość, tworzą jeden łańcuch obsesyjnych metafor, jeden system wzajemnie powiązanych wątków przewodnich, tematów, symbolów i znaków obrazowych, przekazują niezmiennie tę samą wizję świata - metaforyczny Tekst Świadomości głębokiej.

Choć wydaje się często, że opowiadania Andrzejewskiego nadzwyczaj wiernie i biegle, z werystyczną wręcz dokładnością, odrysowują widzialny kształt świata, sylwetki osób i wyglądy przedmiotów, realny bieg zdarzeń i zróżnicowanie losów ludzkich; choć nie brakuje w nich całych, nieomylnie wykrojonych, płatów rzeczywistości sprawdzalnej, mięsistej, takiej jaką lubimy odnajdywać w tzw. epickiej, przedmiotowej prozie, i, wreszcie, choć narracyjne punkty wyjścia, introdukcje i ekspozycje są w nich z reguły "przezroczyste", skrajnie nieostentacyjne, dalekie od klimatu zagadkowości czy wizyjności, jak najmniej rzucające się w oczy, jednym słowem, powszednie /nawet w "Podróży", która w miarę rozwijania się tematu zgęstnieje w koszmarny bezwyjściowy, w eschatologiczną wizję- metaforę: nawet w "Już prawie nic", gdzie środkowe i finałowe części akcji toczyć się będą pod dyktando enigmatycznego snu Eisbergera - z jednej strony, zaś pijanej frenezji i furoru Otto Helda - z drugiej/: choć to wszystko prawda, to jednak każda kolejna, bardziej już uważna, lektura opowiadań Andrzejewskiego utwierdza nas w mniemaniu, że z przemożną siłą, intensywnością oraz lunatyczną precyzją władczej manii wyrażają one **w e w n ę t r z n e d o ś w i a d c z e n i e** ich autora.

Wyrażają ów najściślej własny, intuicyjnie dawno przeczuty, a z latami z coraz większym udziałem świadomości ukształtowany i modulowany krąg przeżyć i tematów, rozdarć i obsesji, niepokojów i oczarowań. Wyrażają rodzaj pasji, zafascynowania, "nawiedzenia", graniczącego z natręctwem przywiązania do pewnych wyobrażeń, do pewnych sytuacji, do pewnych stanów umysłu i ducha, do emanujących szczególnie aurę przedmiotów "nierealnych". A wyrażają zgodnie z prawami języka symbolicznego. Oznacza to, że krajobraz mentalny - nawracający jak owa noc, która towarzyszy całej prozie Andrzejewskiego i jego bohaterom od początku do końca: od snu warszawskiego najzwyczajszego kupca Antoniego Gielbarda w opowiadaniu "Koniec" /1933/ po Sen Znakomitego w "Już prawie nic" /1976/ - że ten krajobraz mentalny nie potrzebuje ofiarowywać się czytelnikom w postaci jakoś od razu uniezwykłej, imaginacyjnej, specjalnymi zabiegami sztuki przeniesionej w wymiar niewidzialności albo nadrzeczywistości. Jawi się on zupełnie inaczej. Tak jakby był krajobrazem naocznym, wszystkimi zmysłami percepcyjnym, trójwymiarowym, naturalnie i oczywiście rzeczywistym. Opowiadania Andrzejewskiego mówią sugestywnie językiem, o którym na co dzień nie pamiętamy albo nie chcemy czy nie możemy pamiętać - włączeni w systemy komunikacyjne społecznej schizofrenii - ale którym posilkuje się nasza jaźń nieświadoma, mimowolna, "artystyczna", zakorzeniona poprzez symbole w odczuciu wspólnoty świata: otóż wyrażają wewnętrzne doświadczenie w taki sposób, jak gdyby było ono doświadczeniem zmysłowym, a jednocześnie jakby świat zewnętrzny stanowił symbol świata umysłu i duszy.

Umiejętność posługiwania się "zapomnianym językiem" to zdobyty przywilej i znak rozpoznawczy sztuki wielkiej i szukającej wielkiego pojednania wszystkiego ze wszystkim - rzeczy ukrytych z jawnymi, jasnych z ciemnymi, wyższych z niższymi, widzialnych z niewidzialnymi jako dwóch stron tego samego. Andrzejewski osadzany w pryzmacie "okresów" i "etapów", zależnych od posunięć i fluktuacji Polityki, lub interpretowany w kategoriach Rewii Mody, to jest od-

mian stylu, dostarczać przykładu na gorsząco-fascynujące rozstrojenie literackiego instrumentu. Wystarczy umieścić tę twórczość na powrót w jej własnym kręgu, by poczęła służyć za wzór czegoś zgoła odwrotnego.

Z powodzeniem można więc dostrzec w opowiadaniach zebranych pod książkowym tytułem "Niby gaj" sekwencję odbić świata wewnętrznego. Albo przeczytać wszystkie po kolei powieści jak długie opowiadanie. Rozpoznać jeden głos symbolicznej opowieści w głosach oddzielnych relacji i odległych narratorów.

Jakby niszcząca praca czasu nie rozwierała się przepaścią czterdziestu kilku, i to jakich lat, między tekstem opowiadania "Koniec" a tekstem zatytułowanym "Już prawie nic". Przypomnijmy i postawmy te dwie daty naprzeciw siebie: 1933-1976.

Jakby młodość niezaspokojona i poszukująca, bez bojaźni otwierała najdalej bramy snów starości /w "Już prawie nic"/, a rozważna i suwerenna starość chłodziła palone maligną i udręką, gorejące czoło wieku młodzieńczego /w "Końcu", w "Kłamstwach" w całych "Drogach nieuniknionych"/.

Jakby wszystko było jednością. Jedną książką. Wewnętrznym związkiem przeciwieństw.

Spróbujmy to pokazać.

6. Świat przeciwieństw

Skupionej uwadze czytelnika utworów Andrzejewskiego narzucają się w pierwszej kolejności opozycje topologiczne, związane z charakterystycznie dwudzielnym rozpostarciem się przestrzennym tego Tekstu-Swiata. Przestrzenie, miejsca, sceneria, to wszystko, co rejestrowane wzrokiem i zewnętrzne, układa się podług niewidzialnego planu wewnętrznego i dąży do dwóch przeciwległych biegunów. Są to bieguny góry i dołu, świata wyższego i świata niższego, nieba i piekła, marzeniem wyłoczonego raju i jałowej ziemi wygnania. Określić by je należało mianem "dobrej" /światłistej/ i "złej" /mrocznej/ przestrzeni.

Obszar pierwszej jest domeną wniesienia się duchowego, "idealizacji", uświęcenia i niemalże przeobóstwienia człowieka, obszar drugiej - domeną upadku, zdegradowania i zbestalizowania, krańcowej "naturalizacji" istot ludzkich. Niekiedy obydwie te diamentralnie różne i zupełnie inaczej pod względem aksjologicznym nacechowane przestrzenie spotykają się w duszy pojedynczego człowieka, miotają się tam i sam - od bieguna do bieguna - i rozszarpują jeden ustabilizowany, "wygładzony", prywatny system wartości między dwa przeciwstawne i radykalnie skłócone światy. Tak działo się już w przedwojennych "Kłamstwach", gdzie, pogrążone w błogostanie, odizolowane w zacisznym, rozskłóconym ogrodzie Łazienek, jak w uzewnętrznionej iluzji, świadomość narratora zderza się przypadkowo i raptownie z drugą odmienną świadomością, i - towarzysząc opowieści wykołowanego lumpa Jarosława Mojka - musi chcąc nie chcąc wrócić włączyć przestrzeń Miasta. W koszmarom podobną przestrzeń Warszawy "wspólnych pokojów" i lęknącego się w mrokach krzywdy społecznej rozpaczliwego "przedwiośnia". Zarazem w przestrzeń wewnętrzną niedobrych wiadomości i niechcianej wiedzy, która dosięga narratora jak moralne napomnienie i ostrzeżenie Losu. Tematem "Kłamstw" nie jest więc tylko "aleatoryczny" los rozbitka życiowego Mojka, jest tym tematem równocześnie "rozbić się" i przepokłówienie świadomości narratora; świadomości, która nagle traci swoją równowagę, stabilność, poczucie bezpieczeństwa i oczywistości świata, i w metafizycznym sensie tego wyrażenia - "idzie na dno"; wyzuta ze stanu harmonii oraz przyjemnego podniecenia życiem i wiosną, przechodzi za demonicznie rozedrganym cieniem Mojka z pejzażu radości w pejzaż nocy i deszczu, ze scenerii Łazienek, a potem Ogrodu Saskiego, w krainę niedoli i śmierci.

Podobnie rzecz się ma w okupacyjnym "Wielkim Tygodniu", gdzie dwa krańce p r z e s t r z e n i w y b o r u, krańce, między którymi zawisła i oscyluje w męce wybiegania świadomość moralna "przyswoitego człowieka" - żoliborskiego inteligenta Jana Maleckiego, stanowią: z jednej strony Getto /dymem pożarów wyróżnione miejsce daremnej walki, poświęcenia, martyrologii, zagłady/, z przeciwległej - Dom /miejsce szczęścia, przetrwania, nadziei/. W "Wielkim Tygodniu" jednak cała przestrzeń jest już pustoszona orkanem apokaliptycznym, wtrącona w stan piekielnego chaosu i odsłaniająca tym samym brak jakichkolwiek kierunków orientacyjnych i stałych punktów oparcia; wszystko jest w niej zwiłkane, pomieszane, przeniknięte ostatecznym niepokojem;

Jednocześnie straszliwie święte i straszliwie powszednie. Krąńce się stykają, nie ma już góry ni dołu; sfera profanum zachodzi na sferę sacrum; wzgórze Trupiej Czaszki - owo miejsce niezwykle i wyjątkowe - leży rozciągnięte płasko i w poprzek śródmieścia, na drodze tłumów spieszących do pracy, do zarobku i... do świątecznej zabawy.

Po latach - w "Miazdze" - przestrzeń spopielenego i przemielonego raz i drugi świata na nowo się podzieli. Podzielił się zgodnie z prawem niezmiennym mitologii artystycznej Jerzego Andrzejewskiego. Wyłoni więc z siebie "góre" i "dół", regiony wyższe władzy i kultury, dosytu i zbytku, i niższe rewiry antyrządowego szemrania i podkulturalnego fermentu, "dramatycznej i ciemnej brutalności" nienasycenia, zkiej, u mętnych źródeł pijącej erotyki. Wszakże podzielił się teraz na modłę po berentowsku zironizowaną, szyderczo zaprzeczoną: sztucznie zaaranżowanym olimpom i fikcyjnym arkadiom odpowiadają tu bowiem równie mocno skonwencjonalizowane w swej gestyce i raczej umowne "podziemia" i "piekielka"; reprezentacyjno-historycznej rezydencji w Jabłonnej - nocny bar w "Bristolu", a sfakszowanej odzie do radości triumfatorów - tylko pozory potępienia Fausta.

Taka sceneria samolikwidującej się nieprawdziwości; sceneria dramatu zrosniętego z tandetą w jedną, podzielić się nie dającą, całość narodowej miazgi, sceneria chronicznego, historyczno-społecznego prowizorium, wielkiego zamieszania i gry odwróconych ról; sceneria tragifarsy - nie jest czymś niespotykanym w twórczości Jerzego Andrzejewskiego. Znamionuje, na przykład, antypatetyczne "Święto Winkalrida" i opowiadania napisane stylem groteski. Ale przeważa jednak u autora, bądź co bądź, "Popiołu i diamentu", inny rodzaj scenerii, innej typ wizji przestrzennej. A więc jakiej? Kontrastowo podzielonej, spolaryzowanej, dwuwartościowej, przełamanej konfliktem dwóch "mitów" konkurencyjnych, dwóch wyłączających się systemów "prawdy", dwóch światów antagonistycznych. Państwa Słońca i Królestwa Ciemności.

Jak przystała przestrzeń, którą wkłada Duch czysty i "świecisty", strona ta jest kształtowana i zabudowywana oczarowująco pięknymi i pomysłowymi kreacjami wyobraźni, jest nawiedzana i stwarzana myślą i pragnieniem, jest to architektura snu, utopii, złotej legendy wieków, wiecznie żywego marzenia. Olimp, siedziba najwyższych bogów, bogów "jakby ze snu", w "Prometeuszu"; Eden, ogród rajski, ojczyzna radosnego człowieka, której szukać pocnie, urzeczony opowieścią starego ojca-Adama, młody rożmarzony Abel w "Teraz na ciebie zagłada", święte miasto Jerozolima i jej ogromne mury i bramy "złote dzięki światłu", "nasycone złotą poświatą", niezdobyte, lecz przewyższające wszelką realność, miasto jak chimera rozsiadłe w patetycznym kłamstwie rycerza Ludwika z Vendome i w bękarcim urojeniu pasterza Jakuba Pięknego /vulgo Znalezione/, owych dwóch dziwnych współników - inicjatorów krucjaty dziecięcej w "Bramach Raju"; wszystkie te miejsca, równie bliskie prawdzie /wewnętrznej/, jak od prawdy /materialnej/ odległe, należą do jednego działu przestrzeni.

I wszystkie zarazem są w sposób opozycyjny usytuowane względem obszarów nawiedzanych przez Ducha złem skażonego, niefortunnego i posępnego: względem obszarów, które wypada nazwać - siedliskiem nieczystej materii. Są to Zasadzki i Bezdroża egzystencji. Naliczyć ich można w pisarskim świecie Andrzejewskiego bardzo wiele. Moralne pustynie współczesności w "Drogach nieuniknionych" zdradzieckie ścieżki, lasy i bagniska w "Ładzie serca"; tułacz szlaki, szlaki pielgrzymowania donikąd, masowych peregrynacji i błędzenia, w opowiadaniach osnutych na motywie rozgromu wrześniowego /"Wrześniowa oda", "Intermezzo", "Powrót"/; inferno obozu zagłady w "Apelu"; okupacyjna ziemia przeklęta w "Podróży"; miasto bezprawia i pogardy w "Wielkim Tygodniu"; ostrowiecki Park Kościuszki, po którym hulają młodociane biesy roku zerowego /"Popiół i diament"/; ciasne, chłodne, kamienne sceneria królestwa terrorku powszechnego w "Ciemności kryją ziemię"; Paryż jakowy w "Idzie skacząc po górach"; biblijna ziemia kary, klęski, posuchy i martwoty, kiedy to "nawet sępy przestały ponad tymi dolinami krążyć", w "Teraz na ciebie zagłada"; kliniki psychiatryczne /"Apelacja", "Po tamtej stronie"/ - leżą po drugiej stronie bram Raju. W krainie wygnania.

Dwoma, by tak powiedzieć: socjo-antropologicznie zróżnicowanymi, gatunkami bohaterów zaludnił Andrzejewski swój świat. Jednych można nazwać "ludźmi

z góry czarodziejskiej". Natomiast drugich - "ludźmi ze wspólnego pokoju". Ci pierwsi reprezentują najwyższe szczyty wiedzy i władzy duchowej /Wielki Inkwizytor w "Ciemnościach"/ lub świeckiej /Pierwszy Sekretarz w "Apelacji"/, uosabiają szczytowe wloty ducha ludzkiego, jak "skaczący po górach" genialny artysta Antonio Ortiz i wielki olimpijczyk dwudziestowiecznej literatury Hermann Eisberger, zaś o szczybel zaledwie niżej, w "Miazdze", współczesna wielkość literatury polskiej - Adam Nagórski /imię i nazwisko wiele mówące.../. Również patriarcha Adam w "Terezie na ciebie zagłada" i stary mnich-sповідnik, jedyny wiedzący wszystko, w "Bramach raju", należą do istot obdarzonych jakąś symboliczną godnością, przywilejem i sakrą: ojcostwa, przywództwa, kapłaństwa.

Następnie dostrzegamy tłumek osób i postaci, które nie są z pewnością władne sięgnąć - i nie zapuszczają się nawet w wyobraźni - w "boskie sfery" w duchowienia, geniuszu, zaczarowującego i narzucającego swe panowanie autorytetu, w magiczno-hipnotyczne regiony "świętej potworności", pragnęłyby jednak znaleźć się koniecznie na świeczniku i czymkolwiek na firmamencie highlife'u zabłysnąć: nieprzeciętną urodą, powodzeniem, talentem, karierą. Są to istotnie rozmaici szczęściarze, ludzie z cudownego awansu, predestynowani funkcyjariuszowie władzy, kurki na dachu, sezonowe gwiazdy polityki, ministrowie od wszystkiego, dystygnowane głowy ze sfer artystyczno-kulturalnych, bożyszcze gawiedzi oraz dziennikarze depczący po piętach możnym tego świata. Spotykamy ich w Ostrowcu zaraz po wojnie, choć jeszcze nie w komplecie /"Popiół i diament"/; mają być na weselnym przyjęciu w Jabłoncej /"Miazga"/; tłoczą się na wernisażu sensacyjnych "obrazków" starego Ortiza...

Wszystkich przecież, i tych z najwyższej góry, i tych z towarzyskiego świecznika, czeka podobny los: upadek. Odarcie z sakry. Utrata znaczenia. Spadają nawet bogowie Olimpu /w "Prometeuszu"/. Diego poliozkuje swego zmarłego mistrza i patrona - Wielkiego Inkwizytora. Po dwudziestu pięciu latach sekretarzowania Otto Keld wyszarpuje się na oślep z sytuacji pokornej zależności od Eisbergera. Wielkoświatowa wyrocznia w sprawach sztuki i geniuszu, "zadziwiająco podobny do Goethego" Pierre Laurens, zostanie zniemacka ugryziony w ucho przez pewnego Słowianina. Kain przeciwstawia swą cyniczną i nie do wierzącą świadomość nadwątłonemu autorytetowi Patriarchy-Adama. Michaś wyryka się duchowo swemu wychowawcy i opiekunowi, księdzu Siecheniowi. Adam Nagórski pada ofiarą perfidnych dowcipów młodego poety Michała Daniela. Ma dry mądrością doświadczonego rozumu, rozumny grzechem, spowiednik nie zdoła powstrzymać prącego ku zgubie pochodzącego dzieci i zostanie przez nie - nawet nie okrutnie; bezmyślnie - obalony i jak każdy "rozum historii" stratowany przez nowe pokolenie: "nigdy nie zobaczę Jerozolimy - pomyślał i śpiew wysokich dziecięcych głosów słyszał na wysokościach już tak dalekich, że były mu obce i objęte, natomiast bosa i brudna i potem i ziemią cuchnącą stopy dziecięce wchodziły w jego brzuch, w jego piersi i ramiona, w jego twarz, wchodziły w niego jak w wilgotną ziemię, leżał na wznak i nagle ciemniejszymi oczami zobaczył ciemność zamykającą się bezgłośnie ponad nagimi udami i bosymi nogami, które go coraz głębiej w wilgotną ziemię wdeptywały, pomyślał: nie kłamstwa, lecz prawda zabija nadzieję, i wówczas, gdy to pomyślał, stała się ciemność i w nim, i ponad nim, stało się przerażenie, potem strach większy od poprzedniego przerażenia".

Ow człowiek bezimienny w habitach brata minority dosięga dna, jakie poznali przed nim inni ważni i aktywni moralnie bohaterowie Andrzejewskiego: ksiądz Siechen w "Ładzie serca", major Staniecki w "Podróży". Są to ludzie misji specjalnej, reprezentanci świadomości dziennej, wierni podjętemu zadaniu, ofiarni, ppkomujący swoje słabości i walczący ze ślepyimi siłami świata, ale ciągle zalewani głębokim, chaotycznym, ciemnym odnętym, który targa i niszczy ich dzieło. Podobnie w wiele lat później Hermann Eisberger, pisarz-humanista, który świadomie unikał pewnych tematów potwornych, ale które w końcu same do niego wróciły, bowiem postawy jednostronne nie mogą się ostać, są w metafizycznym przede wszystkim, ale i etycznym sensie bezradne i bezsilne. Nawet coś wygrywając - przegrywają peknę istnienia. Dlatego zrygoryzowany wiek męski i dostojnie uformowana starość z zazdrością lub pożądaniem obracają wzrok ku światu, gdzie buszuje młodość. Tak patrzy rozważny major Staniecki na przygodnego towarzysza podróży, młodzautkiego i lekkomyślnego konspiratora Jacka. Na chłopca - nawiasem mówiąc - którego głowę

uratował. "Myślał: wszystko przez niego przepływa razem: nienawiść i radość, samotność i miłość, wszystko razem, jedno obok drugiego, to jest życie, to jest pełnia, to jest to, na co później już nie stać, później wpada się w doły jednej myśli i jednego uczucia..."

W osobach młodych bohaterów, których tak wielu i tak różnych powołał Andrzejewski do życia: w "Ładzie serca", "Popiele i diamentach", "Bramach raju", "Idzie skacząc po górach", "Miazdze", w opowiadaniach takich jak "Złoty lis" i "Niby gaj", i w opowieści "Czy raczej bajce dla dorosłych/ "Teraz na ciebie zagłada" - przypominają o sobie niesforne żywioły fantazji, przekory i buntu, nieświadome afekty i popędy, jednocześnie najżyźniejsze i najbardziej destrukcyjne możliwości psychizmu. Im bardziej przytłaczająca albo elitarnie wyniosła zdaje się być wkładza "górnego" świadomości, tym większą, wprost magnetyczną atrakcyjnością odznaczają się jej antypody: mroczne dna i głębiny egzystencji.

Jak łatwo się domyślić, nie tylko dziecięco-młodociani, czasem uroczo, a czasem złośliwie i okrutnie infantylni, bohaterowie wyobrażają w utworach Andrzejewskiego i zamieszkują zarazem "świat niższy". Nie tylko oni przeciwstawiają się świadomości zarożumiałej, wbitej w pychę, namaszczonej, autorytatywnej, opancerzonej na pozycjach zbiorowego bądź indywidualnego Super-ego. Nie tylko oni samym faktem swego istnienia - jeśli nie wyrachowaną prowokacją /vide: Marek Kostka/ - odsłaniają jednostronność, niepełność bądź pozorność /vide: Marek Kostka/ - odsłaniają jednostronność, niepełność bądź pozorność tamtej. Jest takich postaci znacznie więcej. Cała galeria Hiobów, Kainów, Prometeuszów. Galeria bohaterów wyklętych, pobitych, upadłych, nieszczęsnych.

Hiobem warszawskim epoki Wielkiego Kryzysu, który, zamiast w łóżku we własnym domu, i między bliskimi, odnajduje siebie samego pod pustym niebem, w grozie bezdomności duchowej, opuszczenia, wyobcowania i obozwartościowania, i - niczym bohater egzystencjalistów - czuje się "rzucony na przepadkę jak zmięty kach", jest znany nam z noweli "Koniec" Antoni Giełbard. Takim samym Hiobem jawi się naszym oczom Marian Konieczny - bohater "Apelacji". Już nie człowiek; człowieczek. Daleki potomek "skrzywdzonych i poniżonych", "biednych ludzi" Dostojewskiego, krewny ludzików Gogola i Kafki, mały, przeciętny, niepozorny; stłamszony i umęczony ponad skromną rację wytrzymałości; jedna z anonimowych prawie ofiar powojennych czasów, bodaj że nie brana w rachubę i nie wliczana w koszty budowania Nowego Ustroju; jednostka ludzka. A jednak cały człowiek. Ze swoją wielką sprawą wewnętrzną: poczuciem winy, potrzebą usprawiedliwienia, postulatami prawdy; i ze swoją chorobą, paranoicznym obłędem, kiedy mu epoka i ludzie, lekarze-psykiatry i Pierwszy Sekretarz partii rządzącej tę jego świadomość moralną - wszystko, co posiada rzeczywiście - krok po kroku odbierają.

Nazywam podobne postacie, przesuwające się poprzez całą twórczość Andrzejewskiego, postacie rozbitków i wykołajonych jak Mojżesz czy prostytutka Anna, upokorzonych, nieszczęśliwych artystów jak Alain Pict, psychopatów, pacjentów szpitali, zwyciężonych i cierpiących, nazywam ich wszystkich "ludźmi wspólnego pokoju". Nazywam ich tak dlatego, ponieważ ból istnienia nie jest w ich wypadku czystą teorią, ale uwierającą prawdą, wżera się po równi w duszę i w sumę, opasuje ciasno każdym doznaniem i każdym szczegółem codzienności międzyludzkiej. Wraz z tymi bohaterami schodzimy w najgłębszą ciemność nocy: schodzimy do piekieł.

7. Larwa albo Zmowa narodowych nocy

Motywy i symbole nocy naznaczają w trudny do zapomnienia sposób każdy dłuższy fragment, każdą niemal stronicę prozy Jerzego Andrzejewskiego. Widnieją w poszczególnych tytułach jego utworów; pojawiają się, bezpośrednio lub pośrednio, w mottach jego książek; są stale obecne w metaforach i obrazowaniu; przesycają wszystkie cząstki jego języka i stylu literackiego. Odnaleźć je można nawet we frazeologii publicystycznej.

"Pragnąłem ludzi i ich sprawy ukazywać w ostrym blasku dziennego światła, lecz każda sytuacja poczęta w mojej wyobraźni, każdy gest ledwie zarysowanej postaci i każdy strzęp dialogu, cały ów mglisty w konturach, lecz jakże porywający świat, który niesie w sobie zarodki jeszcze nie uporządkowanych pomysłów, włókł za sobą na kształt cienia mroczną scenerię nocy, kraj obrazu posępny i wrogi wszelkim poczynaniom samotnego, zagubionego człowieka".

Tak zwierzał się i spowiadał Andrzejewski na początku 1950 roku w słynnym artykule "Notatki" zamieszczonym na łamach "Odrodzenia". Jedyne zaś miejsca żywe na jałowej pustyni felietonów i broszur politycznych pisarza i w całym martwym morzu literackim lat następnych aż po "Wielki lament papierowej głowy" napisany w roku 1953 - jedyna miejsce drgające autentyczną inwencją, to te, gdzie Andrzejewski odczytywał uroki nad demonami nocy.

Gdy zatem /"Partia i twórczość pisarza", s.48/ charakteryzował pejzaż wewnętrzny literatury przedwojennej - swój przede wszystkim pejzaż "piekielny" - ujmując treści ówczesnych przeżyć w stylistyczną figurę dantajskiego "mroku". A jeszcze bardziej, gdy w sposób nieoczekiwany w tym kontekście dramatyczny i... przecież prawdziwy, opisywał /tamże, s.138/ pierwsze lata "rewolucyjnych przemian", lata rozbitcia narodu, trudne lata po wojnie, ich stan: moralny, psychiczny, duchowy. "Ileż wówczas ślepych wątpliwości ogarniało człowieka! Czyżby w nową noc, inną od przedwojennej, lecz jednak znowu w noc miał się pogrążyć nasz naród? Czy za nowy ustroj, za wolność, za dalekie szczęście ludzi pracy rzeczywiście trzeba płacić tak gorzką cenę ludzkich cierpień i łez? Któż zapewni, że to, co się dzieje, nie jest jeszcze jedną tragiczną pomyłką ludzkości, jeszcze jedną omyłką wśród tylu poprzednich zwichniętych nadziei i pragnień?"

Noc stanowiła też od początku ulubioną scenerię Andrzejewskiego. Zapadająca noc, zmierzch, ciemny wieczór lub noc zmieszana z młokiem, wątkiem, niepewnym światłem przedświt. Akcja całych utworów bądź ich znaczeniowo ważnych fragmentów rozgrywa się o takiej właśnie, symbolicznie nacechowanej, ewokującej jakieś najdawniejsze, iście archetypowe wyobrażenia i skojarzenia, porze doby. /"Ład serca"; opowiadanie "Koniec"; opowiadanie "Przed sądem" i "Apel" z tomu "Noc"; druga część opowiadania "Podróż"; opowiadania "Wrześniowa oda", "Intermezzo", "Warszawianka"; fragment powieściowy "Powrót"; szereg kluczowych scen i epizodów w powieściach "Popiół i diament" i "Miazga", a także w "Idzie skacząc po górach", w "Bramach raju", w "Ciemnościach"; opowiadania z ostatniego okresu: "Po tamtej stronie", "Już prawie nic"/. Dzieje się w c z a s i e p e r z e - s i l e n i a. Ten czas ciemny, groźny, misteryjny, "splamiony" i często "skrwawiony" złem i cierpieniem człowieka, dręczy i boli jak nie mogący się przyśnić sen na jawie.

Krytycy zauważyli tę obsesję tematyczno-wyobrażeniową Andrzejewskiego, uwydatniając i podkreślając właściwą jego pisarstwu metaforę-symbol nocy w samych już tytułach recenzji i omówień: "Symfonia mroku" /Silvester, czyli s. Teresa Landy/; "Noc diabła" /Z.Starowiejska-Morstinowa/; "Prawo nocy" /Ignacy Fik/; "Noc bez świtu" /Wilhelm Mach/; "Powieść o kręsie nocy" /H.Markiewicz/. Można by stąd wnosić, że symbolika barw ciemnych i scenerii nocnej jest szczególnie cechą i znakiem rozpoznawczym prozy Andrzejewskiego. Tak jest do pewnego stopnia rzeczywiście. Ale Andrzejewski dzieli to upodobanie i ze swoim pokoleniem, i z całą w gruncie rzeczy literaturą XX wieku. Dość wymienić kilka choćby znamienitych i sławnych tytułów dwudziestowiecznej prozy powieściowej i nowelistycznej. "Jądro ciemności", "Podróż do kresu nocy", "Nocny lot", "Koniec nocy", "Czuła jest noc", "Ciemność w południe", "Pogrążyć się w mroku" - oto wybrane prawie na chybił trafił tytuły-metafory i tytuły-symbol.

Co to natręctwo wyobraźni, co ta symbolika i tematyzacja oznacza na głębszym planie kultury? Łączy się bez wątpienia z eschatologicznymi i katastroficznymi nastrojami epoki, z tymi nastrojami, którym sugestywny wyraz dał filozof religijny i swego rodzaju "prorok" naszych czasów, Mikołaj Sierdiejew, w książce, która cieszyła się znacznym rozgłosem w okresie międzywojennym, nosiła zaś tytuł: "Nowe Średniowiecze". /Jej polski przekład ukazał się w roku 1936/. Sierdiejew był przekonany, że kategorie słonecznego dnia i racjonalistycznej myśli - porenansowe zasady duchowe czasów nowożytnych - przestały być użyteczne i płodne. "Wszelkie znaki wskazują - pisał - że wyszliśmy z historycznej ery dziennej i wchodzimy do ery nocnej".

Inne dowartościowanie świata nocy i uzasadnienie dla literackich konstrukcji człowieka nocnego przychodziło z pism Carla Gustava Junga. Było to uzasadnienie jednocześnie gnostyczne i terapeutyczne. Odwoływało się do teorii równowagi psychicznej człowieka. Według nauki Junga nie można żyć tylko "dzienne połową" egzystencji, prowadzi to bowiem do schorzeń i wypaczeń życia duchowego; należy, przeciwnie, dopuścić do głosu marzenie senne i pozwolić mówić

ustom ciemności; tym bardziej, że "noc trwa tak samo długo jak dzień, a cała świadomość jawnie opiera się na nieświadomości, ma w niej swe korzenie i co noc w niej gaśnie". Jung przeformułowywał i głosił po nowemu stary romantyczny ideał uwewnętrznienia kultury. Był więc pilnie słuchany przez tych, którzy przeżycia wewnętrzne jeszcze miewali i szli ze swoją własną wizją rzeczy.

Kiedy czytamy u Junga: "Ciemność, która towarzyszy każdej osobowości, jest bramą wiodącą do nieświadomości, czyli bramą snów", zdaje nam się, że te właśnie słowa stanowią by mogły najlepszą dewizę "Bram raju" i twórczości Andrzejewskiego.

Na pewno. Za "nocami" Andrzejewskiego, za ich gęstą symboliką, stoi jednak jeszcze coś innego. Nie tylko cywilizacyjne lęki dwudziestowiecznego Europejczyka. Nie tylko psychologia głębinowa. Stoi za nimi polskie historyczne doświadczenie zbiorowe i pamięć symboliczna wpisana w tradycje literacką. Odzywa się w nich zwielokrotnionym współcześnie echem Strach i Imaginacja narodowych nocy. Nocy "Dziadów" i "Kordiana", "Wesela" i "Ożyminy", nocy "Róży" i Rozdziału nas kruki, wrony...", nocy obrzędów i spisków, nocy ciężkich pytań i kłówek zawieszonych żukiem moralnego sumienia nad teraźniejszością i przyszłością Polski. Powraca u Andrzejewskiego ów symbolizm rzeczy "ukrytych", wirtualnych, mających się stać dopiero, nie wiadomo czy możliwych.

Dwuznaczny obraz Polski jako świętej larwy, która żywi się pokarmem grobów i gnojem rozkładającej się historii, wierząc w swe przekształcenie, lecz larwą pozostaje, nie wychodzi ze swego więzienia, nie wychodzi poza stan larwalny, nie sięga wyższej, przemienionej i szlachetniejszej, i w pełni rozwiniętej formy swego intencjonalnego bytu - rzutuje swoim symbolioznym charakterem zarówno na treść "Miazgi", jak i na jej, rozumiemy dlaczego "bezforemną", formę. Ale i najlepsze, najżywsze do dziś, stronicie "Popiołu i diamentu" poświęcone zostały ewokacji i analizie owej wiecznie polskiej rzeczywistości larwalnej. Zmora Wyspiańskich, Żeromskich, Berentów, czyż to nie ona przychodzi do Stanieckiego w "Podróż"? "Nagle zdjął go wstręt do ludzi, ostra pogarda, a także i poczucie obcości wobec tego rojowiska sprzecznych interesów i namiętności, zżeranego brzydotą i złem. A wówczas natychmiast naszała na niego zmora, która ostatnimi czasami wielokrotnie go dręczyła: zarys lat nadchodzących, najbliższej przyszłości, kiedy wszystka nienawiść, okrucieństwo i zdziczenie kłębiące się obecnie wśród najciemniejszych ludzkich instynktów rozleją się po ziemi jeszcze bardziej spodłone, odarte z patosu kłamliwych frazesów i nawet niezdolne płacić ceny śmierci. Silniej niż kiedykolwiek był pewien, że z rozlicznych bohaterstw, poświęceń i wielkich nadziei zostanie tylko bezkształtna miazga tratowana przez zdziczałe ludzkie stada, spragnione oszołomienia oraz niepamięci lat grozy i cierpień. Wszystkie ofiary wydały mu się daremne i nieodwracalnie zagubione wśród ślepych sił kierujących życiem". W tamtych dwóch powieściach, traktujących o przesileniu narodowej świadomości, i w "Podróż" oznaczonych datami 1942-1958, dopłniła się **ś w i a d o m o ś ć m r o c z n a** całej nowoczesnej literatury polskiej.

/dokończenie nastąpi/

Kazimierz Brandys

M I E S I A C E /II/

fragmenty

marzec

Przeglądając wczoraj maszynopis "Zielonego cienia", zatrzymałem się tylko przy jednym fragmencie.

"...Do redakcji "ZEWU" szedł w jesiennym deszczu przez Krakowskie i kiedy szurając butami usiadł przed biurkiem Naczelnego, spostrzegł, że zabłocił mu podłogę. - Dwa wiersze są niezłe - mówił szybko Naczelnny odgarnawszy palcem ciemny kosmyk spadający mu na brwi - co do talentu, to nie wiem, czy go macie, coście tak zmokli, zdejmcie płaszcze, będziemy drukować. - Był o dwa, najwyżej trzy lata od niego starszy, śniady, z wystającą grdyką i zgryzionym papierosikiem w kącie ust. - Do dupy z talentyzmem - krzywił się w chmurze dymu - będziemy drukować; w waszym pisaniu jest jakieś coś, jakaś temperatura powiedziałbym, coś... coś... - Na ścianie wisiła fotografia powyżej głowy Naczelnego. Przedstawiała kilkunastu mężczyzn w półowych kurtkach i miękkich czapkach z daszkami. Otaczali człowieka w szarym płaszczu z podniesionym kołnierzem, wspartego oburącz na szabli. Za nimi widać było chałupę krytą strzechą, opłotki i malwy, a w nieco zatartym tle żołnierz u stłudni poik konia. Nie znak tego zdjęcia, rozpoznawał tylko niektóre twarze. Obok człowieka wspartego na szabli stał wysoki mężczyzna w binoklach, a po jego lewej ręce zadumał się brodac w rozpiętym mundurze i maciejówce zsadzonej na bakier z obandażowanego czoła. Na samym zaś skraju, widoczny z profilu w szamerowanej bekieszce, mały, rogaty ułan z baczkami nogę w marszczącej cholewie odrzucił w tył jak do skoku w siodło..."

"...Z tych pierwszych miesięcy pozostały mu wspomnienia luźne i nieostre prawie żadnych faktów, pamięć jak gdyby przydymiona, ciepła, pamięć krętych, wąskich schodów i przybliżającego się gwaru za niskimi drzwiami z przypiętą okładką "ZEWU", głośno rzucanych imion, płaszców walających się na krzesłach w ciasnym korytarzyku, przez który codziennie wchodził zarumieniony od pośpiechu i wiatru, już coś do kogoś wołając, już od progu kogoś przekonując /ale kogo? o czym...?/, rozgrzany własnymi słowami, których później nie mógł sobie przypomnieć - pamiętał tylko, że bardzo dużo mówił i że przychodziło mu to z niezwykłą łatwością. Stał się popularny, zagajał dyskusje. W grudniu dołączono go do komitetu redakcyjnego "ZEWU" /jego inopolski dwutygodnik młodzieży gimnazjalnej/, zabierał głos na kolegiach i mówił, mówił z biegle opanowaną techniką spojrzeń i uśmiechów, wypowiadając się na każdy temat i uprzejmie traktując przedmówców, nawet gdy nie podzielał ich zdania. I wreszcie zaniemówił pewnego zimowego dnia..."

Było trochę inaczej. W tym fragmencie "Zielonego cienia" - opowiadania, które przerwałem we wrześniu nad morzem - pewne okoliczności i daty są zmienione. Nie przyniosłem wierszy. W ogóle nigdy nie pisałem wierszy. Do redakcji "Kuzni Młodych" skierował mnie mój profesor gimnazjalny, poeta, Leon Rygier, pierwszy mąż Nałkowskiej /w swoich "Dziennikach" przedstawiła go zbyt niemiłosiernie/ i dobrze pamiętam, co mi wtedy powiedział. Zatrzymał mnie na korytarzu szkolnym: - Szukają recenzenta teatralnego. Pomyślałem o tobie. Wiesz, gdzie to jest? Na Zamku, mój kochany... - To był kwiecień albo maj 1933. Redakcja "Kuzni Młodych" mieściła się jeszcze w skrzydle Zamku Królewskiego, wkrótce potem została przeniesiona do oficyny pałacu na Krakowskim, tuż obok kościoła Widytek.

Nie przypominam sobie pierwszej rozmowy z Naczelnym, którym był wówczas Kazimierz Perl, zdaje się wnuk Feliksa Perla, blisko związanego z Piłsudskim w bojowych latach PPS-u. Ta genealogia miała dla mnie szczególne znaczenie. Mówię, że nie przypominam sobie dokładnie przebiegu rozmowy; ale pamiętam scenę: spacerowaliśmy po zamkowy dziedzińcu. Perl wziął mnie pod rękę i pytał delika-tnie, kiedy mógłbym napisać recenzję z "Carewicza" Zapolskiej. Kaszlał w czystą chusteczkę do nosa. Miał wygląd nieśmiałego gruzlika-marzyciela, garbił się jakoś ujmująco, włosy opadały mu z tyłu na kołnierz. Ja

drząłem z przejęcia. Perl nosił nazwisko człowieka, do którego Piłsudski pisał w przededniu akcji pod Bezdanami: "Walcze i umrę jedynie dlatego, że w wyphodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę. to u b l i ż a, słyszysz - ubliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni bawią się w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego, w wychodkowej /nawet nie klozetowej/ atmosferze - ja nie mogę!"

Czułem się podobnie, jakbym ze szkolnej, nudnej wegetacji został przeflan-cowany wprost na stok historycznej wielkości.

Legenda Piłsudskiego w moim odczuciu zawsze łączyła się z polskim socja-lizmem niepodległościowym. W rodzinie miałem ciotki, które po roku 1905 przewo-ziły pepesowców z Królestwa przez granicę pruską za Ka liszem /stamtąd docie-rali do Galicji/ i których bracia w parę lat później byli legionistami. Sprawa brzeska rzuciła wprawdzie cień na tę legendę, ale nie zburzyła jej doszczętnie. Nadal widziałem w Piłsudskim dawnego przywódcę Wydziału Bojowego PPS, a roz-prawę z postami lewicy tłumaczyłem sobie niezrozumieniem przez nich jego ponad-partyjnych racji i dalekowzrocznych zamierzeń. Przy czym oszołomika mnie skan-daliczna dosadność epitetów: "hötel, serdel i burdel"; ... takich określeń nie używali politycy w melonikach, to mi się podobało. Byłem wtedy w łódzkim gim-nazjum matematyczno-przyrodniczym, ufundowanym przez sfery wielkoprzemysłowe. Dzisiaj w tym gmachu mieści się uniwersytet. Nauczyciele mieli sympatie endec-kie: na akademii 19 marca, w niecały rok po przewrocie majowym, przedstawiciel ciąża pedagogicznego rozpoczął uroczyste przemówienie od słów: "Czcimy dziś imieniny trzech wielkich Józefów. Józefa Hallera, Józefa Dowbór-Muśnickiego i Józefa Piłsudskiego". Mój ojciec po tych słowach wyszedł z sali. Ale ja musia-łem zostać, byłem sopranem w szkolnym chórze. Przez kilka lat dusiłłem się w obcej, zimnej atmosferze gimnazjum, wbity w czarny mundur w wysokim kołnierzy-kiem zapinanym na haftki. Straszły mnie rebusy matematyczne, wiedziałem, że przepadnę, nie dobrnę do matury, tym bardziej że w dwóch ostatnich klasach do-chodziły nowe przedmioty o złowrogich nazwach: arytmetyka handlowa, księgowość, towaroznawstwo... Z roku na rok rosła we mnie nostalgia za Warszawą, którą znałem właściwie także z legend - z historii, z literatury, ze wspomnień ojca. Kiedy wreszcie latem 1932 przeprowadziliśmy się do Warszawy, przez pierwsze ty-godnie chodziłem po ulicach niezauważalnie przytomny. Znalazłem się wewnątrz mi-tu, w spełnionym śnie. Odbywałem samotnie trasy przechadzek Wokulskiego, sie-dząc na ławce obok bramy wjazdowej do Łazienek przeżywałem sceny z "Nocey Listopadowej" i "Przedwiośnie", po mojej lewej ręce bieliły się kolumny belwe-derskiego ganku. Wszystko tworzyło całość - literatura mieszała się z histo-rią, rzeczywistość z malarstwem, przeszłość z teraźniejszością. Wszystko było urzekające, bajeczne.

Podobnie cudownego w e j ś c i a w o b r a z, w żywą materię pojęć-idei i marzeń, później już nie przeżyłem w żadnej z wielkich stolic. Nowy Jork przypominał mi olbrzymią Łódź - sto Łodzi, w które powtykano drapacze chmur. Paryż odkrywał swoje uroki stopniowo, coraz to inne za kolejnym pobytem. Ale tak zapierające oddech potwierdzenie wyobrażeń i tak szczęśliwe zdumienie własną obecnością u ich źródła, jak tamtego pierwszego lata w Warszawie - nie, nigdy potem i nigdzie indziej.

Wtedy nie dostrzegłem wschodniej prowincjonalności miasta, zobaczyłem ją dopiero wstecz, po długim czasie. Próbowałem je opisać w "Rondzie". Mój ru-dowłosy bohater po przyjeździe z Poznania na studia do Warszawy odniósł wra-żenie niekorzystne. Kamienice o płaskich, przykopcanych frontach wydały mu się niezbyt porządnie utrzymane. Przeważał kolor brudnego piasku albo zie-mistej szarzyzny. Chwilami przychodziło mu na myśl, że domy zaczęły tu budować na modelu parterowej murowanej chałupy. Parę takich chałup nasadzonych jedna na drugą tworzyło kilkupiętrowe czynszówki, z jakich składały się rozległe i źle ze sobą zrośnięte dzielnice. Miasta nie można było obejść wokół, ar-terie prowadziły prosto przed siebie do brzydkich przedmieść, które urywały się w polu. Rzeka płynęła jakby za nisko i rozlewała się za szeroko. Kiedy opuściwszy dworzec doszedł z walizką do przystanku, zapytał, w jakim kierun-ku ma jechać do śródmieścia. Okazało się, że jest w śródmieściu, w jego cen-tralnym punkcie. Bto to skrzyżowanie szyn tramwajowych. Tramwaje nadjeżdża-ły z czterech stron, ludzie wsiadali i wysiadali, po czym tramwaje odjeżdżały

w cztery strony. Dworzec z zegarową wieżyczką przypominał wprawdzie gmachy magistrackie, ale w pobliżu nie widać było rynku, katedry, zamku ani opery. Tylko kilkupiętrowe domy obwieszone sztyldami, sieć drutów elektrycznych i rzędy latarni rozchodzące się w te same cztery strony świata. Mojego bohatera wszystko to niezmiernie dziwiło.

Warszawa w międzywojennym dwudziestolecu nie olśniewała cudzoziemców. Szara, o chaotycznym planie, odwrócona plecami do Wisły, mogła się wydać nieciekawym miastem. Dla mnie jednak świat był wtedy ciekawy. Po przyjeździe z brycznej, zadymionej Łodzi, którą traktowałem jak przymusowe miejsce postoju na ślepej bocznicy, Warszawa utożsamiała się z urokami świata. Nie zaliczałem się do katastrofistów. Uczyłem się na pamięć wierszy Lechonia, czytałem po wiesci Duhamela i zaledwie obiko mi się o uszy nazwisko Kafki. Dziś budzi mnie czasem myśl, że świat jest mały, głupi i krwawy. Ale w tamtych latach było mnie mniej informacji, mniej się wiedziało. Nie ma grubszej omyłki niż sądzić, że im więcej informacji o świecie, tym staje się on bardziej nieobliczalność planu: współczesne środki masowego przekazu ujawniają nieobliczalność planu, której praw nie znamy. Wszystko może się stać, o wszystkim się dowiem, ale to wcale nie oznacza, że wszystko rozumiem. W tym czasie w wielu znajomych domach nie było jeszcze radiodbiorników, o telewizji nawet się nie śniło, filmy częściej bywały sentymentalne niż okrutne. Teatr Polski dał tego lata premierę angielskiej komedii muzycznej "Jim i Jill", w Niemczech hitlerowcy nie objęli jeszcze władzy, dopiero za parę lat miała wybuchnąć wojna domowa w Hiszpanii, nie było jeszcze wiadomości o procesach politycznych w Moskwie, Azja? Afryka? Dominia i kolonie starych mocarstw leżały wówczas daleko. Świat można było ogarnąć myślą, wydawał mi się rozległy, wielki, ale normalny. Polska, niepodległość, to także było normalne dla nas. Urodzonych nazajutrz lub w przededniu listopada 1918. W "Kuzni Młodych" po raz pierwszy zetknąłem się z moimi rówieśnikami, którzy uważali, że tę normalną Polskę trzeba zmienić. Byli piłsudczykami, jednakże mówiąc o Piłsudskim wyraźniej niż ja kładli akcent na jego socjalistycznej przeszłości: polska rewolucja spełni młodzieńcze ideały Komendanta. Trochę mi to dziś przypomina nawiązywanie po 1956 roku do "młodego Marksa"...

Zbyt naiwne? Och, z pewnością. Podobna naiwność zwykle staje się przedmiotem manipulacji. W "Zielonym cieniu" jest opis wizyty komitetu redakcyjnego "ZEWU" u szarej eminencji na Zamku: "...Wszedł do pokoju zapewnionego młodymi ludźmi i w chwilę później napotkał czarne, uśmiechnięte oczy mężczyzny wtaczanego na ruchomym fotelu. Woskowe czoło i dłoń przy powitaniu lekka jak pazurki ptaka. I ciemny pled, zbyt wiotko opadający. Pan Adam mówił prawie szepcząc, przez cały czas ogarniając ich uśmiechem. Mówił o dorobku "ZEWU", który "...w sumie wypada ocenić pomyślnie", a gdy ktoś z najmłodszych wspominał o zaniedbanej łączności ze środowiskami prowincjonalnymi, spojrzał ku wnętrzu z okna i nie przestając się uśmiechać przytwierdził z nieco figlarną powagą: - Prawda. Prawda.- Po czym zmienił temat. Zwróciwszy do nich przezroczystą twarz z kraczym zarostem, usta rozciągnięte nienaturalnie pogodnym grymasem, wyjawiał im swoje odkrycie. Odkrył na nowo poetę.- Filozof społeczny, moralista...- zaśmiał się szeptem i uniósłszy rękę ponad biurko wypowiedział niespodziewanie śpiewnym głosem wers poematu Norwida".

Adama Skwarczyńskiego opisałem w tym fragmencie dość wiernie. Był jedną z najczystszych postaci w obozie rządzącym Polską po maju 1926. Wówczas pełnił skromne obowiązki naczelnika wydziału kancelarii cywilnej Prezydenta, ale w wewnętrznej hierarchii piłsudczyków zajmował, jak mówiono, miejsce wysokie i szczególne. Jego wygląd ormiańskiego Chrystusa, głos, uśmiech, chudość rąk i cytaty z Norwida, wszystko jest autentyczne. Miał amputowane obie nogi, dlatego pled tak luźno opadał. W scenie pominąłem tylko epizod z telefonem. Pod koniec audjencji zadzwonił telefon. Skwarczyński po odłożeniu słuchawki powiedział z uśmiechem: - Ułaskawiliśmy człowieka.

Użyłem tu słowa "manipulacja", które w tym znaczeniu weszło w obieg dopiero po wojnie. W stosunku do nas w tamtych latach właściwie na czym one polegała? Rozumowano tak: "Państwo kształtuje wolę narodu. Prawica jest podła, lewica jest głupia, hasła stronnictw należy zastąpić pracą i czynami, a doktryny socjalnych podziałów ideą obowiązku i służby dla Państwa." W języku konkretniej politycznym oznaczało to potrzebę stworzenia ideologii,

która odetnie młodych Baryków zarówno od marksistowskiej teorii walki klas, jak od nacjonalistycznego programu endecji. Oczywiście nie mówiono nam tego wprost, naciski były kamuflowane, pośrednie. Dla mnie - nieodczuwalne. Raz tylko śmignęło mi koło samej głowy.

Istniała wtedy organizacja młodzieży szkolnej pod nazwą "Filarecja", członkowie zespołu "Kuźni" weszli do jej władz. Organizacja była t a j n a utrzymywano romantyczne pozory, to działało na młodą wyobraźnię/, w rzeczywistości patronowali jej starsi panowie z rządu. Prowadziłem jedno z "kółek", złożone z uczniów gimnazjum Batorego: zbieraliśmy się co tydzień w piwnicy na Koszykowej. Pewnego razu wygłosiłem odczyt polityczny, w którym napiętnowałem sanację za zdradę idei Marszałka - mówiłem o jego osamotnieniu, o usunięciu w cień dawnych towarzyszy walki. Wśród członków "kółka" był syn ministra Miedzińskiego, pułkownika, który w swoim czasie kierował akcją na Dworcu Głównym, gdy w pładzie majora X wykryto bibułki z szyframi. Mały Miedziński po mojej prelekcji wyszedł z piwnicy zakłamanym i wieczorem opowiedział wszystko w domu. Wybuchł skandal, nastąpiła telefoniczna interwencja. Szefowie "Filarecji" - moi redakcyjni koledzy - postanowili mnie obronić błyskawiczną ripostą. Bez mojej wiedzy zarządzono nagłą odprawę "kółka" i biedny mały Miedziński stojąc na baczność wysłuchał nagany z ostrzeżeniem za złamanie tajności organizacyjnej. Zawiadomiono mnie o tym po fakcie. Zrobiło mi się nieswojo: przecież zwierzyłem się ojcu... w trzy dni później zjawił się u mnie w mieszkaniu na Lwowskiej. Był to blady chłopiec, tylko co po mutacji, wystrzyżony krótko na języka. Przyszedł zdenerwowany, spięty, by zaproponować mi wspólną przejażdżkę samochodem za miasto: w celu odbycia dyskusji. Przyjąłem zaproszenie i rozmawialiśmy chwilę jeszcze. Próbowałem go jakoś pocieszyć, wytłumaczyć, że nie byłem sprawcą jego kompromitacji. Patrzył na mnie nieufnie. W końcu jednak musiało w nim odtańczyć, bo rozstaliśmy się dość przyjaźnie, a o wycieczce za miasto nie było więcej mowy. Później dowiedziałem się od jego kolegów, że zaplanował moje porwanie. Miałem zostać wywieziony do zagajnika pod Raszynem i tam pobity w krzakach.

Takie kłopoty po latach wydają się zabawne, ale wtedy... Nagle tknęła mnie dwuznaczność, nieczystość sytuacji: jak gdybym poczuł przez skórę, że tu się gra z kartą ukrytą w rękawie. Tajność dozorowana z kancelarii na Zamku, rewolucyjność prowadzona na rządowych nitkach... Po maturze przeszedłem w stan spoczynku. Dałem sobie spokój z działalnością, z pisaniem i dyskutowaniem, raz na zawsze postanowiłem zerwać z polityką. Zagarnęła mnie z powrotem na trzecim roku studiów. Wstąpiłem do akademickiej organizacji socjalistycznej, byłem członkiem warszawskiego zarządu ZNMS. Na dziedzińcu uniwersyteckim biliśmy się z falangistami, nieraz do krwi. Piłsudski już nie żył. W owym czasie krytycznie oceniałem epokę jego rządów, ale pozostał mi sentyment i urok legendy. Mój socjalizm łagodnie się z tym godził. Kiedy w kwietniu 1938 przeprowadzono u mnie rewizję, kierujący nią funkcjonariusz policji znalazł egzemplarz "Manifestu komunistycznego" i brązową plakietkę z dołżepionym bukietem mimosy. Na plakietce widniał profil Komendanta. Policjant wybałuszyle oczy. Nie rozumiał. A ja nie rozumiałem, co go tak zdziwiło.

W "Kuźni Młodych" wydrukowałem kilkanaście recenzji /bardzo słabych/ i na jednym z zebrań dyskusyjnych poznałem M. Było to nasze pierwsze spotkanie od czasu, gdy zobaczyłem ją na Nowym Świecie przez szybę galanterii. Ktoś przyniósł wódkę. Nalałem sobie pełną szklanke i wypilem duszkiem. Później odprowadzając M. do domu, z Krakowskiego Przedmieścia na Topolową, siedłem obok niej na wpół zamroczony i sztywny. Nie przypominam sobie, co wtedy mówiłem i czy w ogóle coś mówiłem. Pamiętam tylko, że pod jej domem, gdy zauważyła przy pożegnaniu, że jestem do kogoś podobny, wychrypiłem nagle: - Jestem podobny do pani przyszłego męża.- Skąd mi się wzięło to jasnowidzące szaleństwo? Z żytniówki! Musiała się wystraszyć, bo przez dwa tygodnie nie przychodziła do redakcji.

I właśnie po dwóch tygodniach nadeszła wiadomość o śmierci Adama Skwarczyńskiego. Zespół "Kuźni" wybierał się na pogrzeb, to były ostatnie dni marca, ciepłe przedwiośnie. Na Topolową pojechałem tramwajem. Byłem zgrzany, gniołem pod pachą szkolną czapkę. Nacisnąłem dzwonek u wejścia i po chwili

otworzyła mi drzwi na pierwszym piętrze. Miała lekki barankowy serdak zarzucony na ramiona. Kiedy zawiadomiłem ją o śmierci i pogrzebie, przyjrzała mi się z wesołym zaciekawieniem. Za jej plecami dostrzegłem jadalnię pełną słońca, w której siedzieli jej rodzice i jacyś goście zaproszeni na obiad.

Dziwne, że z całego okresu "Kuchni Młodych" najsilniej uktwiły mi w pamięci te dwa dni. Dzień audyencji w małym, ciemnym gabinecie na górnym piętrze Zamku i tanto przedwiosenne południe niedzielne, kiedy tęskniłem już za nią i przyjechałem, żeby ją zobaczyć, i kiedy - zamiast wyznać jej swoje uczucia - zaprosiłem ją na pogrzeb. Na który wreszcie nie przyszła. Pomiędzy tymi dwoma dniami istniał związek, połączył je ze sobą cień zmarłego, tak jakby czyjaś śmierć popchnęła naprzód czyjaś miłość. A najdziwniejsze, że z wszystkiego, co przez ten rok pisałem i o czym dyskutowałem, nic, ale to nic zupełnie nie pamiętam.

Piękna pani F. minęła mnie wczoraj przed księgarnią, trochę mniej piękna niż latem, gdy kiedyś zobaczyłem ją dwukrotnie w ciągu jednego dnia. Tego dnia utrwalił mi się jej obraz, a właściwie niedokończony szkic, kilka fragmentów.

Suknia przed kolana, żółta, z kołyszającą się falbaną u dołu. Purpurowe jabłka w siatce. Oczy jak pod hełmem, czujne, chłodne. Pod opalonym na brąz czołem bardzo jasne, srebrne. Czoło prostopadkie, z wygrawerowanymi nacięciami, pionową kreską między brwiami.

Oczy z metalu. Przyzwyczajone, niemieckie usta i spokojne nozdrza, którym zdają się przeczyć małe uszy o różowym wnętrzu, podobne do chrap żrebaka. Twarz przytrzymana parą klipsów i ciasnym naszyjnikiem, wszystko z tego samego metalu, co oczy.

Wysoko wypięta ku swoim uniesionym włosom /kok mikado/, chodzi na palcach, jak po klawiaturze. Stukanie pantofelek w słońcu przed Katedrą. W głębi słychać organy i chór, chodnikiem zbliża się gama. Luźna suknia z falbaną nad kolanami o skórze złotej i obcisłej. Suknia koloru ognia. Jabłka w fioletowej siatce.

We wrześniu, po wakacjach, przed Katedrą. I wieczorem na szwedzkim filmie w kinie "Wars".

Zauważyłem, że zima starła z niej zeszłoroczny połysk. Do jej letniego szkicu weszła purpura, fiolet, srebro i złoto, których w prozie nie należy używać. Są to raczej hierarchie niż barwy. Pory roku w Polsce rozpoznaje się po kobietach i drzewach. Wczoraj przed księgarnią, w szarym marcowym powietrzu mniej piękna pani F. była obrazem stworzonym przez inny warsztat środków. Niosła chleb w siatce, miała rozpięty, łaciaty kożuch, spodnie wpuszczone w buty i wymizierowaną twarz pod daszkiem kaszketu. Przyszło mi na myśl, że zima - jakby operując gwaszem - nadała jej zwykły ludzki wygląd; ale zaraz uświadomiłem sobie, że moja myśl nie trafia w istotę rzeczy, bo dwa obrazy pani F., szkic letni i szkic zimowy, dzieliła różnica o cechach przyrodniczej zmiany bytu, skóry, charakteru i płci.

Dni bez pisania, korespondencja, zamiejscowe telefony, parę niepotrzebnych spotkań z ludźmi i rozmów zainfekowanych plotkami. I symposium do Wiednia nie pojedę, do Berlina nie pojedę. Ale to wszystko wymaga listów, redagowania uprzejmych odmów, wyjaśnień, i jeszcze kopert, znaczków, chodzenia na pocztę etc. Wszystko zabiera czas, którego jest mało. Dni jak posiekane tasakiem. W nocy jodłowanie za oknem, piejące wrzaski: - Milicja! - i bełkot. Przedwiośnie. Teksty pijanych są nieraz ciekawe. Wczoraj któryś zaryczał samotnie: - Jeszcze Polska nie zginęła...! - po czym ucichł i dodał już dla siebie: - Kurwa, ruskie przyszy... - I znowu cisza. I znowu od Barbakanu ryk, skandujący, marszowy: - Cierek-Żyd-Breżniew-Żyd-wszys-cy-Ży-dzi-do-Izra-ela! Nad ranem, kiedy ani rusz nie mogę zasnąć, sięgam po zeszyt z notatkami, żeby przynajmniej zapisać te głosy ciemności. I natykam się na dwie króciutkie notatki, jedna przy drugiej, o prozaiku, i paecie. "W.Ż.: Polak mały" i "E.B.: tuczony wieszcz". Obydwie podwiązują się pod nocne głosy i dają im swoje twarze. W sumie - przykra noc.

Berlin to sprawa finansów. Pół roku bez wydatków w kraju plus możliwość odłożenia pieniędzy na dalszy rok. Ponieważ moje krajowe zarobki nie przekraczają rocznie 5 tysięcy. Wydział Finansowy uznał mnie za "martwą duszę"

i od trzech lat przestał mnie wzywać do składania deklaracji o dochodach. Żadnych wznowień, "Rondo" dwa lata tkwi zamknięte w wydawniczej szufladzie na Wiejskiej, tylko z zagranicy wpływają od czasu do czasu honoraria. W prasie, telewizji i radiu nie wymienię się zakazanych nazwisk. Oprócz mnie takim kondemnatom podlega co najmniej kilkunastu autorów - infamisów obłożonych karą ekspulski literackiej. Boy, Dąbrowska, Tuwim, czy nawet Broniewski, w przedwojennym dwudziestolecu nie zaznali smaku wewnętrznej banicji. Byliby go zaznali, gdyby władzę w Polsce uchwyciła oenerowska falanga. Wyroki są niejawnne. - Nie ma decyzji negatywnej - poinformowano mnie w sprawie "Ronda" - ani pozytywnej. Nie ma decyzji.

W tych okolicznościach powziąłem decyzję wyjazdu do Berlina. Ale nazajutrz rano przypomniały mi się olbrzymie rzeźby kamienne w pustym Tiergartenie i zobaczyłem, jak idziemy gdzieś z M. po zeschniętych liściach aleją w stronę pomnika Moltkego. W a r u m ?

Czarne listy, zaołczne infemie, rugowanie pisarzy z życia publicznego, tak bywało już przedtem i wtedy ich samotność była większa, a osobista sytuacja zagrożona stokroć niebezpieczniej. W kilka lat po wojnie, kiedy moje książki ukazywały się w dużych nakładach, nie wolno było wymieniać w prasie nazwisk pewnych wyklętych autorów, takich jak Zawieyski, Bąk czy Stawar. Jerzy Zawieyski biedował w sublokatorskim pokoju /za ścianą mieszkała prostytutka/, wspierany zasiłkami przez księży. Wiodło mu się gorzej niż nam dzisiaj, a w kraju było groźniej. Kiedy go odwiedzałem, piliśmy herbatę żartując i unikając rozmów o tym, co nas dzieliło. Raz tylko zaryzykowałem mówiąc: - Jerzy, nie potrafię się modlić, "módl się i pracuj" to jest przykazanie dla dwóch osób. - Ale dzieliło nas w tych latach coś więcej niż poglądy: czasami po wyjściu od niego czułem się tak, jakbym odwiedził więźnia w celi.

Więc było gorzej. Dziś można często usłyszeć owo b y ł o g o r z e j wypowiedziane w formie zarzutu: "obecne zło jest mniejsze, a zatem nie należy go drażnić - było gorzej". Niejednokrotnie taki argument wysuwają ludzie przesładowani w latach stalinizmu.

Tak. Wprowadzić mniejsze zło może sięgać głębiej i ogarniać szerzej i z mniejszym złem daje się żyć łatwiej, a to w konsekwencji oznacza... Ale tu nie chodzi o porównywanie wymiarów i rodzajów. I nie o pisarzy tu chodzi. Chodzi o to, jak się zachowa społeczeństwo owego stosunku do paru tysięcy młodych ludzi - do garstki, którą z siebie wykoniko i która od pięciu lat usiłuje je wyrwać ze stanu bierności. Czy udzieli jej poparcia, czy ją oturbi milczeniem. Żadne argumenty nie wytrzymują próby wobec faktu, że j e s t tych parę tysięcy. Żadne. Ani argument zachowania substancji narodu, ani obawa przed interwencją z zewnątrz. Żadne ostrzeżenia dotyczące przeszłości lub przyszłości, żadne analogie historyczne czy racje polityczne nie cofną faktu, że w ciągu pięciu lat ta garstka młodzięzy stworzyła żywy organizm w obozwardnionym społeczeństwie, antyciało systemu: obywatelskie komitety samoobrony i solidarności, akcje pomocy społecznej, niezależne wydawnictwa i pisma, kursy naukowe, drukarnie, kolportaż. Wykazali w tym inteligencję, odwagę, charakter. I sporo zimnej krwi: część przeszła przez sale rozpraw karnych i więzienia, ale ruch oparł się prowokacji. Ruch nie jest tajny. Działając na gruncie praw konstytucyjnych, podkreśla swoją jawność.

Dlaczego o tym piszę dzisiaj - dlatego że wczoraj o tym pomyślałem. To nie są nowe odkrycia ani obserwacje. Ale rzeczy od dawna znane pewnego dnia ukazują się w nowym świetle, w innej perspektywie. Nagle zastanawia mnie myśl, czym będzie dla społeczeństwa ta garstka za rok, za dwa lata, czy za pięć? Czym ona będzie dla nas - i czy uświadamiamy sobie, że w Polsce nie ma dziś sprawy ważniejszej. Bo właśnie tu, czym oni będą dla nas, to nas samych określili i przesądzi o tym, czym będziemy jako społeczeństwo.

W "Dzienniku" pisanym przez Edmunda Goncourta w roku 1895 /tom IX/ znajduje się następujący fragment:

"Bleichröder, syn niemieckiego bankiera, protegowanego Bismarcka, oświadczył się młodej, niezamożnej pannie i spotkał się z odmową. Gdy matka dziewczyny przemawiała jej do rozsądku, twierdząc, że różnica religii nie ma takiego znaczenia, jakie jej przypisuje, panienka odparła: - Żydzci to nie religie, to rasa!

Hitler miał wtedy 6 lat.

Goncourt, nawiasem mówiąc, pisał o tym fakcie z pełną uznania aprobatą. Nie znosił Żydów. Pochodził ze starej szlachty francuskiej, z rodziny o tradycjach wojskowych. Nie lubił też roku 1789, masonów, symbolistów i dekadentów, gardził republikanami i czuł odrazę do tłumów /tłum paryski miał według niego czar-norudy kolor spalonego papieru/.

Ten sam autor w innym miejscu swojego "Dziennika" opisał przyjęcie u baro-na Rothschilda - również żydowskiego bankiera - na które go zaproszono. Pisał tak:

"Pałac najbarziej książęcy, jaki widziałem dotychczas w Paryżu. Schody jak w Luwrze, na podestach rozstawione zastępy służby w szkarłatnych liberjach, o dostojnym i malowniczym wyglądzie lokajów sprzed lat. Obiad z udziałem księżnej de Richelieu, księżnej de Gramont, księcia Wagramu, młodego Pourtalèsa, etc... Jadalnia owalna o białych boazeriach, za stołem, na którym pną się ku srebrnym kandelabrom i wiją wokół nakryć najpiękniejsze orchidee świata. Dla ochłody wnętrza uroczą innowacja, przywieziona, jak słyszałem, z Rosji; obeliski z lodu na konsolkach..."

Edmund Goncourt nienawidził Żydów, przypisywał im zachłanność, chytrość i wyrachowanie. Ale był estetą. Lubiał japońską sztukę, Marię Antoninę i dobry smak artystyczny /którego zresztą nie przejawiał w swoich powieściach i dramatach/. Do Rothschildów poszedł, mimo iż w poprzednim tomie "Dziennika" twierdził, że należy ich zmusić do noszenia żółtych oznak. Świetne urządzenie pałacu, wyszukana zastawa, lodowe obeliski i panie z arystokracji pozwoliły mu zapomnieć o wyrachowaniu żydowskiego bankiera. Ani słowa o tym, że był Żydem.

Ogólne uwagi o Żydach rozsiane są na stronicach "Dziennika" pomiędzy tymi notatkami. Goncourt w żydostwie widzi cechy diabelskie. Czytając te zdania, nasycone pasją i wstrętem i zwłaszcza pod piórem intelektualisty zadziwiająco fanatyczne, chwilami odnosi się wrażenie, że Goncourt pisał je w atakach nawiedzającej go manii prześladowczej. Otóż nie. Pisał je najzupełniej przytomnie. Po prostu: był antysemitą.

Rasizm, antysemityzm to choroba ludzi normalnych, której objawy polegają - między innymi - na tym, że wyrafinowany esteta nagle zaczyna mówić zdaniami kucharki. "Niektórzy ludzie są zachłanni, wyrachowani i chytry" - to jest sąd logicznie poprawny. Można by również powiedzieć: "Wśród Żydów są ludzie chytry, zachłanni i wyrachowani" i to także będzie zdanie logiczne. Człowiek cierpiący na antysemityzm czy rasizm wypowiada się jednak w nieco innym trybie. Mówi: "Żydzi są wyrachowani, zachłanni i chytry" - albo: "Murzyni są kłamliwi i gnuści". I to już nie będą sądy logicznie poprawne, nie został w nich bowiem ustalony zakres odniesienia: nie wiadomo, czy dotyczą wszystkich Żydów i Murzynów, każdego z osobna, czy tylko poszczególnych jednostek, czy też wskazują na ich zbiorowe uwarunkowania w społeczności. Tak czy inaczej, nadużycie logiczne - niejasność uogólnienia - przedstawia zdanie na wołacz i nadaje mu tryb oskarżający. Od takich uogólnień nieraz zelatuje jatką.

Skąd się to bierze? Przypadek Goncourta jest uderzający, bo mamy do czynienia z osobistością wybitną, o niepospolitej inteligencji i kulturze. Goncourt to wypadek trudny do pojęcia i dlatego jest dobry jako przykład, wymaga głębokiej sondy. Odkryć i zbadać przyczynę jego chorobliwej judofobii to zna-czyłoby wyjaśnić za jednym zamachem pospolitsze wypadki i dotrzeć do ich wspól-nego sedna. Mówię odkryć, wyjaśnić, ale nie twierdzę, że mam na to sposób. Mam tylko hipotezy. Jedną zanotowałem sześć lat temu:

"Nienawidzące się ja. Zródkiem jest tu niepewność własnej indywidualnej wartości. Człowiek sztuka wtedy oparcia w wartościach zastępczych, obwaro-wuje się pseudowartościami. Na przykład utożsamia się z grupą. Im głębiej wątpi o sobie jako o człowieku, tym mocniej podkreśla swoją przynależność do gru-py, której wartość jest dla niego niewątpliwa. Mówi: "jestem aryjczykiem", albo: "należę do białej rasy", albo: "nasi przodkowie uprawiali tę ziemię od wieków". Myśli: "my, szlachta", "my, komuniści", "my, młodzi". My zastępuje mu ja, o którym wątpi, którego przymiotów nie jest pewien. W tym my znalazł formę swojej rzekomej wyższości i odtąd może już poniżać. Jest uczciwy, ma czyste sumienie. Nie wie, że poniżając Żydów jego chwiejne ja mówi o sobie. To Żydzi są wulgarni, drepieżni i tchórzliwi - ludzie tacy jak on są

miłosierni i odważni. Ale w głębi serca czuje, że drapieżni czy tchórzliwi by-
wają również ludzie tacy jak on. Ma to w podświadomości, w cierpieniu, którego
nie chce przyjąć i zrozumieć. Chwilami nienawidzi się za to i przerzuca swoją
nienawiść na diabła. Nie tylko Boga stworzyli ludzie, by mniej cierpieć.
Stworzyli także diabła, aby oskarżyć go o swoje grzechy. Diabeł jest zawsze
odmieńcem, cudzoziemcem. To ludzkość go wymyśliła, by mówić o nim to, czego
by nigdy nie powiedziała o sobie. Wypowiadając się o Żydach zawsze mówi się o
ludzkości. Obecność, trwanie, istnienie Żydów byłoby tajemnicze, gdyby nie to,
że jest bezustannie odtwarzane przez ludzkość, która na ich przykładzie doś-
wiadcza i poznaje siebie. Można by sądzić, że Żydzi są jej potrzebni, by mog-
ła - poprzez los, jaki im gotuje - zgruntować własne ciemności, zmierzyć swoje
szaleństwo. Dowiedzieć się, c z y m j e s t.

Pisząc to wybrałem przykład najstarszy i najtragiczniejszy: Żydów. Ale sa-
mo zjawisko i psychologiczny mechanizm przerzutu mogłyby dotyczyć również in-
nej mniejszości w społeczeństwie - każdej wyodrębnionej grupy czy kategorii
ludzi.

W piątek czekałem na M. przed domem na Senatorskiej. Przechadzając się po
ulicy spostrzegłem człowieka idącego z psem. Zbliżyli się w moim kierunku. Był
to niski mężczyzna w popielatej kurtce, nie odróżniający się wyglądem od in-
nych przechodniów. Mimo to na ulicy wszyscy przystawali i nie było nikogo,
ktoby się nie obejrzał. Bo pies szedł o krok za swoim panem w pozycji stoją-
cej. Wspięty na tylnych nóżkach i służbiście wyprostowany, trzymał w pysku tor-
bę z plastiku, przejąc się jak baletnica na linie. Był to niewielki czarny pu-
del. Przechodząc zerknął na mnie; wślepki błysnęła męka rozpaczliwego wysił-
ku i duma pomieszana z najwyższym zdenerwowaniem. Właściciel natomiast szedł
z miną na pozór obojętną, rzucając jednak ukradkowe spojrzenia na przechod-
niów. Widać, sprawdzał, czy jest dostatecznie podziwiany. Tak przeszli ulicę
Senatorską całą odległość między placem Teatralnym a placem Dzierżyńskiego -
dwunogi człowiek i dwunogi pies. Człowiek z rękami w kieszeniach kurtki, pies
z wytwornie uniesionymi przednimi łapkami, w prosząco dworskim geście. Szedłem
z tyłu namyślając się. Było mi żal psa, a zarazem miałem ochotę zepsuć jego
panu dobre samopoczucie. Najchętniej zatrzymałbym go i powiedział: "Pies już
pokaż, co umie, niech pan teraz stanie na czworakach i weźmie torbę w zęby".
Ale nie zdobyłem się na to. Przy placu Dzierżyńskiego skręcili w prawo, tam
gdzie jest sklep komisowy z obuwem.

Właściwie dlaczego ośmieszając ludzi porównujemy ich do zwierząt? Dla-
czego, aby kogoś sponieważyć, mówimy o nim "pies", "gęś", "świś", czy
"wół"? Zwierzęta na to nie zasługują. Mój pies był uczciwszy od ideologów,
miał więcej wrażliwości od niejednego urzędnika, a prostotę uczuć przewyższał
wielu współczesnych mu poetów. Na trzech szczytach jego pragnień znajdował
się sernik, moi przyjaciele i nocne przygody na podwórkach, kiedy wypuszcza-
liśny go z domu bez obroży. Nie znałem tylko hierarchii tych marzeń. Więc
któregoś wieczoru, gdy na kolację przyszło kilka zaprzyjaźnionych osób, nie
zamknąłem drzwi do pokoju, w kuchni postawiłem talerz z sernikiem i szeroko
otworzyłem drzwi na schody. Czekałem, co wybierze. Nie tknął sernika i nie wy-
biegł na podwórze. Schował się pod stołem w pokoju, przytulony do nóg Julka
Strykowski. Wybrał ludzi.

Czy Kościół skuszenie orzekł, że zwierzę nie ma duszy... Pan Bóg wie, jak
wy wypadło porównanie duszy człowieka w popielatej kurtce z zakwestionowaną
przez ojców Kościoła duszą jego pudła.

Pewien młody brodac opowiadał mi o najnowszych sposobach uniemożliwiania
działalności Towarzystwa Kursów Naukowych /Latającego Uniwersytetu/. W zesz-
łym tygodniu miał się odbyć w osiedlu na Ursynowie wykład Adama Michnika.
Studentom zablokowała wejście do klatki schodowej gromada, a właściwie od-
ział dwudziestoletnich byczków. Inni wewnątrz pilnowali schodów. Był to
aktyw organizacyjny młodzieży reżimowej, liczący razem około stu ludzi. Przez
tę blokadę słuchacze kursów mogliby się przebić tylko siłą i wtedy doszłoby
do starcia. - Nie widziałem nic ohydniejszego - mówił brodac - rozumie pan,
stać i patrzeć w ich gęby, i nic, ani kroku, bo przecież właśnie o to im
szło, żeby wywołać bójkę. Może być pan pewny. natychmiast przyjechałaby

milicja, i wytoczono by sprawy o chuligaństwo. Nam, nie im!

Kiedy przyjechał Michnik, aby odbyć swój wykład, kordon go przepuścił, ale na schodach zaatakowała go bojówka. Został wciągnięty na górę do mieszkania, wybito nim oszklone drzwi w przedpokój i poturbowano rzucając o podłogę, podnosząc i znowu rzucając. Był przy tym obecny stary profesor Szczypiorski. Żegnając mnie brodaczek powiedział: - A wie pan, to są także studenci. Z federacji związków młodzieżowych. Wołają do nas: "Judasze, ile wam płaci C.I.A.?" - I zaciągnął jakos z wileńska czy lwowska: - Pięść sama zaciska się w kieszeni, ale nie można jej wyjąć...

W tydzień później, we środę 21 marca - także w dniu wykładu, przełożonego zresztą w ostatniej chwili - kolejny napad na żoliborskie mieszkanie Kuroniów. Bojówka kilkunastoosobowa. Bito metodą "karate". Bito żonę Kuronia, jego syna i dwóch znajdujących się w mieszkaniu przyjaciół. Jednego z nich /znam go, nazywa się Wujec/ pobito bardzo ciężko. Drugim był Michnik: znów go poturbowano. Syn Kuronia doznał wstrząsu mózgu. W sąsiednim pokoju leżał chory ojciec gospodarza. Po napadzie odwieziono go karetką do szpitala.

Dokładnych relacji o tych faktach wysłuchałem w niedzielę, 25-go na zebraniu Towarzystwa Kursów Naukowych. Odbyło się u Lipskich, w domu na ulicy Konopczyńskiego, gdzie dawniej mieściło się gimnazjum Mickiewicza. 40-50 osób, w większości naukowcy: profesorowie i docenci, pracownicy instytutów naukowych, publicyści katoliccy i działacze studenckich komitetów solidarności oraz kilku pisarzy. Inne dziedziny reprezentowali pojedynczo: aktorka, muzyk i powojenny minister. Wszyscy stłoczeni na dwóch tapczanach, stołkach i krzesłkach w pokoju jasnym od wiosennego słońca, bo niedziela była wyjątkowo pogodna. W tym wiosennym świetle uderzył mnie jednolity kolor twarzy, wymęczonych i przeorałych - wspólny szarawy odcień cery. Może to jest koloryt niezależnych intelektualistów, albo resztek polskiej inteligencji, albo... Podobną ziemistość twarzy pamiętam z konspiracyjnych poranków literackich w czasie okupacji. Wśród obecnych wiele ciekawych postaci, których nie znałem, ludzi o nieprzeciętnej powierzchowności, jak gdyby wykwilonych z tłumu przez reżysera, który miał do obsadzenia w filmie pewną ilość ról charakterystycznych. Koło okna na ścianie portret ojca Jana Józefa Lipskiego: siwy pan w okularach, po wojnie był dyrektorem gimnazjum Mickiewicza. Krzątający się wśród zebranych krótko ostrzyżony chłopak, który podsunął mi krzesło, gdy wyszedłem do przedpokoju na papierosa, to jego wnuk. Przypominam sobie, że ten chłopak był już także aresztowany, chyba po rozruchach w czerwcu 76.

O wydarzeniach na kursach TKN mówił m.in. Adam Michnik. By upewnić grejum co do wiarygodności sprawozdanie, powiedział: - Byłem naocznym świadkiem. Z tych i innych jeszcze informacji jakie do mnie doszły i nadal dochodzą, wynika, że bojówki są zorganizowane idziałają według instrukcji. Większy oddział aktywny - taki jak na Ursynowie - składa się z trzech grup, mających różne zadania: z byczków, chóru i dyrygentów. Pierwsi są wyćwiczeni w biciu /przeważnie studenci Akademii Wychowania Fizycznego/, drudzy wznoszą okrzyki: trzecią grupę stanowią instruktorzy wydający polecenia w czasie akcji - rozpoznano wśród nich funkcjonariuszy z komendy milicji. Słuchacze wykładów TKN, którzy byli obecni przy tych najściach, twierdzą zgodnie, że braku w nich udziału młodzieży z warszawskich organizacji studenckich kierowanych przez partię.

Wszystko to oznacza, że zamiast pałek milicyjnych, które zbyt jawnie kompromitują władzę, reżim pchnął do akcji swoją najmłodszą siłę żywą. Organizuje bojówki studenckie i szkoli młodzież w biciu. Mówił ktoś na zebraniu, że odpowiedzialność ponosi się nie tylko za ludzi pobitych, ale także za tych, którzy bili. Można by jeszcze dodać, że szkolenie w biciu jest wstępem do szkolenia w zabijaniu. Tak bywało i nie mogło być inaczej.

TKN znalazł się w trudnej sytuacji. Wykłady są zrywane, słuchacze zastraszeni. Ponadto lokatorzy domów, w których odbywają się kursy, skarżą się na awantury zakłócające ciszę i poczucie bezpieczeństwa. Tak więc metoda okazała się skuteczna. O to przecież chodziło: o wyizolowanie tej grupy, o to, aby z niej uczynić wyodrębnioną, niewygodną mniejszość, zakłócającą porządek społeczny. Nie tylko TKN - cały ruch może się znaleźć w podobnej sytuacji. Społeczeństwo nienawidzi władzy, ale jest zmęczone. Ma jeszcze do

stracenie własną skórą: płacę, mieszkanie, przyjęcie dzieci na studia, wyjazdy, swój codzienny byt. To wystarczy, żeby się bać. Miałem zdaje się rację pisząc w "Nierzeczywistości", że idee i pojęcia etyczne dzisiejszej masie społecznej wydają się ponad jej stan i że nie zaryzykuje dla nich swego małego posiadania. I to nie dotyczy jedynie nowej masy. Elżbieta S. opowiadała mi o swoim zatargu z rodzicami, kiedy znaleźli u niej wydawnictwa Niezależnej Oficyny. Przerazili się, chcieli je spalić. W czasie wojny oboje byli w AK, w ich mieszkaniu odbywały się narady Delegatury Rządu. "Ja się już nawalczyłem - mówi ojciec - teraz pracuję i nie chcę mieć policji w domu". "Jak to! - krzyczy Elżbieta - więc dla was historia skończyła się w roku 1945? Dla mnie nie!" Powiedziała mi: - Teraz mają nieczyste sumienie, żal mi ich. Ale bibułę musiałam wywieźć.

W Polsce nie ma dzisiaj mniejszości narodowych i przez to władza również znalazła się w trudnej sytuacji: krzywdami społeczeństwa nie może obciążyć Żydów. Ale ż y d ó w może stworzyć wyodrębniając i prześladowając pewną kategorię ludzi. Dla władzy jest dziś okazja tym szczęśliwsza, że można obrócić niezadowolenie społeczeństwa przeciw ludziom, którzy bronią jego uprawnień gwałconych przez władzę. Podwójna korzyść i prosty zabieg. Tak prosty, że społeczeństwo może się w nim nie zorientować. Albo nie chce się zorientować. Często tak się dzieje, że ludzie niewygodni dla władzy stają się w końcu niewygodni dla społeczeństwa.

To wszystko nie jest zbyt pocieszające. Pociesza mnie czasami myśl: że będzie inaczej. W chwilach najgorszych przewidywać sprawy przybierały nieraz zupełnie nieoczekiwany obrót, czasem dzięki jednemu wydarzeniu. I prawdopodobnie życie byłoby nie do przebrnięcia, gdyby wszystko było w nim do przewidzenia - gdyby nie myśl, że przyszłość jest fantastyczna i niewyobrażalna. Zawsze będzie inaczej.

Wczoraj, kiedy przeczytałem M. parę ostatnio napisanych stron, zauważyła, że można by mnie posądzić o oschłość uczuć. O rzeczach rozpaczliwych piszę według niej jak sprawozdawca: bez rozpacz. Miałam wątpliwości, czy w mojej relacji mieści się to, co naprawdę przeżywam. - Stwarzasz fałszywe wyobrażenie o sobie - powiedziała.

Nie wiem, jak należy pisać, aby nie zostać o coś posądzonym. Usiłowałem przedstawić fakty, które się zdarzyły. Nie chciałem i nawet nie potrafiłbym pisać o nich inaczej. Dołożyć do nich swoją rozpacz - ale po co? Chyba przecież nie po to, żeby się pokazać w korzystniejszym świetle. Poza tym... rozpacz, desperacja stały się dzisiaj w literaturze czymś obowiązkowym, rodzajem materii stylistycznej, niemal tak jak dawniej opisy przyrody. Tymczasem tutaj, w naszym życiu, groza pospolicieja, składa się z takich właśnie faktów. Przeżywa się je codziennie i one tworzą codzienność; tę polską codzienność, o której mówimy: "nic nowego, nic się nie dzieje". Tutaj nigdy nic się nie dzieje, tylko ciągle siedzi się na rozżarzonych węglach. I trzeba udawać, że się siedzi w fotelu. Zawsze trzeba trochę udawać dla przyzwoitości.

Odwiedził mnie student polonistyki, który przygotowuje pracę magisterską. Wybrał sobie temat: moje scenariusze filmowe. Miły chłopiec, o delikatnej twarzy okolonej zarostem, przyjechał do Warszawy autostopem i żeby nie zabłócić podłogi, zaraz po wejściu ściągnął buty. W trakcie rozmowy zorientowałem się, że czyta wszystko, co się ukazuje w "ZAPISIE" i innych wydawnictwach nie kontrolowanych przez cenzurę. Mam wrażenie, że bardziej go to obchodzi niż moje scenariusze. W pewnym momencie zadaje mi pytanie: dlaczego w "Nierzeczywistości" tak niewiele miejsca poświęciłem sprawie pisarzy zaangażowanych politycznie w latach stelinowskich, byłych socrealistów, którzy w późniejszym okresie wystąpili lub zostali usunięci z partii. Jak to się tłumaczy, że ci ludzie w t e d y mogli tak myśleć... Tu wymieniam kilka nazwisk, z pominięciem mojego, ale pytanie zwrócone jest do mnie i oboj wiemy, że również mnie dotyczy. Dlaczego o tym milczą? I po chwili dorzuca, że jego i kolegów ta sprawa fascynuje. Właśnie jej zagadkowość otoczona milczeniem jest dla nich fascynująca. /Konwicki powiedział mi niedawno: - Tych chłopaczków fascynuje pornografia, ich podnieca myśl, że się dogrzebią w nas jakiegoś świata.../

Próbowałem mu coś odpowiedzieć, ale po kilku zdaniach uświadomiłem sobie, że to jest daremne. Dla mnie samego moje ówczesne decyzje życiowe i spo-

sób myślenia nie są dziś w pełni zrozumiałe i nie potrafiłbym ich odtworzyć - odtworzyć w całości ani rozebrać na czynniki. Mnie także wydają się zagadkowe. Za każdym razem, gdy usiłuję dojść do jakiejś formuły, myśl mi się rozpada na dwie części, by utknąć w owej "sprzecznej podwójności", o której kiedyś pisałem. Na przykład formuła: "nie wiedziałem o rzeczywistych faktach, ponieważ byłem oszukany" wywołuje równoczesną odpowiedź: "można mnie było oszukiwać, ponieważ nie chciałem wiedzieć o rzeczywistych faktach". A przy tym żadne z tych dwóch zdań nie mówi wszystkiego, jedno i drugie wymagałoby licznych uzupełnień, odsyłaczy - do okoliczności tamtego czasu, do lat wojny i przed wojną, do biografii mojej i innych ludzi oraz do wielu pojęć, takich jak przebudowa społeczna, rewolucja, socjalizm, i innych jeszcze, zawartych w drugiej tradycji, takich jak praca organiczna, odrabianie zapóźnień cywilizacyjnych, reformy, ewolucje...

W końcu powiedziałem mu, że najpewniej ta sprawa pozostanie zagadką, jedną z tajemnic przeszłości. W przeszłości, w historii jest wiele tajemnic i pytań, na które nie ma odpowiedzi. Zwykle po latach próbuje je rozwiązać czyjaś inteligencja lub wyobrażenia. Są to ich dalsze ciągi i one także tworzą kulturę narodu. Kultura nie powstaje tylko z jednoznaczności, jej nurt często wypływa z miejsc pękniętych i ciemnych - z imaginacji, z domysłów.

Oczywiście to go nie zadowoliło. Miał zatelefonować po niedzieli, obiecałem mu, że odszukam maszynopisy kilku moich scenariuszy. Nie odezwał się więcej.

Magistranci pojawiają się u mnie jakby po to, żeby mi się przyjrzeć i zniknąć. Przypuszczam, że czasami muszą napotykać jakieś przeszkody, może się ich zachęca do wyboru innego tematu. Taki był chyba przypadek magistranta, który przed trzema miesiącami pisał do mnie, że robi pracę magisterską o miedzi książkach, z uwzględnieniem "Nierzeczywistości". Przysłał dwa listy - zresztą doskonale napisane - zapowiedział przyjazd do Warszawy na rozmowę ze mną, i cisza, odtąd żadnego znaku, nic.

Podobny wypadek z młodym reżyserem filmowym. Przed kilku tygodniami zadzwoniono do mnie z zespołu "X", uprzedzając, że złoży mi wizytę reżyser Jerzy Domaradzki, który zamierza opracować adaptację telewizyjną mojego opowiadania "Romantyczność". Przyszedł, rozmawialiśmy półtorej godziny, spodobał mi się. To, co mówił o scenariuszu, miało sens. Porozumieliśmy się co do naszych kontaktów /zespół przygotowywał umowę/, rozstaliśmy się serdecznie i już go nie widziałem. Znowu cisza, ani śladu umowy - nic. Po Domaradzkim został mi tylko bilet do kina, który mi ofiarował, bilet na jego film "Bestia" wyświetlany w "Atlantyku". Poszliśmy nazajutrz obejrzeć tę "Bestię".

Film dobrze zrobiony i nieprzeciętny. Scenariusz oparty na opowiadaniu Tolstoja "Diabeł", ale miejsce akcji zostało przeniesione do Wielkopolski przed I wojną światową. Fabuła to dramat młodego dziedzica, który po studiach w Szwajcarii przyjeżdża do swego majątku w Północnej Polsce. Chce go unowocześnić, nabywa maszyny rolnicze Cegielskiego, żeni się z zamożną, niegłupią panną, wkrótce zostanie ojcem. Wszystko układa się jak najpomyślniej, a raczej ukłóżyłoby się, gdyby nie wiejska dziewczyna, z którą popadł w seksualne opętanie. Nie może się z niego wyzwolić traci żonę, doprowadza matkę do obłędu, aż wreszcie - sam pókobłakany - barykaduje się w sypialni z kochanką. Wojna, dwór zajęty przez Niemców, ruina życia, hańba, koniec: dziedzic-pozytywista zabija kochankę i pakuje sobie kulę w głowę.

Hm, dziwne rzeczy. Seks w naszych czasach ukazany jako ciemna siła pchająca do tragedii. W czasach, kiedy erotyzm stał się częścią zabawy, a swoboda kopulacji weszła do dekalogu naturalnych ludzkich wolności... A tu nagle człowiek w niewoli chuci, ślepa wyrocznia namiętności, niczym antyczne przekleństwo. I może film Domaradzkiego przez to właśnie nabiera znaczenia, że zmusza do namysłu. Bo jak to właściwie jest? Czy we współczesnym człowieku żądza seksualna ma jeszcze moc drapieżnej bestii pożerającej duszę, czy też człowiek uwolnił się od niej i dręczą go dziś jedynie bestie zewnętrzne, smrodliwe lewiatany technologii, potwory organizacji i władzy. Rewolucja obyczajowa w połowie stulecia czyż nie zamieniła różnicy płci w jedną z rozrywek w ogólnej maskaradzie, wraz z jej nowymi kostiumami, tańcami, ideologiami? W maju 1968, podczas studenckiej rewolty, paryska młodzież biła się z policją, pisała na murach Dzielnicy Łacińskiej: "chleb i kwiaty dla ludzi" - i spótkowała na ulicach. - Wie pan - opowiadał mi stary Joseph Breitbach -

czasem pieprzyli się na schodach Panteonu... - Pokazał mi swój balkon, z którego oglądał to przez wyścigową lornetkę.

W kinie "Atlantic" było pełno, publiczność z okolic Domów Centrum, prze-ważnie młoda, jednakże w trakcie seansu milcząca i skupiona. Żadnych chicho-tów - widocznie coś ich w tym filmie przytrzymało, mimo iż część sali była już po piwku /opróżnione butelki wały się w foyer/. Więc temat nie jest dla nich tak bardzo anachroniczny?

Wychodząc z kina w tłumie spostrzegłem twarz młodej kobiety, próbuję so-bie przypomnieć, skąd ją znam, i łapię jej spojrzenie spod włóczkowej czapki: oczy trochę za śmiejące, jak gdyby wyczekujące, że może wreszcie sobie przypomnę. I po sekundzie, gdy sobie przypominam, nie ma jej, już mi ją zasłonili. Rozu-miem, że trudno ją było poznać w czapce, pod którą schowała włosy, i przychodzi mi do głowy, że to spotkanie na filmie "Bestia" - akurat właśnie na tym filmie - ma coś z epilogu staroświeckiej noweli, noweli z zakończeniem po latach. Po ilu? Chyba więcej niż dziesięć lat temu zatelefonowała pytając, czy mogę się z nią zobaczyć. Początkująca pielęgniarzka, jedna z tych czytelniczek, które proszą o radę życiową. Była związana z żonatym mężczyzną i naturę tego związku określiła bez zażenowania: ciążo. Po wyjściu z łóżka spieszył się do żony, w tydzień później znowu się pojawiał, zawsze z teczką, rozbierał się niemal od progu. Widywali się właściwie tylko w łóżku. Poza tym wszystko ich dzieliło: środowisko dygnitarsko-partyjne, wyższe wykształcenie, samochód, wyjazdy za-graniczne. Ale kiedy chciała zerwać, powiedział, że ją zabije. Prosiła o radę: czy według mnie ta historia ma przyszłość. Według mnie miała złą przyszłość. Poradziłem ucieczkę, wyjazd, zmianę pracy. Moim przekonaniu wypadek był dość typowy: mężczyzna z gatunku, dla którego związek seksualny łączy się z poniże-niem i który szuka go poza sferą swoich życiowych wartości. Tacy mężczyźni są kochającymi mężami, a na boku degradują swoje erotyczne partnerki. Co tydzień będzie wlaźł do jej łóżka jak do nory. Było mi trochę przykro, bo najwyraź-niej poczuła się zgnębiona. Nie widziałem jej odtąd, ale w rok później napi-sała mi w liście na kratkowanym papierze: "Miał pan rację, sprawa była minu-sowa. Skończona". Teraz w filmie "Bestia" obejrzała inne zakończenie.

Wieczorem po kinie rozmowa z M., która wpada w jedną ze swoich zapalczy-wych tyrad, z błyskami zębów i oczu, wspaniała, zapomina o wodzie kipiącej w czajniku. Przerywamy sobie, chodząc między pokojem a kuchnią i mówimy bardzo głośno, tak że na pewno słyszą nas w klatce schodowej. O czym - o na żen-ście. O związku kobiety z mężczyzną, jako sposobie przetrzymania natury. O naszym niemonogamicznym małżeństwie, które parokrotnie mogło się być roz-paść, gdyby nie spajały nas przystające do siebie różnice, tworząc ząbiony układ. Układ trybów zębnych, w którym agresje dopasowane są do ustępstw, jak gdyby charaktery zachodziły na siebie we wzajemnych sprzecznościach. Mówię, że to jest system dobrze funkcjonujący wtedy, gdy znaki dodatnie korespondują z ujemnymi, i daję przykład: małżeństwo, w którym oboje mają podobną wyobraźnię lękową, jest gorzej dobrane, niż gdy każdy z partnerów cierpi na inny lęk. Lepiej, aby ona bała się śmierci a on biedę: źle, jeśli boją się razem tego samego. Konflikt podobieństw, twierdzę, sprawa minusowa... Według M. natomiast miłość to jest fascynacja innością. Później inność staje się źródłem konfliktów i to jest małżeństwo. Czterdzieści pięć lat temu, kiedyś się poznali, nie mieliśmy pojęcia, że czeka nas pół wieku walki ze sobą o stworzenie z nas dwoj-ga trzeciej, wspólnej istoty. Przed naszym ślubem - mówiłem jej o tym nieraz - miałem podwójne widzenie: szczęście we dwoje pod jednym dachem i nienatural-ność współżycia dwóch organizmów w czterech ścianach. Sprawdziło się pierwsze i drugie. Tak, śmieje się M. i przypomina mi czyjeś powiedzenie: "nie wiem, czy ją kocham, wiem tylko, że nie mogę jej niczego odmówić i nie lubię być sam w domu". Trzecia istota, jaką stworzyliśmy, powstała z naszych żabek i wbrew naszym instynktom. Rodziła się z naszych zapamiętań i kłótni, również pod bombami i wśród walących się murów, legła także w cieniu naszych błę-dów oraz szczepiły ją nasze podróże i choroby. Z wszelką pewnością można stwierdzić, że od jakiegoś momentu czy okresu zaczęła nas wychowywać i że każde z nas dzisiaj mocno się różni od osoby, jaką było czterdzieści, dwa-dziesiąt a nawet dziesięć lat temu. Oparliśmy się, no, przetrzymaliśmy. Jak by nazwać istotę takiego związku? Związek dusz - mówi M. z nożem w ręku, krójąc chleb.

Płowe szerokości, ogołocone czernie, zielone brązy przedwiośnia. Drzewa o nagich gałęziach, połamanych i wygiętych, ukazują w pełnych rozpaczy gestach przeżytą tragedię zimy: patrzcie, co się z nami dzieło! Nad stawem leży jak na scenie powalona wierzba z włosami zanurzonymi w wodzie, za nią w głębi stoi nieruchomy chór dębów i wiązów. Tragedia skończona. Na ziemi szeleszczą resztki opadłych kostiumów, waloją się płaty starej, kuszczącej się skóry. Ale w powietrzu już dzwoni, panowie, za chwilę początek sielanki.

kwiecień

Wiosna to jest reumatyzm, reumatyzm to jest światopogląd. Światopogląd reumatyczny stwarza filozofię goryczy. Gorycz to jest sposób wyposażenia się w godność. Godność ma swój styl i właśnie tego stylu chciałbym uniknąć na wiosnę.

Umowa z zespołu "X" nadeszła wczoraj. Papiery na wyjazd do Belina jutro składam. Słońce świeci, w nocy mam pogodne sny o domu starców, rano się gimnastykuje. Pojutrze odpuszczę winy swoim wrogom.

Dlaczego nie zanotowałem, że znowu jestem w Oborach? Najchętniej te Obory jakoś bym ukrył i zataił, że spędzam w nich część życia. Bo to jest miejsce nieco wstydlive, które nazywa się domem pracy twórczej. Sama nazwa wprawia w zakłopotanie. W rzędzie okien rząd twórców pochylonych nad rządem dzieł, które powstają na rzędzie biurów, twórcy zwrócenii profilami w tę samą stronę, gęsięgo. Taki mam obraz. Jak się oddzielić, wyosobnić? A przyjeżdżam tu, żeby pracować, i kiedy siedzę przy biurku profilem do okna, wydaje mi się, że piszę równocześnie z innymi w sąsiednich pokojach, gdzie z każdej wyłazi taka sama wata i unywalnie mają takie same zacieki rdzy. Nie wiem, jak wytłumaczyć, że to miejsce technicznie osobliwym urokiem i że w tym gęsim rezerwacie kryje się czar schronienia, który przyciąga bezpańskie psy z okolicy, zawsze krążące wokół domu.

Niedziela. Hanuszkiewicz wyrasta nad klombem. Rzeźba męska wielkości przewyższającej naturalną, w kostiumie skomponowanym z welwetów i zamszów, na głowie płaska jak liść, miękka czapka, także z brutanego zamszu, spod której w ydobywają się gęste, czarnosiwie pukle: głowa wysoko osadzona na maszynowej i foremnej szyi. Kto wie, czy gdyby go zozebrać do naga, nie zobaczylibyśmy posagu dyskobola. Lubie mu się przyglądać. Cóż to za frajda w samym patrzeniu na tę harmonię ciała i ducha, zespolonych wzajemną aprobata. Przygotowuje spektakl z "Trenów". Ktoś widział już próbę i wypowiada swoje uwagi: - Mów pozytywy, mów pozytywy! - żąda Hanuszkiewicz, stawiając ogromne włosujące kroki w żółtych butach z kieszonką na tatrząsk z cholewki. Na jego przedstawieniach zawsze wyczekują ostatniej sceny, po której wyprowadza zespół wśród owacji i w blasku wszystkich reflektorów. Idzie pierwszy, za nim aktor-ki i aktorzy, nad którymi góruje wzrostem. Przypomina mi się wówczas końcowa parada w cyrku "Medrano", gdy dyrektor-pogromca, we fraku i z białym biczem, otwierał pochód linoskoczków, wultyżerek i kłownów, prowadząc ich przez arenę w takt marsza gladiatorów. Rampam-param-pam, bum, bum, bum! Boże, teatr powinien mieć coś z cyrku, dyrektor teatru coś ze sztukmistrza i trósera, a deski sceniczne muszą trochę pachnieć areną! Jeśli tak nie będzie - nie będzie teatru, usmierca go intelektualisci. Hanuszkiewicz trzaska białym biczem, jego Balladyny jeżdżą na motocyklach, Konradów wiesza na rolkach pod sufitem - i darowałbym mu wszystko, gdyby nie twierdził, że to jest koncepcja intelektualno-artystyczna. W swoich najlepszych, doprawdy wspaniałych spektaklach, w "Berowskim" czy "Miesiącu na wsi", nie był intelektualistą, po prostu miał pomysły. Dyrektor teatru musi trzaskać biczem i mieć pomysły. Nie koncepcje: pomysły nowych sztuk i wolt. W "Miesiącu na wsi" dyrektor Hanuszkiewicz miał pomysł z psami. Na scenie leżały dwa żywe wyżły, leżały wśród kwiatów na trawie, obok prawdziwej sadzawki i zrobili spektakl. To była sztuka z psami. Nigdy nie zapomnę tej premiery. A że oceniam artystów miarą ich najlepszych dokonań - i chciałbym, aby mnie również według nich oceniano - dlatego przyłączam się do sympatii, jaką Hanuszkiewicz ma dla siebie. Chodźmy wokół klombu, rozmowa o znakach astrologicznych, o kimś urodzonym pod znakiem Skorpiona. - O, to ciężka sprawa - wzdycha Hanuszkiewicz patrząc w przestrzeń spod ciemnych brwi niezwykle błękitnymi oczami. - Pan zdeje się niejedno wie o Skorpionach...? - Proszę pani, błękit smutnieje - przez kilku byłem atakowany". A to jest tak - ręka z dwoma wystawionymi knykciami naśladuje trykanie - do przodu i głową w brzuch, i głową w brzuch. A ja Bliźnięta... Natura ufna, dzie-

cięco pogodna, myśli w mówieniu.

Ale trzeba było widzieć ten ruch ręki i ten cierpiący lazur w oku. Pełna delektacja.

Wielkanoc, w pierwszy dzień świąt z Julią i Arturem do JM Rymkiewiczów na Filtrową przelatujemy przez miasto niemal puste, ale już oczyszczone z brudów zimy, błyszczące szybami i asfaltem. Po drodze odwożę kożuchy, z domu zabieram pocztę i książki. Na Filtrowej w pokojach świetlicie, przewiewnie, pijemy jakiś mocny napój z rumem, po czym jedząc rozmawia się przy stole. Ewa, Julia i Maria wyglądają jak trzy siostry w swoich spódnicach i bluzkach, siostry w różnych kolorach, od bieli do złota z brązu. My obaj z Arturem siwi, JMR wystrzyżony i okrągłogłowy, w telewizorze Kapicki, także siwy, mówi partię Arnolfa ze "Skoły żon" w nowym przekładzie Artura. Wieczór upływa między pokojem a kuchnią, między rozmową a telewizorem. Mały Wawrzek Rymkiewicz pokazuje mi a-rkusz zagryziony ćwiczeniami gramatycznymi: "Wilk, wilczyca. Niedźwiedź, niedźwiedzica. Lew, lewica". - Ile za to dostajesz od pani? - Pięć minus. - W szkole podobno krąży taki wierszyk: "Kto ty jesteś? Chłopak Gierka? Jaki znak twój? Młot, siekierka! Gdzie ty żyjesz? W wolnym kraju! A jak zwa go? Ja nie znaju". Opowiada o wystawie fotografii w Muzeum Historycznym, fotografii z Warszawy końca XIX wieku. Mówię o dwóch zdjęciach. Jedno w wielkim powiększeniu, prawie na całą ścianę, przedstawia róg Krakowskiego i Koziej, z wejściem do cukierenki obrośniętej winem i z dwoma rosyjskimi oficerami w letnich białych mundurach, mijającymi kobietę w ciemnej spódnicy i jasnej bluzce, z parasolką od słońca nad szerokim kapeluszem. Z tyłu idzie uczeń w gimnazjalnym kaskiecie, gdzieś dalej za nim wąsaty żołdat, niosący pod pachami dwie wypchane torby, a w przeciwną stronę elegancki, godny pan w cylindrze. W głębi koło skweru stoi konny omnibus. Od tego zdjęcia długo nie mogłem odejść, wrażenie bardzo silne. Ilość szczegółów, znaków życia jakby nie do ogarnięcia, inna niż dziś materia i ruch, przytrzymane w chwili naturalnego spokoju południa, w swobodnej, nieśpiesznej codzienności. W porównaniu z tym żywym obrazem dzisiejsze ulice wydają się martwe, ślepe, zabite hukiem i wściekłością, uduszone tłumem. I drugie zdjęcie, mniejsze od pocztówki. U dołu na połówkowej ramce drobnutki wyblakły napis atramentem: "pędzeni na Sybir". Dwaj młodzi ludzie stojący pomiędzy dwoma konwojentami w rosyjskich czapkach, bez daszków. Zesłańcy mają obszarpane surduty, spodnie wytarte, trzewiki pokryte błotem. Żołnierze w szynelach tak samo zszarganych i ubłoconych, obydwa uśmiechnięci do fotografii. Ale jeden z zesłańców, o wyglądzie studenta, mały, szczupły, brodaty, w drucianych okularach, z przechylną na bok głową patrzy wzrokiem ostrym i czujnym, z wyzywającą inteligencją nerwowca, i przysunął się blisko do drugiego zesłańcy, jak gdyby chcąc mu coś pokazać, powiedzieć rzecz bardzo ważną, czy przestrzec, lub może tylko nie rozluźnić ich ścisłego związku w chwili fotografowania. Zdjęcie wykonane w 1864 roku. Wpatrywałem się w nie z dreszczem w tyle głowy. Ci dwaj brodati chłopcy, ten dumny okularnik-intelektualista... Właściwie kogo i przed czym on chce ostrzec?

Obydwie fotografie mogły być zrobione jednego dnia. Narodził Krakowski Przedmieście i Koziej w słoneczne południe roku 1864 z pewnością wyglądał podobnie jak w 1894-tym. Kobieta z białą parasolką mogła iść w stronę omnibusu, a pan z laską i w cylindrze zmierzać do obrośniętej bluszczem cukierenki o tej samej godzinie, kiedy dwaj zesłani studenci dali się sfotografować między konwojentami na etapie. Mówię do Ewy R., że każda przeszłość ma dla mnie sakrę, świętość, bo jej nieruchome obrazy ukazują zmarłych. Wszyscy umarli. Wszyscy. Każdy z nich musiał wykonać ciężką pracę wydobywania się z ciała, przejść z osobna i sam przez... - Przez czarny tunel - wyjaśnia JMR. Czytał relacje Amerykanów, którzy przeprowadzili wywiady z ludźmi reanimowanymi po śmierci klinicznej. Przywrócenie do życia opisywali długi ciemny tunel ze światłem w głębi, niski tunel, którym trzeba było przepełznąć, dowiec się do tego światła. - Podobno okropny wysiłek - mówi JMR - dyszenie, pompowanie, czokanie. Straszna praca. - Patrzy na nas z trochę dzikim uśmieszkiem, chłodno, ciekawie.

Później jest mowa o przeszłości - o europejskim pojęciu historii, stworzonym przez Żydów i Chrześcijan, którzy umieścili Boga w czasie. Tego nie było. ktoś zapewnia, były opisy wojen i kroniki panowań, i byli bogowie. Wszystko w symultanicznym kręgu, w skłębieniu... dusza, ciało, bóstwa, wyrocznie, zdarzenia, losy. Nie odróżniano historii od natury, w życiu uczestniczyły ptaki,

zwierzęta i pioruny tak samo jak ludzie. To Stary Testament objawił początek czasu i z niego wyłania się nasza linearna struktura przeszłości. Z Piętnastej Przyczyny i z Siedmiu Dni. Dopiero tam historię od natury oddzielono grzechem. Ewa i M. oglądają w kuchni "Rodzinę Połanieckich", słysząc urywki dialogów i w pokoju rozmowa schodzi napana Henryka. Czy był tak głupi, jak ta powieść, i który to z francuskich pisarzy nazwał go "geniuszem przeciętności". Twierdzą, że Sienkiewicz nie był człowiekiem głupim, a pewno jego pisma, zwłaszcza wcześniejsze reportaże i listy, świadczą o czymś przeciwnym niż głupota. To pełen energii młody pozytywista, który postanowił się wyrwać z prowincjonalnej stęchlizny, uciec od warszawskiego podwórka, na zawsze, daleko, do Ameryki, w pampasy, założyć tam falanster z aktorką i hrabią. Wrócił z odparzonymi rękami, rozczarowany traper i kochanek, już bez pozytywistyczno-romantycznych marzeń, ale z talentem. Sprzedał go zaraz po powrocie na warszawskie podwórko. Skąpitułował, przyjął zamówienie na sarmatyzm. To nie była głupota, to był układ małżeński, ślub z ojczyzną zawarty z rozsądkiem. Giermski na tym podwórku zwałibwał. Pan Henryk był realista. W swoim szczęśliwym patriotycznym małżeństwie spłodził trzy złote jaja "Trylogii".

Pisarskie konformizmy... Dzisiaj nam się śni, że konformistą można być jedynie w stosunku do władzy. Doprawdy. A umysłowe tchórzstwo przed narodem, a rozmiękczenie mózgow przez opinię społeczną? Myślicie, że to już nie grozi! Ktoś wtrąca: - Nie ma opinii społecznej, jest tylko telewizja.

I znów nawraca się do telewizji, do jej galerii twarzy stałych, które rozpoznaje się z przykrym zdziwieniem na ulicy, i twarzy dobieranych, których się nazajutrz nie pamięta. Jest tam ekipa intelektualistów mówiących falsetami kastratów, o niezwykle wydelikacowanej dykcji i jak gdyby z namysłem sumienia w obliczu moralnych komplikacji świata, epoki, bytu... Niekiedy pojawia się twarz rzadziej ukezywana i odzywa się po latach głos znajomy, bez z przeszłości. Przed tygodniem pokazali Czeszkę. Bohdana Czeszkę w starym, rozciągniętym swetrze, na tle półek i narzędzi stolarskich, otyłego, zapuchniętego. Czaszkę z chrypką dobywającą się z fałd brzucha. Pimpek Sadełko! Agawa! Uczeń grubego Stefana w gimnazjum na Prostej! Małymi rękami kreślił swoje myśli przed kamerą właściwie czubkami palców. Zawsze wyobrażałem sobie, że pisze czubkami palców, z ledwie wystającym z nich piórkim, ciężko sapiąc nad miniaturowym i kunsztownym haftem swojej prozy. Nie, ani przez moment nie wierzyłem, że to jest mężczyzna zapaśnik i łowca dzikich zwierząt. Widziałem go w sidłach, szamoczącego się po cienku w cichym strachu. W każdej niemal rozmowie czułem jego zajęte serce, kiedy mi ciepło potakiwał, dopóki nie przysiadł się ktoś agresywny i pewniejszy siebie. Wówczas od razu zderzał - można to było rozpoznać po uchyleniu zwięzionych oczu i pieszczotliwym, stękającym pomruku, z jakim wykrecał ode mnie głowę, by ofiarować się mocniejszemu. "To kobieta - mówiłem - najlepsza myśliwa w Polsce, sama cycki i fałdy, imitacja bicepsów". Byłem wtedy ukłuty jakąś złośliwością, która wyszła od niego i doszła mnie z trzecich ust. Ale dobrze wiedziałem, o czym mówię. Wiedziałem, że Pimpek Sadełko odda się mocnemu. Wtedy jeszcze łączyła nas przyjaźń, może raczej zażyłość, jeden z odcieni przyjaźni. Czeszko miał bliższych przyjaciół wśród malarzy, choćby Marka albo Izaaka, do którego przemawiał głosem kołodzieja spod dębu: "Wierzej mi, drogi Izaa-ku" - co brzmiało pięknie. Sam był także malarzem, z późniejszej grupy "Arsenaku". W środowisku literackim natomiast zaliczano go do "pryszczatych". Nie pamiętam, kto wymyślił tę nazwę, sugerującą jedną, wspólną twarz bez indywidualnych rysów; wśród "pryszczatych" były indywidualności nader wyraziste. Z tymi dwiema grupkami Czeszko przeszedł drogę od Wojny do Października. "Dzieliłem losy garstki młodych lewicowców - mówił przed kamerami - tak, Gwardia Ludowa, Partia, potem malowanie, pisanie, poszowanie, et caetera, et caetera..." Chrypka, strzepnięcie czubka mi palców w rękawie swetra i pomrukujący namysł. Nie pokazywał mi swoich płócien, znałem tylko jego małe prozy. Cierpliwie wypracowane, misterne a zarazem czułe. Budziły we mnie podziw, nie umiałbym tak pisać. Plotki, wszystko, co o nim pokatnie mówiono, starałem się puszczać mimo uszu. Po pijanemu w knajpie zarzekał na widok kompozytora z Hollywoodu: "Weźcie tego Żyda z powrotem za Atlantyk!" To już było w dobre kilka lat po Październiku. Jeszcze kilka lat, mniej dobrych, i siedzieliśmy na zebraniu w Komitecie Centralnym. Partyjni pisarze, delegaci na zjazd ZLP, odmawiali poparcia dla składu przyszłego

Zarządu, wygłaszano przemówienia, padły jakieś zarzuty. Nagle z głębi, spod ściany rozległo się mruczenie, prychnięcie, ktoś przeciw nam urągliwie stękał. Kto to? Pimpek Sadekko! Wykręcał od nas głowę, dysząc, sapiąc i rzucając ukradkiem miłosne spojrzenia ku Prezydium. Potem na Zjeździe unikał nas, chodził bokami. Ostatniego dnia, w przerwie obrad, siedziałem w pustej sali. Było już po przemówieniach i nocnej odprawie partyjnej, kiedy trzynastu pisarzy głosowało przeciw uzgodnionej liście zarządu. Przegraliśmy. Siedziałem rysując profile i figury w bloku leżącym na pulpicie. Nie spostrzegłem, jak przysiadł się do mnie. Dosunął się bardzo blisk o i zaczął bez słowa kreślić długopisem na tym samym arkuszu małe ludzkie postacie obok moich nosów i koni. Nie odezwał się, ale siedział przy mnie. W milczeniu długą chwilę bazgraliśmy razem na papierze, wydawał z siebie tylko cichutki pomruk. Później za-chodziłem w głowę, co mogła ta chwila oznaczać. - Słuchaj - mówi Artur - to było pożegnanie...

Do Obór wracamy po ciemku Wisłostradą. W pałacu świeci się jeszcze parę okien. Zapalam lampę w pokójku i sprawdzam godzinę na zegarku. Już północ.

Sienkiewicz to Dumas-ojciec skrzyżowany z Dumas-synem i przełożony na sarmatyzm.

Zoraz po Wielkanocy, prawie nazajutrz, eksplodował ładunek wybuchowy na placu w Nowej Hucie, tam gdzie stoi pomnik Lenina z nogą wysuniętą do przodu. Radio nadało komunikat o "nieznanych sprawcach" i poranieniu kilku osób z przyległych budynków mieszkalnych.

Figurze Lenina urwało kawałek tylnej nogi. Wybuch nastąpił w nocy, we wtorek. W środę rozpoczęły się aresztowania. Przeprowadzono rewizje u członków KOR-u i Ruchu Obrony Praw, zatrzymano kilkadziesiąt osób. Dowiaduję się o tym przez telefon. Siedzą: Kuroń, Chojecki, Macierewicz, Bracia Czumowie. Do dzisiaj /piątek/ nikogo nie zwolniono. - Chamska robota - słyszę w telefonie - szycie dratwą. - Nikt nie ma wątpliwości, że wybuch przygotowało Bezpieczeństwo i że w Rotundzie także była bomba, nikt już nie wierzy w g a z. Wciąż dochodzą nowe nazwiska zatrzymanych w Warszawie, w Poznaniu, Gdańsku, we Wrocławiu. Najbliższym uszkodzonego Iljicza najmniejsza łapanka: w Krakowie wzięto tylko jedną osobę. O czym to świadczy - o tym, że nie o wykrycie sprawców tutaj chodzi.

Walki frakcji partyjnych? Mogą to być walki frakcji, albo machina-cje policji, albo sterowana z zewnątrz reżyseria. Wszystko to być może. Możliwe też, że zrobił to wariat. W każdym razie jest zastanawiające, że eksplozja - wybór jej obiektu i momentu - ma charakter tak widomie antysowiecki. Wybuch nastąpił w przededniu rocznicy układu między Polską a ZSRR. Ły-dka Lenina wylatująca w powietrze na otwarcie X Zjazdu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej! Przez 35 lat w Polsce uczyniono sporo, a-by podobne rzeczy się nie działy. A więc... po co te bomby? po to, żeby osobę numer 1 skompromitować w Moskwie i osadzić na stolcu twardszą pałką? To by tłumaczyło pożary i wybuchy.

Doszedł mnie również taki komentarz: boją się przyja-zdu Papieża ,chcą zaognić wewnętrzne napięcie i doprowadzić do okoliczności tak drastycznych, aby wizyta Jana Pawła II w Polsce nie mogła się odbyć. I to byłoby także możliwe, choć niezbyt prawdopodobne wyjaśnienie.

Wszystko nędzne, śliskie, przyczajone w kupie świństwa, którego smród miesza się z powietrzem. Wszystko dokoła zarażone nieczystą materia polityczną, która głęboka weszła w ludzi. W moich notatkach znalazłem cytat bez nazwiska, opatrzoną datą - rok 1880: "Z polityki oportunistów wkrótce przejdzie do życia codziennego i zobaczymy oportunistyczną moralność, oportunistyczny honor etc". Sto lat temu ktoś miał jasnowidzenie. W liceach uczniowie stosują dziś reguły sztuki politycznej wobec nauczycieli i nauczyciele wobec uczniów. Bzykają nieraz są rozbrajające. W zeszłym tygodniu pokazano mi wypracowanie szesnastoletniej uczennicy na temat lektury wybranej: napisała o "Nierzeczywistości". Inteligentnie, dojrzałe, ale z jakim wyczuciem dozwolonych granic, z jakimi niuansami w podtekstach i eufemizmach! "Pewne nielogiczności w życiu naszego kraju..." W każdym zdaniu bezpiecznik. Po to, aby nie stawiać nauczycielki w trudnej sytuacji. A nauczycielka, znam ją, sama uczciwość i rzetelność. Dała jej tylko czwórke, dorzucając uwagę: "za nieuwzględnienie innych utworów pisarza". Obydwie się zrozumiwały.

Rozmawiając wczoraj przez telefon z Marianem, czułem w uchu coś jak chrobotanie robaka. Podśluch. Instalacje podsłuchowe działają w większości znanych telefonów, ale u Marianów ponadto jeszcze są gwoźdźdźki. Powbijają je w czasie remontu młody człowiek, który sam się zgłosił. - Państwa mieszkanie to radiostacja nadawcza - uśmiechnął się zaprzyjaźniony ksiądz, rzuciwszy okiem na gwoźdźdźki. Był specjalistą od wykrywania podsłuchów w kościołach, u przyjaciół interesowały go najbardziej żyrandole i gwoźdźdźki. Detektyw w sutannie... Ale ja to skądś znam, gdzie chyba już słyszałem? Ach, prawda, wielbny ojciec Brown, ty byłeś pierwszy! Tak oto Kościół się unowocześnia.

W ostatnich numerach "Tygodnika Powszechnego" obfitość rzeczy do czytania. Wiele miejsca zajmują teksty poświęcone Janowi Pawłowi II. Wśród nich przemówienia, jakim powitał w Watykanie delegację społeczności żydowskiej. Papież zwracał się do Żydów w słowach prostych i mądrych, które czytałem z uwagą. Z uwagą i czymś więcej - z drżeniem podobnym do nadziei i ulgi, jaką daje światło. Na takie słowa nie jest łatwo być głuchym. O wiele ciężiej jest po takich słowach bronić się przed myślą o Opatrzności czuwającej, przed czystymi duchami rozumu i dobra: trudno wówczas nie wierzyć w ludzką zdolność do oczyszczenia się przez miłość. Kiedy pisałem tu na pierwszych kartkach, że stare chrześcijańskie kościoły nie płoną już ogniem świętego saleństwa, czy miałem rację? W tym Papieżu płonie święty ogień wiary. Wiary w Boga czy wiary w Człowieka...? W istocie to znaczy Jedno.

Uśmiechnięty Namiestnik Chrystusa z krzyżem i mikrofonem w rękach, błogosławiący wiernych w trzydziestu językach świata, z pewnością Kocha Boga i Człowieka. Boga, który dał mu uczynić wielkie dzieło ze swego człowieczeństwa, i człowieka w samym sobie, że miał siłę to dzieło wypełniać. Z pewnością wierzy w ocalenie ziemi przez niebo i wybawienie od nienawiści przez rozum Kościoła, i jest przekonany, najmocniej i najspokojniej przeświadczony, że światło w głębi czarnego tunelu może zobaczyć człowiek jeszcze żywy, lecz że wymaga to odwagi serca. Mówił: "Bracia moi i siostry, nie bójcie się..." Kilkakrotnie powtórzył słowo paura, Sądzę, iż miał na myśli bojaźń w obliczu dobra, trwogę przed wysiłkiem, jakiego trzeba dokonać, by ujrzeć Boga w drugim człowieku. Ten niezwykły Papież é polacco... Chciałoby się zapytać: Ojciec Święty, a jak widzisz człowieka w Polaku?

W dniu ogłoszenia wyboru Karola Wojtyły na Papieża ludzie w Warszawie biegli ulicami krzycząc z radości. M. idącą przez Świętojańską objął ja ktoś zapłakany staruszek: - Słyszysz pani? Cud! Cud! - To nie romantyczni poeci wymyślili mesjanizm polski. Nagle o jednej godzinie wszyscy stali się mesjanistami, jakby od dwustu lat żyli w oczekiwaniu na dzień Przyjścia. Taki zbiorowy odruch irracjonalizmu mogły przekazać tylko geny narodu, który w ciągu dziesięciu pokoleń tracił wiarę w ziemską sprawiedliwość historii. Trzeba było aż tylu domowych potopów, tylu rozbiorów i zdrad, by to, co w innych krajach jest myślą polityczną, świadomością obywatelską lub poczuciem prawa, tutaj przeistoczyło się w ślepe naderżeczywistego znaku Niebios. Słowo c u d wymówiły w tym dniu jednocześnie usta dewotek i intelektualistów. W numerze "Więzi" poświęconym Janowi Pawłowi II przewijało się to słowo wśród wypowiedzi pisarzy nie tylko katolickich. Trochę niespokojnie czytałem ten numer "Więzi", a im dalej czytałem, tym wyraźniej rosło we mnie zaniepokojenie. Kilkadziesiąt tekstów - i niemal co drugi zwracał się ku człowiekowi w Rzymie, kierując ku niemu, ba, przerzucając na niego swoje narodowe oczekanie, wszystko, co nie spełnione i nie dokonane. Całą swoją polskość zawierzali jednemu Polakowi, kładąc mu ją na głowę, z cierniami i kolcami. Czytając zadawałem sobie pytanie, czy aby nie za silnie wezbrany jest ów przybór uczuć i co ma z nim uczynić Papież, jak mu sprostać? Człowiek w Polsce woła dziś do Papieża: odkup nas, przywróć nam godność wielkiego narodu i powiedz światu, kim jesteśmy! Przejmujący jest głos Polaków zanoszony do Papieża. I znów stawiam sobie pytanie: czy Jan Paweł II jest w mocy wszystko to zrobić, zrobić z a n a s ?

Dzieje się rzecz zadziwiająca. Z jednej strony trzydziestoparomilionowa zbiorowość nabrzmiała marzeniami wieków - z drugiej człowiek ze swoją uniwersalną misją i swoją ludzką sprawą. Człowiek, który za młodu był aktorem, chodził w góry i pisał wiersze, i którego krakowcy przyjaciele nazywali zdrobnia-

łym imieniem. W ciągu jednej nocy Karol Wojtyła stał się legendarnym wyskannikiem Opatrności, za miesiąc pojawi się tutaj, w Warszawie, i już dzisiaj trzydzieści milionów ludzi ma cudowną pewność, że przybycie tego człowieka od-
dmieni ich los. Jan Paweł II - tak słyszałem - z lotniska na Okęciu wzleci helikopterem nad miasto i opuści się na Placu Zwycięstwa /dawniej Piłsudskiego, "plac Zyciństwa Piłsudskiego" mówi Wawrzek R./ Ojciec Święty szybujący w niebiosa ch nad Warszawą, polski Papież, który zstąpił z obłoków w samo serce Stolicy... proszę mi nie mówić o wizjach romantyków i surrealistów, takiego obrazu żaden poeta by nie wyśnił. Ale powiadam: jak On to przeżywa i co myśli na widok wznoszącej się ku niemu oszołomionej nadzieją polskości, tej zbeztępnionej fali, która chce się oczyścić jego rękami?

Przed tygodniem będący tu na obiedzie Andrzej Wajda mówił mi o swoim niedawnym pobycie w Rzymie, o audencji papieskiej, której dostąpił w Pałmową Niedzielę. Wajda potrafi nie tylko kręcić filmy, jest także wybornym opowiadaczem. Przyjechał skłopotany - urzędnicy położyli rękę na zatwierdzonym już nowym scenariuszu w przeddzień rozpoczęcia zdjęć - ale opowiadając stopniowo się rozgrzewał. Jeden szczegół silnie utkwił mi w pamięci, a mianowicie opis krótkiej rozmowy z Papieżem. Jan Paweł II pytał o "Człowieka z marmuru". Wspomnił, że nie oglądał tego filmu i byłby ciekaw go zobaczyć, na co Wajda zapewnił, że projekcja kopii znajdującej się w Rzymie nie nastręczy trudności /istotnie film Papieżowi wkrótce pokazano/. Tyle zapamiętałem z relacji o samej rozmowie. Jednakże Wajda opisał więcej niż jej przebieg: - Słucha niezmierznie uważnie, patrzy obok, trochę obok wzroku człowieka, gdzieś dalej poza nim, i słuchając przez cały czas trzyma go mocno za przegub ręki, ale bardzo mocno, żelaznym uchwytem. Jest w tym chrześcijańskie miłosierdzie i coś z magnetycznego dotyku uzdrowiciela. Wielka siła. A zarazem brak pośpiechu. Kilka tysięcy ludzi odnosi wrażenie, że do nich przyszedł i dla każdego znajdzie czas.

Otóż Wajda jeszcze w Warszawie, na miesiąc przed audycją u Papieża - postarał się, aby zostać przyjętym przez Clive Harrisa w kościele Dominikanów. Postarał się o to z reżyserskiej ciekawości. Musiał jednak wskazać miejsce bólu, Wymienił brzuch. Harris najpierw mocno przygarnął go do siebie, po czym obiema rękami zaczął ścisnąć mu głowę. Asystenci, sądząc, że źle ich zrozumiał, podszeptali: brzuch, brzuch... Mimo to Harris nadal ścisnął głowę Wajdy. Rozpoznał prawdziwe źródło udreki. I z tym uzdrawiającym gestem Harrisa u Dominikanów skojarzył się Wajdzie w miesiąc później żelazny uścisk miłości chrześcijańskiej, w jakim Papież trzymał przegub jego ręki w czasie posłuchania.

Z kroniki bieżącej: zwolniono aresztowanych po wybuchu ładunku wybuchowego w Nowej Hucie.

- Przeszłość, tradycja, historia - mówi do mnie w ciemności podczas spaceru wokół klombu - to są kategorie myślowe, które usiłuje się dziś wyjąć z mózgow. Bardzo wiele zrobiono w tej dziedzinie. A robi się więcej. Reforma szkolnictwa wyprodukowała pokolenie zaopatrzone w informacje o historii: o tym, że coś już przed nami istniało. Rodzaj kompendium, bryku na temat postępu, który od jaskini zaprowadził nas do socjalizmu. Ale żadnych nawiązań, żadnych ponadczasowych znaczeń... nic, co by mogło tworzyć z przeszłości wartość dla nas na dzisiaj. I to jest amputacja duchowa. Odpadła cała struktura kojarzeń wypracowana przez humanizm, zniknę ideogramy, symbole, zagaśnię obrazowanie kulturowe i poczucie więzi z umarłymi. Czy będzie dla produktów tej hodowli Via Appia czy katedra w Reims, albo warszawska Cytadela? Dekoracjami, które się odkurza. Do dziś brak nam pewnych żywych wyobrażeń świata antycznego. Nie kończyliśmy szkół filologicznych, nie mamy pełnego odczucia kultury Hellenów, Latynów... Już byliśmy o coś mniejsi. Takie głuche punkty, które nie rezonują to zawsze są szwy, zgrubienia. Coś z nas wycięto i zszyto. Teraz wycina się z człowieka przeszłość, zeszywa się w nim źródło. Pozostawia mu się zwiedzanie zabytków i modę. Modę "retro". A to just na razie początek, przyspiwka do wielkiej manipulacji genetycznej. Ludzkość zaprogramowana przez komputery, universum funkcjonalnych kalek i półkidiotów dopiero świat przed nami...

"Bracia, siostry, nie bójcie się..." To wezwanie Jana Pawła II tkwi w myślach. Wieczory są wciąż chłodne i Małgorzata B. chodzi w długim białym kożuchu. Opowiedziała mi - także po ciemku - przygodę swego brata, który się żenił. Jest katolikiem wierzącym, żarliwym i do ślubu przygotowywał się z powagą wiary. Pieczę religijną nad młodożencami rozłożył ksiądz z kościoła św. Jakuba, oboje chodzili do niego na rozmowy. W ostatnią niedzielę przed dniem ślubu poszli oboje do kościoła na nabożeństwo poranne. Znajomy ksiądz miał kazanie. Wygłosił je w kościele pełnym młodzieży, było to teraz, nie dawno, wygłosił kazanie przepełnione antysemityzmem. - Uciekli - opowiada Małgorzata - nie chcieli, żeby on ich związał. Przestraszyli się.

Wobec jednego takiego faktu zapadają się wszystkie przemyślenia, od podobnych zmyśli można się uwolnić tylko słowami: nazwać ją "chorobą umysłową" lub "wirusem" i wyłączyć ze świata ludzi normalnych jak paranoję. Wyłączyć na swój użytek i dla własnego spokoju, bo z rzeczywistości wyłączona nie zostanie. Kim jest ksiądz z kościoła św. Jakuba - wariatem, głupcem, złym człowiekiem? Może nie być żadnym z nich i dalej nienawidzić Żydów w kraju, w którym Żydów nie ma. "Są! - odpowie na to - są i byli!" Wytoczy argumenty, przypomni lata po wojnie. Ja jednak pamiętam lata wojny i rok, w którym Żydów mordowano. Byłem wtedy przechodniem o twarzy nie mającej żydowskich rysów, rozmawiałem się przy mnie bez skregowania. Wówczas, zimą i wczesną wiosną roku 1943, Żydzi jeszcze byli. Zgładzono ich wkrótce potem. Dzisiaj na Zachodzie seriale telewizyjne pokazują zagładę Żydów w kilkunastu odcinkach i obok Niemców w hełmach ze swastykami przedstawia się w nich Polaków w rogatywkach, jako pomocników kata. Trudno się wydobyć spod gór fałszu. Ocaleni Żydzi wiedzą, kto ich zabijał! Niemcy. Ale ocaleni pamiętają także słowa: Uważam się za jednego z ocalonych i zawdzięczam życie ludziom, wśród których byli Polacy i Żydzi; zresztą i ja w tym czasie pomagałem innym ludziom różnego pochodzenia i wyznania, kilkakrotnie zaś za sprawą jeszcze innych ludzi różnego pochodzenia i wyznania omal nie przepadłem. W tym czasie nie tylko ukrywających się Żydów wskazywano Niemcom, donosili na siebie niekiedy sami prześladowani, to są rzeczy znane, dobrowolni konfidentki byli wszędzie.

Były to rzeczy znane, oczywiste i w tych wynaturzonych latach - naturalne, powiedziałbym, mieszczące się w istocie życia. Ale wokół brzmiały słowa. I jeżeli do dzisiaj, prócz osłupienia na myśl o zbrodni, która naruszyła pojęcie ludzkiego bytu i wyręczyła ślepa zbrodniczość przyrody, jeżeli do dzisiaj czegoś nie mogę sobie wyjaśnić i zrozumieć, to słów. Od sympatycznej pani, która ważyła mi maszkę w sklepie spożywczym, usłyszałem, że Hitler zdecydował Polskę z Żydów /płonego wtedy getto warszawskie/, pewien inteligentny prawnik na podwieczorku u znajomych oświadczył, iż musi się powstrzymać, by na widok przechodnia o żydowski wyglądzie nie wezwać policji. Porucznik W. z oddziału leśnego w grójeckim mówił przy obiedzie we dworze o zakonniku, który odpuścił mu brak litości dla ginących Żydów w miasteczku. /"Synu, to kara za mękę Pana Jezusa..."/ Takie zdania wychodziły z ust ludzi porządných, dobrych ojców i uczciwych gospodyń. Nie umieli milczeć, głośno zwalniali się z miłosierdzia i sądzą, że nie przemawiała przez nich nienawiść. Pragnęli tylko odpędzić niepokój, przykrą myśl o swojej obojętności i odpędzali je słowami. To nie oni zabijali Żydów. Ale ukrywający się Żydzi słyszeli ich słowa.

Staram się o tym wszystkim myśleć spokojnie, możliwie najspokojniej, aby nie zrobić błędu przyjęcia części prawdy. Obecne góry fałszu zostały usypane z nie przystających do siebie części prawdy, cała prawda widocznie jest zbyt złożona, przez co za trudno do ogarnięcia. Nadal funkcjonują słowa. A ściślej: słowa i milczenie. Zawsze jeszcze są ci, którzy milczą. Powiedziałem niedawno M., że z przeszłości dzieją się rzeczy magiczne, które sumiennym ludziom zatykają usta. Często wolą milczeć, niż mówić prostymi zdaniami. Przeszłości nie da się opowiedzieć prostymi zdaniami. Każda rzeczywistość odchodząca zamyka się przed opisem i wyslizguje rozumowaniu, jakby w przedśmiertnym skurczu strącała z siebie jednoznaczność słów. Potem staje się dziedziną interpretacji, ale wtedy nie jest już przeszłością - wtedy jest historią. I właściwie do tego sprowadzałaby się moja odpowiedź, jakiej udzieliłem polonście-autopstopowiczowi, wypytującemu mnie o lata stalinizmu...

Powietrze dobre, zdrowy klimat. Ładny krajobraz. I same zagadki. Same zagadki.

Po południu przy kawie była mowa o wybuchu Powstania Warszawskiego /w związku z książką, jaką opublikował w Londynie Jan Matkachowski/ i okolicznościach, które doprowadziły do zbrojnego wystąpienia Podziemia 1 sierpnia 1944. Wszyscy niemal jednogłośnie są zgodni co do tego, że decyzja zapadła z przyczyn politycznych, wybuch Powstania miał postawić dowództwo sowieckie w obliczu faktu polskiej państwowości. JMR twierdzi: decyzja była historycznie słuszną, stworzyła legendę cementującą tożsamość narodową, dzięki niej przetrwaliśmy. Pytam: - A dwieście tysięcy ofiar? - Mam pełną świadomość, że nie przekonam nikogo. Nikt spośród obecnych w pokoju nie poświęciłby życia dwustu tysięcy ludzi dla sprawy historycznie słusznej i nikt nie powziąłby decyzji, której następstwem byłoby mordowanie kobiet na Woli czy kolonii Staszica. Ale teraz wypowiada się słowo. Słowa mają potwierdzić rację innych doświadczeń i dotyczą rzeczywistości innej niż tamta, zamieniona w liczbę. Wypowiadając te proste słowa człowiek, który nie potrafiłby skrzywdzić kota, uzasadnia śmierć dwustu tysięcy mieszkańców kamienic i domków z ogródkami. Chcę mu powiedzieć: na tej samej ulicy, na której dzisiaj mieszkasz, zabijano całe rodziny... I słyszę, jak mówi: to była cena. Niech by tam był wtedy i zobaczył tę cenę.

Jest coś niedobrego w owej łatwości porozumiewania się za pomocą słów ponad grobami, w tym dziejowym rachunku strat i korzyści, jakie przynoszą umarli. Panie Boże, chroń od analogii, ale niektóre analogie przesładują. Porządni ludzie, którzy twierdzą, że zgładzenie trzech milionów było ceną za jednolitość narodu, uczciwi ludzie, co akceptują cenę tysiąca lub miliona rozstrzelanych w zamian za przeobrażenie narodu w społeczeństwo bezklasowe, i inni dobrzy ludzie, którzy w wymordowaniu dwustu tysięcy widzą cenę płaconą za ocalenie narodowej tożsamości... To samo pęknięcie, skaza w rdzeniu. Jeżeli wartość cudzego życia mierzy się ceną innej wartości niż życie, trzeba się rozejrzeć, czy w kącie nie stoi diabeł.

Nie, zmieńmy temat! Powietrze dobre, zdrowy klimat, ładne krajobrazy...

Pisząc gdzieś tutaj o moich wczesnych lekturach wymieniłem paru autorów m.in. Duhamela. Tak, "Kronikę rodu Pasquierów" czytałem jeszcze w gimnazjum, oczarował mnie zwłaszcza pierwszy tom, którego tytuł "Ogród dzikich zwierząt" nasuwa mi dzisiaj obraz pełen spokojnego światła i czystych kolorów. Takie kolory i światło widzi się tylko w dzieciństwie, to jest optyka niewinności. Z "Ogrodu dzikich zwierząt" pozostało mi kilka łagodnych wizerunków, które trwają ponad doświadczeniami, nietknięte i bardzo jasne. Wyobrażenie "matki", postacie "siostry" i "pierwszego przyjaciela" /nazywał się Justyn Weil/, krajobraz "wielkiego miasta"... Duhamel nie był genialnym pisarzem, ale też nie był jedynym, którego czytałem. Niemal bezpośrednio przed nim tkwiłem po uszy w Żeromskim, przeplatując go Dickensem, "Nędznikami" czy "Wojną i pokojem". Wszystko trwało w sumie sześć, siedem lat i w ciągu tych lat dokonałem skoku od "Dawida Copperfielda" do Prousta. Oczywiście "Nanę" Zoli miałem już za sobą, poknąłem ją w okresie mutacji razem z "Anią z Zielonego Wzgórza". Zdawało by się, że takie łapczywe pomieszczenie musi wywołać mętlik w głowie. Z pewnością. Przypominam sobie, jak w czasie okupacyjnych wieczorów, kiedy graliśmy w "10 książek na wyspie bezludnej", wśród dziesięciu tytułów wpisałem Kiplinga "Stalky i Spółka" i Tadeusz Breza wzniosł ramiona do nieba: - Ani jednego Dostoję! Niesłychane!... "Stalky i Spółka"! - A swoją drogą kto wie, czy na wyspie bezludnej miałbym ochotę czytać Dostojewskiego. Okupacja była już dla mnie rodzajem wyspy bezludnej i pod koniec wojny, w miesiącach przymusowej samotności na Solcu, kiedy przed nocą obwarowywałem się książkami jak palisadą obronną, spokój przynosiły mi powieści o świecie nie opuszczonym przez ciepłe nurty ludzkości, przemierzającej drogę wśród mroków, ale w kierunku światła. Mimo wszystko literatura chroniła mnie od rozpacz, której - prawdę mówiąc - nie czułem, jakkolwiek miałem w owym czasie sporo powodów, by jej ulec. Mimo wszystko przekonanie o sensowności życia nie było podważone, zbrodnia i szaleństwo nie tworzyły jeszcze obrazu świata. Wtedy jeszcze mówiło się literatura piękna. Szukałem w niej jednak czegoś innego, niż piękno, czegoś p o m i ę d z y zachwytem a grozą: splecionej osnowy ludzkiego bytu, starych, zawikłych praw istnienia i prześwitujących ppprzez nie hipotez, których można się było uchwycić w tych nocnych godzinach.

Hipotez. Używam tego słowa w miejscu innych, takich jak zasada bądź idea, ponieważ ono mniej uroczyście brzmi i lepiej tłumaczy, o co mi chodzi. Chodzi mi przecież o to, że żyjemy w hipotezach, w przyjętych domniemaniach, w założeniach. Można żyć w domniemaniu zła albo w przypuszczeniu dobra, w założeniu nagrody i kary lub w supozycji względności i przypadku. Można też żyć w hipotezie postępu. O to mi chodzi, że w każdym człowieku i w każdej literaturze odbija się któraś z takich hipotez. A przy tym każdy człowiek i każda literatura mają wpisane w siebie jedno domniemanie przyrodzone, transcendentalne założenie gatunku: hipotezę nieśmiertelności. Świadomość przeczy owej genetycznej iluzji, ale bez niej w ogóle nie istniałoby życie ani twórczość i ona naznacza ludzką istotę cechą heroizmu i naiwności oraz domieszką zakłamania, absolutnie niezbędną dla odsunięcia od siebie paradoksu śmierci. Właśnie o to mi chodzi, że literatura dzieliła mnie od śmierci.

Kiedy Boy zaczął publikować pierwsze tomy swojego Prousta, w tym samym okresie na mnie runęły nieoczekiwane klęski. Zawaliłem egzaminy na drugi rok prawa, ojciec nie mógł mi tego wybaczyć, wysłał mnie na wakacje pod kuratelą Mariana. Całe lato przeżyłem w ogłupiającej mizantropii i nic z niego nie pamiętam oprócz urzędu pocztowego: codziennie nadawałem expresse list do M., która była u przyjaciół na Wołyniu. Wróciłem po tych wakacjach z nadszarpniętą wiarą w siebie, z utraconą pewnością ruchów - jakbym wypadł z zawiasów - i w następnym roku przelałem ciężko przez wiosenne egzaminy, zmordowany nocnym kuciem skryptów. Dobrnąłem tak do pełnoletności. Wtedy spadł na mnie kolejny cios. W życiu M. pojawił się ktoś inny, zakomunikowała mi o tym. Potrafiłem już opanować technikę zdawania egzaminów, ale do tego egzaminu nie byłem przygotowany. Przeżywałem męki zazdrości. Odbywaliśmy długie rozmowy w kawiarniach. M. chciała mi pomóc - postanowiliśmy zachować przyjaźń - i kiedyś mi doradziła, żebym zaczął czytać tomy Prousta. Namawiała mnie na tę lekturę ze szczególnym przekonaniem i elokwencją, pokłusując zębami wśród piętrzących się superlatywów, byłem jednak dostatecznie nieufny, by słuchać z podejrzliwą rezerwą: czułem, że zachęca się mnie do jakiejś psychicznej kuracji. Obliczałem w myśli ilość stron... To jasne, miałem się w nich pograżyć, żeby siedzieć w domu. Ale w pewnej chwili dotarło do mnie jej powiedzenie: - Brak ci dystansu, nie widzisz się z zewnątrz. - Twierdziła, że opis zazdrości Swanna nada moim udrękom wyższą formę i zobacze ich ogólnoludzki wymiar. - Trzeba się przecież czegoś uczyć - powiedziała - jakieś wartości ponad sobą samym. - Dziwne, ale właśnie te słowa, może zaimprovizowane, jak tyle innych, w przystępie inteligentnej myśli po zaciągnięciu się papierosem, te słowa z zatartym i /nigdy go nie wymawia/ i rzucone trochę na odczepne - coś mnie w tych słowach uderzyło. Wyższa forma... wartość ponad sobą samym...? Zdało się, że po raz pierwszy zamajaczył mi domysł, że między literaturą a mną rozciąga się napięta lina, po której należy przejść nie patrząc sobie pod nogi i konieczny jest przy tym pewien rytuał ignorowania przepaści, jakiś gest czy sposób zaklęcia. Czytając "W stronę Swanna" miałem przejść po tej linie. Powinienem się oddzielić od własnych cierpień, wspiąć się i zobaczyć je w innym człowieku. Po co? Po to aby je uogólnić, przekształcić w hipotezę wartości. M. nie zdawała sobie sprawy, że podsuwa mi jedno z założeń humanizmu: człowieczeństwa spełniającego się poprzez ból.

Utknąłem w połowie drugiego tomu. Literatura i życie... Życie czasami układa ze swojej materii formy niezdecydowane. W dalszym ciągu spotykaliśmy się w kawiarenkach, wypalając dziesiątki papierosów i przygotowując się do ostatecznego rozstania. I nie umieliśmy się rozstać. W tym czasie nie czytałem już Prousta, byłem Swannem, który się upolitycznił. Kolportowałem na ulicach ulotki antyfaszystowskie, wygłaszałem przemówienia na wiecach, przychodziłem nieraz do kawiarni po bójce z falangistami. M. pytała trochę niespokojnie, czy w organizacji studenckiej, do której należałem, są interesujące dziewczyny. Przez długie miesiące rozstawaliśmy się ze sobą, widując się tak samo często jak dawniej; niekiedy widywaliśmy się we troje. Ale coś nas przecież łączyło, coś, czego nie mogliśmy rozerwać ani rozplatać - nie potrafiliśmy nawet tego nazwać. Z lektury Prousta pozostało mi tylko zamglone wrażenie, że ze swą raną można żyć na codzień, przyzwyczaić się do własnego bólu i że świat nadal wówczas roztacza pulsujące kształty i barwy, a zraniony człowiek jest częścią

urody świata. A zresztą to już było wspomnienie. Nad światem zaciągał się cień, gasły kolory, mętne zarysy. W pierwszych dniach września 39 mężczyzn, który był przyczyną moich cierpień, otoczony przez Niemców pod Jabłonną z oddziałem żołnierzy, wystrzelił do siebie z pistoletu. Zrobił to w rowie obok szosy. Akt złożenia broni przed wrogiem nie mieścił się w jego porządku wartości, żył w hipotezie honoru.

- Proszę pana - mówi Jan Wyka na czarnej drodze w wąwozie - wyjście jest tylko jedno, świat nieuchronnie zmierza do komunizmu, nie ma innego rozwiązania. Śmiesz mnie te dzisiejsze rozdarcia, te infantylne wątpliwości... Ślepe kocięta, dzieci! Ależ to oczywiste, pewne formy ustrojowe demokracji zachodnich muszą się połączyć z treściami demokracji ludowych, jak można z tego nie rozumieć? Wie pan, kim jestem: jedynym w Polsce eurokomunistą. Moi przyjaciele z madryckich okopów kierują tam dzisiaj Partię. A ja tutaj uchodzę za marzyciela, za dziwaka... mnie z Partii wyrzucili. Słyszał pan, odmówiono mi paszportu do Hiszpanii, wystosowałem list do Pierwszego Sekretarza. Nie ma pan pojęcia, jak mnie śmieszy ich upór i krótkowzroczność! Nie widzą, że sami, chcąc czy nie chcąc, zbliżają się do eurokomunizmu, bo rzeczywistość pcha ich w tę stronę! Tak, walczyłem w Hiszpanii w czasie wojny... Ach, chodzi panu o to, gdzie byłem podczas wojny światowej? Jak to, więc pan nie wie? W Anglii. W domu wariatów. Nasi emigranci uważali, że normalny człowiek nie może być komunistą i wsadzili mnie na trzy lata do zakładu dla umysłowo chorych. Trzy lata z krótką przerwą. Rozumie pan, nie mogłem zejść z moich pozycji ideowych. Pisałem listy, protestowałem... I proszę pana, wyciągnięto mnie stamtąd przez interwencję dyplomatyczną. Jak tylko powstała ambasada PRL w Londynie, mianowano mnie jej radcą kulturalnym. Dopiero później przeszedłem do pracy w KC.

Parę kartek wstecz napisałem /o moich wczesnych autorach/, że literatura dzieli mnie od śmierci. Gdzieś dalej zboczyłem z tematu i zagubił mi się ten wątek. Może by jednak do niego nawiązać. Było kilka dni szarych, z cichym deszczem, teraz od południa kawały błękitu i słońca. A to wzmacnia poczucie nieśmiertelności. Ptaszki ówrikają. Jutro przerwa, do załatwienia mnóstwo spraw w Warszawie, znów będzie dogorywanie w ogonkach. Tak, wzruszałem się nad Duhamellem, zachwycąłem się Kiplingiem, owszem, wielbiłem Żeromskiego i przeżywałem "Lorda Jima". Dzisiaj są to lektury naiwne. Co oni czytali po iluś tam latach, ci nieco młodszy lub dużo młodszy ode mnie: Kafkę? Borowskiego? Becketta i Joyce'a? To nie są lektury naiwne. Oni także nie byli naiwni.

Przypominał sobie, jak Adam Pawlikowski chodził po Nowym Świecie, z "Procesem" Kafki pod pachą. To były jeszcze lata przedpaździernikowe, ale w powietrzu już drgały ciepłe prądy. Adaś nie rozstawał się z Kafką, recytował go z pamięci znajomym na chodniku, on pierwszy zaczął głosić nową ewangelię literacką po epoce czytanek. Poznałem go w ostatnich latach wojny, był jednym z tych chłopców, którzy wprost z natury poszli do Powstania. Z obozu jeńców zawędrował do Włoch, wrócił, spotkałem go w Krakowie. To był chyba rok 1947, minął mnie na Karmelickiej w swoim bettledressie z odprutymi naszywkami. Miał już wtedy sławę genialnego playboya o twarzy księcia z perskiej bajki, opowiadano o jego niebywalej erudycji, rekordach w powodzeniu u kobiet i o koncertach Bacha, które wygrywał na okarynie. Zaczarował Wilka Macha, przyjechał razem do Warszawy, Adaś /jeszcze go nie nazywano "Dudusiem"/ pisał recenzje muzyczne dla "Przeglądu Kulturalnego" i grał "Pasję św. Mateusza" na okarynie w "Dziekance". Dziewczyny... zawsze było przy nim kilka najpiękniejszych, urzeczonych, które wkrótce przechodziły w inne ręce. Przyjaciele zarażali się jego stylem, dowcipem i sposobem mówienia. Kiedy Holoubek po raz pierwszy wystąpił w Warszawie, zawołał ktoś: - Ależ on mówi dokładnie jak Adaś! Te same intonacje, akcenty! - Wilek przyprowadził go do nas, spędzaliśmy razem lato w Kazimierzu. Potem widywałem go już tylko przelotnie. Kiedyś zjechał z jakimiś cudzoziemcami przed "Bristol" czerwonym sportowym bolidem, z którego wyprowadził na szczyty czarnego pudelka. Był już Dudusiem w srebrnym garniturze. Ostrzeżono mnie: - Uważaj, jak z nim rozmawiasz. - Na co ktoś trzeci wzruszył ramionami: - Z Dudusiem można spokojnie rozmawiać, on jest od innych spraw. - W tym czasie nie chodził już z "Procesem" Kafki pod pachą.

Pojawiał się w lokalach u boku grubego pana Lola, eks-kawalerzysty, który stręczył zagranicznikom dziewczyny za dewizy. Słynne orgietki i balety organizowane przez Dudusia, egzystencjalna filozofia seksu, pewien niegłupi człowiek zauważył: - W policyjnym kraju nie można być rozpustnikiem, za to się ciężko płaci, jeśli się nie jest u góry.

Około roku 1952 w środowiskach artystycznych odbyła się branka do UB. Łapano dawnych akowców, intelektualistów, którzy wrócili z Zachodu, bywalców nocnych lokali, pederastów - ludzi z "hakami". W wielu lat później w Sopocie na plaży przed Grand Hotelem mówił o tym smażąc się w słońcu były dygnitarz partyjny, wówczas już w niełasce. Zaprzyjaźniony grafik przybiegł do niego rano z trzęsącymi się rękami, wprost z nocnego przesłuchania. - Pytam go: "Podpisałeś?" Jeszcze nie. Krzyczeli, że jak nie podpisze, to zgnoją mnie za Kedyw. Mam trzy dni do namysłu". "Człowieku - powiedziałam mu - nie rób tego, do końca życia będziesz nieszczęśliwy. I zatelefonowałem do Różańskiego: "Zejdźcie z chłopaka, on się psychicznie nie nadaje". Puścili go.

Czytając "Ogród dzikich zwierząt" miałem akurat tyle lat, co oni, kiedy szli do Powstania. Później na Solcu, gdy czytałem przed zaśnięciem "Noce i dnie" i racjonalistyczne powiastki Anatole France'a, byłem w tym samym wieku, w jakim ich zmuszono do współpracy z policją. Przypuszczam, że musieli nienawidzić tego, co pisałem. Z zapartym tchem czytali Kafkę. Ciemny labirynt "Procesu" i groza "Kolonii karnej" utwierdzały ich w hipotezie bezsensu i nicości. Co zobaczyli pod rumowiskiem zawalonego świata? Chaos, nikczemność i absurd. Ach, jak musieli nienawidzić złudzeń porządku i światła.

Adaś Pawlikowski w ostatnich latach jeździł po ulicach na rowerze. Od czasu gdy wystąpił jako świadek oskarżenia w procesie karnym przeciw autorowi satyrycznych kupletów, często przebywał w zakładzie dla nerwowo chorych. Wychodził stamtąd co kilka tygodni i wtedy jeździł na rowerze. Pewnego dnia przejeżdżał przez Świętojańską. Zatrzymał się i nie zsiadając z siodełka opowiedział mi szeptem, jak ubecy ścigają go nocami po dachach. - Dotychczas potrafiłem im uciec, ale wiesz, to bywa męczące... - W miesiąc później doszła mnie wiadomość, że wyskoczył z okna w mieszkaniu przyjaciół.

Lost generation... Angry generation... Beat generation... A to pokolenie jak nazwać: pokoleniem zdradzonym?

Warszawa ma nieraz przejmujące odruchy. Pewnego dnia wykonują je czyjeś niewidzialne ręce, są to gesty żalu lub pamięci i w takich dniach miasto staje się żywą istotą. Na oszalowaniach zniszczonej Rotundy pojawiają się wianki kwiatów. Codziennie ktoś przynosi czerwone tulipany, goździki, świeże narcyzy. Z początku podawano je robotnikom pracującym przy odbudowie szkielethu i ci zawieszali je wysoko na rusztowaniach. Teraz przyczepia się kwiaty do desek oszalowań, ponad którymi wyrasta już nowa szklana Rotunda. Dokoła tłum, wirujący ruch samochodów, gwizdki milicjantów. W spalinach, w dzwonieniu tramwajów i ryku motorów, czci się pięćdziesięciu zmarłych. Ktoś o nich pamięta. Dziwne miasto.

W czwartek wybuchł pożar na Piwnej w budynku klasztornym przy kościele św. Marcina, tam gdzie dwa lata temu odbyła się protestacyjna głódówka. Płomienie i kłęby dymu buchały od góry, ze strychów, zagrażając przyległym kamieniczkom. Ogień był potężny, ugasiła go wezwana straż pożarna. W Warszawie mówi się o tym: "rosyjskie pożary". Tajemnicze pożary w Moskwie i Petersburgu wybuchały jeszcze za caratu i te pożary w Rosji mają tradycje policyjne. Wczoraj przywiózł ktoś wiadomość z Łasek. W sferach kościelnych utrzymuje się przekonanie, że ogień został podłożony. Tego dnia w budynku klasztornym był pewien mężczyzna, który przyszedł z miasta. Prosił, aby go ochrzcić. W ręku trzymał niewielką paczkę, później gdzieś zniknął i podobno zakonnicie widziały, jak wchodził na strych. Do kościołów zgłasza się obecnie wiele osób dorosłych, które nie zostały ochrzczone, jako dzieci ludzi niewierzących. Proszą o chrzest.

Wczoraj obiad w Klubie Literatów. Dwie salki w podziemiu, oddzielone arkadką i trzema schodami, przy stołach tłok, pod ścianą czeka w ogonku siedem osób. Duszno, brak powietrza. Widelce i łyżki blaszane, nie ma obrusów i serwetek, na zwolnionym miejscu siada się nad talerzem z resztkami cudzego

Jedzenia. Przychoǳę tu na obiady pisarze-laureaci i biedne poetki, głośni aktorzy, starsze panie żyjące z tłumaczeń i wspomnień oraz kilku wziętych adwokatów. Sporo efektownych, modnie ubranych dziewcząt. Córka Andrzeja Łapickiego czekająca w ogonku nie różni się od Paryżanek z Café de Flore, obok jej mąż, Daniel Olbrychski, w wyszukanej koszuli i ła roubachka, z medalionem na piersi i płoworudym zarostem, przypomina jakieś postacie z rosyjskiej literatury. Bezarowa czy księcia Myszkina... Znani filmowcy, właściciele zagranicznych samochodów i will nad Zalewem, stłoczeni z autorami na indeksie i chudym plebsiem recenzenckim, przemieszanym literackimi szpicelkami. Wszyscy razem zajądają kapuśniak blaszaną łyżką. Przy stoliku w głębi sali profesor Maria Janion, otoczona swymi asystentkami, mądra, wspaniała pani profesor Janion o lwiej głowie trybuna nauki i smutnym, ciężkim spojrzeniu spod grzywki; w wygładzie ma coś monumentalnie jakobińskiego, coś z Marata w wannie.

Przychoǳą tu zjeść obiad. Siedzą obok siebie zrównani, kapitulując przed męczarnią jedzenia na mieście lub gotowania w domu, przed brakiem mięsa w sklepach, przed chamstwem sprzedawczyń i kelnerów. - Cicho! - krzyczy podająca pani Joasia - nie słyszcie zamówień! - Przeszło ćwierć wieku podejże nam klubowe obiady, była piękna, silną dziewczyną, wszystkich tutaj pamięta z lat ich i swojej młodości.

Po obiedzie wstępuję do domu i zbliżając się do Rynku słyszę już dźwięki katarynek. Jest dwóch nowych kataryniarzy. Oprócz tego dawnego w czarnym kaşeluszu, z baczkami i papugą w klatce /mówią o niej "papuga w stopniu porucznika"/, tego, który od siedmiu lat kręci na zmianę "Mie Kuba do Jakuba" i "Tango Milonga", doangażowano mężczyznę w pelerynie do ziemi i drugiego w meloniku. Reprezentują starą Warszawę pana Prusa, poczciwe retro, la belle époque. Postawił ich tutaj z katarynkami na etacie chłopsko-urzędnicza wiadza, która pilnie dba o to, aby jej nie posądzono, że przyszła znikąd. Nie, stoją za nią cienie i mury przeszłości, falsyfikat prusowskiej katarynki i kopia królewskiego Zamku. Wszystko jak na poǳółkowych fotografiach... Ale na tych starych fotografiach byli jeszcze stójkowi w wąsami i mam ochotę napić się do Rady Narodowej, czyby nie zaangażowała kilku poczciwych funkcjonariuszy w kaszketach i letnich białych rubaszkach.

Pan Pawlak, nasz gospodarz domu i były sanitariusz Pogotowia, zmywa ścierką zanieczyszczoną sień. Opowiada mi, jak przemawiał do milicjanta: - Panie władze, to jest od "Murzynka". Tam podają szpageti napolitańskie, ale nie mają na czym ugotować, bo do "Murzynka" miasto nie doprowadziło gazu. Kładę suchy makaron pod kran z gorącą wodą, aż zmięknie, polewają sosem i jest szpageti napolitańskie. Jak klient źle się poczuje, to zrzuci w naszej sieni, bo w "Murzynku" nie ma ubikacji. Trzeba zawiadomić szanepid, uważam.

"Żyć samym sobą, wymieniać mało urozmaicone idee, obracając je wokół swej własnej, wciąż jednej i niezmiennej; czytać w gazetach wiadomości pozbawione niespodzianek... znajdować w nich tylko gadaninę o klęskach przyozdobionych nazwą ofensywnego manewru; wieczorami być wygnanym z ulic wskutek przymusowej oszczędności światła, nie móc się cieszyć nocnym życiem miasta, które tak wcześniej gasi lampy... nie móc już wznieść się w czystą dziedzinę myśli, ponieważ, myśl skąbnie z niedożywienia, być wyzutym z wszystkiego, co jest rozrywką inteligentnych ludzi, odczuwać brętkę, co nowe i odświeżające, wegetować w tej monotonnej brutalności... to nuda podobna do nudy prowincjonalnego miasta".

W tym opisie, tak bardzo zbliżonym do naszego życia, zmieniłam lub opuściłam tylko parę wyrazów. To nie jest opis życia w Warszawie roku 1974. To relacja z Paryża w roku 1870, z Paryża oblężonego przez Prusaków.

W prasie wiadomość pod nagłówkami: Aresztowanie sprawcy pożaru klasztoru w Warszawie. "Jak poinformowała Prokuratura Śródmieście w Warszawie, w poniedziałek, 14 bm, został aresztowany pod zarzutem wzniesienia pożaru w Klasztorze ss Franciszkanek przy ul. Piwnej - Robert K. Sprawca pożaru dostał się do pomieszczeń klasztornych pod pretekstem uczestniczenia w obrządkach religijnych. Dochodzenie w tej sprawie jest w toku".

Tej nocy M. zasnęła przede mną, czytałem jeszcze godzinę i rano na jej wyzwanie, czy drugo nie mogłem zasnąć - odpowiedziałem przez pomyłkę:-

O 1-ej zgasilem książkę.

Zmarli przychodzą teraz częściej, spędzamy razem długie chwile, odchodzą i pojawiają się inni. Pisałem tu o dwóch samobójcach - obydwaj są bohaterami nie napisanych powieści i wyrzucam sobie, że zbyłem ich tak krótko, w paru linijkach i na półtornej kartki. Obie te śmierci - mimo wszelkich różnic - coś są ze sobą wiążące. Obydwaj, ten z przestrzeloną skronią w rowie pod Jabłonną i ten tamten roztrzaskany na asfalcie, wykonali podobny gest odmowy i tylko drugi z nich uczynił go za późno. Jeśli w ogóle można uczynić go za późno. Jest mi niezasmużony komfort w snuciu rozważań o ostatnich ludzkich gestach, komfort człowieka żyjącego. Ileż bezwstydu kryje się w literaturze.

Literatura i sny... Po napisaniu tamtych kartek obaj powinni mi się śnić w następne noce. Ale w snach nie ma logiki, kto inny przyśnił mi się ze-
szłej nocy. W płytkim śnie około świtu przesunął się nade mną cień dziewczyny w żakobnym welonie przysłaniającym opaskę z gwiazdą. Zawdzięczałem jej głęboki i długi pocałunek w ciemności na schodach po powrocie ze szkolnego balu w gimnazjum Lelewela, kiedy poczułem w ustach jej ciepły, wilgotny język i straciłem oddech. Mieliśmy wtedy razem trzydzieści trzy lata, była o rok młodsza ode mnie, śniada, o niskim, szerokim czole i zrosniętych brwiach. Poznałem ją na cztery, może pięć miesięcy przed spotkaniem z M., mieszkała z matką i siostrą w sublokatorskim pokoju na Żłotej i w dniach, gdy lekcje kończyły się wcześniej, leżeliśmy na łożku w porozpinanych ubraniach, coraz mniej przytomnie odtwarzając nasz pierwszy pocałunek. Dlaczego z nią zerwałem - nie jestem pewien, czy tylko dla M., wydaje mi się, że ze strachu. Niepokoiła mnie jej gorzkość, było coś mrocznego w jej upartych milczeniach. Czasem w teatrze zaczynała nagle drżeć, wychodziliśmy w połowie sztuki i nigdy nie potrafiłem wydobyć z niej słowa, dowiedzieć się, czemu tak cierpi. Ty tego nie zrozumiesz... - Często wieczorami siedzieliśmy w pokoju z jej matką, siostrą, narzeczoną i przyjaciółmi siostry; zwykle pojawiał się wtedy młody, starszy mężczyzna, pan Marcin. Przy zgaszonym świetle recytowaliśmy wiersze Skamandrytów. Myślę, że w tych poetyckich godzinach między nią a mną działo się po ciemku to samo, co między jej siostrą i narzeczoną siostrą oraz jej matką i panem Marcinem. Kiedyś deklamując wiersz Tuwima o śmierci Prezydenta, wyczułem dłoń jej ciche drgać, jakby łkanie bez głosu. Po chwili ktoś zapalił światło, patrzyła na mnie wrogiemi czarnymi oczami. Dlaczego? - spytałem żegnając się przed wyjściem. Zbladła: - Ty tego nie możesz zrozumieć. - Rozumiem coraz mniej, potem nie chciałem rozumieć i wrzeszcze rozłączył nas szkolny bal w Ostanki. Przyszłodem wprzerobionym smokingu ojca, spóźniłem się, czekała na mnie posępna, w krótkiej brązowej sukience. - Wyglądasz jak oberkelner. - Z balu po kwadransie odwozłem ją do domu, wszystkie dziewczyny były w długich sukienkach. Nie przychodziłem przez tydzień, po tygodniu zatelefonowała jej siostra: jest smutna, powiedz jej zobaczyć, jest cierpiąca. Znowu leżeliśmy obok siebie na wpół rozebrani, obejmując się i tracąc oddech, ale więcej już ani razu nie przy-
szedłem.

W kilka lat później spotkałem ją przypadkiem na ulicy, właśnie w owym czasie, gdy rozstawaliśmy się z M. Nie ukończyła gimnazjum, pracowała w domu mody na Chmielnej i rzecz była jasna od pierwszego spojrzenia. Umówiliśmy się szybko na następny wieczór, wynająłem taksówkę, szofer znał hotel za miastem. - Tam będzie pan mógł spokojnie się wyspać z dziewczynką. - Nie zapamiętałem miejscowości, pamiętam tylko nazwę ulicy: Kościelna. To była późna jesień, w nieogrzewanym letnim pokoju z werandą zrzuciliśmy po ciemku ubrania. Powiedziała mi, żebym się nie obawiał, żyła od roku z żonatym mężczyzną. W zimnej pościeli napotkałem twardy, suchy opór i dopiero w chwili, kiedy zdawało się, że jest już po wszystkim, raptem krzyknęła wyginając się raz po raz w śpiesznych, kurczowych spazmach, podobnych do konwulsji. Potem ucichła i roześmiała się. Takim samym niskim śmiechem przywitała mnie w trzy lata później w tramwaju na Żoliborzu. - Więc teraz się nosi rude marynarki? Czarny, zmoczony welon opadał jej na prawy rękaw płaszcza, żałoba po siostrze, wyjaśniła. - Hanka nerwowo nie wytrzymała bombardowania, umarła zimą na zapalenie opon mózgowych. - Ona już była mężatką, jej młody mąż za wie-

ruszył się gdzieś na wschodzie, w Rosji. Mieszkała na placu Słonecznym, odprowadziłem ją pod dom. Wciąż zarzucała welon, żeby przyskonić opa-skę na rękawie. Po co ją nosisz? We Włoszech nie różniłabyś się od włoskiej dziewczyny, a w Hiszpanii... - Tak - zaśmiała się - we Włoszech i w Hiszpanii. - Ustaliliśmy, że ją odwiedzę za trzy dni. Przyszedłem po dwóch tygodniach, ukazały się wtedy obwieszczenia w getcie, w mieszkaniu na placu Słonecznym firanki były już zdjęte i potknąłem się o zapakowane walizki. Przyjął mnie leżąc z migreną na tapczanie w pokoju ogołoconym z mebli, zza drzwi było słychać krzątanie, w każdej chwili mógł ktoś wejść. Omotani pledem całowaliśmy się długo w milczeniu i zapadającym zmroku. Później, po dwóch czy trzech miesiącach, jeszcze przed zamknięciem bram getta, kiedy wybrałem się do niej na Sienną, nie było jej w domu, wyszła do znajomych. Czekałem około godziny siedząc na krześle w starej, ciemnej jadalni, którą wynajmowały z matką i panem Marcinem. Bóć mnie było tam kilka nieznanymi mi osób, ktoś wchodził i wychodził, ale nikt nie rozmawiał, czasami wymieniano szeptem pojedyncze słowa. Nie przyszła, a ja musiałem wracać.

...Ci, co nie potrafili sami się zabić, uciekli schodami w górę na ostatnie piętro, tam kładli się obok siebie na podłodze i leżeli tak, czekając nieruchomo, w całkowitym milczeniu, tylko jakaś naga jęcząca dziewczyna, zgwałcona przez szaulisów, wlokła się krwawiąca pod ścianą... Przyśniła mi się zeszłej nocy, skrwawiona, w żałobnym welonie zakrywającym nagie ramię z gwiazdą.

Ładnie przedstawił Hanuszkiewicz swoje sceniczne wyobrażenia "Trenów". Z teatru w ciepły wieczór pojechaliśmy na kolację do JMR-ów. Ewa tylko co wyszła z łazienki po kąpiele, Wawrzek już zasypiał i westchnął, kiedy do pocałowałem na dobranoc: - Powiedz... pójdziemy na nocny marsz? - Od miesiąca przyrzekam mu marsze nocne, zapamiętał je z wakacji w Nałęczowie, kiedy w parku wieczorem biegliśmy pod drzewami, atakowani przez czołgi nieprzyjaciół. W kuchni przy stole rozmowa o "Trenach", Hanuszkiewicz, Eichlerównie... JMR z twarzą uspokojoną, cały jak opłukany ulgą. Skończył czterystustronicową książkę o Słowackim. Wracamy po północy, z asfaltu skręcam w wąwóz i zjeżdżamy ostrożnie czarną drogą w dół.

Kiedy zgasiłem silnik, okazuje się, że wjechaliśmy w tumult. W wilgotnej ciemności, z parkowych drzew i od stawu brzmiał krzyk w wiolinach i basach. Trele i rechot zlewały się w opętany zgiełk peken wydzierających się jęków, rżężeń, pogwizdywań i kwików. Wrzask podnieconej dżungli, zawzięte przekrzykiwanie się gardeł. W szelestach, pluskach, tarcu, w łopotach. Stałem oczarowany. Wprost z betonu i spalin wpadłem pomiędzy odgłosy dawniej, prawdziwej ziemi. Z nieba wystawały kłujące, ostre gwiazdy.

Król i poeta, obydwaj wycierpieli tyle bólu dla swoich dwóch zjaw, umarłej żony i córeczki, że stały się żywe, przelali po nich tyle łez, że wypełniły cztery wieki. I nie lubili się. Zwłaszcza król serdecznie nie znosił poety. To niewesołe, Wielki poeta i mądry król. Czy między konarami dębów, w rzęsie stawów i ponad gwiazdami królowie także nie lubią poetów? Nocne okrzyki i szczebioty podobno nie są miłosne, to sygnały obrony terytorium: nie waż się, nie podchodź... Małych tęstnych śpiewaków mordują w zaroślach wypukłoccy królowie ptactwa, wśród liści i w krzakach leje się krew, na amerykańskich drzewach szare wiewiórki poza-gryzały rude, słabsze i mniej liczne, to był wypadek o s t a t e c z n e g o r o z w i ą z a n i a. Są jeszcze łasice i koty...

Lato buchnęło w maju, kobiety przynoszą z parku zakwitłe gałęzie i wstawiają je w pokojach do wazonów. Co dzień przyjeżdża ktoś z miasta, można od razu go rozpoznać po bladej, spotniałej twarzy. W Warszawie gorąco trawili ludzi, oczy mają jeszcze wystraszone po zimie. Rozmawia się miernie wyjącznie o zbliżającej się wizycie Papieża. Napływa pierwsza fala turystów, przybywają ludzie z miasteczek, z kontynentów, znad Bugu i Pacyfiku, z Kalkuty, spod Kielc, w domach na trasie przejazdu Papieża wykupuje się noclegi i miejsca przy oknach. Radio i telewizja wciąż jeszcze nie podały szczegółowego programu odwiedzin, nikt nie wie na pewno, trwają podobno układy i targi o ceremoniał, o homilie, o msze. Nie wiadomo, czy istotnie odbędzie się spotkanie z młodzieżą w kościele św. Anny i uroczysta msza na Placu Saskim, nie mówi się już o helikopterze, krąży natomiast wieść o białej łodzi, z której

Papież ma udzielać błogosławieństw na drogach; miała różdż umieszczona w otwartym samochodzie.

Domysły, wieści, przepowiednie wypiekają się w końcu zawisłym nad głowami jak dzwon. Naród czeka. Urzędy się boją. Obiegła pogłoska, że na spotkanie z młodzieżą partia ma pchnąć do kościoła dziesięć tysięcy swoich byczków. W "Spatifie", klubie aktorów, upił się syn premiera. Powiedział do Daniela Olbrychskiego: - Będziesz witał tego pastucha z Wadowic? - Aktor wstał i jednym uderzeniem zwał go pod stół. Synowi krew pociekła z nosa, aktor zaszedł do toalety u myć rękę. O synu premiera gazety paryskie zamieszczają sensacje w rubrykach z życia bogaczy. Daniel Olbrychski grał Kmicica w filmowym "Potopie". Jedni opowiadają o tym incydencie jako naoczni świadkowie, inni twierdzą stanowczo, że został wyssany z palca. Jedni skłyszeli na własne uszy komunikat o 400 wypadkach śmierci podczas niedawnej wizyty Papieża w Meksyku, drudzy zapewniają, że prasę zachodnią zdementowała ta wiadomość, kolportowaną na postrach przez agentury bezpieczeństwa. Codziennie nowe informacje. Prymas złożony chorobą... Premier pod namiotem tlenowym. Dla milicji uszyto już sutanny... Żyje się w ciągłej, napiętej gadaninie i trudno odróżnić zmyślenie od prawdy.

Rozsnuwa się pajęczyny w tej gęstwie, zastawia się sidła. Kto to jest Robert K., ujęty przez milicję jako sprawca pożaru w klasztorze sióstr Franciszkanek? W Polsce nie ma wariatów podpalających klasztory. Ale może go wyogień się rozszerzył - zależało komuś, by ogłosić, że spłonęła część starej dzielnicy wskutek zaniedbań administracji kościelnej. I może, dobrym obyczajem, kogoś przeznaczono na ów zbożny cel. A kim jest Tomasz M.? Bo na sąsiedniej szpalcie wydrukowaną notatkę o aresztowaniu Tomasza M. Okoliczności przytoczone w notatce świadczą jedynie o tym, że aresztowany jest fotografikiem. Ale w nagłówku - innym dobrym obyczajem - użyto słów przesadzających z góry wynik śledztwa: "fabryka fałszywych dokumentów i banknotów". Notatka kończy się pytaniem, czy jeszcze ktoś ma udział w "przestępczym łańcuchu". Otóż wiadomo, kim jest Tomasz M.: jednym z zatrzymanych po wybuchu bomby w Nowej Hucie.

Znowu leci sycząc pieśń gminna: "Pożary, bomby, dym i gaz. Żeby ich jasny piorun trzasł!"

Jadąc po południu do Wilgi, do Andrzejów Kijowskich, zaraz za Górą Kalwarią wyskoczyliśmy na wiadukt, z którego widać starą dolinę Wisły. Po prawej ręce w dole kładzie się ziemia z rozległym krajobrazem, obsypanym białymi sadami. Krajobraz jeszcze w kwitniu był nagi, szarobrunatny, teraz zamkwitł. Wiadukt, most i rozlewająca się po obu stronach Wisła, szeroka, nabrzmiała blaskiem, dalej gładki zjazd, asfalt nagle wbiega między domki, i znowu białe welony sadów, tym razem po lewej ręce i dużo bliżej. Przez cały czas jechaliśmy nic nie mówiąc, ale za mostem, za tymi sadami odzywamy się równocześnie i na dwa głosy zaczyna my wyliczać dzieci naszych znajomych, które w ostatnich latach powyjeżdżały z Polski. Imiona i nazwiska ciągną się jak litanie. Dzieci wywiezione przez rodziców, wysłane na studia, żyją - ce w Paryżu, Nowym Jorku, umieszczone u przyjaciół i krewnych, dzieci w Katedzie, w Niemczech, w Danii, dzieci-naukowcy, dzieci-sprzątaczkę, dzieci-nianki. Dzieci, które nie wrócą. Dórzucamy jeszcze czyjeś nazwisko, czyjeś kolejne imię, ten Piotruś w Harvardzie, ta mała Ania z warkoczycami w Genewie, Małgosia w Oxfordzie, Jaś w Uppsali... Każde nowe imię wykrzykujemy zdumieni i podnieceni, w końcu wyliczamy coraz wolniej. - I jeszcze Monisia z Witkiem w New Jersey - mówi M. - niedawno pojechała do nich córka Stasia.

Kościół, miasteczko. Dalej asfalt wpełza w las, suniemy cicho leśną drogą, z obu stron dachy połyskujące między pniami. Znowu inaczej i znowu ładnie. Na tej ładnej ziemi - myślę - będzie coraz mniej znajomych dzieci, zostaniemy tu z chłopakami-kataryniarzami, w tych domkach wyrosną dzieci-urzędnicy i dzieci-wojskowi, znajomych dzieci będzie coraz mniej, ale może nie wszystkie wyjadą. Zresztą niektórym odmówią paszportów.

Kijowscy mają w Wildze drewnianą chatkę, półtorę izby ze stryszkami, mieszczące się w spiczastym, dwuspadowym dachu. Prawdę mówiąc, cały domek jest poddaszem wstawionym w ziemię, między sosny. Pod jedną z sosen leży

pudel Kali, niedawno pochowany. Ten psi grób pośród drzew ma smutek i powagę ludzkiej śmierci, przy czym zachowuje proporcję stosowną do wymiarów chatki, tak jakby w nim spoczywał jej mąż, nieżyjący założyciel.

Po powrocie upalna noc w chmurach komarów, które pikują jak odrzutowce, z rozwścieczonym śpiewem. Noc i sen. Śnił mi się człowiek będący do pewnego stopnia mną, lecz nie całkowicie, mężczyzna w staroświeckim tużurku, sprzed obu wojen, i ów ja-nie ja miał twarz zeżartą liszejem, którego nabawił się w młodości od piętnastoletniej hiszpańskiej tancerki. Zwał go najawem, taką była nazwa liszaju, powtarzająca się w rozmowach między tym mną-nie-mną a kins, kto we śnie był jego powiernikiem. W śnie gęstym od niedopowiedzeń kryła się melancholijna wdzięczność dla dziewczyny za ów liszaj, za przeniesioną chorobę, o której nie wiedziała, i po latach mężczyzna z najawem wysyła do niej listy, wciąż zobowiązany do pamięci i pełen szacunku. Ponadto liszaj niejasno się wiąże z dawną omyłką, z jakąś ciężką na nim winą. Gdzieś ma pójść, aby ją naprawić, i to było niesłychanie ważne w całym śnie. Postać dziewczyny występowała w nim do końca w kostiumie naszytym cekinami, pamiętała jej czarne oczy, zamyslane i niewinne.

Najbardziej uderzyła mnie w tym śnie jednoznaczna cielesność i mglistość, swobodnie rozsunięta fabuła z ostro widzialnymi sylwetkami i trójplanową kompozycją czasu, złożoną stygmatem najawu, tajemniczą pamiątką, wyrzutem, skazą... Skąd i dlaczego ta nazwa - czy oznacza prawdę, która wyszła na jaw? Więc to był sen o grzechu?

Rano, kiedy opowiedziałem go M., wpadło mi na myśl, że mój sen, jeśli bym go opisał w powieści, krytycy uznaliby za nieautentyczny, wytknęliby mi zapożyczenie z "Doktora Faustusa". Jest w nim istotnie podobieństwo do diabelskiej przygody, muzyka z prostytutką, analogiczna symbolika choroby, piętna i grzechu. Możliwe. A jednak mi się przyśnił. Czy śniąc ulegam wpływom literackim i gdybym w moim śnie udusił z zazdrości kochankę, czy to by znaczyło, że wziąłem go z Szekspira!

Pewnej nocy letniej przeżyłem czyjąś śmierć w zgrozie, która do dzisiaj mnie straszy. Było to kilka lat przed wojną, w mieszkaniu na Lwowskiej. Zbliżał się czerwcowy egzamin, leżałem w łóżku przy otwartym balkonie, wkuwając paragrafy ze skryptu. Nagle dobiegła mnie wołanie o pomoc. Z podwórza, z jakiegoś okna w ciemności ktoś dwukrotnie krzyknął: - Ratunku! - Głos dochodził z góry, z wysokiego piętra. Zanim zdążyłem zerwać się na nogi, znów się odezwał: - Dozorca! Spadną! Ratunku... - Po czym usłyszałem jak podobny do skowytu: - Spadła... - i prawie równocześnie głucho uderzenie w dno podwórza. Wszystko stało się tak błyskawicznie, że o ratunku nie mogło być mowy. Po tygodniu znalazłem w gazecie pięciowierszową notatkę, w której nazwisko mężczyzny było zastąpione dwiema literkami. Nigdy się nie dowiedziałem, czy był to samobójca, zaczepiony w ostatniej chwili o parapet, czy może ktoś, komu po ciemku lub po pijanemu okno pomyliło się z drzwiami. I nigdy przedtem ani później tak bezsilnie nie odczułem równie strasznego błagania. A po dwudziestupięciu latach, kiedy opisałem tę letnią noc w jednej z moich książek, pewien krytyk orzekł, że całą scenę wziąłem z "Upadku" Alberta Camusa.

Życie, literatura, sny mieszają się ze sobą i zapełniają jedno o drugie. Nie ma wielu fabuł, wszystkie istnieją od zawsze, my tylko je reproduujemy, i może nasze słowa i majaczenia, zarówno jak nasze losy, są odtwarzane w pamięci.

Męcząca w moim pisaniu jest świadomość, że przekazuję tylko część prawdy, o sobie. Ale najgłępszą.

Wczoraj funkcjonariusze Bezpieczeństwa przeprowadzili rewizję w jednym z warszawskich mieszkań. Przepadł nakład 9 numeru ZAPISU, przygotowany do kolportażu. Strata ogromna. Zmarnowany nie tylko koszt materialny, lecz przede wszystkim wysiłek, misja o pracę w nieopisanie trudnych warunkach, no i ofiarność, pomyślność kilkudziesięciu młodych ludzi, których nazwiska z zasady się nie ujawnia. Ten numer 9 zawierał ciekawe, ostre teksty i byłby szeroko czytany. Ocalały nieliczne wypuszczone egzemplarze tzw. "jaskółki". Być może nowy nakład wydrukuję się za trzy, cztery miesiące. A le nie ma żadnej pewności, czy ten kolejny nakład także nie przepadnie. Istnieje nato-

miast pewność, że skonfiskowany ZAPIS nr 9 wejdzie do lektur Komitetu Centralnego, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ambasady ZSRR. Zawsze można liczyć na garstkę wiernych czytelników.

W tym samym czasie oficjalnie kontrolowane tygodniki bite są w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy i masę zwaśnionych konsumentów żuje tę sieczkę, jak obowiązującą strawę ludzi kulturalnych. Cztery razy w miesiącu ka-rmia się niby-prawdą i rzekomą treścią, nowoobywatelski język co tydzień urabia ich sposób myślenia. I tak, niespostrzegalnie, bezwiednie, przywyka się do białych plam zakrytych czcionkami, do uników i pa pierowych szalberstw, ze słowem p a t r i o t y zm wyobrażanym na wszy-stkie przypa-dki. I tak się żyje w zacynym poczuciu swojej nienaruszonej polskości.

W eseju "Krypta św. Leonarda" Andrzej Kijowski cytuje słowa wypowiedziane w roku 1816 przez cara Aleksandra I, dwa z-dania, od których w głowie robi się zimno i pusto: "W celu uspokojenia Polaków należy schlebiać ich narodowej miłości własnej. Traktując ich tak, jak obecnie, uczynią z nich Rosjan gdy tymczasem im zdawać się będzie, że są wciąż Polaka-mi".

Jeszcze trzy dni w Oborach, w środę wracamy do Warszawy. Moja sprawa berlińska utknęła w kompetencyjnym zwarcu między Biurem Paszportów, Ministerstwem Kultury a Związkiem Literatów. Okazało się, że przy podaniu o paszport muszę załączyć opinię na piśmie, uzasadniającą celowość mojego wyjazdu. Taką opinię może wystawić Ministerstwo Kultury lub Związek Literatów. Otóż do wystawienia formalnego pisma z pieczętą obydwie instytucje odnoszą się ze wstrętem. W biurze Związku na mój widok urzędnicze opada lewa powieka. Podobno j e s t z g o d a, wszystko zakatwione. A pismo? Pismo nie ma.

Ponieważ 1 czerwca miałem być w Berlinie, uprzedziłem listownie tamtejszą sekretarkę, miłą pannę Richter w okula-rach, że nie wiadomo, czy przyjadę w tym roku. Zaklejając list dodałem w myśli post-scriptum: "Droga panno Richter, w moim kraju życie jest snem, ma-m już co do tego absolutną pewność".

Przez otwarte okno widać ścianę zieleni i klomb podchodzący ku stopniom terasu. Nie wiem, o czym dziś pisać. Bzy w tym roku nadzwyczaj bujnie zakwitły. Na pierwszym piętrze ktoś włączył radio i słycha-ć komunikat o wyrokach śmierci na homoseksualistów w Iranie. Pod gałęziami kasztanów przechadza się M. w luźnej niebieskiej sukni i chustce także niebieskiej, podobnej do zawoju na głowie. Spaceruje wyprostowana. Nigdy nie potrafiłem tak prosto się trzymać. O czym teraz myśli? Często myślimy jednocześnie o tym samym. Ale o czym teraz... o czym teraz? Zbliża się do krzaku bzu, przystaje, podnosi rękę. Uśmiechnęła się, "Jak bzy zakwitną" - mówił Wilek Ma-ch wytrzeszczając oczy - to już po wiosnie, serwus lody, bzy to zima i szlus!"

Zatrzymała się przy bzach i przez chwilę uśmiecha-my się we troje z Wilkiem.

czerwiec

Z zapakowanym majdanem, z rękopisem, maszyną, pledami, parasolami, z ekspresem do parzenia kawy i zimowymi butami w bagażniku - powrót do Warszawy. Z malarycznego upału w Oborach wjeżdża-my w żar miejski, atakujący uszy, oczy i nos zgrzanym zapachem, rozpędzonymi połyskami metali i trąbą zgiełku. Na placu Zbawiciela znalaz-łem miejsce do zaparkowania i wysiad-łem z samochodu, czekając na M., która poszła zakatwiać sprawunki. Po wilegotnej zastoinie Obór miasto wydało mi się napaśnięte gorą-czką, stałem jak urzeczony, nie pojmując, o co chodzi w tej kołowaciźnie, lecz już z podziwem i chęcią, już ssany wolą życia. Klomb w Oborach i pałac z różskonecznym tarasem odsunęły się i zmniejszyły: nie do wia-ry, że przez dwa miesiące mogłem żyć chodząc w kółko albo pa-trząc na drzewa. Pod koniec byłem tak wypoczęty, tak wypełniony ciszą i świergotem, że siada-jąc do pisanie nie miałem w głowie ani jednej myśli. Teraz nareszcie w centrum, w samym środku kręćka. Ale stoję w strachu. Czy dam radę, czy w tej kipiącej smole będzie się można zmieścić ze swoim życiem i pisaniem, czy w ogóle tutaj jest miejsce dla kogoś, kto codziennie rano wyłącza telefon i wtyka właszy gąłki dźwiękoszczelne, żeby przez trzy godziny obstawać w chorobliwym uporze przerabiania siebie na słowa - dla kogoś, kto nie umie już żyć.

inaczej, bez tych kilku godzin, ale nie potrafi też istnieć bez ludzi i faktów, sam, z dala od tego miasta, poza krawędzią tygla?

Pojechałem przez Mokotowską do Kruczej i zaraz dalej przeciąłem Aleje Jerozolimskie w kierunku placu Napoleona. To są nasze trasy, ulice, które znaliśmy najlepiej, przed wojną i podczas wojny. Na Mokotowską przywędrowałem w drugim miesiącu Powstania, po upadku Powiśla, i wtedy także przeciąłem Aleje Jerozolimskie, tylko w przeciwną stronę i spodem, niskim przekopem pod jezdnią. W chlebaku miałem wtenczas kilka sucharów i rękopis "Drewnianego konia", a szedłem na Mokotowską, żeby odnaleźć M., która była u przyjaciół w domu nr 51/53 cofniętym w głąb i oddzielonym od chodnika sztachetami. Z tych ulic właściwie można by ułożyć całą naszą historię. W Alejach Jerozolimskich niedaleko Kruczej mieszkała z rodzicami już przed wybuchem wojny; przemieśli się tu po przeprowadzce z Topolowej na róg Ordynackiej i Nowego Świata. Stąd wyruszaliśmy przez Szpitalną i Mazowiecką do "Simu" albo "Zadiaku", by omawiać warunki naszego rozstania i tutaj w roku 1943 złożył jej wizytę pewien młody człowiek, znajomy kolegi sprzed wojny, który przejawiał żywe zaciekawienie moją osobą i adresem - wymieniając przy tym dość znaczną sumę pieniężną - i którego M. po pierwszych słowach wyrzuciła za drzwi. Również w tym domu zawiadomiono mnie o śmierci mojego ojca, a wkrótce potem tutaj przyszła moja matka zza Murów. Gdy rozległ się dzwonek i pobiegliśmy otworzyć, przywitała M. uśmiechem: - Wolałam przejść się spacerkiem, zanim mnie stamtąd zabieriecie, bo tylko byłby kłopot i fatyga. Muszę powiedzieć, panno Marysiu, że ślicznie dziś pani wygląda. - M. miała ją przywieźć nazajutrz jakąś elektrotechniczną furgonetką, wszystko było umówione co do minuty. Moja matka postanowiła jednak o dzień wcześniej odwiedzić państwa Zenowiczów. Przeszła przez gmach Sądów i po drodze kupiła ładne żółte róże w kwaciarni. W kwadrans po wypiciu herbaty dyskretnie spojrzała na zegarek. Wziąłem jej czarny raseserek i pojechaliśmy we dwoje na Mokotów, na ulicę Narbutta, gdzie po aresztowaniu ojca mieszkałem u Ireny, szkolnej koleżanki M., której mężem był Staszek Średnicki, zaprzyjaźniony z nami jeszcze w "Kuchni Młodych". Matka nosiła żałobę po ojcu. Dopiero w parę dni później zaczęła mówić o jego śmierci.

Ale dom na Narbutta to już inna dzielnica, nasz rejon obejmował przeszerzeń od placu Zbawiciela do Uniwersytetu, z przecznicami Koszykowej i Śniadeckich, z domem na Lwowskiej 5, z którego chodziłem do gimnazjum na plac Małachowskiego, właśnie przez Mokotowską i Bracką, a dalej Mazowiecką, gdzie znajdowała się "Fregata", w której piliśmy wódkę w pierwszym okresie wojny i skąd musiałem zniknąć od dnia, gdy przy sąsiednim stoliku usiadł mężczyzna ze swastyką w klapie marynarki, ten sam, co w mieszkaniu na Asnyka wyjął mi z ręki rakietę tenisową. Dobrze pamiętam sekundę odrętwienia, kiedy mi się zaczął przyglądać, i nie czekałem, aż przypomni sobie rakietę...

Z tych dawnych tras pozostały jedynie fragmenty, czasami tylko poszczególnie domy. Reszta się zepadła, wybudowana na nowo, zastawiona innymi gmachami, podobnie jak nasza pamięć, w której przetrwały porzucane narożniki, samotne bramy, kawałki ulic p l o m b y. Coraz trudniej zrekonstruować całość. Tym trudniej, że obraz ciągle się zmieniał. Sprzed wojny zapamiętałem ulice w zieleni i kwiatkach z żywopłotkami kawiarnianych werand i kolorowymi szyldami, później chodziłem nimi wśród grobów i rumowisk, a jeszcze później wśród rusztowań. Teraz dom na Mokotowskiej jest zabytkiem, występuje w filmach z epoki Dwudziestolecia /niedawno posłużył za stylowe tło w którymś z telewizyjnych serialów/ i kiedy go mijam w powrotniej drodze z Obór, rozbawia mnie myśl, że my także przejeżdżamy tędy jak zabytkowa para. Ale jednocześnie przyszła mi do głowy inna myśl. Mianowicie taka: wszystko w tym mieście się zmieniło, prawie nic nie zostało z jego dawnego życia, ulic i ludności, i tyle samo zmieniło się we mnie - wszystko lub prawie wszystko - a jednak moja przeszłość i przeszłość tego miasta, nie istniejąca już fizycznie i przekształcona w nowe doświadczenie - mimo to dla mnie wciąż tworzą wspólne i jedyne źródło akcji, właściwie każda moja myśl powstaje z tego miejsca, z tamtego czasu, każdy mój wątek tam sięga. Mówię o "źródle akcji". Powtarzam to uświadamiając sobie jasno, że nie idzie tu o proustowskie źródło czasu, lecz o rzecz zgoła inną: o akcję fabularną. Ja w tym mieście - a ściślejmy oboje - stanowię czy stanowimy dla siebie pewną nie ukończoną,

rozwijającą się kompozycję narracyjną, której spełnianie się w ciągłym nierozstrzygnięciu tym więcej zaciekawia i podnieca, że wiąże jedność miejsca, że była od początku włączona w los miasta. Bo równolegle toczy się druga opowieść - o mieście - i ta opowieść prowadzi nasz temat, dyktuje sytuację. W sumie: żywa fabuła, niekiedy silnie wciągająca. Nałóg owej fabuły odczuwam w takim stopniu, że każdy dłuższy pobyt za granicą wydaje mi się przerwą w życiu. Prócz kilkunastu stron "Dżokera" napisanych we Włoszech oraz dwóch listów z "Wariacji pocztowych" - we Francji, za granicą nic nie napisałem. Nie mogłem nic wymyśleć poza miejscem akcji. Przecież wszystkie moje włoskie "Listy do pani Z." także pisałem nie tam, lecz dopiero po powrocie, czyli tutaj, na miejscu.

Zakomunikowano mi wczoraj w Związku Literatów, że Wydział Kultury KC odmówił zezwolenia na mój wyjazd do Berlina Zachodniego. Więc sprawa upadła. To znaczy, że o niczym nie muszę decydować, zostaje. Jest w tym pewna ulga. Pojedziemy nad morze, a potem w sierpniu do Lanckorony, pod Kraków. Zapewniam M., że tak będzie dobrze. Przez chwilę sponiewiała: - Nas już stąd nigdy nie wypuszczą. - Nie było mi trudno na to odpowiedzieć, skoro jest oczywiste, że nie w tym kraju nie trwa wiecznie.

Uderzyło mnie jednak co innego: pesy-mistyczny ton w jej głosie, powtarzający się od czasu choroby. Rzecz zupełnie nowa. W naszym związku to przecież ona zawsze była optymistką, radosną konsumentką życia i jej nieuleczalną ufność w dobre przeznaczenie, niekiedy wbrew oczywistości, uważałem za coś lekkomyślnego, za zuchwałość. A jednocześnie potrzebowałem tego. Do dzisiaj nie jestem pewien, ile w jej optymizmie było prawdy, a ile z czarów, zamawiania od złego. Bądź co bądź jej dobre wróżby na ogół nie sprawdzały, jakkolwiek musiałem się do nich przykładać. Kiedy w obozie w Pruszkowie straciłem wiarę w możliwość ucieczki i powiedziałem jej o tym - była noc, leżeliśmy zmarznięci na betonie między pryzmami - zapaliła po ciemku papierosa, mówiąc, że na pewno znajdzie się jakieś wyjście. - Zobaczysz, daję ci słowo... - Zasnęła nie kończąc zdania. I sprawdziło się. W ostatnim momencie, ale dość równie w ostatnim, kiedy z hali wygarnięto już prawie wszystkich do odrutowanych baraków, rozdzielając kobiety i mężczyzn udało mi się niemal cudem zdobyć kartkę z pieczęcią obozowego lekarza i podrobiłem zwolnienie dla pięciu osób. Przeszliśmy przez wachę. - Widzisz? - śmiała się - mnie trzeba wierzyć, byłem spokojna, że się wydostaniemy.

Teraz okazuje się, że ja muszę być spokojny.

Osmego czerwca. Wczoraj po południu transmitowano mszę odprawioną przez Jana Pawła II w Oświęcimiu.

Przez kilka dni po powrocie rozpakowywałem walizki i porządkowałem rozmaite drobiazgi w pokoju, żeby przywrócić stan rzeczy sprzed wyjazdu. Wychodziłem mało - dopiero w piątek wieczór, 1 czerwca, poszedłem na dłuższy spacer po mieście. Przez te pierwsze dni przystosowywałem się do normalnego warszawskiego życia - jeśli można je nazwać normalnym - o pracy nie byłem jeszcze mowy, robiłem tylko notatki. Drugiego dnia wysłuchałem w telewizji rozmowy o literaturze współczesnej, pogawędki czterech niezwykle uprzejmych dla siebie panów, którzy starannie omijali pewne niewygodne nazwiska, dbając przy tym o wysoki poziom i swobodę. Po obejrzeniu ich występu przypomniał mi się staw w Oborach. Zanotowałem w biulionie: "Od wielu lat w Polsce, to co nazywa się życiem literackim, podobne jest do stawu. Na wierzchu leży gnijąca rzęsa, a pod nią w głębi płyną niewidzialne karpie".

Przez czwartek i piątek przekrzykiwały się chóry pogłosek, piętrzyły się apokaliptyczne wizje. Dwa miliony chłopstwa nadciągnie z wozami i końmi do Warszawy, strąci miasto, poniszczy ogrody, zrujnuje sklepy... Dwa miliony będą spać pokotem w sieniach, zostawią po sobie choroby, kłajno i trupy, co najmniej pięć tysięcy zginie, uduszone, porażone, zmiażdżone... Premier nie żyje, na czas wizyty zamroza się ciało, skonał na wiadomość o występku syna... Nastąpią rabunki mieszkań, cenniejsze przedmioty trzeba wynieść z domu...

Takie wieści zazwyczaj są fabrykowane w określonym celu, ale też często mieszają się z samorzutną wyobraźnią ulicy, z jej moralistyką i beletrystyką.

/premier w lodówce, ojciec ukarany za grzechy syna i własne/ i nauczyłem się ich nie lekceważyć, bo ulica nie zawsze bredzi - czasami miewa przeczucia trafniejsze od spekulacji intelektualnych. W przeddzień odwiedzin Papieża, w piątek wieczór, wyszedłem na miasto, żeby się przyjrzeć temu, co się naprawdę w nim dzieje. Skwar zelżał, ale wieczór był jeszcze bardzo ciepły. Na Krakowskim u skrzyżowania z Miodową samochody przeciskały się wśród tłumu zalewającego jezdnię. Letni wieczór, ani jednego mężczyzny w marynarce, wiele kobiet z obnażonymi plecami, same letnie sukienki. Młodzi ojcowie nieśli małych chłopców wysoko na ramionach, zauważyłem też sporo starszych małżeństw trzymających się pod rękę, a parokrotnie mignęły mi twarze znajome, niegdyś widziane, jakby po latach wynurzające się z pamięci. Na Świętojańskiej i Piwnej tłum był gęsty, zbijał się zwłaszcza przed kościołami - na Placu Zamkowym szedł luźniej. Przed kościołem św. Anny budowano podium pod ołtarz, na stopniach robotnicy stukali młotkami. Tutaj znowu robiło się ciasno. Idąc napotykałem coraz częściej znajomych z widzenia, których nazwisk nie mogłem sobie odtworzyć, i dopiero po jakimś czasie pajałem, że to nie są znajomi, tylko po prostu ludzie o wyglądzie dawnej inteligencji, ci, którzy na codzień giną w masie, których nie widziałem. Więc jeszcze są, wylegli całymi rodzinami.

Właśnie, co mnie najśilniej pociągnęło, to był rodzinny nastrój ulicy. Inny sposób chodzenia, zmieniony skład i rytm. W tej ogromnej ilości nie czuło się naporu, tłum zwolna felował, ludzie szli nie potracając się, ustępowano sobie w przejściu. Gdzieś tam przesuwały się gromadki duchownych - księży i zakonnic - szarne sutanny, kornety i jasne habity tworzyły nowy akcent w miejskim obrazie, przypominając włoskie miasta, z ich spacerowym korsem wieczornym po ostrygnięciu upału, kiedy na ulicę wychodzą wszyscy i wszystko się ze sobą miesza. Tu było podobnie. Po raz pierwszy od lat szedłem wtedy obserwując z ciekawością ludzi i uśmiechając się do przechodzących. Ani przez chwilę nie czułem zagrożenia, skurczu obawy czy złości. Doszedłem do Placu Zwycięstwa, gdzie ustawiono kilkunastometrowy krzyż, górujący nad placem w miejscu przeciwnym do Grobu Nieznanego Żołnierza. Pracowała tam katolicka straż porządkowa. Chodząc po placu uprzytomniłem sobie, że na całej trasie od Starego Miasta nie spostrzegłem nikt tylko ani jednego pijanego człowieka, ale też ani jednej twarzy policyjnej. Rozpoznać tych ludzi nie jest trudno i jeśli ich nie zauważyłem, mogłoby to znaczyć, że Bezpieczeństwo otrzymało nakaz nieingerencji. Pewnie gdzieś byli, ale schowani. Służbę porządkową w mieście objęli młodzi ludzie w niebieskich czapczkach. Plac Zwycięstwa był już przez nich strzeżony, przemawiali z głośników prosząc o opuszczenie placu, inni zaś, stojący w przejściach, kierowali odpływ ku wylotom. Tłum posłusznie odchodził. Było jeszcze widno, plac z wolna się opróżniał, głośnik przekazywał uprzejmie komunikaty; obecność publiczności na placu utrudnia przygotowania, a do jutrzejszej mszy pozostało niewiele czasu.

Wracając jednym z przejść, między barierami zmontowanymi z metalowych rur, spotkałem parę znajomych malarzy, z którymi wymieniliśmy pierwsze wrażenia. Dla nich i dla mnie było jasne, że w mieście od paru godzin staje się rzecz niezwykła. Nie umiałem jeszcze określić, na czym ona polega. W oczach został mi widok placu z krzyżem na wielostopniowym podwyższeniu. Ogromny krzyż, z którego ramion spływała przewieszona szkarłatna stuka. Późnym wieczorem mówiłem przez telefon z Andrzejem Kijowskim. Pytał, czy byłem na mieście i jak to wygląda. Usiłowałem mu opisać spacerowy pochód tłumu, nie potrafiłem jednak oddać tego, co mnie najgłębiej poruszyło - atmosfery powagi i zarazem swobody, a przede wszystkim wewnętrznego związania, połączenia się ludzi między sobą. Powtarzałem tylko, że jest spokojnie, że jest inaczej, i że nic złego stać się nie może. A na Placu Saskim - dorzuciłem - stoi dekoracja z "Dziadów"...Odkładając słuchawkę miałem uczucie, jakbym nie powiedział rzeczy najważniejszej. Bo najważniejsze było to, co zawierało się w owym i n a c z e j, właśnie to niesłychane i przejmujące, czego nie widzieliśmy od lat: że w mieście dzieła się rzecz prawdziwa.

Rzeczy prawdziwe, to znaczy zgodne z rzeczywistością, to znaczy autentyczne, dzieją się na ogół wówczas, kiedy jest uszanowana wola zbiorowa i są wyrażone ludzkie treści i gdy nie postępuje się wbrew społecznym odczuciom i pojęciom. Wtedy ludzie chętnie przychodzą sami, nie trzeba ich spędząć ani obstawiać, tuby i kordony stają się wówczas zbędne. Przychodzą na miejsce

swojej prawdy, która ma naturalność światła dziennego. Tego wieczoru na Świętojańskiej, na Krakowskim, na Placu Saskim ludzie przyszli obejrzeć miejsce, które odwiedzi Papież. I obejrzeli siebie. Wielotysięczny tłum zobaczył siebie, utwierdził się w poczuciu własnej obecności - tłum z dziećmi, z babkami, z lodami i psami, nie kierowany z zewnątrz, letni, barwny tłum przyszedł ze wszystkich dzielnic tylko dlatego, że chciał być tutaj. Po co - po to, żeby popatrzeć i zobaczyć. Tak samo ja po to tutaj przyszedłem. Jednakże sam fakt równoczesnego przybycia tysięcy ludzi bez wezwania już był mocno zastanawiający. Odzwyczajono ich od tego, że są żywą zbiorowością, uczyniono wiele, aby ich przekonać, że stanowią zorganizowaną bierną masę, której ruchami się steruje. Przyszli tu obejrzeć miasto w przeddzień wizyty Papieża, nie myśląc o niczym innym i nie uświadamiając sobie, że swoim przybyciem przeprowadzili dowód własnego istnienia.

Tego się nie da sfilmować - tego, o czym tutaj mówię - pewnych zjawisk nie chwytają kamery i taśmy. A chciałbym takie właśnie sprawy opisywać, najchętniej i przede wszystkim takie: na które nie ma rejestracji. W jaki inny sposób można by przekazać niezwykłość owego wieczoru, jego szczególną obrazowość i powagę, i skupioną odświętność? Trzeba by wyświetlić całą przeszłość, całą psychikę narodu. Później w domu próbowałem ustalić, co mi ten wieczór przypominał. Dość długo się mążyłem, zanim wpadła mi do głowy arcyprosta odpowiedź, że podobny nastrój miały niektóre letnie wieczory w Warszawie przed wojną. Pierwszy raz tak silnie - po ilu, nie wiem, ale po wielu, bardzo wielu latach - złapał mnie ten obraz. A tego również nie da się sfilmować. Czasu w człowieku nie da się sfilmować.

W tym, co się teraz dzieje w Warszawie, osobliwe wrażenie sprawia fakt, że władzę nad miastem przejął Kościół. Milicja prawie nieobecna. Panuje całkowity spokój, nie potwierdziły się strachy, ulice są czyste, przycichły nawet wrzaski na Starym Mieście. Nie stratawały nas kopyta i nie zaleł tłum chłopstwa. Najciekawsze jest to, że w ogólnym nastroju brak wszelkiej dewocji. Z dawnych procesji, zwłaszcza w Boże Ciało, zapamiętałem typ fanatycznej bigotki, o rozpalonych policzkach, ściskającej wstęgę feretronu z rozśpiewaną histerią, która napełniała lekkiem. Takich postaci tym razem nie widzę. W nocy pod moim oknem przeciągają grupy studentów, dziewcząt i chłopców, często prowadzone przez księży. Idą ze śpiewem, lub głośno rozmawiając, ale te odgłosy nie drażnią, jest w nich spontaniczna wesołość, która się udziela. Przed mszą niedzielną w kościele św. Anny moją ulicą około 3 w nocy przeszło wiele takich grup.

Jeślibym miał określić jednym słowem moje przeżycia na widok tego, czemu się przyglądam od kilku dni, powiedziałbym: z d u m i e n i e. Nie tym jedynie, że nad Placem Zwycięstwa dominuje krzyż, i nie tylko, że władza milczy, jakby schowana przed narodem. Zdumiewa najbardziej myśl, że swoją prawdę naród umiejętnie chronił i przechowywał. Tak długo i tak umiejętnie. Nasuwa się podejrzenie. Czy nie za pochopnie sądziło się tę masę, widząc w niej bezwład i skabość lub dopatrując się w jej zniewoleniu codzienną wegetacją - braku zasobów duchowych.

Samochody, telewizory, lodówki... Nazywając to "małą stabilizacją", prezentując Polskę jako społeczeństwo urządzających się nowomie-szczan, mimo woli dopomagano w oszustwie. Jest dzisiaj rzeczą rzeczywistego bytu - samochody, lodówki i telewizory rzucono by na barykady. Ktoś mi wczoraj powiedział: "To nie jest wybuch uczuć religijnych. To manifestacja patriotyczna, powstanie narodowe bez wystrzału. Przyjechał podnieść nas z błota".

Ile mogą z tego zrozumieć intelektualiści na Zachodzie - ci, co organizują demonstracje pederastów i feministek, choćby tacy jak piękny Oscar Callezos, mój berliński znajomy, który mi opowiadał o wiecach lesbijek w Barcelonie. Ale czy oni muszą nas rozumieć? Nie muszą nas rozumieć, podobnie jak my nie musimy znać ich problemów i kompleksów. Często twierdziłem, że ośmieszymy się chcąc uczyć Amerykanów czy Francuzów, jak winni postępować i myśleć z pożytkiem dla siebie. Nie mamy ich przeszłości, nie uczestniczymy w ich życiu. Nie musimy tak jak oni przeżywać spraw Senegalu i Wietnamu, ponieważ nasi ojcowie nie byli tam kolonizatorami i nie nas wysyłano tam na wojny. Ale też i oni nie mają danych na to, aby nas uczyć myślenia i postępowania, bo o naszym życiu wiedzą jeszcze mniej. Na krótko przed wizytą

nieodpartą, że - gdyby tylko zarysowała się szansa odzyskania

Jana Pawła II w Polsce wysłuchiwał relacji od kogoś, kto świeżo wrócił ze Szwecji. Tamtejsi intelektualisci utrzymują, jakoby Polskę ogarnął nawrót fanatyzmu religijnego, podobny do nacjonalistycznego wybuchu Islamu w dzisiejszym Iranie... W tym momencie skłoniłem głowę przed Amerykanami. Trzeba doceniać społeczeństwo, które ukuło na intelektualistów nazwę jajogłowi.

Przed południem w sobotę telefonował sekretariat PEN-Clubu: jest dla mnie karta wstępu na mszę, którą Papież odprawi o 16 na Placu Zwycięstwa. Miałbym miejsce siedzące; podziękowałem jednak i chyba się opłacało, bo przez telewizję ujawniały się w zbliżeniu obrazy będące poza zasięgiem wzroku ludzi obecnych na placu. Przede wszystkim - osoba Jana Pawła II.

Promieniowanie indywidualności, z jakim nie zetknąłem się dotychczas. Sposób poruszania się, gesty, intonacje wypowiedzianych słów - wszystko naznaczone prostotą, zdawałoby się, tak zwyczajną, że w pierwszej chwili myśli się: pocziwy. W chwilę później odkrycie: ta postać w białych szatach każdym skiniem powiększa swoją niepospolitość, w jej ruchach jest wyczuwalna siła cierpliwej pracy duchowej i fizycznej. Siła ukryta częstokroć w pokuśmieniu, w milczeniu lub wyhamowaniu gestu. Telewizja pochwyciła na lotnisku moment witania się z kardynałami. Zrozumiałem wtedy, o czym mówił Wałęsa po powrocie z Rzymu - brak pośpiechu i chrześcijańskie przygarbienie. Po wymianie uścisków Papież rzekł do kardynałów: - Uszanowanie Wami Muszę już iść, bo pchają mnie dalej. - Była w tym powiedzeniu żartobliwa pokora, Papież oddalił się nieśpiesznymi krokami ogrodnika. Zapamiętałem ów epizod może dzięki temu, że kamery wykadrowały twarz z bliska. Przyglądając się twarzy Jana Pawła II zwróciłem uwagę na jej rzeźbę utworzoną z kilku dużych płaszczyzn. Szerokie czoło i policzki, masywnie uwydatniona dolna szczeka, wysunięta silnie do przodu. Oczy głęboko schowane pod jasnymi, chłopskimi brwiami mają niekiedy uchwytliwy wyraz: między z troską a bystrą, dociekliwym namysłem. Nie potrafię dokładnie określić moich skojarzeń, chociaż z pewnością nasunęło mi się podobieństwo do szerokogłowych popiersi kamiennych z epoki republikańskiego Rzymu, a równocześnie do naszych twarzy wiejskich, tak samo sklepionych wszędzie, jak tamte, zbudowanych z prostych, twardych płaszczyzn. Cała sylwetka - pleczysta, o ciężkich barkach - nacechowana jest czymś, co kazało mi pomyśleć o oględności pełnej sprawdzonych doświadczeń. Wyraża się to nieraz w sposobie podania ręki, "przy ciele" i nie za szybkim, ale i w całej postawie, w pochyleniach głowy oraz rytmie kroków, przypominającym, jak mówiłem, rozbawionego ogrodnika chodzącego wśród grządek. Trudno mi pamiętać malowidła kościelne ukazujące postać św. Piotra, wyobrażam sobie jednak, że tak właśnie wyglądał. Z biografii zamieszczonej w prasie dowiedziałem się wieku Papieża: Jan Paweł II urodził się w roku 1920. Nie uwierzyłbym, że pierwszy człowiek, którego postać narzuci mi wyobrażenie św. Piotra, będzie młodszy ode mnie.

Tę próbę opisu - myślę - spowodowało wiele przyczyn. Między innymi chęć wywnioskowania z zewnątrzności, z twarzy i postawy, o wnętrzu duchowym człowieka. Przyglądając się Papieżowi kroczącemu, Papieżowi całującym ziemię i przemawiającemu do tłumów, rozważałem, czy ów młodszy ode mnie Namiestnik Chrystusa, przeżywa w swoim życiu stany psychiczne podobne do moich - czy mają do Niego dostęp wątplenie, lęk albo depresje. Myśli niestosowne, a jednak zaciiekawiające. Co czyni Papież ze swoją niepewnością, jak się obchodzi z grozą bytu... W jakim stopniu najwyższe zwierzchnictwo nad Kościołem Powszechnym kształtuje Jego indywidualne człowieczeństwo, co jest w Nim urzędem i formą wypracowaną przez dwa tysiące lat, a co współczesną ludzką kondycją. Być może na takie pytanie chciałem sobie odpowiedzieć przyglądając się twarzy Papieża i opisując ją. Ale...

Ale to jeszcze nie wszystko. W próbie opisu, przekazania za pomocą słów tego, co kamera rejestruje obrazem, jest dla mnie pewna wartość, lepiej powiedzieć, ambicja: utwierdzenia w sobie wiary w literaturę, w sens literatury. Opis literacki... ile miejsca pozostawiają maszyny i aparaty techniczne, polityczne? Bardzo niewiele. Świat jest dziś pokazywany albo nazywany. Pisanie, literatura staje się zajęciem wbrew rzeczywistości, coraz bardziej dziwnym i samotnym. Otóż właśnie, praktykowanie owego zajęcia budzi potrzebę oporu wobec aparatury naskuchów i stereofonii, pragnienie wojny z tubami, kasetami i taśmami. Wtedy zaczyna się tęsknić za opisem. Za mozi-

nością opisu, za solidnością opisu. Przypuszczalnie wyraża się w tym również odruch samoobrony przed epitetem zastępujący opis. Przed nazwą. Przecież żyjemy w świecie nazw, wytwarzanych przez liczne rodzaje propagandy, i kiedy słyszymy: "agent" czy "genialny przywódca", oznacza to, że usiłuje się nam wcisnąć w mózg zaklęcie, hasło, które nas zwalnia z obowiązku opisu, z obowiązku wiedzy złożoności. Niedawno temu, w trakcie jakiegoś sporu powiedziałem: - Zamiast go nazwać, opisz go. - Była mowa o którymś ze znajomych, o jego charakterze. Opis jest czymś trudniejszym i sprawiedliwszym niż epitet, o jego charakterze się o tym przekonałem. Mniej ludzi potrafi rzecz lub człowieka opisać niż nazwać.

Możliwe, że używając terminu "opis" mam na myśli literaturę w ogóle i przywiązując szczególne znaczenie do opisu, mówię o stosunku między pisanymi słowami a współczesną cywilizacją. Pisarstwo wymaga w naszych czasach nie tylko wiary w siebie, to również wiara w literaturę na przekór cywilizacji. Nieopłacalne, ale bądź co bądź dumne zajęcie - zajęcie donkiszotów.

Więc mówiąc "opis" rozumiem przez to opowiadanie o życiu przy pomocy słów oraz z pewnością sensu kilku rozróżnień, takich jak dobro-zło lub prawda-kłamstwo. Powiedzą mi: nie mówisz o literaturze, myślisz o bajkach. Ano tak, bardzo bym sobie tego życzył. Żeby literatura wróciła do swojego źródła do opowieści o doświadczeniach i przygodach ludzkiej istoty ze światem - z naturą, ludźmi i bogami. Podejrzewam, że wszyscy czują dziś zmęczenie wrzaskiem rozpacz i jękiem wydawanym przez artystów w obliczu rozbitcia i chaosu, całą tę nowość kopiując sobie grób eksperymentalnymi kopiatami, po to, żeby nas wszystkich w nim położyć i razem śnić zdesperowane sny kretynów. Och, jak ja tego nienawidzę!

Myślę o fabułach, o baśniach snujących cudowne i straszne losy dziewcząt zamienionych w sowy i chłopców, którzy stali się władcami. Bez nich nie będzie literatury. Jeżeli się odbierze ludziom wiarę w to, że życie jest fabułą z morałem - przestaną wierzyć w literaturę i życie. A jeszcze pragną wierzyć. Przyszli zobaczyć człowieka urodzonego w małopolskim powiatowym miasteczku, człowieka, który stał się następcą św. Piotra i błogosławił ich na drogach ze swego białego pojazdu. Dla ludzi stęsknionych do baśni, czyli do prawdziwych opowieści o życiu, to jest wspaniała fabuła, cudowna akcja z bohaterem i przesłaniem.

Kamery telewizyjne przekazały scenę-obraz, która pewnie na zawsze wejdzie do ikonografii narodowej: Papieża i Prymasa klęczących u Grobu Nieznanego Żołnierza.

Po obiedzie w poniedziałek na kawę wstąpili Kijowscy. Rozmowa przez cały niemal czas toczyła się o Papieżu, którego Andrzej widział na trasie przejazdu z lotniska i później dwukrotnie - na Placu Zwycięstwa ora z na mszy odprawionej dla młodzieży przed kościołem św. Anny. Kijowski, znakomity narrator, opowiada po aktorsku a zarazem przenikliwie, pokazując człowieka, fakt czy sytuację wraz z ich znaczeniem, lub jakby poprzez znaczenie. Sam zresztą lubi konstruować znaczenia, a czasem je wynisła. Zawsze oryginalnie. To jeden z owych nielicznych, którzy zaostrzają apetyt na życie swoją inteligencją postrzegania. Wspaniale opowiadał o zdziwieniu Jana Pawła II oklaskami rozbrzmiewającymi w trakcie kazań, o zaintrygowaniu Papieża reakcją wiernych na te a nie inne zwroty, kiedy zgromadzone tłumy akcentowały za pomocą oklasków sens Jego przemówień, kształtując go wedle swego rozumienia i odczucia. Zanotowałem podobne momenty w transmisji telewizyjnej. Papież, czekając, aż oklaski ucichną, pochylał głowę z lekkim zakłopotaniem, kto wie, czy nie z odrobiną wzruszonego rozba-wienia... i był wówczas szczególnie sympatyczny. Słuchając tłum odpowiadał nie zawsze oklaskami. Mówiono mi, że podczas homilii w Nowym Targu, po słowach Papieża o zabijaniu dzieci w łonach matek, oklaski się nie rozległy. Podobno i tą reakcją Ojciec Święty wydawał się zdziwiony.

Głowię się, jak właściwie określić niezwykły styl kazań Jana Pawła II, w czym jest ich nieprzeciętność, żeby nie powiedzieć, złamanie kanonu. W prostocie? W braku obydwu retoryk, kapłańskiej i świeckiej? Nie mam odpowiedzi. Tak, Papież głosił słowa proste. Mówi się często, że prawda jest prosta.

Dodałbym jeszcze, że prawda jest znana. Znana ludziom - tak znajoma, iż zdaje się wypowiadać ich własne myśli. Papież wyrażał myśli zgromadzonego polskiego tłumu, myśli i pamięć, które zafałszowano, mówiąc do niego z wnętrza jego 'doświadczeń', wypowiadał jego nadużyta prawdę. Powiedziałbym: jego najlepszą prawdę. Są lata i epoki, kiedy człowiek, naród, ludzkość nie umieją znaleźć dostępu do swojej najlepszej prawdy. To są ciemne lata, to są epoki złych proroków. Papież swymi słowami dobrego proroka czynił ludziom dostęp do tego, co jest w nich najświatlejsze i o czym wiedzieli od zawsze. Oczyszczał ich ze zmetnień, ze skamielin naniesionych przez lata nieszczęść i nieprawdy, głosząc idee, jakie Kościół w Polsce nie zawsze wypowiadał z tak żarliwym przekonaniem. Być może w tym przykuwająca indywidualność stylu Jana Pawła II. Jak gdyby słowami wskazywał zastawione drzwi i otwierał je na oścież, wpuszczając światło. Słowa wypowiedziane w Oświęcimiu o narodzie żydowskim, powtarzający się akcent tolerancji dla innych wyznań i obrządków, ustęp homilii poświęcony Rosjanom... Gdyby w moich latach szkolnych i uniwersyteckich głos Kościoła brzmiał podobnie, ilu trucizną bym nie zasmakował.

Ktoś mi powiedział: - Chciałem ukłęknąć i modlić się z nim razem. - Było to zwierzenie osoby o światopoglądzie laickim. Próbuje sobie wyobrazić, co czuli w owych chwilach wierzący katolicy. Wiara religijna nigdy przecież nie była sferą moich prawdziwych wzruszeń, raczej dziedziną przeżyć cudzych, którą obchodziłem z daleka, nie bez pewnego rodzaju sceptycznej zazdrości. Ale usiłowałem, a nieraz zmuszałem się do jej rozumienia. Przy czym najtrudniej było mi pojąć uczucie miłości do Boga - co to oznacza: kochać Boga? Zastanawiam się, czy w miejscu ludzkiej męki, nazwanym w kazaniu Papieża "Golgota współczesności", gdzie dziś jeszcze nie sposób obronić się myślom o opuszczeniu przez Opatrzność - czy w Oświęcimiu można było kochać Boga.

Pytając sam siebie, co to znaczy i jak się podobne uczucia przeżywa, zawsze doświadczam chwili bezsilności. Nie nie widzę, nie umiem sobie niczego wyobrazić. A jeśli tutaj jest klucz do prawdy - bo może jedynie dać takiej miłości wyzwala człowieka z udręki i bólu egzystencji? Pamiętam z poezji Słowackiego cytaty, a raczej jego sens, bo nie potrafię go przytoczyć dokładnie: "Umieram z niemiłowania jak z głodu". Cytat, który można by rozumieć w dwojakim znaczeniu: umiera się z braku miłości doznawanej od ludzi, albo z niedoświadczania miłości do ludzi. Ale czy tylko do ludzi czy nie do świata, do Boga? Odczytywałem ów cytat w znaczeniu drugim, które wydaje mi się głębsze i bardziej znamienne. Jest w nim współczesne dotknięcie świadomości. Źródło depresji i nerwicy, duchowego umierania - mówi dzisiejsza świadomość - tkwi w wyalienowaniu przez cywilizację. W egotycznym zwróceniu człowieka ze sobą, obszar śmierci do samotne, wpatrzone w siebie ja.

Ale jeśli człowiekowi nie przypadła łaska wiary, jeżeli przeżycia fizyczne nie są mu dostępne, gdyż jest tylko człowiekiem dobrej woli, który słowo miłość zastępuje w myślach pojęciami sympatii lub przyzwyczajności, co ma zrobić taki człowiek? Zachowywać się przyzwyczajenie w stosunku do Bytu? Odczuwać sympatię do Boga? Nie, tu zawala się sens. A więc pozostawałyby może ćwiczenia, gimnastyka psychiczna, trening duchowy... Sugrować sobie wiarę, wprowadzić się w miłość do Stwórcy, udawać, zakłamywać w sobie laicki racjonalizm...

W 11 numerze ZAPISU znalazłem u Wirpszy następującą myśl: "Zakłamywanie się, jeśli jest świadome, a nadto wsparte rozumem i wrażliwością, stanowi trudną pracę wewnętrzną, o wielkiej godności filozoficznej".

Nawiedza mnie chwilami podejrzenie, czy nie należałoby z powrotem zakłamywać wiele spraw, które w swoim czasie zostały odkłamywane. Spraw odkłamywanych np. przez Woltera i Marksa i później przez Freuda, oraz przez zastępy myślicieli, którzy odzierali ludzkość ze złudzeń i przekazanych futerałów uwarstwionych. Moje pokolenie wyrastało w epoce odkłamywania. Odkłamywano stosunki między kobietą a mężczyzną, religię, miłość, historię i literaturę. Wkrótce potem, gdy na to pokolenie spadły ciosy totalitarnej bestii, okazało się, że nasze odkłamywane człowieczeństwo, a by się ostać, musi sięgnąć do pojęć i wartości, które uważaliśmy za szlachetną frazeologię dawnych pokoleń, pokoleń zakłamywanych. Nie wystarczyła świadomość wyzwolona z przesądów, trzeba sobie było przypomnieć stare godła, honory, poświęcenia i nadziei.

A później...Później nadciągają kadry odkłamywaczy burżuazyjnego społeczeństwa ze swymi prawdami, które nosiły już w sobie ziarna nowych zakłamań. Właśnie z wolnością i braterstwem. I z równością. Kiedy dziś w moich lekturach natrafiam na zdanie: "Nierówność jest prawem natury, a równość to najstraszliwsza z niesprawiedliwości" - myślę, że te słowa demaskują coś, co było niegdyś prawdą odkłamaną, która zakłamała się ponownie.

Uciec od nowych mistyfikacji, wrócić do starych mitów?

Podobne refleksje - dlaczego one mi się nasuwają w związku z przybyciem Jana II do Polski? Przypuszczalnie z tej racji, że słuchając Papieża i przypatrując się Jego osobie, częstokroć odnoszę wrażenie, jakby nie Instytucja do mnie przemawiała, lecz człowiek, który przemyślał współczesne niepewności i któremu moje doświadczenie są znane. Zdaje się, że trzydzieści milionów ludzi odnosiło wrażenie identyczne. Można było sądzić, że Papież zwracał się do nas, obejmując słowami nas wszytkich, uwzględniając każdą ludzką słabość. Również nasze zwątpienia. A nawet brak wiary.

Setki tysięcy ludzi, opuszczając miejsce nabożeństw, nie pozostawiały po sobie ani jednego papierka. Po zakończeniu uroczystości sprzątano je z ziemi.

Przeczytałem kilka poprzednich kart-ek /piszę to już nad morze m/ i uraziła mnie ich publicystyczna wiotkość. To są sprawy wymykające się narracji, trudno uchwycić ich sens najistotniejszy - tak niematerialny - i wpada się w słowa. Papież ogarnął nas swymi słowami. Przekonałem się, że niepodobna mi ogarnąć słowami postaci Papieża.

Z pewnego oddalenia przypływa czysta atmosfera tych dni. Jak by to powiedzieć?... Nastroj zbiorowej ulgi, odzyskania godności?

We wszystkim, o czym mówił Papież, była obecna myśl o dziejach Polski. Często powracał do losów tej ziemi, wskazywał ich dramat i wzniosłość. Myślę, że wszyscy w owych chwilach musieli widzieć w Janie Pawle II osobie nie duchowe historii narodu. Znamy własną historię, co jednak nie oznacza, że zawsze potrafimy dostrzec jej piękno. A jest piękna. W dziejach Europy bodajże nie istnieje kraj, którego przeszłość miała tak niewiele win w stosunku do świata. Tuż obok przylegały do nas dwa narody o najposępniejszej historii: Niemcy i Rosja. Z dwóch stron. Polska stanowiła pośrodku obszar praw i życia. Między schizofreniczną siłą Niemiec a obłąkaną pustką Rosji usiłował żyć naród, który przez długi czas brak serio najszczytniejszej zasady ludzkości - chrześcijaństwo, humanizm, demokrację, swobodę ludzkiej osoby i wiary - a po ośmiu wiekach płacił za swoje fantazmaty niewolą i śmiercią za wolność. Nie mieliśmy praktycznego rozumu Anglików ani namiętności Francuzów do konstrukcji socjalno-państwowych, absolutystycznych czy republikańskich; ale pozwalaliśmy innym narodom żyć obok i pośród nas. To wystarczy, by nie czuć poniżenia.

Co nas poniża? Można by powiedzieć: pogarda, jaką się nam okazujemy. Nie myślę tu o czyjejś pogardzie z zewnątrz - mówię o poniżaniu metodą wewnętrzną, tutejszą, obliczoną na nikczemność i głupotę; sugerującą, że my jesteśmy głupi i nikczemni. Główna machinacja są dwie. Pierwsza zakłada, że nie mamy pamięci, Wmawia się nam nieprawdziwą przeszłość, historię zoperowaną, z której usunięto płyty tkańki. Są to dzieje Polski bez wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku, bez paktu Stalina z Hitlerem w r.1939 i bez zdrady jękańskiej w r.1946. Opera-cja sięga dalej i głębiej - wycięto nam również rzecz Pragi w 1794. Telewizyjni profesorowie wykładają tę zoperowaną historię z pełnym godności spokojem, patrząc nam w oczy wzrokiem ludzi uczciwych. Ale to byłoby za mało. Równocześnie dokonuje się drugiej machinacji: podmienienia obiektu nienawiści. Aparat polityczny nie ma złudzeń przynajmniej pod jednym względem: wie, kogo się dzisiaj w Polsce nienawidzi. Człowiek świadomy rzeczy, chcąc odwrócić od siebie nienawiść, zmienia postępowanie lub sięga po argumenty na swoją obronę. Lecz istnieje jeszcze trzeci sposób - skierować nienawiść gdzie indziej, podstawić jej nowy obiekt. Telewizja i prasa mózgami swych historyków i publicystów kilkanaście lat temu wymyśliła nowy obiekt nienawiści dla Polaków: grozi nam spiszek żydowski, naszym śmiertelnym wrogiem jest państwo Izrael. Stała się w tej machinacji był polski antysemityzm. Jesteśmy z wami, przestańcie

nienawidzić nas, będziemy nienawidzić razem, władza z narodem, partia ze społeczeństwem... Kiedy obliczenie zawiodło, pozostali już tylko Niemcy. A ściślej - zachodnia część Niemiec. Przed paroma dniami słuchałem debaty trzech telewizyjnych profesorów w związku ze zbliżającym się czterdziestolecim września 1939. W i o d a c y dialog toczył się między dwoma uczonymi i zdążył wartko do celu; utwierdzić Polaków w nienawiści do jedynego ich wroga, jakiego istnieje, istniał i będzie istnieć - do Niemców na zachód od Łaby. Na wschód od Bugu mamy jedynego przyjaciela, który zawsze rozataczał nad nami braterską opiekę.

W tej rachubie na nienawiść jest zawarte domniemanie zła, nihilistyczna pewność, że w duszy narodu są ciemne siły, którym nie wolno dać zasnąć. Nie z dziejów Polski płynie owa wiara w ciemność, nie na tej ziemi wyrosła. Chrześcijańskie słowa, jakimi przemawiał Papież w Warszawie i Oświęcimiu, zdawały się ujawniać bezwstyd i obcość tamtych słów.

Pisałem tutaj o cudach i baśniach, wspominając o nich mniej lub bardziej poważnie, może tu i ówdzie z ironią... Ale gdzieś było tu zdanie wyrażające ufność w niewyobrażalną fantastykę życia. Dowodziłem, że zawsze jest inaczej, niż człowiek oczekuje w swoich trwogach i przewidywaniach, i że losy mają inną logikę niż ludzki umysł: logikę paradoksu, niespodzianki, olśnienia. Z a w s z e b ę d z i e i n a c z e j. Mieści się w tym możliwość cudu. Kiedy srebrny papieski samolot pojawił się w błękitnym niebie nad lotniskiem i spuszczał się do lądowania, i później, kiedy na stopniach ukazała się postać w bieleli - przecież tak zaczynają się cudowne opowieści, baśnie. Niechby mi ktoś powiedział rok temu, że urodzony w polskim miasteczku Papa di Roma odprawi mszę u stóp Krzyża na Placu Zwycięstwa...

Gdyby świat był tylko "opowieścią idioty", ludzkie istnienie nie miałoby sensu. Ale na szczęście nie znamy reguł i kompozycji tej fabuły, ani jej myśli przewodniej, i dlatego zawsze jesteśmy ciekawi jej dalszego ciągu.

Dziś rano obudził mnie głos spikera Polskiego Radia. M. słuchała wiadomości: "Należymy do nielicznej grupy krajów, których obywatele bywają w Kosmosie".

To brzmi mocarnie. Prześcignęliśmy Anglię i Francję, Szwajcarię wlecze się daleko w tyle i pod nami..

Otóż gdy nasi obywatele przebywają w Kosmosie, inni nasi obywatele żyją jeszcze na ziemi. Wczoraj przed gdyńskim sklepem spożywczym widziałem dwóch emerytów okładających się laskami w kilkudziesięcioosobowym ogniku do masła. Przypomniał mi się pomysł Krożka na sztukę teatralną, której zdaje się nie napisał. Miała się rozpoczynać orędziem generała afrykańskiego państwa, transmitowanym przez kolorową telewizję: "Bracia, ostrzcie dzidy i wykopujcie topory, na wybrzeżu pojawiły się trzy białe twarze!"

W 11 numerze ZAPISU, który zabrałem tu ze sobą z Warszawy, są obszerne fragmenty "Miesięcy". Przeglądając je znalazłem parę omyłek literowych, m.in. w pisowni Marguerite /użyłem błędnie podwójnego "t"/, ale nie o to chodzi. Zastanawia mnie, czym właściwie jest ten materiał i jak bym określił jego formę czy literacki gatunek. Z kilku stron doszła mi już wiadomość, że piszę dziennik. Tak się przeważnie mówi o osobistych zapiskach, prowadzonych z dnia na dzień. Nie esej - bo temat i zasięg myślowy nie są wyznaczone. Nie fikcja - bo jakaż to fikcja bez warstwy imaginacyjnej, z autentycznymi sytuacjami i nazwiskami osób rzeczywistych. I przecież nie wspomnienia - bo opisuję tu wypadki bieżące.

A więc - dziennik?

Ależ nie, to byłoby grube nieporozumienie! Pisząc te kartki wykonuję robotę konstrukcyjną, przeprowadzam selekcję z zachowaniem struktury planów czasowych, a co najważniejsze - wiem o sobie więcej niż tutaj zapisuję. I nie tylko o sobie. Zapewniam, że nie daję tu pełnej miary swojej świadomości i przeżyć, i jeśli ciągnę tę narrację w pierwszej osobie liczby pojedynczej, to zaręczam, że jest to j a obnażone tylko do pewnego stopnia, j a kontrolowane z punktu widzenia kompozycyjnego zamysłu i kształtowane przez materiał dziejący się w czasie pisania. Pisząc dbam natomiast o zachowanie jedności między sobą poddanym owej stojącej się materii czasu dzisiejszego, a sobą z

czasów przeszłych, z których moje ja wyrosło. I to jest także zadanie stylistyczne: budować jednolitą postać narratora.

Powinien się z tego wyłonić obraz czyjegoś życia. Czytając wydrukowane "Miesiące", odnosiłem wrażenie, że jest to nie tyle zapis codziennych doświadczeń, ile kompozycja tworzona z doświadczeń. Buduję ją nie znając jeszcze całości, poprzez wypełniające się i powtarzane motywy, z naszkicowanymi scenami i występującymi od czasu do czasu postaciami epizodycznymi, często w akcję wplątam komentarz oraz rozwijam ją w kilku płaszczyznach, które pewnie kiedyś się zejdą w jakimś zakończeniu, ale nie umiem jeszcze przewidzieć wymowy jej zakończenia - i piszę ją... jak co? Jak powieść.

Władysław Bartoszewski

POWSTANIE WARSZAWSKIE

1944 - 1979

Poniższy tekst - zamówiony przez redakcję "Tygodnika Powszechnego" - opublikowany miał być w tym piśmie jako odredakcyjny artykuł wstępny w XXXV rocznicę Powstania Warszawskiego. Był więc pisany z zastosowaniem nieuniknionej cenzury wewnętrznej, jego zawartość jednak odpowiada w pełni poglądom autora. Ingerencje cenzora poszły tak daleko, że zniekształceniu uległy niektóre myśli zasadnicze i artykuł ukazał się w nrze 30 "Tygodnika Powszechnego" z 29 VII 1979 r. w formie karykaturalnie okaleczonej. Skłania to autora do udostępnienia zainteresowanym tekstu w jego pierwotnym brzmieniu jako małego przyczynka do dokumentacji historycznej naszej doby.

Części tekstu skreślone przez cenzurę zaznaczono podkreśleniem, począwszy od tytułu. /W.B./

Trzydzieści pięć lat to w dziejach narodu okres niezbyt długi, ale w dziejach pokolenia bardzo znaczny. Po trzydziestu pięciu latach od dni Powstania Warszawskiego nie ma już między nami większości głównych aktorów tego wielkiego historycznego dramatu, wyższych dowódców wojskowych i polityków, a najmłodsi nawet uczestnicy Powstania weszli w ostatnie dziesięciolecie swego życia. Ale nawet ci żyjący - choć Powstanie nigdy nie przestanie dla nich być jednym z najważniejszych elementów ich osobistych przeżyć - również ci, a tym bardziej następujące po nich, a dorosłe już pokolenia, coraz bardziej widzą Powstanie w perspektywie historii, jako etap na drodze Polaków od końca XVIII w. - przez Insurekcję Kościuszkowską, Legiony Dąbrowskiego, Powstanie Listopadowe, Wiosnę Ludów, Powstanie Styczniowe, walki 1905 r., zryw I wojny światowej, wykuwanie granic odrodzonej Rzeczypospolitej.

Kontrowersje dotyczące okoliczności wybuchu, szans polityczno-wojskowych i metod działania w czasie Powstania Styczniowego trwają właściwie do dziś w piśmiennictwie - mimo upływu lat stu kilkunastu, ale jak wiemy w pierwszych pokoleniach postyczniowych w czterdziestolecie, które dzieliło upadek Powstania 1863 r. od wydarzeń 1904-1905 r. na ziemiach polskich, i pięćdziesięciolecie, jakie upłynęło od złożenia polskiego oręza do jego podniesienia w sierpniu 1914 r. - problematyka skutków politycznych, społecznych, gospodarczych, a nade wszystko ideowych tamtej walki o niepodległość obecna była na co dzień w życiu wielu tysięcy polskich rodzin. Dziś - w innych przecież warunkach - gdy do szkół chodzą już wnuki warszawskich powstańców, sprawa Powstania Warszawskiego pozostaje żywa w myśleniu nowych generacji. A w Warszawie dzień 1 sierpnia jest z roku na rok świętem jedynym w swoim rodzaju: ogromne rzesze ludzkie odwiedzające w tym dniu groby wojskowych i cywilnych ofiar Powstania na warszawskich cmentarzach składają się w coraz większej części z ludzi, którzy z wolnego wyboru uważają tę sprawę za swoją, mimo że w niej nie uczestniczyli, mimo że nie odwiedzają grobów swoich najbliższych. I choć nie wygasło zainteresowanie problematyką złożonych okoliczności wybuchu Powstania /których pełniejsze wyjaśnienie wydaje się coraz trudniejsze, a naukowe oświetlenie możliwe dopiero po uzyskaniu wglądu we wszystkie niedostępne jeszcze współcześnie archiwalia/, to jednak coraz częściej myśl ludzi obraca się ku problemowi jak gdyby nadrzędnemu - moralno-historycznych wartości Powstania, jako wielkiego wydarzenia w dziejach Polski. Z tej perspektywy nie najważniejsze wydaje się, że wiele ocen - jak dziś wiemy - podejmowano w 1944 r. w oparciu o błędne przesłanki, że w przedpowstaniowej Warszawie mylnie lub w sposób niepełny rozumiano czy oceniano sytuację międzynarodową, nastawienie polityczne, stan gotowości wojennej i realne możliwości działania aliantów zachodnich, ZSRR, w pewnej mierze także i strony niemieckiej. Oceniano je również w sposób wielce niedoskonały w 1939 r., a jednak obrona Warszawy we wrześniu, która nie mogła przynieść w określonych warunkach politycznych i wojskowych odmiany lo-

su kampanii wojennej, uważa się powszechnie za czyn nieodzowny i pozytywny. Rozmiar poniesionych w 1939 roku ofiar ludzkich i materialnych - jak na ten czas i ówczesne doświadczenie znacznych - uznawano też w okresie okupacji za ofiarę bolesną, ale usprawiedliwioną i zrozumiałą. Fakt, że stolica Polski stawiła agresji opór do wyczerpania wszystkich możliwości, stał się źródłem narodowej dumy i podtrzymania godności w najtrudniejszych latach okupacyjnej próby. W Warszawie zaś tradycja ofiarnego i solidarnego współdziałania, męstwa i głębokiego przywiązania do wolności zmanifestowana we wrześniu 1939 roku żywotna była i owocowała przez całą wojnę.

Świadomość celów wojny i celów walki toczonej z przemocą okupanta była jednym z podstawowych źródeł siły społeczeństwa. Walkę o wolność i suwerenność państwa utożsamiano w okupowanej Warszawie z walką o godność osobistą i narodową. Straszliwe ciśnienie terroru okupanta w latach masowych deportacji do obozów koncentracyjnych, egzekucji potajemnych i ulicznych, prób poniżania i poniewierania ludzi, uważano za zjawisko przemijające, u którego kresu przyjdzie otwarte, zbrojne, powszechne wystąpienie, osobisty udział społeczeństwa w odzyskaniu wolności. Ten specyficzny sposób myślenia dyktował wówczas w hierarchii wartości odruch zdecydowanego protestu, uznawanego za niezbędny bez względu na realne szanse i konsekwencje - gdy przebrała się miara nieprawości i zbrodni. W tym proteście, w samej gotowości do niego zawierało się egromne przywiązanie do impenderabiliów.

Decyzja wybuchu powstania, podjęta była przez konspiracyjne władze Polskiego Państwa Podziemnego, ale poprzedziła ją spontaniczna, solidarna, nasawa decyzja stawiania jawnie oporu woli okupanta. Decyzja równa rzuceniu rękawicy przez społeczeństwo, bez żadnych wezwań i dyrektyw, których ogłoszenie w ciągu niewielu godzin nie było w ogóle możliwe: ludność Warszawy zbojkotowała masowo 28 lipca 1944 roku o świcie kateryczny nakaz stawiania się stu tysięcy mężczyzn do robót fortyfikacyjnych. A wiemy wszak, że te nonsensowne poczynania fortyfikacyjne prowadzone były w wielu punktach okupowanego kraju przez szereg miesięcy i że mimo niechęci do świadczeń na rzecz wroga, ludzie - radzi nie radzi - w robotach tych uczestniczyli. Ten zbiorowy, manifestacyjny bojkot spotkał wtedy okupanta tylko w Warszawie. Logika wskazuje, że niewątpliwie musiałby on pociągnąć za sobą w następnych dniach konsekwencje w postaci całkowitej ewakuacji tak wrogo nastawionej ludności miasta i obrócenia opustoszałej w ten sposób Warszawy w bazę przyfrontową czy twierdzę. Realizowano to wszak potem wśród ruin stolicy w październiku 1944 roku. Nie ma do dziś jednoznacznej odpowiedzi, czy wobec polityki hitlerowskiej istniała w ogóle możliwość zabezpieczenia Warszawy przed zniszczeniem podyktowanym zbrodniczymi celami okupanta. Wiadomo jest jednak, że nie do pomyslenia było zachowanie przez to milionowe niemal skupisko polskie bierności na linii frontu przez szereg miesięcy, które, jak się okazało, dzieliły jeszcze od czasu wyparcia Niemców z nad Wisły.

Nawet zdecydowani przeciwnicy powstańczej koncepcji AK uznali za słusne stwierdzenie - w czwartym tygodniu walk w Warszawie - w swym organie prasowym "Armia Ludowa" /nr 25 z 27 VIII/, że "żadne jeszcze z powstań, jakich widownią była Warszawa, nie miało tak jednolitego poparcia społeczeństwa". Poparcie to zaś wynikało z powszechnej intencji warszawiaków, którzy w sierpniu 1944 roku podejmowali walkę w Warszawie jako walkę przeciw niewoli. Przywódcy Powstania Warszawskiego należeli do pokolenia uczestników walk o niepodległość w konspiracji przed pierwszą wojną światową i przez sześć - siedem lat na różnych frontach, poczynając od chwili jej wybuchu. Ogromna większość uczestników Powstania wychowana była w niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej, w wielkim poszanowaniu patriotycznych tradycji niepodległościowych i powstańczych. Była przywiązana do wolności i suwerenności jako do oczywistego elementu swego osobistego bytu, a w konsekwencji do głębi zbuntowana przeciwko samemu faktowi okupacji. Postępująca w ciągu lat wojny demokratyzacja opinii, szeroki i coraz szerszy udział młodzieży robotniczej, rzemieślniczej i chłopskiej w podziemiu - w konspiracji wojskowej, politycznej i oświatowej - sprzyjały upowszechnieniu się pojęć wolności, w których znak równania stawiano między gotowością do ofiary i walki a prawem do niepodległego bytu.

Jeden z najsurowszych krytyków Powstania Warszawskiego, znany historyk wojskowości Jerzy Kirchmayer, uznał, że "bohaterstwo, ofiarność, i zaciętość

powstańców są największym w naszej historii przejawem walki o wolność jako wartości wyższej niż życie ludzkie, kalectwo, wszystkie dobra materialne. Byłoby ciężkim błędem nie doceniać, a co gorsze odżegnywać się od takich wartości duchowych".

Takiego błędu społeczeństwo polskie potrafiło się ustrzec.

W ostatnim numerze powstańczym "Biuletynu Informacyjnego", organu AK, wydanym 4 października 1944 r., w trakcie ewakuacji miasta i w przeddzień wyjścia z Warszawy do niewoli części oddziałów dotychczas walczących, powiedziano:

"Walczyliśmy o sprawę najwyższą, o wartości w życiu narodu największe. Zapłaciliśmy też najwyższą cenę tej walki. Zapłaciliśmy ją bez wahań i ociągania, w porywie duchowego zespolenia wszystkich sił narodowych, we wspólnie toczonych walce. /.../ Klęska, której rozmiarów pomniejszać nie chcemy, jest klęską jednego miasta, jednego etapu naszej walki o wolność. Nie jest klęską naszego narodu, naszych planów i ideałów historycznych. Z przelanej krwi, z zespolonego trudu i znoju, z męki ciał i dusz naszych powstanie nowa Polska, wolna, silna i wielka. Wiara ta będziemy żyć na przymusowym tułactwie czy w obozach, tak jak żyliśmy nią w naszej pracy i walce. Wiara ta - to najrealniejszy, najwyższy testament pisany krwią wielotysięcznych ofiar i bohaterów Powstania".

Sukcesorzy i współtwórcy historii narodu - żołnierze Powstania Warszawskiego - wpisywali się tym testamentem w długi ciąg ofiar na rzecz lepszej przyszłości Polski, z heroiczną ufnością w zwycięstwo sprawiedliwości dziejowej.

Władysław Bartoszewski

Jakub Świąteczki

ISAAC BASHEVIS SINGER

Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury za rok 1978 otrzymał Isaac Bashevis Singer /lub, jak podpisywał się właściciel legitymacji członkowskiej Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich w Warszawie, Izaak Zynger/.

Dwa lata wcześniej nagrodę Nobla dostał inny pisarz żydowski zamieszkały w USA, Saul Bellow. Działki literatury, odznaczone tymi nagrodami, należą jednak do zasadniczo różnych kręgów kulturowych i różnych języków. Zaledwie 11 lat dzieli Bellow'a /ur. 1915/ od Singera /ur. 1904/, ale między ich światami są całe stulecia. Dla Bellow'a, tak jak dla wielu innych pisarzy amerykańskich żydowskiego pochodzenia, życie przodków w krajach Europy Wschodniej, w miasteczkach Białorusi, Polski czy Ukrainy jest tylko ważnym tłem, akcentem, źródłem inspiracji, ale niczym więcej. Singer natomiast sam pochodzi z tego zapadłego świata, jest ostatnim wielkim rzecznikiem historycznej już kultury. Miejscem akcji olbrzymiej większości niezliczonych opowiadań Singera są polskie miasta i wsie, niegdyś siedziby ponad trzymilionowej społeczności polskich Żydów. A te nieliczne opowiadania, których zewnętrznym tłem jest współczesny Nowy York, mówią o imigrantach z trudem zaaklimatyzowanych, o dziwnych ludziach gdzieś z Biłgoraja, Chełma, Lublina, o postaciach-widmach, które z innego świata zabłądziły na Manhattan. Język żydowski /jidysz/, którym pisarz się posługuje, jest językiem wymierającej garstki ludzi, ocalonych przez pomyłkę, gdyż machina zniszczenia działała tylko w 99%.

Literacka nagroda Nobla w roku 1978 była uhonorowaniem kultury i języka, których kądzielą i śpiewem jest twórczość I.B. Singera.

Isaac Bashevis Singer urodził się we wsi Leoncin pod Warszawą. W papierach zapisano jednak błędnie Radzymin, dokąd rodzina Singera przeniosła się w trzy lata po urodzeniu Izaaka. Był rok 5664, a według chrześcijańskiej rachuby czasu 1904.

Ojciec Izaaka był to podrzędny, bogobojny rabin chasydzki, głęboko przejęty spodziewanym nadejściem Mesjasza, mało dbały o ziemskie interesy rodziny. Matka natomiast kierowała się bardziej rozumem niż uczuciem, była chłodna i zapobiegliwa. Pochodziła z Biłgoraja, z rodziny szanowanego i cieszącego się autorytetem rabina ortodoksyjnego, pogardzającego zabobonnymi chasydami. W opowiadaniach Izraela Joszuy Singera, starszego brata Izaaka, który był również znanym pisarzem, można znaleźć wiele anegdot ilustrujących atmosferę domu Singerów. Pewnego dnia roku 5666, a Roku Pańskiego 1906, pojawiły się w Leoncinie czerwone płamy na niebie. Ojciec, po przestudiowaniu księgi Zohar i wrótb z ksiąg kabalistycznych, stwierdził, że wszystko się zgadza: nadejście Mesjasza się zbliża. Prorok Eliasza zaraz zatrąbi na trąbie, Abraham, Izaak i Jakub zmartwychwstaną, ziemia Izraela obejmie cały świat, zło zostanie wykorzenione bez reszty i królestwo niebieskie zapanuje na ziemi. Ale matka przyjęła te nowiny mrozącym spojrzeniem zimnych, stalowych oczu, o ojciec bez słowa odwrócił się i pośpieszył do bożnicy, by tam bardziej skorym do słuchania współwyznawcom zakomunikować, że dni świata są policzone.

Sam Izaak wspomina taką historię ze swego dzieciństwa: "Był rok 1914 albo 1915, miałem wtedy 11 lat. Powiedziałem ojcu, że chciałbym się uczyć polskiego. Mieszkaliśmy w końcu w Polsce, a ja nie mówiłem po polsku, znałem tylko jidysz. Ojciec mój powiedział: "Nie, też coś! . Teraz, kiedy lada dzień może nadejść Mesjasz, będziesz się brał do polskiego! Co za pomysł!"

Chasydyzm, wśród którego wzrastał Singer, był silnie emocjonalny i mistyczny. Zwrócony w kierunku ciemności, szeroko wytrzeszczonymi oczyma wypatrywał znaków i cudów. Dzień powszedni małych, zamkniętych wspólnot chasydzkich w polskich wsiach i miasteczkach wypełniony był ponadnaturalnymi siłami, duchowymi istotami, które przyjmowały fizyczną, ludzką lub nieludzką postać i brały bezpośredni udział w doli i niedoli ludzi tego świata. Życie upływało pod znakiem walki o przetrwanie żydowskości. Największym kalcetwem była bezpłodność, najcięższym grzechem odstępstwo. Duża część twórczości Singera traktuje o cudownych zdarzeniach, duchach i potworach, wśród których autor spę-

dził dzieciństwo. Rewolta w stosunku do tradycji domu rodzinnego przysła jednak bardzo wcześnie. Przyczyniła się do niej z pewnością różnica orientacji i różnica temperamentu ojca i matki. Decydujący wpływ miały jednak ogólniejsze wstrząsy ideowe i polityczne, nawiedzające diasporę żydowską w początkach dwudziestego wieku. Ale w wypadku Singera nie była to rewolta całkowita. Przez całe życie towarzyszyło mu zdobyte w dzieciństwie przekonanie, że my, ludzie, wiemy bardzo mało nie tylko o Bogu, ale i o samym życiu. Zupełnie obce były mu idee Człowieka-Prometeusza, który posiadając klucz do Historii panuje niepodzielnie nad sobą i materią. Duchy i demony nie są bynajmniej dla niego tylko folklorem. Myśl, że mogą istnieć i że prawdopodobnie istnieją, jest kusząca dla Singera. Życie i świat człowieka nie mogą się obyć bez tego nadprzyrodzonego wymiaru.

Około roku 1908 rodzina Singerów przeniosła się do Warszawy na ulicę Krochmalną nr 10, gdzie ojciec dostał skromną posadę pomocniczego rabin, a mały Izaak zaczął chodzić do chederu. Wybuch pierwszej wojny światowej zbiegł się z trzęsieniem ziemi w domu Singerów. Starszy brat Izaaka, 21-letni wówczas Izrael, opuścił dom rodzinny stając się pierwszym wyrzutkiem w rodzinie. Ukrywając się przed wcieleniem do wojska carskiego zamieszkał na poddaszu na ulicy Twardej, gdzie gnieździł się artyści, malarze i poeci. Dla Izaaka, potajemnie odwiedzającego starszego brata, był to okres poznawania świata innych wartości, innych ludzi, innych filozofii. Zacztywał się popularnymi broszurami z dziedziny fizyki, biologii, astronomii, dostarczanymi przez brata. Ale czytał też Talmud i Kabałę, ukradkiem przed ojcem, ponieważ prawowierny Żyd miał prawo czytać te książki dopiero po ukończeniu trzydziestego roku życia. Silne wrażenie, ale odmiennego rodzaju, wywarła na Izaaku podróż do Biłgoraja, do rodziny matki, odbyta w wojennych warunkach latem 1917. Dziadek, zamożny rabin, padł był właśnie ofiarą kolejnej epidemii cholery, a rodzina poróżniła się w sporze o spadek. Wątki zainspirowane tymi wydarzeniami znajdujemy w wielu powieściach i opowiadaniach Singera.

Po zakończeniu wojny rodzice ponownie się przenoszą, tym razem do Starego Stychowa, zapadłej dziury w Małopolsce Wschodniej. Izaak daje się z trudem zmusić do rozpoczęcia szkoły rabinackiej, ale po dwóch latach, w roku 1921 albo 1922 opuszcza szkołę, zrywa z ortodoksją i oświadcza rodzicom, że nie wierzy w Gema'ę, nie chce być rabinem, nie chce, by go ożeniono za pośrednictwem swatów, nie chce nosić chałata i pejsów. Jedzie do Warszawy, by tam przy pomocy brata Izraela rozpocząć nowe życie. Izrael sam jednak w tym czasie z trudem utrzymywał się na powierzchni i Izaak po trzech latach chłodnej i głodnej węgetacji w stolicy zmuszony jest dać za wygraną i powrócić do rodziców do Starego Stychowa. Ojciec, ubogi rabin w tej pogrążonej w błocie, ukraińsko-żydowskiej wiosce, przyjął z otwartymi ramionami syna marnotrawnego, ale nakazał mu zaraz podjęcie studiów nad Torą, jak również ożenek, niezbędnym dla przyszłego rabin. W kilka miesięcy później nadszedł jednak list od Izraela, który okazał się prawdziwym wybawieniem w tej sytuacji. Izrael donosił, że udało mu się dostać pracę redaktora w tygodniku literackim "Literarysches Blätter", jak również wyrobić posadę korektora dla brata. Nadzieje ojca upadły równie szybko, jak zaświtały. Obcy świat zabrakł dwóch jego najstarszych synów. Ojciec nie chciał jednak przyjąć do wiadomości, że zostali pisarzami. Podczas ostatniego spotkania zapytał ich: "Czy nadal handlujecie gazetami?"

W czasie, kiedy Isaac Bashevis Singer rozpoczynał swą karierę literacką w Warszawie, żydo-stwo wschodnioeuropejskie wstrząsane było kryzysami, jakich nie przeżywało nigdy dotychczas. Podziały i spory między Żydami polskimi i Litwakami, oświeconymi i ortodoksyjnymi, chasydami i misznagidami nigdy nie przebiły miary przyzwoitości i ludzkiej godności. Teraz jednak, pod koniec życia Lenina i na początku rządów Stalina, Żydzi zwracali się przeciwko Żydom z nie spotykaną dotychczas nienawiścią i fanatyzmem. W lokalach klubu pisarzy żydowskich w Warszawie krzyżowały się w powietrzu oskarżenia i inwektywy w rodzaju "kontrrewolucjoniści", "zdrajcy", "trockiści" itp. Majestatyczne i cierpliwe oczekiwanie starozakonnych na Mesjasza, ich powolność i łagodność ustąpiły tu miejsca agresywnej nietolerancji i bezwzględności. Wielu entuzjastów "wielkiego cadyka" Stalina udawało się do nowej ziemi obiecanej, do ojczyzny światowego proletariatu, w zaślepieniu swym całkowicie ignorując pierwsze przenikające

informacje o wielkim terrorze i nawet o nowych pogromach, które nadal miały miejsce mimo obalenia caratu. Wielu naiwnych a fanatycznie przekonanych o swych racjach pielgrzymów ginęło bez śladu, niektórzy wracali po spędzeniu lat w więzieniach i łagrach, innym udawało się uciec w ostatniej chwili. Ale ich opowieści i ich losy nie wywierały prawie żadnego wrażenia na nowych adeptach komunistycznego mesjanizmu. Przyszły laureat nagrody Nobla zaszokowany był tą żądzą krwi, którą jego współplemieńcy nagle zapalali. Dwa tysiące lat wygnania, getto, Tora, wszystko to nagle zamieniło się w bezużyteczną kupę śmieci, jak papierkowe pieniądze emitowane przez obalony rewolucyjny reżim. Ci młodzi zapaleńcy wysławiali towarzysza Stalina, pisali ody do Czecha i jej woźdździejstwa, krzyčili "śmierć rabinom, burżujom, syjonistom, a nawet wszelkim komunistom - odszczepieńcom od jedynie słusznej linii!" Niektórzy z tych odszczepieńców, wśród nich znany później biograf Stalina, Izaak Deutscher, na zebraniach w klubie pisarzy demaskowali czystki, egzekucje, procesy pokazowe, łagry i twierdzili, że Trocki byłby całkiem inaczej pokierował rewolucją. Słuchający go młody pisarz Singer miał już jednak wyrobione zdanie na ten temat: zbyt wielkiej różnicy w rozwoju wypadków by nie było.

Szerzący się szybko ruch syjonistyczny nie pociągał Singera. W Palestynie, do zagospodarowywania pustyni i bagien potrzebni byli pionierzy z krzepą i niczym nie zmacaną wiarą w przyszłość, a nie chuderlawi literaci, i to w dodatku piszący w języku jidysz, zamiast po hebrajsku.

Singer nie był ani ortodoksyjnym wyznawcą Mojżesza, ani Marksa i jego następców, nie był syjonistą ani zabobonnym chasydem, nie należał do "zwykłych Żydów" ani do zasymilowanych, ani do nawróconych, ani do żadnych innych. Był sobą i szukał własnej drogi nie wiążąc się z żadnymi ruchami.

Nie był on jednak człowiekiem wolnym od pasji. Obserwował ludzi przerzucających się z jednej krańcowości w drugą, od pobożności do cynizmu, od kultu Jahwe do kultu Stalina. Sam był miotany różnymi sprzecznościami i namiętnościami. W warszawskim okresie życia przeżył wiele i zaobserwował u innych wiele spraw ludzkich z których obficie korzystał później w swoich nowelach i powieściach. Opisywał w nich ludzi kierujących się pasjami, rozumiał ich, ponieważ sam był jednym z nich.

Partnerką jednego z wielu romansów tamtego czasu była młoda komunistka żydowska. Nazywała się Runia i marzyła o tym, by jak najszybciej znaleźć się wśród towarzyszy radzieckich. Ze związku tego urodził się syn Izrael. Kiedy miał on pięć lat, matka opuściła Polskę i udała się do Kraju Rad. Cudem uniknęła tam egzekucji i dzięki protekcji jakiegoś wysoko postawionego krewnego została deportowana do Turcji, skąd dotarła do Izraela, gdzie w kibucu wychował się syn. Ojciec zobaczył go po raz pierwszy dopiero dwadzieścia lat później, podczas wizyty w Nowym Yorku. Spotkanie to opisane jest wzruszająco w opowiadaniu "The Son", ze zbioru nowel Singera pod tytułem "A friend of Kafka".

Powodowany przeczućmi nadciągającej burzy hitlerowskiej, Singer, śladem swego starszego brata, emigrował do Stanów Zjednoczonych w roku 1935. Tuż przed wyjazdem wyszła w Warszawie jego pierwsza powieść "Szatan z Goraja". W ciągu pierwszych trudnych lat jako nie ustabilizowany imigrant w Nowym Yorku Singer musiał zrezygnować z twórczości literackiej i utrzymywał się z dorywczej pracy dziennikarskiej w gazecie "Forwards". Gazeta ta, ukazująca się w języku żydowskim /jidysz/ wychodzi do dzisiaj i ma nadal około 40 tysięcy prenumeratorów. Od kiedy w połowie lat czterdziestych Singer zajął się na nowo pisarstwem, "Forwards" jest stałym odbiorcą wszystkich jego opowiadań, noweli i powieści w oryginalnej wersji językowej. Nie wszystkie utwory doczekały się późniejszych wydań książkowych po żydowsku, ponieważ liczba pozostałych przy życiu odbiorców władających tym językiem była po wojnie zbyt mała. Sukces i popularność Singera są nierozdzielnie związane z językiem angielskim. W roku 1953 Saul Bellow przetłumaczył tragicomiczną historię nieszczęsnego głupka Gimpla z Frampola /"Gimpel the Fool"/ Arcydziełko to wywołało natychmiast popyt na inne nowele. Przekłady zaczęły się ukazywać w znanych pismach literackich, jak "The New Yorker", "Harper's Magazine", "Encounter", "Commentary" i inne. Isaac Bashevis Singer pisze wyłącznie po żydowsku, ale bierze czynny udział w przekładach na angielski. W ten sposób powstaje jak

gdyby druga wersja oryginalna, często różniąca się od pierwotnej.

Bogata twórczość Singera obejmuje wiele różnych form literackich. Powieści "The Manor", "The Estate" i "The Family Moskat" są epickimi sagami rodzinnymi. Pierwsza z nich rozpoczyna się w roku 1863 w Jampolu, kiedy hrabia Władysław Jampolski za udział w Powstaniu Styczniowym pozbawiony zostaje swoich dóbr i w kajdanach zesłany na Sybir. Przedsiębiorczy Żyd, Calman Jacoby, otrzymuje majątek w dzierżawę od nowego właściciela, a jednocześnie zaczyna prowadzić interesy w związku z powstającym przemysłem i budową kolei. Losy Calmana i jego rodziny na tle misternie rysowanego życia Żydów śledzimy do przełomu stuleci. W tym momencie rozpoczyna się powieść "Rodzina Moskatów", która kończy się we wrześniu roku 1939 i opowiada o patriarchalnym rodzie warszawskiego magnata finansowego. Ludność nieżydowska występuje w tej powieści, jak i w szeregu innych, jedynie na dalszym tle. Są to trzeciorzędne postacie, nieprzychylni dozorczy, wrogo nastawieni współpółrośni w pociągu, nieusłużni kelnerzy, obojętni przechodnie, nieobliczalna, a wzbudzająca lęk zwierchożność. Powieść "Enemies, a Love Story" opisuje Żyda, Hermana Brodera, ukrywanego przez pięć lat okupacji hitlerowskiej przez wiejską dziewczynę w schowku na kartofle. Chłopka ta, kiedyś służąca w domu ojca Hermana, musi ukrywać ukochanego również przed swoją rodziną, wiedząc, że ta wydałaby go zaraz Niemcom. Po wojnie emigrują razem do Ameryki, gdzie rozgrywa się właściwy dramat między Hermanem a trzema związanymi z nim kobietami: analfaberką, która uratowała mu życie, żydowską kochanką, jedną z tych, którzy przeżyli, a którzy jak on powinni byli nie żyć, i nagle odnalezioną żoną sprzed wojny, która też cudem ocalała udając martwą w stosie trupów. Akoja powieści "Shosha" rozgrywa się w Warszawie i jest w dużej mierze autobiografią młodości. Oddana jest tam z pietyzmem i wyczuciem atmosfera kół żydowskich z lat trzydziestych. Erotyzm, polityka i sztuka mieszają się tam z sobą w dużych i równych dawkach, a wszystko dzieje się w scenerii warszawskich ulic z Krochmalną na czele. Autobiograficzne są również książki "In My Father's Court" o działalności ojca, rabina w ubogiej dzielnicy warszawskiej i "A Young Man in Search of Love", pełna silnych pasji opowieść o miłosnych przygodach młodości.

Trzy najbardziej znane powieści Singera to wspomniany już debiut "Satan in Goraj", "The Slave" i "The Magician of Lublin". Dwie pierwsze dzieją się w XVII wieku po kozackich pogromach pod wodzą Chmielnickiego. "Satan z Goraja" jest studium fanatyzmu klaustrofobicznej gminy w zapadłej wiosce, gdzie ludzie kompensują sobie dość makabryczną rzeczywistość ziemską wierzeniami we wszelkiego rodzaju ponadnaturalne moce. Postacią tytułową "Niewolnika" jest pobożny i wykształcony Żyd Jakub, który po pogromach został pastuchem wśród prymitywnych, dzikich i zboczonych chłopów-górali. Jedyną polską postacią z ludzkimi cechami jest tam młoda góralka Wanda, która w drugiej części powieści po ucieczce wraz z Jakubem z rodzinnej wioski przechodzi na judaizm i jako Sara zostaje żoną Jakuba. Historia tego romansu, przeplatana rozważaniami filozoficzno-teologicznymi, należy do najgłębszych utworów Singera. "Sztukmistrz z Lublina" to opowieść o cyrkowcu, który ze swoimi sztuczkami jeździ po Polsce od miasta do miasta, od kobiety do kobiety, aż wreszcie zakochuje się naprawdę, co staje się przyczyną jego klęski. W epilogu widzimy Jaszę, cyrkowca i uwodziciela, jako pokutnika-eremita, zamurowanego w czterech ceglanych ścianach bez drzwi i okien, ze szparą tylko, przez którą wierna żona dostarcza jedzenia, a pobożni Żydzi oddają Jaszy cześć uważając go za świętego.

Zdecydowanie najcenniejszą częścią twórczości Singera są jednak liczne zbiory nowel, humoresek i opowiadań będące istną kopalnią losów ludzkich, zwyczajów i tradycji polskiego żydostwa, szczegółów jego życia i kultury. Ze względu na bogactwo i różnorodność nie da się ich tu streścić. Singer stara się, by jego historie były jasne i przejrzyste. Pisze, by ludzi bawić i wzruszać, nigdy po to, by umoralniać albo zbawiać. Jest to prawdziwy "story-teller" opowiadacz, gawędziarz. Sądzi jednak, że sztuka opowiadania upada, słowo "rozrywka" nie należy do dobrego tonu w "wyższych sferach". "Nie wolno rozkoszować się zachodem słońca bez przypisów i odsyłaczy" - skarży się pisarz. "Studentów uniwersytetu można zmusić do żucia literackiej sieczki. Ale na szczęście są jeszcze dzieci!" - woła Singer, autor wielu cudownych bajek dla dzieci.

"Żadne dziecko nie da się skłonić do czytania książki tylko dlatego, że może to przyczynić się do rozwoju świata i postępu ludzkości".

Pierwotnymi odbiorcami pisarstwa Singera byli mówiący po żydowsku emigranci w Ameryce, przeważnie prości ludzie, amatorzy emocji, romantyki, grozy i humoru, ale też chętnie wspominający przeszłość i tradycje. Płynęły stąd niesłychanie wysokie wymagania, by Singer portretując życie codzienne diaspory wschodnioeuropejskiej dochowywał wierności szczegółom. Żydzi, zarówno ci, którzy już wcześniej mieszkali w Ameryce, jak ci, którzy przeżyli zagładę i emigrowali później, delfi po swych przodkach i krewnych tylko popioły pozostawione w Polsce. Z nostalgią i pietyzmem wspominali życie w gminach "tam", idealizując je, oczywiście. Singer nie robił tego nigdy, w związku z czym mimo swej popularności jest pisarzem wysoce kontrowersyjnym. Oskarżano go często o kalandrię własnego gniazda, o to, że jego opowiadania mogą służyć antysemitom za pożywkę. Wielu z odrazą odrzucało jego przekaz, uważając za świętokradztwo brak należytego patosu.

Wtórna, czytająca po angielsku publiczność nigdy nie stawiała mu takich zarzutów. Podbita została egzotyką i barwnością umiejętnie podanej "żydowskości" /jidyszkajt/ tej literatury. Singer dobrze wyczuł cały anachronizm swojej kultury, doświadczeń i wspomnień wyniesionych ze środowiska rodzinnego w Polsce. Był sam anachronizmem i postanowił trzymać fason: przecież i język, którym się posługiwał, był anachronizmem, i powiastki, które tworzył, pochodziły z czasu zaprzeszkłego. Tym trafił do czytelnika.

Twórczość Singera powinna być obficie tłumaczona na język polski. Dla powojennych pokoleń Polaków będzie ona odkryciem, tak jak była odkryciem dla niejże podpisanego. Świat tej kultury, która przez prawie tysiąc lat żyła i rozwijała się na naszych ziemiach, jest nam bowiem właściwie zupełnie nie znany, a jest to przecież część naszej kultury i naszej historii.

Jakub Świącioki

P.S. Powyższe przedstawienie życia i twórczości I.B. Singera opiera się w dużej mierze na wydanej w grudniu 1978 w Sztokholmie książce pod tytułem "Isaac Bashevis Singer, Hans språk och hans värld", której autorem jest Knut Ahnlund, profesor literatury i ekspert Noblowskiego Instytutu Literatury Akademii Szwedzkiej.

J.S.

WÓTKA ROZMOWA W SZTOKHOLMIE

/Wywiad z I.B. Singerem przeprowadzony specjalnie dla ZAPISU
8 grudnia 1978 r./

Isaac Bashevis Singer przybył do stolicy Szwecji na krótko, aby wziąć udział w uroczystym rozdaniu nagród Nobla. Był oblegany przez dziennikarzy z całego niemal świata. Nie było łatwo dostać się do niego. Po wielu staraniach udało mi się połączyć telefonicznie z samym pisarzem. Wyjaśniłem, że chcę go prosić o wywiad dla "Zapisu", nie cenzurowanego polskiego kwartalnika literackiego. "Tak, naturalnie... To pan Polak? Ach, z prawdziwą radością..." Byłem jedynym przedstawicielem prasy polskiej, który chciał rozmawiać z Singerem.

W apartamencie Grand Hotelu w Sztokholmie spotykam starszego pana o żwawych ruchach, małej, nieco przeziwionej na bok głowie i przenikliwym spojrzeniu. Podczas gdy ustawiam magnetofon, przepraszaając zastrzeżę się, że upłynęło już wiele czasu, do kiedy ostatnio mówił po polsku, i może wobec tego mieszać słowa polskie z angielskimi czy żydowskimi.

"Niech pan pyta po polsku, a ja odpowiem po polsku, po żydowsku, po angielsku, jak będę mógł".

W trakcie rozmowy okazuje się, że pisarz doskonale pamięta język polski i dopiero w połowie wywiadu pomaga sobie angielszczyzną, by wyrazić coś bardziej skomplikowanego, kiedy zabrakło polskich słów.

- Czy śledzi pan to, co dzieje się w Polsce?

"Wiem, że tam jest władza komunistyczna, ale to wszystko, nie wiem za dużo. Wiem też, że jest tam opozycja demokratyczna. Ale co oni robią i co osiąga, nie wiem".

Pokazuje przyniesione z sobą egzemplarze "Zapisu", krótko przedstawiam historię pisma. Z kroniki numeru siódmego odczytuje notatkę "Tydzień Kultury Żydowskiej" o akcji porządkowania cmentarza żydowskiego w Warszawie i o odczytach na temat kultury i historii polskich Żydów, urządzanych przez młodzież Klubu Inteligencji Katolickiej.

Singer: "Chciałbym im powiedzieć, że oni powinni to robić, że tak trzeba. Ale co mogą osiągnąć, nie wiem".

- Zerwał pan z ortodeksyjną tradycją żydowską, ale zachował do niej bardzo życzliwy stosunek. Nie szukał pan nigdy ideologii zastępczych. Czym tłumaczył to, że tak wielu Żydów w Polsce przedwojennej porzucając jedną ortodoksję padło w objęcia innej ortodoksji, komunizmu, stalinizmu?

"Sytuacja w Polsce była dla nas tak trudna, że młodzi ludzie rzeczywiście musieli szukać jakiejś nadziei. A byli oni niemądzy na tyle, by wierzyć, że Stalin da im to, czego się spodziewali. Pomylili się bardzo. Niektórzy z nich byli oczywiście zdeprawowani i źli, ale większość była przede wszystkim niezbyt dobrze poinformowana i naiwna. Czytali gazetki, broszurki, tę całą propagandę. I naprawdę wierzyli, że tam w Moskwie pojawił się nowy marksistowski Mesjasz, który ich wybawi. Ponieważ system kapitalistyczny nie dobrego im nie przyniósł, myśleli, że system komunistyczny pomoże. Ale rozczarowali się bardzo. Więcej nawet: większość z nich została zniszczona przez te same siły, które tak bardzo czcili".

- Jaki był pana stosunek do komunizmu w tym czasie?

"Już wtedy miałem poczucie, że cała ta sprawa z komunizmem i ze Stalinem, który miał być Mesjaszem, i z Moskwą, która miała być naszą nową Jerozolimą, że to wszystko to nonsens. I jeśli miałbym w coś wierzyć, to już raczej w to, w co nasz naród wierzył przez 2 tysiące albo przez 4 tysiące lat, raczej w to niż w Karola Marksa, Bucharina i tych wszystkich ludzi, którzy pisali, że świat zaczyna się wraz z marksizmem. Dla mnie był to nonsens. Dużo wycierpiałem z tego powodu, ponieważ wszyscy moi koledzy mówili mi, że żyję w przeszłości i nie widzę tego, co dzieje się przed moimi oczyma, że będę ciężko ukarany, kiedy dojdą do władzy. Grozili mi, ale nie leży w moim usposobieniu poddawać się takim groźbom. Odpowiadałem im, że nie wierzę w to wszystko, że to nonsens. Zaprawdę, trzeba było rzeczywiście być ślepym i zahipnotyzowanym, by nie widzieć, co się tam w Rosji dzieło".

- Co pan sądzi o obecnej sytuacji?

"Myślę, że znajdujemy się w stanie wielkiego zamętu z wielu powodów. Przede wszystkim komunizm wydaje się silniejszy z dnia na dzień, we Włoszech, we Francji. To może nie jest komunizm Stalina, ale w dalszym ciągu może on zmienić wszystko. Są i inne przyczyny. Wiele narodów cierpi na brak przyrostu naturalnego, stoją jakby w miejscu. To, co Oswald Spengler powiedział 50 czy 60 lat temu, jest dziś bardzo aktualne. Ale jak tej sytuacji zaradzić naprawdę nie wiem. Nie obawiam się by teraz zaraz mógł się pojawić drugi Hitler. Zawsze jednak jest niebezpieczeństwo, że przyjdzie ktoś w rodzaju Stalina czy Mao. Ludzie dadzą się zahipnotyzować komukolwiek. Tak gorąco pragną mieć przywódcę, że w chwili, kiedy się taki znajdzie i zacznie głośno krzyczeć, będzie natychmiast miał zwolenników. Niebezpieczeństwo zawsze istnieje, nie ma co do tego wątpliwości."

- Nad czym pan obecnie pracuje?

"Moja następna powieść nosi roboczy tytuł "Scum" /Szumowiny, mety społeczne/ i traktuje o warszawskim świecie przestępczym w latach dwudziestych i trzydziestych, szczególnie o żydowskim świecie przestępczym. Myśl o publikacji tej książki napawa mnie lekkim strachem, ponieważ wszyscy ci ludzie są martwi, a to, co ja mam do powiedzenia o nich, może się wydawać świętokradztwem. Oglądam na własne oczy ten żydowski półświat, który w połowie trudnił się szwin-

dlem, w połowie seksem. Nie ma jednak żadnego racjonalnego powodu, by sprawy te miały być ukrywane. Nie można twierdzić, że o wszystkich zmarłych należy mówić tylko dobrze. Ludzie rodzą się, żyją, umierają, pokolenia przychodzą i odchodzą i musi nam być wolno traktować ich wszystkich tak, jakby byli żywi. Najprawdopodobniej i ta powieść jak większość poprzednich będzie drukowana w odcinkach w "Forwards".

Wywiad przeprowadził Jakub Święcicki

Jacek Bocheński

O ARNOLDZIE SŁUCKIM

/Słowo wstępne do wieczoru literackiego ogłoszone
24 stycznia 1979 w warszawskim Domu Literatury/

Proszę państwa, będziemy dziś słuchać wierszy Arnolda Słuckiego, poety, który ponad dziesięć lat temu wyemigrował z Polski, a ponad sześć lat temu zmarł. Tak się złożyło, że należą do bardzo niewielu osób w Polsce, które miały możliwość spotykać się z nim już po tym wyjeździe. I widziałem go na tym tapczanie, na którym umarł. Zanim usłyszymy jego wiersze - a moim zdaniem są to wiersze bardzo piękne i bardzo głębokie - chcę przypomnieć państwu kilka szczegółów z biografii Arnolda Słuckiego, tak jak ją pamiętam, i chcę opowiedzieć o nim samym, tak jak o nim myślę.

Urodził się w Tyszowcach pod Tomaszowem Lubelskim. Kiedyś Tyszowce były miastem i ośrodkiem handlowym, a nawet odegrały pewną rolę w historii. Ale potem utraciły tę świetność i za czasów Arnolda Słuckiego były już tylko wsią, gdzie mieszkali polscy chłopi i wschodnie mniejszości narodowe Drugiej Rzeczypospolitej, przede wszystkim Żydzi. Płynęła tam rzeka Huczwa, o której Arnold przez całe życie mówił i pisał.

Chował się w rodzinie biednych, ale bardzo prawowiernych Żydów. Z tego, co mi opowiadał, wnioskuję, że w dzieciństwie prócz języka żydowskiego słyszał jeszcze od swego najbliższego otoczenia język rosyjski. Bądź co bądź z tymi dwoma językami stykał się najczęściej. Polski znał, ale znał go źle. Dopiero w przyszłości zostanie wybitnym poetą tego najgorzej mu znanego języka, a całe jego tragiczne życie okaże się niewiarygodną płataniną takich właśnie sprzeczności i jak gdyby nielogiczności losu.

Z początku miał być rabinem. Temu służyć miały jego nauki zrazu w szkole powszechnej, później w seminarium warszawskim. Nie ma sensu zastanawiać się, czy odpowiadało to ambicjom chłopca. Odpowiadało ambicjom domu i środowiska. Jednak Arnold nie został rabinem, bo w trakcie nauk, już w Warszawie wypowiedział swoją pierwszą świętą wojnę pierwszej pladze, jaką go wzburzyła: konserwatywnej bigoterii żydowskiej. Takich świętych wojen i takich godnych zwalczania plag będzie jeszcze potem wiele i będą różne. A wszystkie gniewy i pasje Arnolda będą jednakowo gwałtowne i jednakowo radykalne jak ta pierwsza reakcja: przejście od judaizmu do organizacji komunistycznej. Trzeba tylko pamiętać, że przystąpienie do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej nie równało się wtedy zajęciu miejsca w kolejce po przydział mieszkania, lecz w kolejce do więzienia. Arnold Słucki uznał komunizm za swoje powołanie, a kapitalizm i tzw. wsteczniectwo za główne zło ludzkości. Było to na krótko przed drugą wojną światową. Do więzienia już nie trafił.

Wojnę przeżył w Związku Radzieckim. Nie został tam wywieziony, lecz wywedrował dobrowolnie. I chociaż spotykał się po drodze z podejrzliwością i niebezpieczeństwami, uniknął więzienia także podczas tej pierwszej świętej pielgrzymki, jaką podjął. Również pielgrzymek miało być potem więcej i wszystkie miały okazać się pomyłkami. Ale pierwsza prowadziła do Związku Radzieckiego i gdzieś tam w jej toku Arnold Słucki zgłosił się na ochotnika do Armii Czerwonej. Został przyjęty. Przyjęty, choć następnie zwolniony. Przedtem i potem pracował w cywilu jako robotnik fabryczny, jako księgowy w kołchozie, jako nauczyciel języka niemieckiego w Kazachstanie. Pisał wiersze, które wcale nie świadczyły jeszcze o talencie. Niewątpliwie poznał w tym czasie prawdziwą rzeczywistość. A zarazem uwierzył głęboko w doktrynalną receptę na doskonały świat. Czy ja wiem zresztą, jaka to była recepta? On ją po swojemu rozumiał i po swojemu formułował. Wrócił do Polski z I Armią, z gruzlicą w płucach, i z całkowitą pewnością w głowie, że materializm dialektyczny wyjaśnia naturę wszechrzeczy. No i wrócił z wierszami, ciągle niedobrymi.

Wtedy go poznałem. Wydawał się trochę szaleńcem. W środowisku literackim przezwano go niemal od razu prorokiem. Był samą żarliwością i chodzącym natchnieniem. Ze swoimi współwyznawcami ideologicznymi, zarówno z wielkimi

magami doktryny, jak z ich uczniami toczył nieustannie jakieś straszne spory. Był właściwie fanatykiem, ale głosił herezje, które jednak wypowiadał metaforami, jak w ogóle wszystko, co mówił. Toteż nikt nigdy nie rozumiał jego poglądów całkiem dokładnie. Było tylko wiadomo, że w tym zapale polemiczno-wizjonerskim chodziło mu zawsze o najgłębszą tajemnicę prawdy i sprawiedliwości, bo on tę tajemnicę codziennie, oko w oko, jak Boga żywego oglądał. Choć zapalczywy i nieprzejednany, nie był jednak w tamtych groźnych czasach niebezpieczny, a przecież mógł być. Nie był, bo po prostu wszystkie te zażarte bitwy staczał o fantasmagorię i czystą abstrakcję. Honorami, nagrodami i przywilejami urzędowymi też się raczej nie cieszył.

Wygasanie ideologicznego mitu w latach pięćdziesiątych miało u niego trochę inny przebieg niż u niektórych jego kolegów. Ani nie odbyło się ostentacyjnie, ani Słucki nie stał się typowym rewizjonistą, ani samego mitu - jak mam podstawy twierdzić - nigdy się do ostatka nie wyzbył. Potrzebą natury Arnolda nie była empiria, lecz poznanie poetyckie: gra wyobraźni i spekulacja umysłowa. Rewizjonistą nie stał się może dlatego, że na swój szczególny sposób był nim właściwie zawsze. Świętą wojnę ze stalinizmem, dogmatyzmem, kultem jednostki czy jak to się tam jeszcze wówczas nazywało, stoczył, oczywiście, ale była to poniekąd jego osobista, odrębna walka. A z latami ułatwiał mu to wszystko z rozpalonej głowy, przestawał się tym interesować i opierać na tym swoje własne mitotwórstwo.

Gdzieś właśnie pod koniec lat pięćdziesiątych zaczął się objawiać jako prawdziwy poeta. Mako potrafiłbym wskazać przykładów tak świetnego rozwoju artystycznego po tak przeciętnych początkach. Nie jest moim zamiarem omawianie twórczości Arnolda. Chcę tylko powiedzieć, że wszystko, co było w jego życiu, odzywało się w poezji. Znalazła się tam ludność znad Huczwy, folklor żydowski, Stary Testament, Rosja i dialektyka. Z czasem pojawił się antyk helleński i rzymski, gdy Arnold bardzo poszerzył swoje horyzonty i zaczął szukać związków między kulturami. W roku 1968 był dojrzałym, znanym i uznanym poetą polskim, autorem co najmniej dziewięciu lub dziesięciu tomów poezji.

Czy musiał w roku 68 emigrować? Oczywiście, nie musiał i dziś wiemy lepiej niż wtedy, że kto potrafił przeciwstawić się presji, ten nie musiał. Ale Arnold był przekonany, że nie tylko musi, lecz w dodatku powinien, skoro żądają, by wyjechał. Czy właśnie od niego żądano wyjazdu bardziej niż od innych osób? Był tego, absolutnie pewien. Nigdy może nie sprawdzimy, czy opierał się na realnych przesłankach, czy też w jego wrażliwej wyobraźni przesłanki te stały się czymś większym, niż byłyby dla kogokolwiek innego. Nie brak w każdym razie pod uwagę myśli, że imperatywowi emigracji /zewnętrznemu bądź wewnętrznemu/ mógłby się sprzeciwić. Czuł się wygnancem, lecz zarazem czuł się powołany do wyjazdu, jakby to było jego obowiązkiem moralnym i przeznaczeniem. Pamiętam, że zacząłem rozmowę z nim na ten temat, ale nie mogłem dokończyć. "Arnoldzie - pytałem - czy rzeczywiście musisz to zrobić?" Uciał wszelką dyskusję. "Zrozumiąłem! - krzyczał. - Zrozumiąłem, gdzie jest moje miejsce. Oni mnie wypędzają, ale ja zrozumiąłem. Mam być w Izraelu". Wtedy i ja zdałem sobie sprawę, że zaświtała mu idea nowej pielgrzymki, a skoro tak, to nikt go z tej drogi nie zawróci.

Nie znam drugiego wypadku emigracji z Polski do Izraela, gdy Izrael nie był ani pretekstem, ani poczekalnią, ani złem koniecznym, lecz celem świadomie obranym z nakazu sumienia: ziemią biblijną, obiecaną, pożądaną i właściwą. Ale nie jako terytorium państwowe czy projekt polityczny, lecz jako miejsce, gdzie pewna mistyczna utopia powinna się spełnić. Owszem, chodziło o ziemię Abrahama, Dawida i proroków, lecz także o ziemię esenczyków i Jezusa Chrystusa. Esenczykami pasjonował się Arnold już wcześniej. Chyba jeszcze w połowie lat sześćdziesiątych zainteresował się etyką oraz pozycją pośrednią między judaizmem a chrześcijaństwem. Idea takiego związku dwóch religii i takiego rozszerzonego jak gdyby ekumenizmu przyswieszczać mu będzie w Izraelu, gdy tam niebawem zajędzie, pożegnany przez przyjaciół na dworcu w Warszawie.

Niestety, nie była to idea, którą można było podbić Izrael. Nie były takimi ideami również laicyzm, pacyfizm, humanistyczny uniwersalizm i całe to - powiedziałabym - wojujące a drażliwe marzycielstwo, tak charakterystyczne dla

Arnolda Słuckiego. Wybuchły konflikty ze środowiskiem, instytucjami i osobami prywatnymi. Ziemia obiecana okazała się raz jeszcze światem złym, niesprawiedliwym i niewdzięcznym. Sytuację pogarszały warunki klimatyczne, w których Arnold, od dawna chory, strasznie się męczył, coraz bardziej zapadając na zdrowiu.

Domyśliłem się tego wszystkiego po raz pierwszy latem roku 1970 w Rzymie, gdzie otrzymałem od Arnolda długi list, pełen metafor i wisielczego humoru. Z listu tego wyczytałem już zapowiedź reemigracji, "na razie do Europy". Ale uznałem to za zwrot retoryczny.

Jednak w dwa lata później to, co mgliście zapowiadał, było spełnione, bo zdążył tymczasem opuścić Izrael i dojechać etapami przez Francję do Niemiec, a jego żona, Inka, zjawiała się w Berlinie Zachodnim, gdzie zamierzali oboje z Arnoldem zamieszkać czy raczej - jak mówili - zatrzymać się na pewien czas. Z początku nie rozumiałem, że Arnold odbywał jeszcze jedną, ostatnią, niestety, pielgrzymkę. Także ja przyjechałem wtedy na rok do Berlina Zachodniego, ale z Warszawy, zaproszony do udziału w berlińskim programie stypendialnym dla zagranicznych artystów. Arnold stypendium takiego nie miał i nie chciał mieć, chociaż mu proponowano. Uważał, że za bardzo skrupowałoby mu to ręce.

Na razie leczył się jeszcze gdzieś na południu Niemiec w sanatorium. Kiedy w końcu Inka dostała w Berlinie pracę zarobkową, wynajęli sobie skromne mieszkanie, które mieli dzielić z młodym Anglikiem, coś jakby pokój z używalnością kuchni na Genthinerstrasse 30 K w pensjonacie "Alter Westen". Tam ich potem odwiedzałem i tam poznałem ostatnią tajemnicę Arnolda.

A tajemnica była taka: chciał wrócić do Polski. Celem europejskiej pielgrzymki na wschód była Polska. W Niemczech, których nie znosił, znalazł się dlatego, że leżały bliżej Polski, a Berlin Zachodni najbliżej.

I otóż co mną wstrząsnęło: taka Polska, jaką Arnold wyobraził sobie po grudniu 1970 i jaka miała go przyjąć, w rzeczywistości nie istniała. Powiedzieliśmy. Ale nie uwierzył. Z jego rozumowań, z jego przenikliwych intuicji, w których ocierał się - jak zwykle - o najgłębszy sens prawdy i sprawiedliwości, z tych wszystkich jego objawień, a przede wszystkim z pragnień i tęsknot wynikało, że ja muszę się mylić, natomiast on łąka tydzień, łąka miesiąc będzie mógł do Polski wrócić czy nawet zostanie o powrót poproszony. Nie widział swojej przyszłości inaczej. Sądził jednak, iż ma jej przed sobą więcej, niż w istocie miał.

Tymczasem zdrowie Arnolda przedstawiało się fatalnie. Gruźlica była zaleczona, ale atakowały go inne choroby. Co najgorsza, zawodził już układ krążenia i niedomagało serce. Wkrótce po przyjeździe do Berlina, jakoś tak w środku lata, musiał położyć się w szpitalu. Przeleżał do jesieni. Gdy wrócił z tej kuracji, mało się już ruszał, przeważnie medytował, czytał, porządkował rękopisy, chodził po pokoju w szlafroku i oczekiwał wiadomości z Warszawy.

W listopadzie /a rok był, przypominam, 1972/ przeszedł nad Niemcami wschodnimi gwałtowny huragan, o którego skutkach gazety pisały potem przez kilka dni. Powstało wiele szkód, byli nawet ranni. Wiatr postrzącał dachy, porzywał przewody elektryczne, natłukł szyb, nałamał drzew i ciężko dał się we znaki ciśnieniomcom. Pamiętam, że miałem przykrą noc, pełną huku, duszną i bezseną. Ale nazajutrz wszystko minęło, kolejną noc przespałem, dzień poświęciłem zwykłym zajęciom, a wieczorem zadzwoniłem do Arnolda.

- Już jest dobrze - powiedział. - Tamtej nocy czułem się źle, ale już jest dobrze.

Głos miał żywy, humor mu dopisywał, rozmawialiśmy wyjątkowo długo, chyba z godzinę. A niedawno zdarzył się właśnie pewien sukces Arnolda w RFN. Jego scenariusz filmowy, osnuty bodaj na opowiadaniach Babla, uzyskał nagrodę w konkursie, co stanowiło warunek wstępny realizacji scenariusza. Mówiliśmy więc o sekretach powodzenia scenariuszy na Zachodzie i Wschodzie, wymienialiśmy plotki i dowcipy. W końcu powiedziałem Arnoldowi dobranoc.

Następnego dnia po południu zadzwonił aparat w moim mieszkaniu. Inka zawiadomiła, że Arnold nie żyje. Pół godziny temu wrócił z pracy do domu i zastała go martwego. Z początku myślała, że śpi, bo leżał na tapczanie jak zwykle, na boku, z łokciem pod głową. Ale był już chłodny.

Pojechałem na Genthinerstrasse. Wciąż tak właśnie leżał. Lekarz był, zgon stwierdzony, będzie jeszcze ktoś z policji, bo takie są przepisy.

- Musiał umrzeć we śnie - mówiła Inka. - Telefonowałam do niego koło drugiej. Powiedział, że robi obiad. Rzeczywiście coś ugotował i nawet zostawił dla mnie w rondelku. A sam zjadł i pewnie się położył. Zawsze drzemał po obiedzie.

Śmierć Arnolda nie przeszła całkiem bez rozgłosu. Gazety zachodniobерlińskie zamieściły okolicznościowe notatki i krótkie artykuły. Ponieważ byłem w Berlinie i wiadano, że znam Arnolda, radio SFB /Sender Freies Berlin/ zwróciło się do mnie z prośbą, żebym nagrał po niemiecku wspomnienie o zmarłym poecie polskim. Nadano je tego samego wieczora po dzienniku.

Mówiełm też potem na pogrzebie, ale tylko po polsku, żegnając Arnolda od siebie i od przyjaciół, którzy zostali w Warszawie. Było to jedyne przemówienie nad trumną, bo wdowa nie życzyła sobie niczego więcej.

Tak więc ciało Arnolda Słuckiego spoczywa na cmentarzu zachodniobерlińskim, a poezja w rękopisach.

x

Gdy dziś próbujemy odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki był sens tego dziwnego życia, złożonego z nieporozumień, błędów i poniewierki, łatwo nasuwa się myśl, że nie było żadnego sensu, był tylko tragiczny absurd. Bo przecież z wszystkich tych celów, które Arnold Słucki przed sobą stawiał, z wszystkich misji, służb, walk, poświęceń, z wszystkich formuł, kamieni filozoficznych, kabalistyk, z wszystkich cierpień, opresji, tułaczek, z wszystkiego tego, nie wynikło nic poza potwierdzeniem racji Norwida, że "co w życiu było skrzydłami, nieraz w dziejach jest ledwo piętą". Lecz Norwid mówi jeszcze, że "nikt nie zna dróg do potomości, jedno po samodzielnych bojach". Otóż czego jak czego, ale tych "samodzielnych bojach" stoczył Arnold Słucki dość. Byliśmy jego współczesnością, a już jesteśmy czymś w rodzaju potomości. I może nie zbieralibyśmy się tutaj i nie mieli powodu zajmować się jedyną rzeczą, która mu się udała, mianowicie poezją, może też ta poezja nie miałaby powodu się udać i może by nigdy nie przemówiła tak przejmującym tonem, gdyby życie poety nie zmarnowało się w rzekomym "bezsensie" Tyszwie, Stalingradu, Warszawy, Tel Avivu, Betlejem i Berlina.

Jacek Bocheński

Arnold Słucki

W I E R S Z E

Biografia anioła

Biografia anioła: dżdżownica
porózrywana

rana

martwych pól nieopatrzonych, nie namaszczonech
oliwą,

emisje ciemności, światła:

Przypatrzenie się tym poćwiartowanym w jatkach pełzającym dziwom.
Dojrzałe są, ach, gdyby tylko brzuchy dać im całe,
skrzydła,

urośliby znów do mitu; wpierw do węża

/już chcą/,

widzą dwa drzewa w naturalnych blaskach,

z firmą raju

i Ewa tam stoi, potrząsa jabłkiem z tworzywa

serce jej bije,
lecz broni jej milicja kopenhaska
z halabardami, na których światło to zapala się,
to gaśnie
i wszystko znów /jak poezja/ bywa,
sen czeka aż zaśnie.
Więc przyszliśmy
sny mieszać
na jakowych klepiskach
jak niegdyś u rajskich warujemy drzwi,
statystyka nas pociesza
i liczymy z archanielskich nastroszonych brwi
sypiące się na świat protony świętego pisma.

x

Na nowo się rozejrzałem,
szary był świat wyobraźni
i wszystko w nim wiadome,
sen to był, felczer pamięci,
taki, jakiego już widziałem,
rozpinał tęczę z rtęci
jak zakrzywiony termometr
na znak obłego przymierza
między tym, co żywe śpi,
a tym, co martwe
uderza.

x x x

Góry stały
w doliny spowite,
brzeg brzegowi
odegrzmiął
i jak włócznie
biegło słowo
przeciw sensowi.
Jezioro się zachwiało
w dół korytem,
chlusnęła
mitem
Huczwa.

Z Genezis

Kiedy
Einstein
zeszedł z góry Hor
bez brody i w swetrze,
na dole już - według pańskiego rozkazu -
czekał na niego Niels Bohr,
rozbłysło w Kades powietrze
i ozerwona była ziemia Edomska,
dymiło z daleka, jak parostatek, parotysięczne
miasto Asyjongaber,
więc przestraszyło ich to
i, ruszywszy przez Funon,
położyli się obozem
w Obot,
ale aż tam cień potężny na nich runął
i przewrócił
ich.

Rzekł Bóg do Einsteina:
patrz, tam pola maobskie
Jordanem
ku Jerychu
idą,

ale wzór jest twój.

I rzekł mu Einstein: a b e r - - -

x x x

Już jesień, jesień dmie,
lato znajome włóczę wiedźmy,
jak Hektora ciało.

Już z drzewa - dym,
jesieni moja, jedźmy!
Tka ujdą cało.

Z akwarium

Gdzie jest poeta,
co psia kość ogryzał
i ludziki
powygniatał z chleba?
Morzami otoczony
siedzi,

skrzelami oddycha,
jak Lewiatan obrzękły i dziki.
Ości mu wystają ze światła
zielonego akwarium,
niż obłoki bielsze,
niż światło
z działkami snu czterema.
Gwiazdę po niego posłali,
ale
już go tam nie ma,
jest czasów popiół i diariusz.

Ogrody

Kto widział jak mijają lata ogrodów,
drzewa, co jak kapłani w czasie podniesienia
stoją pośród milczenia narodów?
Ja to widziałem. I trwogę, i dym od korzenia.

Tam wracać

Tam wracać,
gdzie zielen nierozszczepialna,
oko butelki,
pióro anika zbutwiałe.

Tam kzę gaszę
i widzę jeszcze dwa zydle,
dwa mesjasze
siedzą na nich, szyją dla mnie kamasje
i prześcigają się,
cali w igle,
i charcząc
wypluwają z siebie mgłę.

Residuum

Powiedzą o nim: był poetą narodowym cieni,
strachem, relegowanym na zewnątrz
tego, co trwało,
jawą epileptyka. - Widziałem
takiego, rzuconego przed parkan
gotyckiego kościoła, w pewnym mieście
po wojnie, ostrzeliwanym przez wyzwolanych
i wyzwolicielei

z różnych stron,
on był w środku
i już był pokój
na zewnątrz jego istnienia
co wdrapywało się
wysoko.

Dzwon i coraz to dzwon
obwieszający ludzkości Wielką Przerwę,
w której życie się zagnieździło.
Czymże było to wszystko
wciąż zapytuję,
residuum niedrukowalne,
słyszałem to, kiedy słońce weszło we mnie
i śmierć, chociaż przeżyła siebie,
nie chciała umierać.

Amputacja

A więc boli wciąż, jak amputowana noga
ta pustka pierzasta i popiół nas świerzbi,
widziano ponoć na Mazowszu dwie wierzby
w zielonych takasach i jakiś stragan
w środku nieba, niby to kram,
niby fortepian, błądą czerń na bieli,
aż się zbiegli z motykami anieli
o mięśniach napiętych Salvatora Dali,
po czym spadali jak promień do tłustej emulsji,
sama pamięć po nich przemknęła zygżakiem.

I barwy wszystkie były barwy jednakiej.

Miażdżenie ciszy

Miażdżenie ciszy słyszę: w uszach katownię
odkryłem, gdy oślepnę na wszelką barwę
już od narodzin. Widzę małą główkę
w pustce, to oko budzi białą larwę

i po niebie ją włóczy jak kredową smugę
którą wypisuje czas po samolocie,
zaorywany szybko przez anity pługiem,
by nie śmierć ni pachniał w pogodzie,
ni skocie,

Więc pozostaje znaku półczytelny domysł
po okrucieństwie, co ogarnia nas lubieżnie.
Widzę jeszcze pagór, niosący mi dwa domy
do wyboru, ptaszarnię i rzeźnię.

Kolęda

Lulajże wiosko powietrzna - z dzieciątkiem
Dobra Izis tu Filistyńska
przyszła, aby stać przed początkiem -
jak światło lekka
i jak kamień - młyńska.

Synek jej się uczepił - w powieće
ziarnko piasku, a więc trzepoce
powieką, jak ryba w kamiennej rzece
złowiona i przywrócona epoce.

Stąd w kamieniu przyszło poczęte
na świat brzydkie boskie dzieciątko.
Lulajże ikro kamienna, kolęda!
Lulajże świrze ziemskim początkom.

Ja tylko widzę, a już nie słyszę,
jak o dzieciątko stuka oliwka -
brzoza przebrana w śródziemną ciszę,
której nie pojmę - - -

Aszkelon, grudzień 1968 - marzec 1969

Arnold Słucki

CZY MOGĘ ROBIĆ TE BUTY?

/„Zapis” rozmawia z Kazimierzem Dejmkiem/

W maju br. przedstawiciele redakcji „Zapisu” - Anna Chmielewska i Wiktor Woroszyński - odwiedzili reżysera teatralnego i dyrektora Teatru Nowego w Łodzi, Kazimierza Dejmka. Rozmowa zapisana na taśmie magnetofonowej, po opracowaniu redakcyjnym, została przez Dejmka autoryzowana.

Wiktor Woroszyński: Jak się ma Dejmek Anno Domini 1979 do tamtego sprzed lat, którego obecna tutaj Anna zna z legendy i studiów, a ja pamiętam, stoi mi przed oczyma tamten teatr, który zaczął kiedyś robić w Łodzi, to było trzydzieści lat temu...

Anna Chmielewska: Również trzydzieści lat temu.

W.W.:... przez te trzydzieści lat zatem, od „Brygady szlifierza Karhana” Vaška Kani do „Vatzlava” Sławomira Mrożka, czy odczuwasz swoją tożsamość jako twórcy teatru, jako człowieka i twórcy myślącego społecznie - czy też jest w tym jakieś pełnienie, jakieś rwanie się wątków i nieciągłość, niespójność życiorysu? I jak widzisz to, co było wtedy, na początku - czy jako grzech młodości, coś obcego sobie i wstydliwego - czy odwrotnie, coś niezbędnego, konsekwentnie warunkującego Twój dalszy ciąg, dalsze metamorfozy? Kwestie te interesują mnie nie tylko ze względu na Ciebie i Twój teatr, który uważam zresztą także za fragment własnej biografii wewnętrznej. Chodzi chyba ogólniej o sprawę pokolenia, do którego obaj należymy, o sprawę pewnej formacji. To, co Ty i Twój koleś robiliście w teatrze, co się działo z wami wtedy i później, odbierałem zawsze, słusznie czy niesłusznie, jako na swój sposób analogiczne do poczyną i losów mojego pokolenia literackiego. Może więc z tego, co potrafisz czy zechcesz powiedzieć, spoglądając wstecz, o sobie i swoim teatrze, wyniknie coś także dla nas i dla mnie?

Kazimierz Dejmek: Wiesz, ja szczególnych rozrachunków z przeszłością nie przeprowadzałem - po prostu nigdy nie miałem na to zbyt wiele czasu, a najprawdopodobniej i ochoty. Nigdy się też swojej przeszłości nie wypierałem ani nie zarzekałem, a jeżeli bym się czegoś wstydził, to tego, że byłem faszystą.

W.W.: Jak to?

K.D.: No, stalinowcem, jak wolisz, chodzi o pewien gatunek świadomości, myślenie o świecie lub odmowy myślenia. Popatrz, mam tutaj taką książeczkę, dostałem ją w prezencie przed paru dniami, dopiero zdążyłem ją przejrzeć. Tutaj leży Miłosz, a pod Miłoszem - książeczka pana Gubariowa „Pawlik Morozow”, wydana przez Naszą Księgarnię w roku 1951, tłumaczenie z rosyjskiego. Pani wie, kto to był Pawlik Morozow?

A.Ch.: Taki dzielny radziecki chłopczyk, który zadenuncjował tatusia.

K.D.: Możecie mi wierzyć albo nie, ale nie miałem pojęcia, że w Polsce Ludowej w roku 1951 podobna książka w ogóle się ukazała. Czy to uznać za miarę, bo ja wiem, niedoinformowania, czy zaślepienia, czy nie dopuszczania pewnych rzeczy do świadomości? W roku pięćdziesiątym, w tym samym czasie, kiedy na afiszach „Brygady szlifierza Karhana” ktoś wlepił karteczki „Precz ze sługusami Stalina”, tak, właśnie wtedy, w połowie roku pięćdziesiątego, pewien człowiek opowiadał mi o metodach naszego UB - i ja tego wysłuchałem z niezachwianym osądem i przekonaniem, że to wszystko są reakcyjne brednie, że to się po prostu dzieje u nas nie może. I za to, że byłem o tym tak stanowczo przekonany /a jeszcze pytanie, czy za takim przekonaniem nie kryje się jakieś utajone przyzwolenie/, za to, że w 1951 roku, kiedy pani chodziła do przedszkola, ukazała się ta książeczka „Pawlik Morozow”, oczywiście jest to tylko figura, takie przykłady można mnożyć - człowiek musi ponosić odpowiedzialność. A z tym faszystem, z podatnością na faszyzm... W czterdziestym roku była w Rzeszowie wielka łapanka na uczniów gimnazjalnych. Myśmy mieszkali na peryferiach Rzeszowa, niedaleko Wisłoka i takiego strumyczka Przyrwa, który

wpadał do Wisłoka. Mnie i moich kolegów ktoś ostrzegł i wyrwaliśmy nad tę Przyrwę. To było dokładnie 3 maja, i ci chłopcy, moi koledzy, których złapano, wszyscy poszli do Oświęcimia i mieli trzycyfrowe numery, i wielu z nich przetrwało cały ten straszliwy okres jako administracja obozowa. Więc wtedy myśmy znad tej Przyrwy widzieli, jak grupa hitlerowców cywilnych i mundurowych, w tych słynnych gumowych płaszczach, wchodzi do naszego domu. Mnie nie było, rodzice władali niemieckim i jakoś tam się wyłgali. Jednym słowem - miałem szczęście i przez czysty przypadek nie pojechałem w tym transporcie do Oświęcimia. Ja i tych paru kolegów, z którymi się ukryliśmy. Ale kiedy obserwowaliśmy z ukrycia to, co się działo, ogarnęła mnie, pamiętam, taka straszna wściekłość, taka nienawiść, że przysięgłem sobie na wszystko, że jak wygramy tę wojnę, to ja w takim gumowym płaszczu będę chodził po niemieckich mieszkaniach i będę wyciągał niemieckich gimnazjalistów, i wysyłał ich do obozu, i do kryminału. Dlaczego wspominam o tym w tej chwili? Nie rozczulam się i nie kryguję, tylko staram się sobie przypatrywać beznamytnie. I myślę, że takie przeżycie, o takim nasileniu, takim napięciu, nie może nie zdeformować ludzkiego serca, ludzkiego umysłu, charakteru, duszy i czego tam jeszcze chcesz. To musi zostawić trwały ślad, to jest jak pęknięcie kości, pęknięcie ramienia, które się zrośnie, ale już nigdy nie będzie takie jak dawniej. I ta łatwość przystania na faszyzm stalinowski, ta groźna naiwność, która wielu z nas cechowała; kto wie, czy nie była w jakimś stopniu uwarunkowana tego rodzaju doznaniem i przeżyciami.

W.W.: I to się w którymś miejscu spotykało z pokusą buntu estetycznego przeciwko "starym".

K.D.: I z fascynacją "nowym" w teatrze, które miało odpowiadać "nowemu" w życiu społecznym. W tej naszej grupce młodych aktorów, która się zbuntowała przeciw domniemanym estetyzmem Schillera i burżujskości teatru przedwojennego itd., myśmy właściwie pod wpływem Stanisławskiego...

W.W.: Znaliście Stanisławskiego?

K.D.: Po to, żeby czytać Stanisławskiego, nauczyłem się rosyjskiego. I przy tej swojej koślawej rosyjszczyźnie tłumaczyłem na nasz użytek "Etykę" Stanisławskiego, wiele rozdziałów jego książek, wypowiedzi itd. Więc pod wpływem Stanisławskiego, ale nie tylko, nie ulega wątpliwości, że na naszą postawę obywatelską wywarł wpływ właśnie Schiller, którego w jakiejś płaszczyźnie chcieliśmy zanegować, i nie tylko on, więc pod tymi wszystkimi wpływami doszliśmy do wniosku, wyrażonego w memoriale grupy młodych artystów.

W.W.: Co to był za memoriał?

K.D.: Złożyliśmy go w Ministerstwie Kultury i Sztuki, i na jego podstawie Piotr Borowy, ówczesny dyrektor Centralnego Zarządu Teatrów, tak się ten urząd wtedy chyba nazywał, wszczął z nami pertraktacje, a następnie zainteresował tym Sokorskiego, ówczesnego wiceministra, i Sokorski przystał na powołanie do życia naszego teatru. Dostaliśmy pieniądze, dostaliśmy lokal po Teatrze Kameralnym przy ulicy Przejazd 34, i zaczęliśmy gospodarzyć. To była dosyć szczególna gospodarka - nie mieliśmy dyrekcji, tylko samorząd, demokrację ateńską, jeżeli tak można powiedzieć...

A.Ch.: Ale co było w tym memoriale, oprócz stwierdzenia, że grupa młodych aktorów pragnie mieć własny teatr?

K.D.: Wykładaliśmy tam swoje racje artystyczne i ideowe. Było to dosyć proste i jednoznaczne: uznawaliśmy socjalizm za jedyną siłę twórczą, sprawczą naszej epoki, a budowę nowego ustroju poprzez teatr za jedyny prawy obowiązek aktora. Budowę nowego ustroju - to znaczy kształtowanie nowej mentalności ludzkiej, nowych stosunków pomiędzy ludźmi itd. itd. Wszystko to było tyleż szlachetne i poważne...

W.W.: ... wręcz patetyczne...

K.D.: ... co naiwne, jak się okazało. Ale i to określenie jest zbyt po-błażliwe, zbyt przychylne nam takim, jakimi byliśmy wówczas. Jeżeli, jak mówiłem na początku, niechętnie wdaję się w te rozrachunki z przeszłością, to może nie tylko dlatego, że wstydzę się niegdysiejszej niedojrzałości, ale że wciąż podejrzewam siebie o pewną nieczystość postępowania w tamtym okresie. Czy nie za łatwo uznałem socjalizm za jedyną siłę twórczą i sprawczą naszej epoki?

W.W.: Nie ty jeden przecież.

K.D.: Tak, ale czy to nie było związane z chęcią zrobienia kariery? W pewnym wieku jest się tyleż głupim, co agresywnym i bezczelnym. Nie ma się doświadczenia, wyobraźni i mądrości, z drugiej strony - delikatności w stosunku do tego, co było. I jeżeli się tworzy tego rodzaju niezdrowa sytuacja społeczna, że władza zaczyna wzywać takich smarkaczy, ludzi z dołów społecznych, ale także z innych kręgów, pod tym względem specjalnie nie przebieżano, jednym słowem - tych nachalnych, agresywnych gówniarzy-arywistów, i zaczyna ich wabić delikatnie, tak jak to się wtedy odbywało, bo władza jeszcze była niepewna, więc to wołanie "cip, cip, kurki, do ziarenek, do ziarenek" było takie bardzo domowe, bardzo ojcowskie... otóż powstaje pytanie, dlaczego jedni na to "cip, cip, kurki" idą, a inni nie? Dlaczego ja na to poszedłem, a niektórzy moi koledzy na to nie poszli? Czy bardziej paliłem się do kariery? Czy odwrotnie, poszedłem, bo miałem w sobie więcej, więcej... no czego? idealizmu?

W.W.: Może właśnie tak.

K.D.: A może dlatego, że w przeciwieństwie do wielu z nich miałem już pewien szlif społeczny? Ja już w trzydziestym szóstym roku, jako smarkacz, na głuchej prowincji, czytywałem "Wiadomości Literackie". A w trzydziestym ósmym i trzydziestym dziewiątym roku znałem już z pierwszych ust pełną prawdę o strajkach chłopskich w Przeworsku, gdyż opowiadał mi to człowiek, który za to właśnie siedział w więzieniu. A jeszcze wcześniej, nie pamiętam w którym roku, miałem może osiem, może dziewięć lat, widziałem manifestację pierwszomajową więźniów. Na ostatnim piętrze starego więzienia w Kowlu - bo było i nowe - siedzieli tzw. komuniści i na 1 maja przebili dziury między celami, wywiesili czerwone płachty, śpiewali, krzyczeli, oczywiście cegły na dół leciały... Przyjechała konna straż ogniowa, no i tak dalej. I słyszałem jeszcze na przykład o masakrze więźniów politycznych, jaką urządził jeden z naczelników więzienia, i o pacyfikacjach wsi ukraińskich na Wołyniu, no, jednym słowem, ocierałem się o to i owo. A potem, podczas okupacji, byłem w konspiracyjnym ruchu ludowym, najpierw w utajonych bojówkach Stronnictwa Ludowego, tzw. DS-ach czyli Drużynach Specjalnych. W roku 1943 jeździłem po wsiach i wygłaszałem do chłopów pogadanki o konieczności reformy rolnej. Byłem więc dość radykalnie usposobiony i to był również powód, nie tylko w moim życiu, ale i w życiu wielu innych młodych i niemłodych ludzi, naszego zejścia się z władzą ludową. Reforma rolna, upaństwowienie przemysłu itd. - to wychodziło naprzeciw naszemu szczeremu radykalizmowi.

W.W.: Wyrażasz więc pewną nieufność wobec motywów czy sprężyn psychologicznych swojego zaangażowania, a jednocześnie przypominasz sobie jego autentyczne źródła społeczne i osobiste. Mnie się wydaje ważne - nie tylko dla uspokojenia własnego sumienia - to stwierdzenie, że niezależnie od wszystkiego innego: naiwności, niechęci widzenia tego, co jest naprawdę, nawet od tego jakiegoś arywizmu młodych ambitnych facetów, istniał ten element autentycznego przeżycia. Bo jeżeli "Brygady szlifierza Karhana", z całym jej schematyzmem, nie odbierało się jako czegoś płaskiego, tępego, ale jako coś z polotem, z blaskiem, z zaraźliwą emocjonalnością, to przecież właśnie dlatego. I dalej, zaryzykowałbym taki domysł, że wszystko, co stało się potem, to znaczy nabrzmiewający aktywny krytycyzm w stosunku do tej rzeczywistości i do swojej w niej roli, to, że nie mogłeś trwać w takim zaangażowaniu, o jakim była mowa, że musiałeś się od tego odwrócić, z gniewem zburzyć ten ołtarz, któremu się kłaniałeś, to też dlatego, że ofiara na ołtarzu nie była z tektury. Jeszcze innymi słowami: ten pierwiastek autentyzmu społecznego, jaki był od początku w Twoim teatrze, musiał w pewnej chwili zażądać od teatru autodestrukcji, właśnie w imię ocalenia tego, co najważniejsze.

K.D.: No jasne, masz rację, ale może ta podejrzliwość w stosunku do samego siebie też odegrała tu jakąś rolę?

W.W.: A czy potrafisz uchwycić moment przełomu? Bo po tych pierwszych Twoich przedstawieniach, które tak dobrze pamiętam, nie było mnie przez parę lat w kraju, a potem naraz zobaczyłem "Łaźnię". W którym to mogło być roku?

A.Ch.: Premiera "Łaźni" odbyła się na początku grudnia 1954.

W.W.: Zdawało mi się, że później. Więc pamiętam "Łaźnię", potem znowu czegoś tam nie widziałem, a potem - w przeddzień Października - to brawurowe

"Święto Winkelrida", które ktoś nazwał polskim "Weselem Figara"... Dla mnie to był ciągle ten sam teatr, może dlatego, że ja w ciągu tych paru lat zrobiłem zwrot, a dla siebie, wewnętrznie, ciągle byłem ten sam. Ale naprawdę zaszła przecież ogromna zmiana pomiędzy apologią rzeczywistości, jaka była w "Brygadzie szlifierza Karhana", a gorzką drwiną w "Łażni", jakimś rozczarowaniem, może i nadzieją, że coś jest jeszcze do naprawienia, ale w sumie, to już było inne spojrzenie na rzeczywistość. Jak do tego doszło, w którym miejscu przebiegała linia graniczna?

K.D.: Widzisz, "Brygada szlifierza Karhana" nie była żadną apologią rzeczywistości. Była walką o nową rzeczywistość, która dopiero na naszych oczach miała się stawać. W miarę upływu czasu ta rzeczywistość, którą się projektowało w marzeniach, której się oczekiwało, zaczęła się pomaleńku kształtować nie tylko na naszych oczach, ale i na naszych skórach. Także w teatrze zaczęliśmy się stykać z jej przejawami, na przykład już w połowie roku 1950 ministerstwo przysłało wszystkim dyrektorom nakaz prowadzenia dzienniczków zajęć. Jeżeli ktoś do mnie telefonował, to musiałem zapisać godzinę, imię i nazwisko, sprawę, w jakiej ten ktoś dzwonił, moją odpowiedź itd. Czyli zaczęła tutaj działać nawet nie skrzętność biurokraty, lecz skrzętność policjanta. I nam w teatrze coraz więcej rzeczy przestało się podobać. Uważaliśmy to za pewne wynaturzenia, ale sens tego, o co nam chodziło, widzieliśmy ciągle tak samo. "Łażnia" wydawała nam się tym samym, co "Brygada szlifierza Karhana". To w dalszym ciągu walka o socjalizm, tak jak myśmy go pojmowali, może już trochę mniej idealistycznie, trochę mniej naiwnie, ale w dalszym ciągu miał to być nowy układ stosunków pomiędzy ludźmi. Nawet w "Święcie Winkelrida", w którym wyszydzałyśmy wprost to wszystko, co się u nas działo, szło nam ciągle o to samo, o co w "Brygadzie szlifierza Karhana" i w "Łażni". Dopiero "Ciemności kryją ziemię" - to już chyba rok pięćdziesiąty ósmy czy dziewiąty - były próbą gorzkiego obrachunku ze sobą, sprawa socjalizmu i walki o socjalizm była dla nas jednak wciąż żywa.

W.W.: O jaki socjalizm?

K.D.: No, nie o ten "realnie istniejący". Ja na ten "realnie istniejący socjalizm" nie bardzo chciałem przystać i wcale nie jestem pewien, czy ten "realnie istniejący socjalizm" ma wiele wspólnego z jakimkolwiek socjalizmem.

W.W.: Nie ma innego socjalizmu, jest tylko realnie istniejący.

K.D.: Gdzie? U nas? W Rosji? W Anglii? We Włoszech? W Czechosłowacji? Elementy ustroju socjalistycznego istnieją realnie w różnych państwach i ustrojach, spójrz choćby na Francję czy Danię, ale z samonazwania się, z magicznego zaklęcia nie wynika jeszcze socjalizm. Stalinowska satrapia była skrajnym faszyzmem, przed którym rozmaici Aragonowie palili socjalistyczne świczki dziękczynne. Oraz ja...

A.Ch.: Ale czy Pan sądzi, że istnieje rzeczywiście taki socjalizm, o jaki chodziło w "Brygadzie", to znaczy - że jest możliwy, czy w ogóle chodziło o coś innego?

K.D.: Proszę pani. W "Brygadzie szlifierza Karhana" chodziło o to, żeby był nowy świat i nowy człowiek. Ale to jest naiwna sztuczka, nie traktujmy Vaška Kani jak Dostojewskiego czy Camusa, ponadto...

W.W.: "Nowy świat i nowy człowiek" był i mógł być chyba głównie w sztukach takich autorów jak Vašek Kania, importowanych i rodzimych.

K.D.: Zaczynaliśmy od "Brygady", "Bohaterów dnia powszedniego", "Zwycięstwa" itd., bo sądziliśmy, że to jest ten wyraz teatralny, który jest właściwym artystycznym przeciwstawieniem się wszystkim pięknoduchom, estetyzmem i poetyzmem teatru burżujskiego; brodzącego w mistycznych, poetyckich i innych, panie dziejku, oparach. Ale w swoim memoriale zapowiadaliśmy też, że w najbliższym okresie będziemy kultywować w naszym repertuarze klasę polską. Ten i ów historyk teatru dziwi się, skąd w naszym repertuarze w roku pięćdziesiątym drugim "Horsztyński". "Horsztyński" stąd, że chcieliśmy się odnieść do tradycji. Byliśmy zaślepionymi głupkami, ale nie aż takimi, za jakich nas niektórzy do dzisiaj uważają. Chcieliśmy wybrać tradycje, które byłyby jakoś zrymowane z tym, czym przejmowaliśmy się jako współczesnością. I dlatego wybraliśmy "Horsztyńskiego" jako dramat pewnych postaw, krytykę szlachetczyzny itd. Płonęliśmy ogniem świętej miłości do socjalizmu i odblask tego ognia padał

także wstąpił na repertuar klasyczny. I oto na próbę generalną przyjechała pewna ważna osoba. Graliśmy już w budynku, w którym teraz mieści się Teatr Nowy, próba trwała od popołudnia do rana. Siedziałem na próbie obok ważnej osoby, która cały czas liczyła, ile razy pojawia się w tekście wyraz "Moskale". Naliczyła tych "Moskali" sporo. Pytam: "towarzyszu ważna osoba, co wy tak tych Moskali liczyście?", a on mówi: "wiecie, towarzyszu, za dużo ich, ciachnijcie tak o połowę". To drobny faksik, anegdota, ale takie między innymi były te zdarzenia, fakty i faksiki, które korygowały nasze spojrzenie na to, co się wokół nas dzieje.

W.W.: Więc "Zażnia" i "Święto Winkelrida" były już dziełem ludzi, którzy mieli za sobą i takie incydenty, jak ten z socjalistyczną ważną osobą na próbie "Horsztyńskiego"... Ale kiedy, w którym momencie zmieniło się Twoje widzenie rzeczywistości?

K.D.: Zacząłem się załamywać w końcu lat pięćdziesiątych. Rozumiesz, że nie stało się to z dnia na dzień. Że ten proces toczył się od początku. Z uwagą obserwowałem poczynania Gomułki. Od chwili, kiedy w Październiku na Placu Defilad oświadczył, że od dziś będzie mówił narodowi całą prawdę, nie żebym miał do niego zaufanie, ale miałem wciąż nadzieję, że on i jego ekipa uzdrowią państwo, że wykorzystają właściwie kapitał zaufania, dobrej woli i entuzjazmu, jakich im udzieliło społeczeństwo, że uda się wspólnie utworzyć nowy socjalistyczny ład. Bardzo szybko i gruntownie rozprawił się Gomułka z tą nadzieją. Zaczął od trybuna ludowego, a skończył na pogromie "Po prostu", zaczął od podkreślania godności i suwerenności narodowej, a skończył na lokajstwie wobec Rosji. Gorzki los. Nie rozszalałem się nad tym jego gorzkim losem, bo pamiętałem o grudniu, o tym, że winien jest zbrodni ludobójstwa.

Każdy miesiąc, każdy rok dowodziły, że nie idzie im o żadne społeczne sprawiedliwości, o żadne wolności, równości i braterstwa, o żadne socjalizmy i proletariaty, lecz o interes mniejszości, sprawującej władzę i korzystającej z wszelkich jej przywilejów, i o przetrwanie w jej ciemnych puchach i puchowych siermiach.

Akurat w tych latach, od początku roku 62, kierowałem Teatrem Narodowym, więc się na co dzień stykałem z "linią partii", z cenzurą, z wysokimi przedstawicielami władzy, mogłem to wszystko z bliska obserwować. Nie dziw mi się, że byłem w rozpacz, ale wciąż się trzymałem swojej dewizy: robić jak najlepiej to, co do mnie należy, jak długo można.

Robiłem więc Teatr Narodowy od 62 roku, od "Historyi" - do 67 roku, do "Dziadów". Udało mi się pozyskać wielu ludzi, w tym sporo świetnych aktorek i aktorów. Budowaliśmy tę instytucję od podstaw, i wreszcie ta nasza praca zaczęła owocować, przynosiła rezultaty, choćby "Namiestnika" czy "Żywot Józefa", czy "Dziady". Te i parę innych przedstawień uważaliśmy za minimalny poziom artystyczny, za ceddzienną normę, poniżej której schodzić nie wolno, za fundament, na którym dopiero należy budować gmach Narodowego Teatru.

A.Ch.: Czy teatr mógł się w swoich poczynaniach odwołać do jakiejś obiektywnej miary tego, co właściwe i ważne - czy też miarą były intuicje i upodobania dyrektora?

K.D.: Rezygnowałem ze swoich gustów i upodobań, powściągałem swój temperament, podporządkowałem się idei Teatru Narodowego, jakim on winien być...

Przypatrywano się nam z coraz większą podejrzliwością, bośmy zaczęli kulturować polszczyznę i bronić jej przed zniszczeniem, mówiąc zaś "p o l s z c z y z n a", myślę o jej różnych warstwach i składnikach, od języka poczynając, a na wyborze repertuaru i sposobach jego wykonania kończąc. I tak oto stałem się, nie wiadomo kiedy, nacjonalistą.

W.W.: "Nacjonalista" nie wydaje mi się precyzyjnym określeniem.

K.D.: Wolisz "patriotę"?

W.W.: Tak, to dosyć zgrane słowo. Ale różni ludzie, którzy także uważają się za nacjonalistów, nie zgodziliby się na wiele z tego, co Ty robisz. Nie zgodziliby się na znaczną część Twojego repertuaru, na autorów, których wystawiasz. Nie do przyjęcia byłoby dla nich, że wystawiasz Słonimskiego, a nawet Gombrowicza i Krożka, bo to są tzw. szydercy, istniejące w Polsce nurt uważający się za nacjonalistyczny, który walczy z "szydercami". U Ciebie ci szydercy mają prawo obywatelstwa.

K.D.: Ładny interes. Ja uważam, że to są pierwsi pisarze tego kraju.

W.W.: Kiedy operuje się terminami z pewną przeszłością, to jest oczywiście kłopot. Popatrzmy na przykład na lewicę i prawicę. Lewica jest niby terminem z piękną przeszłością, a prawica z brzydką...

A.Ch.: Dla jednych tak, dla drugich inaszej.

K.D.: Ta prosta nauka z armii austriackiej: siano-słoma, siano-słoma, musi pójść w kąt. Strony nam się pomieszały. Już naprawdę nie wiadomo, gdzie lewica, a gdzie prawica.

W.W.: I nacjonalizmy też się pomieszały.

K.D.: Ale skąd wziąć terminy bez przeszłości? Ja nie mam nic wspólnego z endeckimi ani z Piaseckim, Ciertychem i innymi ich pociotkami, aż po obecnych naszych dziarskich chłopców...

W.W.: ... często z legitymacjami PZPR w kieszeni...

A.Ch.: ... z teatrem Eraf...

W.W.: ... oni mają już kilka teatrów, ostatnio dostali teatr w Warszawie, mają zespoły filmowe, czasopisma...

K.D.: W każdym razie to jest ugrupowanie ludzi, działające pod jakąś egidą, na czyjeś zlecenie, mające czyjeś błogosławieństwo. Myślę, że ich mocodawcy to jest jakaś partia w państwowej partii, jakaś policja w państwowej policji, a ponieważ nic się u nas nie dzieje bez błogosławieństwa sowieckiej ambasady, więc...

W.W.: Jasne, że z tym nie masz nic wspólnego.

K.D.: Poza tym nie zapominaj, że ja się wychowałem wśród Łoków, Szulców, Hryców i Wańków. Więc jestem dokładnie wyprany z rozmaitych fobii antyżydowskich, antyukraińskich...

W.W.: To oczywiście, o to Cię nie podejrzewałem, chodzi tylko...

K.D.: ... proszę bardzo, nazwij mnie jak chcesz, ja siebie inaczej nazwać nie umiem.

W.W.: Nie zależy mi na nazywaniu Ciebie jakkolwiek, zakwestionowałem tylko termin "nacjonalista" jako mylący. Rozumiem, że chodzi po prostu o jakąś orientację na polskość.

K.D.: Tak. Uważam, że jest ona zagrożona w swojej istocie przez obecną działalność partii i państwa.

W.W.: I w tym mniemaniu nie jesteś osamotniony. Ale czy obrona w teatrze polskości, sprawy polskiej oznacza także obronę jakichś specjalnych treści? Twój repertuar wydaje się bardzo charakterystyczny, ogromną rolę odgrywają w nim rekonstrukcje staropolskie, w znacznej mierze o charakterze religijnym, dalej - wielcy romantycy, wreszcie określone pozycje dramaturgii i poezji współczesnej, właśnie ci "szydery". Czy mógłbyś, czy chciałbyś zinterpretować swój repertuar od tej strony? Tak jak o "Korsatyskim", zrealizowanym jeszcze w okresie socrealizmu, mówiłeś, że szukaliście tradycji zrymowanych jakoś z tym, co przeżywaliście jako współczesność, doszukiwaliście się dramatów postaw, krytyki itd. - czy o repertuarze w okresie "nacjonalizmu" też dałoby się powiedzieć coś podobnego? Czy chodziło i chodzi wyłącznie o język w sensie filologicznym, o formę, o brzmienie, o intonację, czy również - jak sobie wyobrażam - o język sytuacji społecznych, mowę historii narodowej, znaczenia losów ludzkich, wyborów, układów dramatycznych i groteskowych? Rozumiem doniosłość warstwy językowej, ale co jest Twoim "programem polskim" poza tą warstwą, w jej głębiach, w tym, co się nią posługuje?

K.D.: Za dużo spraw i kwestii, nie będę Ci tu przecież wygłaszał referatów. Zatrzymajmy się przez chwilę przy języku polskim. Czy wiesz, że przed paru laty powstał przy Spółdzielni Ośrodek Kultury Mowy i po niedługim okresie działania, w całkowicie tajemniczych okolicznościach, został zlikwidowany? Czy nie nasuwa się podejrzenie, że wszelki przejaw dbałości o poprawność języka jest traktowany jako wroga dla państwa działalność. że nawet troska o stan polskiej mowy scenicznej jest uważana za zamach na jeden z filarów systemu, to znaczy na ich język, na ową orwellowską nowomowę?

Hołubili językoznawców, którzy błogosławili "wyszliśmy" i "poszliśmy" pana Gomułki i nazywali wyrób polszczyzny demokratyzacją języka, a przecież to jasne, że istotne uprzywilejowanie masom jednego z największych dóbr i skarbów narodowych, jakim jest język, prowadzić może tylko poprzez upowszechnie-

nie kultury artykulacji, intonacji i akcentu, poprawność składni i deklinacji, mnogość słów z ich niepodważalną treścią, sensem, zawartością pojęciową.

A tu chodzi o to, żeby nie myśli formułowały język, lecz język - myśli, o to, by się widzenie świata i rzeczy układało wedle tej nowomowy, by świat był przez nią człowiekowi dany, by człowiek nie próbował dochodzić go i określać. A książka polska? To niby tak ni stąd ni zowąd nie możesz kupić w księgarni "Wallenroda" czy "Dziadów"? To niby tak ni stąd ni zowąd cały kraj jest zalany kryminałkami? A na otarcie łez wydadzą Ci dzieła zbiorowe Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego? Ja się wychowałem na Zuckerkandlu ze Złoczowa, takie kieszonkowe książeczki po groszowych cenach, miało tam wszystko, tak jak dziś na przykład w każdym magazynie gazetowo-książkowym w Niemczech możesz kupić książeczki wydawnictwa Reclam. Masz ochotę na libretto "Czarodziejskiego fletu"? na "Zbójców"? na "Fausta"? bardzo proszę, cały kanon klasyki niemieckiej pod ręką i za grosze. Żeby Polak nie mógł kupić "Zemsty", jak ma na to ochotę? Zabrakło? A dlaczego wódki nigdy nie zabrakło? Trzęsie mną, jak o tym myślę i mówię. Więc scena polska, więc aktor polski, z natury rzeczy na śmierć i życie ze słowem polskim pisany i mówiony związani, mają się nad czym zastanawiać, nie tylko nad tym, jak mówić, ale nade wszystko nad tym, co mówić. Oraz nad tym, co mówią. Hic et nunc.

A teraz parę słów o repertuarze. W Teatrze Narodowym zamierzałem go oprzeć o pewien wybór, który mógłby doprowadzić do wykształcenia polskiego stylu teatralnego. Dział pierwszy to tzw. staropolszczyzna i Bogusławski, drugi - romantycy i Wyspiański, trzeci - Witkiewicz, Gombrowicz i Mrozek. Zamiar ten częściowo wprowadzam w życie w Nowym. Wydaje mi się, że sens ideowy i estetyczny tego porządku jest widoczny, to by mnie zwałniało z objaśnień i zwierzeń. Każdy z tych autorów mówi to, co myślę i czuję, i poucza mnie o obowiązkach obywatelskich i obywatelskich, to okropnie staroświeckie nauki wobec ekonomii politycznej i leninizmu, ale trzymajmy się tych staroci i swojej starej ojczyzny od tysiąca lat związanej z bardzo starą kulturą śródziemnomorską.

A.Ch.: Wiktorem wspominał, że ja znam Pański teatr z legendy i studiów, i to jest prawda, jeżeli chodzi o pierwsze kilkanaście czy prawie dwadzieścia lat Pańskiej działalności. Ale w sezonie 1967/68, kiedy byłem na Uniwersytecie, nie tylko widziałem i przeżyłem "Dziady" w Teatrze Narodowym, ale przedstawienie to zaważyło na moim życiu, i nie tylko moim, lecz wielu moich rówieśników, stało się jedną z kulminacji wspólnej biografii pokolenia. Był to w ogóle jeden z rzadkich momentów nie tylko odbicia, lecz współtworzenia przez teatr napięć współczesności, współpowodowania brzemienne w skutki wstrząsu w tym kraju. Może by Pan zechciał trochę opowiedzieć o faktach, tak jak wyglądały one od strony teatru: dlaczego "Dziady" zdjęto i kto tę decyzję podjął? jak doszło do ostatniego przedstawienia? jak Pan i zespół przyjmowaliście reakcję widowni i to, co potem nastąpiło - protesty, petycje, nagonkę prasową? Wreszcie kto i w jaki sposób pozbawił Pana funkcji dyrektora teatru?

K.D.: Byłoby tu gadania na pół nocy i warto by chyba, póki czas... Bo ja już dzisiaj wielu zdarzeń, ich kolejności i zależności nie pamiętam... Trzeba by mieć pod ręką paru kolegów, parę dokumentów, listów, trochę notatek. Tak, to koniecznie trzeba zrobić, ale teraz? Wolalbym o tym nie mówić. Przeżyłem to wszystko dość głęboko i dość dramatycznie. To był jeden koszmar, pół-jawa, pół-sen, ocknąłem się z niego, jak strzelali do ludzi w grudniu 70 roku...

Ala żeby tak Panią puścić z niczym, to chyba nie uchodzi, no, proszę bardzo, tyle, że nie będzie to żadna "biała Księga", tylko w skrócie, trochę o początku i trochę o końcu. "Dziadów" w Narodowym nie mogłem ominąć, a unikałem ich przez całe życie jak diabeł wody święconej. Kiedy przyszło i Narodowemu uczcić solennie 50-tą rocznicę rewolucji październikowej, postanowiłem, że "Dziadami" właśnie - dramaturgia światowa niewiele dziełami równie wielkimi, skierowanymi "in tyrannos", może się poszczycić. Ostatecznie nie tylko nasz straszny Litwin nie lubił caratu, nie lubili go również bolszewicy z Leninem na czele. Wprawdzie po premierze "Kordiana" pewien funkcjonariusz ambasady radzieckiej czynił mi duszoszczepielskie wyrzuty, że właśnie na 200-lecie Narodowego wystawił sztukę antyrosyjską, liczyłem tu jednak na dojrzałość polityczną obu stron. Nie pomyliłem się. Ministerstwo zaakceptowało moją propozycję, a nawet przychyliło się do myśli, aby w czasie występów gościnnych Narodowego

w Moskwie przedstawić tam m.in. i "Dziady", oczywiście, jeżeli mi się uda zrobić przyzwoity spektakl.

W czasie trwania prób zaczęło wokół nas trochę szumieć od ploteczek i sensacyjek. Kiedy na próbie dla cenzury zjawił się tylko jeden trzeciorzędny cenzor, już wiedziałem, że coś jest naprawdę źle, do premiery jednak doszło. Przedstawienie było wielkim triumfem Holoubka i publiczności. Holoubek grał tę rolę tak, jak się czytuje o graniu Eleonory Duse, Jermołowej czy Salvinięgo, a publiczność? Publiczność też była na najwyższym światowym poziomie, natchnął ją Holoubek, Stopka, aktorzy, czas i chwila osobliwa, jej znakiem widomym była praska wiosna, a u nas beznadziejna stagnacja, obumarcie społeczne, na tle którego żwawo uwijali się "moczarowcy" czy "partyzanci". Kliszko i Spychalski byli na premierze i to pewnie oni poszli w ślady owego rosyjskiego urzędniczyzny, specjaliści od antyrosyjskości, i to zapewne oni spowodowali nakaz ministerstwa kultury, by ograniczyć liczbę przedstawień. Nie dało się tego ukryć, bo trzeba było dokonać zmian w repertuarze, i tu ruszyła lawina. Przez miasto przetoczyła się fala pogłosek, nastrój ekscytacji rósł, na co ministerstwu nakazano, aby zabronić dalszych przedstawień. Daremnie zabiegałem o cofnięcie decyzji i daremnie przestrzegałem przed jej skutkami. I wtedy właśnie doszedłem do wniosku, że mamy tu do czynienia z ordynarną prowokacją. Nie bez powodu uważam za jej autora samego Gomułkę, który - jak miłemu - postanowił przy jej pomocy rozgromić za jednym zamachem swoich przeciwników wewnątrz aparatu i spacyfikować produbczekowskie, nastroje polskiego społeczeństwa, a szczególnie inteligencji.

I to by było na tyle, jak mówią współcześni Polacy, o początku, a teraz o humorystycznym końcu pewnego dyrektora teatru, to znaczy o tym, jak mnie zdjęto. Ja już w grudniu opróżniłem gabinet dyrektora Teatru Narodowego ze wszystkich moich książek i papierzysk, ale dopiero w lipcu 1968 roku, kiedy się zaczęły wakacje, wezwał mnie Rusinek i w obecności Balińskiego...

A.Ch.: ... przepraszam, ale kto to Rusinek?

K.D.: To był wiceminister, a Baliński był dyrektorem generalnym w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Więc wręczono mi dymisję, proponując równocześnie dyrekturę Słowackiego w Krakowie. Jak Pani widzi - elegancko, propozycji jednak nie przyjąłem. Kiedy zapytał, co zamierzam robić, odpowiedziałem, że zaangażuję się gdzieś jako reżyser. Kiedy zauważył, że nie będzie to możliwe bez ich zgody, odpowiedziałem, że w teatrze pracować nie muszę, że się dosyć w życiu namachałem łopatą, więc pójdę do PGR-u. Oświadczył, że bez ich zgody i to mi się nie uda. Kropka, koniec humoreski. Jak Pani wie, było to prawdą, ale ostatecznie można by o niej tak wprost nie mówić w gmachu Ministerstwa Kultury i Sztuki! A o reszcie przy innej sposobności, bardzo proszę.

W.W.: Teraz chciałbym Cię prosić, żebyś przeszedł do ostatniego okresu Łódzkiego, to znaczy do tego, co nastąpiło po przerwie, po historii z "Dziadami" i po kilku latach pracy przeważnie za granicą. Czego się spodziewałeś, obejmując ponownie teatr Łódzki, i co Ci się udało, a co nie udało? Wydrukowałem wtedy w "Więzi" taki tekst pt. "Powrót Dejmka", bo mnie się ten powrót wydawał znaczący, spodziewałem się po tym czegoś bardziej generalnego, nie tylko w sensie kolejnego fragmentu Twojego życiorysu twórczego. Jestem ciekaw, co z tego wynikło, co zostało. I - jak widzisz swój obecny moment, kiedy znowu odchodzisz z Łodzi?

K.D.: Zgodziłem się objąć kierownictwo tego teatru na trzy do pięciu lat, myślałem raczej o trzech, ale trochę się przedłużyło.

W.W.: Jak to się stało, że Ci to zaproponowano?

K.D.: Zbiegły się tu dwie inicjatywy: zespołu Teatru Nowego i urzędowa. Ministerstwo chciało mnie gdzieś w końcu ulokować...

W.W.: A nie było kwestii powrotu do Teatru Narodowego?

K.D.: Nie, to nie było i nie jest możliwe. W.W.: Dlaczego?

K.D.: Dlatego, że ta władza nigdy się nie myli. Przecież ludzie, którzy podejmowali pewne decyzje w okresie marcowym, pozostali w ekipie Gierka w dalszym ciągu. I jak mnie nie kochali za Gomułki, tak mnie nie kochają i teraz, zresztą z pełną wzajemnością.

W.W.: Ale jednocześnie jakoś im na Tobie zależało i nie urządziło ich to, że nie masz pracy.

K.D.: Pierwszą poważną propozycję otrzymałem z Wrocławia, z Teatru Polskiego. Byłem bardzo poważnie zaangażowany w rozmowach z kierownikiem literackim tego teatru, panem Kelera, jak również z kierownikiem wydziału kultury, panem Soytą. I kiedy miałem już pewne przemyślane plany, ujęte na papierze, i wyraziłem już zgodę na objęcie dyrekcji, poinformowano mnie, że kierownik wydziału propagandy KW /nie znam jego nazwiska/ sprzeciwił się wpuszczeniu Dejmkę do Wrocławia. Zdecydowałem się wtedy na Łódź.

W.W.: I tam już nie było sprzeciwów.

K.D.: Nie, ponieważ władze partyjne tego miasta z I sekretarzem KW Koperskim zaprosiły mnie do objęcia dyrekcji i uzyskałem od nich dużą swobodę działania. I w okresie tych czterech lat z groszami złego słowa nie mogę powiedzieć na komitet łódzki i na łódzki magistrat.

W.W.: Dlaczego więc odchodzisz z Łodzi?

K.D.: Założyłem sobie, że będę pracował w tym teatrze od lat trzech do pięciu, i musiał zrozumieć, że jeżeli się rozpoczyna pracę z takim zamiarem, to się zaczyna skądś i dochodzi dokądś. Co chciałem wykonać, no cóż, tego nie wykonałem, ale jakoś się do tego zbliżyłem i na tym trzeba poprzestać.

W.W.: Czego nie wykonałeś?

K.D.: Może po prostu mój program artystyczny był za pyszny, a za mało miałem przedstawić, które by mnie zadowoliły. Jeżeli jednak idzie o codzienny poziom artystyczny teatru, to myślę, że w ciągu tego okresu niewiele teatrów w Polsce pracowało na takiej średniej codziennej, jak łódzki Nowy. Pod względem repertuaru jesteśmy naprawdę najlepsi, pod względem wykonania parę naszych premier jest wśród najlepszych...

W.W.: Czyli odchodzisz stamtąd bez jakiegóż goryczy, poczucia niespełnienia?

K.D.: Z pewną goryczą i z pewnym poczuciem niespełnienia. Po pierwsze, mam świadomość, że z różnych powodów moja działalność nie spotkała się z takim odezwem, z jakim sprawiedliwie mogła i powinna by się była spotkać wśród naszej teatralnej elity, po drugie, także przez łódzką publiczność nie wszystkie pozycje były poparte w tej mierze, w jakiej się spodziewałem. Ale to jest sprawa bardzo skomplikowana, jak w tej chwili funkcjonuje rynek publiczności teatralnej, jak się plasuje wydarzenie w przeciętnej świadomości, co to znaczy reklama, lansowanie, przede wszystkim w telewizji, ale i w prasie, i w radio itd. A że mamy tu do czynienia z układem całkowicie chorobliwym, to przecież jasne. W takiej sytuacji, kiedy lansuje się pewne rzeczy, a inne wycisza... Pamiętam okres, lata 54-58, kiedy krytyka polska była różna, ludzie starali się przemawiać własnymi głosami i byli do tego głosu dopuszczani. Później było coraz wyraźniejsze sterowanie opinią wokół teatru, aż po dzisiejszą paranoję.

W.W.: Ale czy tą opinią wokół teatru sterują ludzie mający coś wspólnego z teatrem?

K.D.: Nie. Ja myślę, że to są polecenia czysto polityczne, w ślad za czym idą przyrodzone małocci ludzkie. Jak w powietrzu coś wisi, że ktoś jest cacy albo be, to lepiej tego, co jest be, w ogóle nie wspominać, udawać, że go nie ma itd.

W.W.: Ale to znaczy, że prowadzenie teatru jest właściwie niemożliwe. Stwierdzasz, że przez te pięć lat coś Ci się udało, i ja wiem, że rzeczywiście coś Ci się udało. Ale z tego, co mówisz, wynika, że dzieje się to w tego typu przestrzeni społecznej, w takim polu nacisków, zakłamań itd., że nie można tego robić.

K.D.: No, coś można robić dla publiczności, dla publiczności anonimowej...

W.W.: ... która też podlega tym naciskom i zakłamaniom.

K.D.: Oczywiście. Tak, że można i nie można.

W.W.: A co Ty teraz będziesz robił?

K.D.: Zobaczymy. Do końca roku będę jeszcze dyrektorem w Łodzi. W tej chwili robię w Warszawie, w Teatrze Wielkim, operę Młynarskiego i Małeckiego, jesienią będę reżyserował w Essen "Króla Ubu", w pierwszym kwartale roku 1980 - "Rewizora" w Hamburgu, potem zacznę w Teatrze Nowym "Krakowiaków i Górali" Bogusławskiego, a w warszawskim Popularnym, na Scenie Faktu "Zdać przed

Panem Bogiem" Danny Krall. Co będę robił dalej - nie mam pojęcia.

W.W.: To znaczy o tym, żeby mieć swój teatr, na najbliższe lata nie myślisz?

K.D.: Nie sędzę, żeby otrzymał jakąkolwiek propozycję ze strony władz. Z tym się nie liczę. Zresztą nie takich ludzi jak ja oni potrzebują w tej chwili. Więc niewiele mam do wyboru. Może uda mi się założyć jakieś kółko teatralne...

W.W.: Myślisz o robieniu teatru poza systemem?

K.D.: Nie można robić teatru poza systemem, ponieważ system jest wszechogarniający. Ale jakieś kółko amatorsko-zawodowe może uda mi się założyć, choćby i we własnym mieszkaniu.

W.W.: A co będziesz grał?

K.D.: O mój Boże kochany. Na przykład czytam sobie na świeżo tomik poezji Miłosza. Możemy sobie wiersze recytować pana Miłosza. Jednego z największych poetów polskich. Możemy sobie recytować Twoje wiersze. Możemy wystawić jakąś sztukę na trzy osoby, dlaczego nie? Przyjdzie dziesięciu moich przyjaciół czy znajomych i pogramy sobie.

W.W.: Tego rodzaju myśli chodzą po głowie różnym ludziom, to jest w powietrzu, i nie tylko w dziedzinie teatru. To może być bardzo ciekawe, ale czy będzie to Ciebie w pełni satysfakcjonowało?

K.D.: A co Ty sądzisz, że dopiero dyrekcja Opery Paryskiej by mnie usatysfakcjonowała?

W.W.: W takim razie jeszcze jedno pytanie. Czy oprócz tego, że wyrażasz siebie w takim czy innym teatrze, w dużym bądź też w kółku, o którym teraz wspomniaksz - czy oprócz tego odczuwasz potrzebę jakiejś innej działalności, innego uczestnictwa w życiu społecznym?

K.D.: Nie odczuwam takiej potrzeby. W życiu społecznym biorę udział poprzez teatr i wydaje mi się, że moim obowiązkiem jest robić buty, jeżeli to właśnie umiem robić. Ale ogólna sytuacja, to co się dzieje u nas na co dzień, skłania mnie do wątpliwości, czy ja dalej powinienem robić te buty, a jeżeli tak, to czy takie jak do tej pory. Jestem bardzo przygnębiony. Wstrząsem była ta zima. Nie spodziewałem się, że z powodu dwudziestopięcioprocentowego mrozu i opadów śniegu, państwo właściwie przestanie funkcjonować. Nie sądziłem, że to jest aż tak. Jeszcze bardziej przygnębiło mnie to gładkie przejście do porządku nad tym wszystkim, co się stało. To, co ja, co wszyscy widzimy na każdym kroku, to co się dzieje z naszym życiem ekonomicznym, społecznym, kulturalnym, chyba aż tak nigdy nie było. Żeby w teatrze nie było szpilek, albo żeby zabrakło desek czy sklejek. Tak nigdy nie było! Albo jeżeli słyszę o tych wykładach dla młodych ludzi, w prywatnych mieszkaniach, i co się wokół tego dzieje, jeżeli słyszę o tym, co się dzieło w mieszkaniu pana Kuronia, którego nie znam, na oczy nie widziałem, ale opowiadali mi to ludzie, w których prawdomówność ani przez chwilę nie wątpię, to zaczyna mi się włos jeżyć. Wczoraj przez przypadek wpadła mi w ręce na Krakowskim Przedmieściu ulotka Studenckiego Komitetu Solidarności w sprawie zmian, jakie mają być wprowadzone do statutu Uniwersytetu.

A.Ch.: Tak jak poprawki do Konstytucji.

K.D.: Poprawki do Konstytucji uważam za niesłychane. A jeżeli do statutu Uniwersytetu wprowadza się zasadę, że na Uniwersytecie siłą rządzącą, sprawczą i inną jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, to jest to też niesłychane. Jeżeli się ustanawia, że rektor Uniwersytetu może uchylić każdą decyzję jakiegolwiek organu, a więc już nie dziekana czy prodekan, ale Rady Wydziału, Senatu, samorządu studenckiego, to przecież to się nie mieści w głowie. O co tutaj chodzi? Więc zadaję sobie pytanie, czy rzeczywiście mam robić te buty i udawać, że nic się nie dzieje? Kiedy jacyś młodzienci, rzekomo studenci, biją ludzi w prywatnych mieszkaniach, kiedy wprowadza się takie zmiany do Konstytucji, do statutu Uniwersytetu, kiedy dzieje się to, co się dzieje. Naprawdę nie mam pojęcia, co w tym wszystkim zrobić z moimi butami.

A.Ch.: Dziękujemy Panu. "Zapis" jest bardzo rad, że Pan się zgodził na rozmowę. Ale dlaczego Pan się na nią zdecydował?

K.D.: Bo "Zapis" to dobra gazeta. Czytuję ją z uznaniem i pożytkiem. A że wychodzi ona "poza zasięgiem cenzury" i że narusza tu jakiś przepis, no to co?

Sama cenzura nie przestrzega wyższych, bo konstytucyjnych postanowień, na przykład w marcu 68 dopuszczała do publikacji jawnie faszystowskie i rasistowskie teksty. Zresztą jako dyrektor teatru naruszyłem już sporo przepisów, naruszamy je wszyscy, bo bez tego zamarło by w tym kraju wszelkie życie, nie tylko teatralne. A w głębszym sensie: co jest legalne, a co nielegalne, cenzura czy "Zapis"?

Jan Walc

JA DOSZEDŁEM TAM, DOKAD SZLIŚMY

Coraz częściej spotykam w środowisku opozycyjnym ludzi świadomych od zawsze, ludzi, którzy w całym swoim życiu nie zhańbili się ani jednym złudzeniem dotyczącym polskiej rzeczywistości powojennej. Ich życie zaczyna się w momencie podjęcia działalności dysydenckiej, albo - co gorsza - twierdzą, że jest odwrotnie: oto Jacek Bieriezin otwiera swoją autobiografię zdaniem "Urodziłem się w roku 1947, za okupacji".

Myszę, że nie jest przypadkiem, iż w kolejnych numerach "Pulsu" rubryka "Rodowody" poświęcona jest Miłoszowi i Gombrowiczowi. Od nich się zaczęło; póki ich książek początkujący pisarze nie wzięli do ręki - byli bez rodowodu.

Mimo wielkiego wysiłku wyobraźni nie mogę w żaden sposób przedstawić sobie sytuacji, w której supermłodziankowaty młodzianek, całkiem sterylny intelektualnie i bezrodowodowy, chwyta Dzieła Witolda Gombrowicza, błyskawicznie je uwewnętrznia i staje się rodowodowy, absolutnym i zdeklarowanym Gombroidem. Wyobrazić sobie coś takiego to czysta zgroza albo przynajmniej temat do nienapisanej kolejnej książki Gombrowicza; twórczość tego pisarza, tak pełna ironii i sarkazmu, mogła powstać tylko z bogatego i głęboko w przeszłość sięgającego rodowodu - oderwane od niego staje się tylko miną, gębą, pozą.

Moje osobiste doświadczenia z Gombrowiczem są akurat zupełnie odmienne. od prezentowanych na łamach "Pulsu" i dlatego chciałbym im dać świadectwo, nie uzurpując sobie prawa do twierdzenia, że są one typowe. Zetknąłem się z Gombrowiczem jako uczeń IX chyba klasy, człowiek traktujący się bardzo serio, o ustalonych preferencjach i poglądach na sprawy zasadnicze /co jest tak naturalne u szesnastolatka/, człowiek o ustalonym rodowodzie, który - jeśliby koniecznie chciał go wyrazić nazwiskiem jednego pisarza - brzmiałby: Broniewski.

Zresztą moje spotkanie z Gombrowiczem nastąpiło w specyficznych warunkach, bo jego książki włożył mi do ręki sam Pimko, który wtedy akurat rozpoczął w "Życiu Literackim" antygombrowiczowską kampanię z okazji stypendium, jakie pisarz właśnie dostał w Niemczech Zachodnich, i wywiadu, jakiego przy tej okazji udzielił. Pimko pisał, że nie Uchodzi, żeby polski Polak, nawet Argentyński, niemieckie Pieniądze etc.

Jako chłopiec bystry, doszedłem do wniosku, że to musi być dużej klasy pisarz, jeżeli tak ostro ładują, udałem się więc do biblioteki, wyszukałem w katalogu pudło z literą G, et caetera. "Ferdynand" bardzo mi się podobała, ale Słowackiego kochałem i kochać mogłem zupełnie bez względu na to, co wyprawiali z nim moi nauczyciele. Pewnie nie byłem wtedy w stanie pojąć wielu subtelności Gombrowicza, ale i to, co zrozumiałem wówczas, i to, co zrozumiałem później, nie pozwalało mi na współodczuwanie kryzysu wartości, i to właśnie dlatego, że Gombrowicz nie był moją pierwszą po Falskim lekturą, że po drodze był Mickiewicz, Słowacki, Żeromski i Broniewski.

Właśnie Broniewski. Nie od niego zaczynałem swoją literacką edukację, ale od tych książek, które już od paru pokoleń dawało się do czytania chłopcom z polskich inteligenckich rodzin. Sienkiewicz zaczął mi się wcześniej, nim nauczyłem się dobrze czytać. Bałem się, leżąc w łóżku, kiedy wieczorami ojciec czytał mi "Krzyżaków"... "Trylogii" już bałem się mniej, zresztą przegryzałem się przez nią częściowo sam, od czasu do czasu naciągając kogoś z dorosłych na przeczytanie kolejnego rozdziału.

"Quo vadis" nikt mi do ręki nie dał, choć na religię mnie posyłano - ta książka wykraczała już poza kanon lektur chłopca, w którego domu rodzinnym zamiast Matki Boskiej z Jezusem wisieli na ścianie Marszałek z Andrzejem Strugiem. Dano mi "Redutę Ordona", "Śmierć pułkownika", "Grażynę", "Konrada Wallenroda" i oczywiście "Pana Tadeusza". I - nie opuszmy tego szczegółu - "Winnetou".

To były podstawy etyki i estetyki. Broniewskiego znalazłem sam - nie pamiętam zresztą, w jaki sposób, ale sądzę, że tak być musiało. Pewnie po prostu dał mi go do ręki ktoś z nauczycieli, abym powiedział wiersz na apelu czy akademii, co zawsze robiłem z wielką ochotą.

Pamiętam, jak chłonałem "Opowieść o życiu i śmierci Karola Waltera-Swierczewskiego robotnika i generała". Nie miałem jeszcze 10 lat i nie wszystko było dla mnie jasne:

"temu być jak gwiazda polarna
dla idących w oddali gdzieś,
temu być jak czasza ofiarna..."

- Babciu, co to jest "czasza ofiarna" - pytałem siedząc na podłodze. Nie bardzo rozumiałem, co mi babcia tłumaczyła, ale rozumiałem dobrze ostatni wers:

"I o takim śpiewają Pieśń".

Broniewski to była znana melodia, to były wiersze Mickiewicza i Słowackiego, tyle że uaktualnione, pokazujące gdzie jest dziś to, o co walczyli tamci. Kiedy wybuchł Październik i rewolucja na Węgrzech, wiedziałem dokładnie, o co chodzi, i bez trudu rozpoznawałem walczące strony:

"Generale Gallifet, za egzekucje
wdzięczność Francji cię czeka i order!
Generale Gallifet, krew masz na bucie!
Generale Gallifet, cuchniesz mordem!"

Wtedy napisałem pierwszy wiersz w życiu. Ojca trochę satkało, ale pomógł wygłaskać:

"Bez mundurów, bez tręb i doboszów
Idą ohłopczy zziębnięci, obdarci,
Idą karać sprzedajnych awoszów,
Idą walczyć i bić się uparcie".

A tego wiersza o Swierczewskim ojciec nie lubił, ale dowiedziałem się o tym, kiedy w całości umiałem go już na pamięć. I do dziś umiem. Może to nie był najbardziej świetlany bohater i może to nie jest najlepszy wiersz. Ale ważny:

"bo wszędzie, gdzie walczą wołni
o chleb i o warsztat pracy,
tam krwawymi drogami wojny
maszerują z innymi Polacy".

I Waryński. I Iosk Gutkin. Ale nie Stalin. To śmieszne i trudne do uwierzenia, ale przez całe lata to był jedyny wiersz Broniewskiego, którego nie czytałem. Wiedziałem, że Stalin to Katyń i znałem na pamięć historię o tym, jak dziadek w ostatniej chwili urwał się z formowanego transportu, że Stalin to "błędy i wypaczenia", a to w moim domu nie był abstrakt, ale cztery ciotki, które znałem tylko ze słyszenia i które oto jedna po drugiej zaczął się pojawiać wracając z Fordonu, Brzegu czy Mokotowa. Ta ostatnia nazwa nie oznaczała zresztą dla mnie przez lata willowej dzielnicy, ale tylko i wyłącznie więzienie.

"Towarzyszu więzienny, trwaj,
więcej woli, nadziei, hartu,
z tobą cały walczący kraj..."

Było oczywiste, kto, kogo i dlaczego trzyma w więzieniu. I było oczywiste, że siedzieć to żaden dyshonor, a nawet przeciwnie. I było oczywiste, że co godzi się siedzieć - za walkę z przemocą, za obronę społecznego interesu, za Polskę, za pracę dla dobra ludzi.

Tym prawdom ogólnym i przez to mocno abstrakcyjnym Broniewski nadawał kształt konkretny i współczesny, będąc łącznikiem z tradycją, i to przecież nie tylko romantyczną:

"Ciernie na głowie.
Sam wśród gawiedzi wlicznej.
Dobry człowiek.
Więzień polityczny".

To bardzo ważne - nie wierzyłem w Boga ani w kościół /"Quo vadis" nie czytałem, ale za to, gdy miałem 10 lat, ojciec wbrew protestom matki ofiarował mi "Niebo w płomieniach"/, ale nie negocjowałem zasad moralnych ewangelii. Więcej: moja niewiara ufundowana była na przekonaniu, że to Kościół, stając po stronie możnych, jest w konflikcie z tymi zasadami i wartościami.

Wiem, nie było we mnie pokory. I nie ma.

"My mamy sztywne karki,
kłaniać się uczono nas długo,
aż urwał się kańczug carski,
aż wyleźliśmy spod kańczuga".

Ale też n i e deklamowałem słów największej pychy:

"Dawcino żyt' zakonom
Dannym Adamom i Ewoj
Kliaczu istoriju zagonim
Liewoj

Liewoj

Liewoj!"

Owszem, znałem Majakowskiego, ale nie potrafiłem - może to brak odwagi - zaufać sprawie tak nowej, że przekreślającej wszystko, co przeszłe. Broniewski dawał właśnie gwarancję solidności, sygnowaną najwspanialszymi nazwiskami. A tam, gdzie nie było nazwisk, jego wiersze były syntezą dziesiątków słyszanych opowieści o ludzkich losach, o polskiej historii:

"Wciąż o tym samym, o jednym.

A babka mi to grała
na starym fortepianie
w pokoju, gdzie fotografia
dwóch braci rozstrzelanych".

Jak to się działo, że przy tym wszystkim był Broniewski poetą oficjalnym, rządowym, partyjnym? Że nie stanął przeciw stalinizmowi? Nie rozumiałem tego jako chłopak i nie miejcie do mnie żalu - starsi i mądrzejsi ode mnie nie rozumieli tego wtedy, a i dziś nie jest to sprawa oczywista.

Kiedy zmarł Józef Wissarionowicz, miałem 4 i pół roku, i dlatego pamiętam stalinizm jako coś niemal od granicy pamięci przeszłego. Tak przeszłego jak wojna, ciężąca nad całym moim dzieciństwem, wojna każąca myśleć, że możliwe jest każde zło - to były zastane przeze mnie na świecie fakty dokonane. Byłem dzieckiem i uczyłem się świata, tego właśnie świata, w którym zdarzały się rzeczy różne, lepsze i gorsze - wojny napoleońskie, Legiony, Hitler i Stalin.

Zresztą przecież wcale się tak bardzo nie zastanawiałem nad całokształtem życia i twórczości Broniewskiego - raczej wśród jego wierszy szukałem tych, które by mi odpowiadały, i znajdowałem teksty napisane tak, że nie sposób było wątpić w ich słuszność, w ich wewnętrzną prawdę.

Żeby je odrzucić, trzeba specjalnego uprzedzenia, trzeba przyjąć, że są oszustwem, że to tylko piękne słowa, mające stanowić maskę dla złych czynów. Spotykałem ludzi, którzy tak uważali, ale ich argumenty nie były przekonujące - najczęściej prezentowali dziką zjadłość, negowali całą rzeczywistość hurtem /pamiętam przedwojennego pułkownika, który z uporem powtarzał, że nie wierzy w radzieckie loty kosmiczne/, a na koniec zazwyczaj stwierdzali, że wszystkiemu winni są Żydzi.

Chociaż Październik odsłonił wiele zę zła systemu, jednocześnie zrodził optymistyczne a fałszywe przekonanie, że system ten jest reformowalny. Nie chodzi mi w najmniejszej mierze o partyjnych rewizjonistów, dla których przekonanie takie było racją istnienia, ale o ludzi zwykłych, którzy klasyków marksizmu nie czytali, biorąc rzecz raczej na chłopski rozum. Wydaje mi się, że dla nich właśnie ogromne znaczenie miały rewelacje Chruszczowa, procesy skazujące oprawców z bezpieki i jednoczesne rehabilitacje ich ofiar.

Jeżeli nawet rachunek krzywd nie został wyrównany, było widać, że stopniowe zmiany na lepsze są możliwe, a jeśli na razie nie następują, to pojawią się w przyszłości. Złudzenia Października w swojej istocie polegały na samym przyjęciu określenia "błędy i wypaczenia", sugerującego zasadniczą i niepodważalną słuszność linii generalnej i celu ostatecznego. Broniewski - poeta spraw zasadniczych - był w tym kontekście niezmiernie ważny, przypominał, o co walczymy, odfiltrowywał idee właśnie z owych płamiących je błędów i wypaczeń.

W tamtych październikowych latach ostrze rewolucyjnych wierszy Broniewskiego nie było w mojej świadomości skierowane w jakąś zupełnie konkretną stronę:

"Nie będzie tronów, nie będzie banków,
złamiemy fronty Kuomintangu,
nie będzie City i Wall Street,
błyśnie wolności świt!"

Jeśli deklamowałem ten wiersz na pierwszomajowych akademiach, to zupełnie bez aktualizacji i uwewnętrznienia nienawiści do rekinów finansowych z Wall Street - była to dla mnie raczej metafora, figura stylistyczna określająca konieczność walki ze złem we wszelkich jego przejawach. A że z bankierami żadnych kontaktów nie miałem, mój zapak obracał się - i musiał obracać - przeciwko temu złu, które było w zasięgu ręki, temu, które mnie otaczało.

Byłem jako chłopak daleki od przekonania, że całe zło otaczającej rzeczywistości emanuje z gnańchu na rogu Nowego Świata i Alej Jerozolimskich, nie myślałem, że jest to Pałac Zimowy, który dla ogólnego dobra trzeba brać szturmem, ale gdzieś w zakamarkach świadomości plątało mi się przekonanie, że te oficjalne, akademijne, czerwone wiersze Broniewskiego są jednak jakby anty. To zresztą dodawało im smaku.

Broniewski w swoich wierszach nie był fanatykiem walki, nie była ona nigdy dla niego celem, ale moralną koniecznością wtedy, gdy nie ma innego wyboru. Mając lat kilkanaście stopniowo odkrywałem pokojowe, nie-rewolucyjne wiersze Broniewskiego, jego liryki miłosne, jego tęsknotę do rajskiej, wpisanej w przyrodę szczęśliwości. Miłość, piękno, praca - to wartości najistotniejsze, wartości, które można kultywować w czasie pokoju, ale zarazem wartości, dla których trzeba czasem iść na barykady.

Moje pokolenie karmiono Broniewskim do znudzenia, powtarzano jego wiersze w kółko na wszystkich akademiach, dla wielu moich rówieśników stały się one czymś nie do zniesienia. Czas był pokojowy, Gomułka realizował "naszą małą stabilizację" i nikomu pewnie nie przychodziło do głowy, że te wiersze Broniewskiego mogą mieć jakiś związek ze współczesnością, a jeszcze mniej, że mogą stanowić jakieś niebezpieczeństwo dla ochoczo propagującej je władzy.

I spokój ten był uzasadniony dopóty, dopóki nie pojawiła się widoczna linia podziału, linia jakiejś barykady. Wiersze Broniewskiego wtłaczane nieraz przemocą do głów wytworzyły swoisty odruch warunkowy, automatyzm reakcji na represje, na policyjne pałki i szarże. Marzec nie stwarzał najmniejszej okazji do dokonywania wyborów; było rzeczą oczywistą, że racja jest po stronie bitych manifestantów i po tej stronie jest miejsce każdego uczciwego człowieka.

Nie przypominam sobie, żebym podczas Marca myślał jakoś szczególnie o Broniewskim, ale bo też rzecz nie była w myśleniu, reakcja następowała dokładnie według teorii Pawłowa. Padają akurat gęsto inne nazwiska pisarskie i na Broniewskiego głośno się chyba nie powoływano, ale w tych naszych pochodach, manifestacjach, strajkach, w naszej walce przeciw przeważającym siłom policji było coś z realizacji tego, co znaleźmy z akademii.

I pewnie dlatego moim - i nie tylko moim - najsilniejszym wspomnieniem z tamtej wiosny jest scena, kiedy przez okno znajdujące się pod samym sufitem Auditorium Maximum wszedł człowiek w wypłowiałej granatowej fufajce i zawołał: "Studenci! Mnie nikt nie upoważnił, ale chcę wam powiedzieć, że klasa robotnicza jest z wami!" I z ogromnego, szumnego, euforycznego entuzjazmu buchnęła nagle Międzynarodówka śpiewana przez tysiące głosów. Rzeczywiście czuliśmy wtedy, że "ruszamy z posad bryłę świata", czuliśmy się przez chwilę chociaż, cudownie zespoleni z tym wszystkim, co w narodowej tradycji wydawało się nam zawsze najwięcej warte. "Międzynarodówka" śpiewana w obronie "Dziadów" - toż to cały Broniewski!

To zawężenie tradycji, wejście w dorosłość, wejście w historię było wejściem w bramę mokotowskiego więzienia. Wypełniło się, co się miało wypełnić, znalazłem się w miejscu, do którego przygotowywała mnie romantyczna poezja i poezja Broniewskiego, choć uczciwie mówiąc, było to znowu przygotowanie raczej podświadome, nigdy bowiem nie myślałem serio, że znajdę się w więzieniu. I chociaż byłem jednak zastraszony Mokotowem, 30 kwietnia 1968 roku rzuciłem na spacerunku kartkę z apolem do współtowarzyszy, żeby następnego dnia po apelu śpiewać Mazurka i Międzynarodówkę. Kartkę oczywiście znaleziono, a ja

nie wytrzymałem śledztwa prowadzonego przez czterech rozsierdzonych do najwyższego stopnia ubeków, i gdy jeden z nich chwycił mnie za brodę, przyznałem się do napisania tej kartki. Nie umiałem być stalowym rewolucjonistą i jeden z kolegów z celi do dziś ma o to do mnie pretensję.

Nie miałem w sobie dość nienawiści, już w XII pawilonie, a jeszcze nie mogłem do końca uwierzyć, że to wszystko dokoła dzieje się naprawdę, że ludziorządcy Polską dobro ogólne jest zupełnie obojętne, że nic tu się nie wyjaśni ani nie naprostuje, że chcąc czy nie chcąc znalazłem się na tej polskiej drodze, którą, do wtóru romantycznych wierszy, zdążyło przejść już do historii parę pokoleń.

Właśnie w tę historię było najtrudniej uwierzyć; współczesność wydawała się tak od niej różna, tak wobec niej niepoważna, nie oddestylowana z codzienności, z nieistotnych szczegółów - i wreszcie my sami wydawaliśmy się sobie mali, niegodni dostojności polskiej historii. Poradzić sobie z tym wszystkim przy pomocy rozumu było dla mnie rzeczą za trudną i wtedy właśnie tak bardzo pomagały odruchy, wtedy okazywał swoją wartość prosty, z Broniewskiego wyciągnięty kodeks wartości.

Czy te wszystkie sprawy z Broniewskim związane były tylko moim udziałem? Czy moi rówieśnicy czuli podobnie? Mam prawo mówić tylko za siebie, ale w konkursie na wiersz zaangażowany, ogłoszonym przez Warszawskie Koło Polonistów w grudniu 1968 roku, zdobyłem nagrodę publiczności za następujący wiersz:

"I pod drzwiami staną, i nocą
kolbami w drzwi załomcą -
ty"...

wiesz nie przyjdą nie mogą już nie
pod twoje drzwi

ty

nie chcesz

nie wiesz

jak bardzo chcieliby przyjąć

x x x

w uszy w usta cement sloganów

mucha uwieźla

użądlić uspić

żywego trupa zabalsamować

mumiami w kręgle

a mózgi mumii

wsadzić do worów

zawiązać ukryć

x x x

nie upilnuje przemądry Odys

worka z wiatrami

ty

zerwiesz sznury.

Jan Wale

Andrzej Szczypiorski

GRUPSTWO

Przeczytałem w ostatnich czasach od nowa całego Butora, Robbe-Grilleta i Nathalie Sarraute. Przeczytałem w nadziei, że to mnie pokrzepi, pozwoli inaczej spojrzeć na literaturę, a co za tym idzie - także na własny los. Zestawiam się chyba. Słynne "Gumy" usypiały mnie wprawdzie już przed laty, ale dopiero po lekturze kilkunastu stron. Teraz książka wysuwała mi się z bezwładnej dłoni niemal natychmiast. Na czytaniu zeszło więc sporo czasu.

Przebrnąłem jednak przez tę drogę krzyżową "antypowieści". I nie żałuję. W gruncie rzeczy potwierdziły się moje niejasne przypuszczenia sprzed lat, że obaj tu z jeszcze jednym hmbgiem latyńskiego ducha. Rzecz znamienna, że kultura francuska, tak żarliwie kocham przez wciąż nowe pokolenia polskich inteligentów, bardziej jest skłonna do rozmaitych oszustw niżeli anglosaska, rosyjska czy niemiecka. Nade wszystko tkwi w niej jakieś besserwisserstwo i żenują-cy brak skromności.

A więc "antypowieść". Kiedy czytałem te dziełka, wciąż kołatało mi w głowie wspomnienie ostatniego Kongresu PEN w Sztokholmie. Toczyła się tam niezbyt pouczająca zresztą dyskusja na temat "literatury w masce", zupełnie jak gdyby mogła istnieć jakakolwiek literatura bez maski. Jeden z mówców powiedział wówczas rzecz znamienną, że mianowicie świat politycznych wolności, w którym działają naciski rynku czytelniczego, mody i snobizmu, często skłania pisarzy do pisanie grupstw. W systemach ucisku, totalizmu, kapitalizmu państwowego albo monopartii pisarz zwykle nie pisze tego, na co ma ochotę, lecz to tylko, co wydaje mu się nieodzowne i konieczne. Piszze zatem albo dzieło apologetyczne, w którym stara się afirmować rzeczywistość, albo dzieło polemiczne, w którym tę rzeczywistość poddaje krytyce. Tak czy owak, jest to literatura zaangażowana w problemy społeczne, nawet wówczas, gdy życie zbiorowe przedstawia obłudnie, gdy służy fałszom, a nie prawdzie. Słowo w systemach niedemokratycznych ma swoją wysoką cenę, płaci się za nie przywilejami albo honorem, zawsze jest coś do stracenia. W świecie politycznych wolności słowo pisarza znaczy w gruncie rzeczy niewiele, jest - jak wszystko - towarem rynkowym, a ludzie nają to do siebie, że kupią każde grupstwo, byle w pociągającym opakowaniu.

Z perspektywy kilkunastu lat doświadczeń, które były moim udziałem jako pisarza i obywatela, lektura antypowieści francuskiej wypadła zabawnie. Czytając Robbe-Grilleta krztusiłem się niekiedy ze śmiechu. Ale nie był to śmiech oczyszczający. Bo w istocie sprawa jest śmiertelnie poważna.

Tam, gdzie zabrakło Boga, wszystko staje się możliwe - powiedział Dostojewski. Można i trzeba to interpretować jako wyrzeczenie się istoty ludzkiej jej przyrodzonej tęsknoty do poszukiwania absolutu. Obecność Boga wyraża się w stosunku człowieka do innych ludzi, w jego poczuciu wspólnoty, w tym, co można nazwać rodziną człowieka.

Nie ulega kwestii, że antypowieść jest przewrotnym figlem współczesnej kultury. Powstała jako ostateczny rezultat cywilizacji indywidualistycznej, doprowadzenie do skrajnych konsekwencji i zimnej wirtuozerii artystycznej tego, co stanowiło największy ideał Zachodu - a mianowicie suwerenności i odrębności osoby ludzkiej. "Antypowieść" jest zatem najbardziej nieprzejednanym wyzwaniem, rzuconym kulturze kolektywnej. Lecz tylko z pozoru. W istocie bowiem to zanurzenie się pisarstwa w osobowość jednostki, ten skrajny subiektywizm spojrzenia, co się dobitnie wyraża w "Żaluzji" Robbe-Grilleta, a także w "Portrecie nieznanego" Sarraute, prowadzi do kompletnej izolacji. Obecny tu z dojmującą oddzielną światła i człowieka, człowiek jest nie tylko niepoznawalny dla świata i vice versa, ale są to żywioły obce, odległe, styczeń między nimi bywa iluzoryczna i pozbawiona trwałych rezultatów. Czyni to człowiek wobec świata bezbronnym, nade wszystko zaś - obojętnym.

I oto zagle stwierdzamy, że "antypowieść" staje się wymarzoną narzędziem artystycznym dla świata totalizmów wszelkiej maści. Człowiek obojętny wobec rzeczywistości, hermetycznie izolowany, zamknięty w swoim niepowtarzalnym, nieprzeniknionym świecie, gdzie nawet czas - zarówno biologiczny, jak historyczny - jest kwestią indywidualną, taki człowiek staje się, sam o tym nie wiedząc, idealnym mieszkańcem totalizmów. Leniwe ciepło drobnomieszczańskiej

egzystencji, jednostka zajęta wyłącznie sobą, swoim samochodem, apetytem, wypróżnieniem, seksem, pielęgnowaniem owych niepowtarzalnych, indywidualistycznych urojeń, które pożerają całą energię i całe życie człowieka, byle tylko nie pozostało w nim nic, co skierowane jest ku życiu zbiorowemu, co czyni z niego istotą społeczną, zajętą losem innych, losem grupy, narodu, ludzkości, owej rodziny człowieczej, bez czego człowiek przestaje właściwie być człowiekiem.

Oni nie mieli o tym, rzecz jasna, pojęcia. Pisali swoje głupstwa, na-wet zgrebnie, w przeświadczeniu, że dokonują jakiegoś cennego eksperymentu, rozwijają doświadczenia Prousta. Ale Proust nie zwątpił o istnieniu absolutu i szukał jakiegoś porządku moralnego. Poza tym zestawiał nam wspaniałą panoramę ziorowej rzeczywistości, w jego dziełach obecny jest czas historyczny, każdy czyn i refleksje są w tym czasie zakorzenione. Próżno tego szukać u autorów "antypowieści".

Doprowadzili do ostatecznych konsekwencji doświadczenia umysłowe indywidualistycznej koncepcji kultury - i oto stali się nieocenionymi sprzymierzeńcami kolektywizmu, w jego praktycznej, znanej ludziom wersji.

Każdy system antydemokratyczny, totalitarny czy monopartyjny jest zadowolony, gdy pisarz zagłębia się w świat doznanaizolowanej i słabej jednostki, pozbawionej kontaktu z historią, społeczeństwem, a nawet po prostu z drugim człowiekiem.

Ubezważnowolnienie jednostki jest możliwe tylko w warunkach izolacji. Społeczeństwo zatominizowane, gdzie każdy jest obcy i niepoznawalny - umożliwia swobodną manipulację. Szacunek dla osoby ludzkiej, prawa człowieka, obrona wolności i godności jednostki, są możliwe tylko w ramach życia zbiorowego, w warunkach społecznej aktywności.

Można powiedzieć, że moje pretensje są krzywdzące, ponieważ to, co stanowi sedno sprawy dla współczesnego Polaka, obojętne jest współczesnemu Francuzowi. Myślę, że to gruba przesada, ponieważ prawa ludzkie nie tylko w Polsce, ale także we Francji wystawione są na sztych. Jest to inny rodzaj ograniczeń, może mniej dotkliwy i na pewno łatwiejszy do zniesienia, ale przecież trudno wyrokować, co i jak kogo boli. Świat wszechobecnego rynku konsumpcyjnego i mendedżerskich aspiracji na pewno nie stanowi ideału człowieczeństwa. Jest to świat wielu gorzkich poniżeń, upokorzeń i duchowej nędzy. Wcale nie jest powiedziane, że trzeba cenzury, monopartii i państwowego kapitalizmu, aby protestować w obronie praw ludzkich i obywatelskich. Najbardziej sumienna demokracja, najbardziej pluralistyczne społeczeństwo, najbardziej praworządny system władzy państwowej - nie są wolne od owej arcyłudzkiej wygody, która polega na tłumieniu wszystkiego, co przysparza kłopotów albo stawia wyższe wymagania w sferze ducha i moralności. Współczesny Zachód jest dość daleki od własnych ideałów, choć czyni wysiłki, by im sprostać. Dlatego właśnie "antypowieść" uważam za sui generis sprzeniewierzenie się pisarza wobec jego obowiązków.

Świat jest pełen krzywd i niesprawiedliwości, czego dowodzić nie trzeba. Może człowiek jest bardzo zły i niepodobna go zmienić. Dziś nie ulega już wątpliwości, że jest gorszy, niż sądzili marksiści, którzy byli wspaniałymi optymistami. Nie oznacza to jednak, że powinniśmy się z tym godzić. Nawet jeśli postęp jest iluzją, to walka o postęp jest sprawą ludzkiej godności.

Dlatego uważam, że "antypowieść" jest głupstwem. Ale i głupstwo ma prawo do istnienia. Trzeba tylko wiedzieć, że jest to głupstwo.

Andrzej Szczypiorski

Leszek Szaruga

W I E R S Z E

Wypracowanie

Lektura ulubionego poety
daje mi wyobrażenie
piękna i patriotyzmu
w ciężkich chwilach życia
narodu jego słowa
dają mi wyobrażenie
odwagi i tęsknoty
oraz lirycznej
zadumy często poeta
wierzy w prawdę i dobro
a także miłość
bliźniego moim ulubionym
poetą jest adam
mickiewicz jego życie
daje mi wyobrażenie
poświęcenia i litwy
ojczyzny mojej

Tu i teraz

Krzysztofowi Karaskowi

Oceany godzin: przypływy, odpływy;
Więc to tak? - Splata i rozplata się
Pamięć: dzieciństwo zamknięte w wierszu
Przemawia głosem starca. Przeleciał
Ptak nadziei: dżozd?, wróbel? Na kracie^{x/}
Przysiadł kos: znów słyhać śpiew
Wolności, ktoś znas wyjdzie z celi,
Przeniesie słowa i gesty nad czasem.
Rytmiczny werbel heksametru: stopy
Grzęzną po kostki w piachu plaży lub
Klepsydr odmierzających czas. Poczujesz
Smak śmierci: wczoraj cię musnęło
Skrzydło wieczności, wiesz, że życie
To tylko epizod w bezkresie wszechświa-ta, a
Salwy milicyjne zagłusza szum dalekich
Galaktyk. Tak, jesteś humanistą, wierzysz
W prawdy wieczne i żagiew twego ciała -
Bo to twoje ciało płonęło w Alei Wacława -
- oświeć mrok kosmosu, prześwieć czas.

Druga strona

p. Adamowi Ważykowi

Tam po drugiej stronie, gdzie
umierają zegary i gasną tęczę,
gdzie magiczne znaki stają się
czytelne dla niewtajemniczonych,
tam, pośród głosów nienarodzonych
jeszcze poetów, tam, właśnie tam

^{x/} Więzienny przesąd mówi, że z celi, w której na kracie okiennej
usiadł ptak, ktoś wyjdzie na wolność.

odezwą się pełnym głosem - raz
jeszcze - wszystkie wiersze: te
dawne i te późniejsze. Zmieszają
się ich głosy.

Starzy poeci spokojnie oczekują
śmierci. Znają ją od dzieciństwa.

Miedzy wierszami wierszy
Ewie Lipskiej

Miedzy wierszami wierszy
ukryta jest tajna broń
mówi doświadczony cenzor
język mu się płacze
pod nogami Cenzor
potyka się pada podnosi
rękopis na wysokość
drugiego piętra abstrakcji
pochyla się z troską
nad białą kartą pamięci
O tu mówi widać
jak na dłoni o co
im chodzi Wyciąga
zawleczkę wspomnień i
papier wybucha jasnym
płomieniem bólu papier
wybucha śmiechem

Miedzy wierszami wierszy
ukryte jest milczenie

Pomiedzy
Stanisławowi Barańczakowi

Pomiedzy prawem głosu a głosem
prawa
wylęgają się wiersze
białe kruki nadziei

Pomiedzy siłą prawa a prawem
siły
lęgną się strofy bólu
rośnie cierpki krzew prawdy

Pomiedzy głosem siły a siłą
głosu
narasta szepc bezsilnych
usidlonych bezprawiem

Wieczór autorski

Pytają jak żyć i czy rzeczywiście
zdarzyło się to lub tanto albo czy
Kosmici mogą istnieć i jeszcze o
tego facetąz telewizji czy naprawdę
wierzy w to co mówi oraz po co
to wszystko. Nie słuchają wierszy lecz
mówią o sobie - starszy pan na
przykład opowiada o wojnie i że
teraz młodzi mają wszystko: on

nie miał; młoda dziewczyna mówi
o braku perspektyw: kiedyś marzyła
o szkole filmowej teraz pracuje
w biurze i być może kiedyś
będzie miała to wszystko czego dziś
jej brak ale będzie zbyt późno. Staram
się coś mówić słucham i odpowiadam
próbuję powiedzieć co myślę o tym
wszystkim o życiu. I tak powstają
wiersze Z cudzych słów Z bezradności
Z poczucia wspólnoty.

Leszek Szaruga

Barbara Toruńczyk

OZN i ENDECJA: KILKA ODROŻNIEN

Przedstawiając ewolucję obozu piłsudczyków w latach trzydziestych, porównuje się zazwyczaj rządy późnej sanacji z wczesnymi ideałami endecji. Akcentuje się wówczas tezę, iż piłsudczycy po maju 1926 r. zaczęli ulegać wpływowi endecji: przejęli linię antydemokratyczną i antyparlamentarną, zamiast polemik z opozycyjnymi stronnictwami zaczęli tłumaczyć "sejmokrację", opowiadali się coraz wyraźniej - z czasem wręcz programowo - za formułą solidaryzmu politycznego i społecznego, by wreszcie po roku 1935 przyswoić sobie również nacjonalizm oraz zasadę rządów silnej ręki.

Na szczytowy punkt ewolucji sanacji w kierunku nacjonalizmu endeckiego uznaje się okres działania Obozu Zjednoczenia Narodowego /zwłaszcza pierwszy rok istnienia organizacji/. Piłsudczycy bowiem mieli wtedy już całkowicie ulec następującym tendencjom: "Totalitarnym - co wyrażała idea konsolidacji z armią i jej wodzem..., nacjonalistycznym - co wiązało się z tezą integracji interesów narodu i państwa wielonarodowościowego oraz z akcentami antysemitycznymi w deklaracji /OZN - przyp.B.T./; katolickim - co wynikało z podkreślenia szczególnego związku z narodem i szczególnej roli Kościoła w Polsce" /A.Micewski/. Miedziński, główny publicysta OZN, uznał, że zasadą działania OZN jest "nacjonalizm, sprawiedliwość społeczna, organizacja".

Łatwo ujrzeć w tych hasłach refleks dawnego programu endecji: a więc silny i zwarty naród, którego wewnętrzna spójność wynikać miała ze wspólnych, przez wszystkich podzielanych celów moralnych, karnego rygoru, sprawnej organizacji, jednorodności politycznej i kulturalnej. Duchowej formy dostarczać miał nacjonalizm, zwany przez stronnictwo nowoczesnym patriotyzmem.

Z ozonowym ideałem narodu - "jednolitym, karnym i zwartym" - było w dodatku tak, że tryb wcielania haseł w życie nie odbiegał od wzorów ukutych przez Stronnictwo Narodowe. Już Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem /BBWR/, pomyślany jako prurządowa reprezentacja polityczna wszelkich stanów społecznych w Polsce, był bliski modelowi endeckiemu. Sławek zaś chciał nawet powołać Powszechną Organizację Społeczeństwa i jakoby w tym celu rozwiązać BBWR. Na przeszłości staneły wówczas walki frakcyjne w obozie piłsudczyków, późniejszy OZN mógł być jednak uważany za kontynuację tych planów. Opowiadał się przecież za silną władzą, zwalczał demokrację parlamentarną, łatwo go było przekształcić w pozaparlamentarną powszechną organizację polityczną narodu, nawoływał do konsolidacji społeczeństwa. Szereg ugrupowań nacjonalistycznych po secesji ze Stronnictwa Narodowego zgłosiło akces do OZN. Również piłsudczycy, jakby dla potwierdzenia opinii o zacieraniu się różnic między nimi a endecją, szukali porozumienia z obozem narodowym. Obecność Rydza-Śmigłego na komersie "Arkonii", elitarniej endeckiej korporacji studenckiej, poczytana została za symboliczny początek integracji politycznej obu tych obozów na gruncie koncepcji narodowych demokratów.

Sprawy nie przedstawiały się jednak tak prosto.

Endecja była partią pełną dwoistości. Wypracowana przez nią formuła narodowego integryzmu podważała filozoficzne podstawy kultury europejskiej kwestionując indywidualizm, prymat wartości życia osobowego, poddając w wątpliwość walory humanizmu, tolerancji światopoglądowej, ducha liberalizmu. Nakazywała podporządkowywanie losu osobistego i działań społecznych najwyższemu dobru, dobru narodu. W kategoriach politycznych oznaczała walkę z liberalizmem, socjalizmem, mniejszościami narodowymi, odrębnymi formacjami kulturalnymi i politycznymi, demokracją i parlamentaryzmem.

Toteż taktykę polityczną narodowych demokratów cechowała niechęć do porozumień międzypartyjnych, unikanie sojuszków politycznych, skłonność do odwoływania się - ponad instytucjami państwowego życia politycznego - do hasłów mas /predylekcja do posługiwania się zorganizowanym terrorem ulicy, wzniecanie manifestacji publicznych, bunt i ekscesów/ oraz, przede wszystkim, dążenie do stworzenia na drodze pozaparlamentarnej - powszechnej organizacji politycznej narodu polskiego. Ponieważ władza w państwie miała być sprawowana przez najwyższe kierownictwo organizacji politycznej narodu, za cel tej taktyki można uznać chęć zapewnienia sobie przez endecję wyłączności rządów.

Rzeczywistość wyglądała jednak inaczej. W II Rzeczypospolitej endecja częściej rezygnowała z walki o władzę, niż się o nią starała. Wpierw, w okre-

się rokowań o granice Rłski, wyrzekła się tej walki dla wyższych względów państwowych, sądząc, że jej orientacja prorosyjska i antyniemiecka mogła zaszkodzić sprawie polskiej na forum międzynarodowym. Również względ na rację stanu hamował jej zakusy na władzę po śmierci Piłsudskiego. Endecja nie podjęła wtedy niezbędnych inicjatyw z obawy przed nie zamierzonym sprowokowaniem zaburzeń społecznych. Paraliżował ją lęk przed rewolucją. Toteż w latach 1935-1939 była zajęta ukrócaniem lewicowej opozycji, a również walką z sanacją. Ilekroć natomiast zdarzało się jej pretendować do władzy i podejmować odpowiednie starania, padała ofiarą własnej dwoistej taktyki.

Endecja przedstawiała sobie jako stronnictwo pozaparlamentarne, obóz polityczny raczej aniżeli partię interesów społecznych. Chciała reprezentować wszystkie stany, opowiadała się za formułą solidaryzmu. Była jednak stronnictwem, które wiele zawdzięczało poparciu konkretnej klienteli politycznej broniącej również konkretnych interesów - ziemiaństwa, kleru, mieszczaństwa. Gdy więc endecja chciała realnie poszerzyć swoją bazę społeczną i pozyskać chłopstwo obietnicą reformy - traciła poparcie głównych swoich sojuszników: bogatego ziemiaństwa oraz sfer mieszczańskich niechętnych akcentom lewicowym.

Do tych sprzeczności dochodziła jeszcze i ta, że właściwie endecji nie bardzo opłacało się przejmować władzę w niestabilnym okresie lat 1935-1939. Zwłaszcza, że w tym czasie sanacja realizowała najważniejsze punkty politycznego programu endecji: upomniała się o ideał silnej władzy wykonawczej i, zrównawszy się z endecją we wspólnym zwalczaniu lewicy, sięgnęła po hasła nacjonalizmu.

Stąd sojusznicy, z racji zaniechania przez stronnictwo walki o władzę, oskarżali je o kunktatorstwo, liczne były secesje "rozczarowanych" /fronda najbardziej bezkompromisowych nacjonalistów był ONR, fronda złaknionych bezpośredniego wpływu na władzę - Awangarda Państwa Narodowego, która zgłosiła akces do OZN/. Endecja nigdy jednak w okresie dwudziestolecia międzywojennego nie zdecydowała się na otwarte podjęcie walki o władzę i trwała przy swojej połowicznej taktyce. Ta pozornie dwoista i niekonsekwentna postawa stronnictwa zdradza jednak nową, zaskakującą jakość polityczną.

Endecja, jakkolwiek miała słabo zarysowany program państwowy, charakteryzowała się wybitnie rozwinętym poczuciem racji stanu. Miała też ogromną ambicję bezpośredniego wpływania na życie kraju. Zmysł racji stanu przejawiał się w lęku przed przewrotem społecznym i rewolucją polityczną. Narodowi demokraci bowiem cenili nade wszystko trwałość i niezależność bytu państwowego. Działanie lewicy prowadziło - ich zdaniem - do utraty tożsamości narodowej, do politycznej niestabilności rządów i zachwiania się podstaw niepodległości. Nie sięgając bezpośrednio po władzę, endecja zdecydowała się modyfikować sytuację polityczną wykorzystując dostępne możliwości. Po pierwsze przekształciła się w legalne, parlamentarne stronnictwo opozycyjne. Skłoniła ją do tego zarówno presja okoliczności politycznych, jak własnej klienteli partyjnej. W ramach parlamentu endecja zwalczała sanację, opowiadała się za liberalizmem gospodarczym i przeciwstawiała się etatystycznym zakusom piłsudczyków, którzy w okresie OZN postulowali daleko idącą interwencję państwa w życie gospodarcze kraju. Co najbardziej paradoksalne: właśnie endecja broniła mechanizmów demokracji parlamentarnej, potrzebnych jej do powstrzymywania piłsudczyków od rządów autorytarnych, o tyle przy najmniej, o ile rządy te godziły w stan posiadania endecji jako stronnictwa parlamentarnego.

Po drugie, endecja formowała profil polskiej kultury politycznej terrorem i siłą, zdając się na potęgę faktów dokonanych. Terror ten nie miał jednak nic wspólnego z piłsudczykowskim upodobaniem do zamachu stanu. Branie władzy przemocą nie mieściło się w stylu działania endecji, marsz Doboszyńskiego na Myślenice był tylko aktem presji zastosowanym po to, by skutecznie wprowadzić do polskiej kultury politycznej nacjonalistyczny ideał narodu. Piłsudczycy natomiast posługiwali się formułą nadrzędności państwa nad narodem, a sens polityczny tej polemiki wymierzony był bezpośrednio w narodowych demokratów. Pod pozorem sporu o nadrzędność państwa toczyła się

walka z endecją realną, taką jaka istniała w okresie II Rzeczypospolitej.

Endecja obierała za aranż działań politycznych sejm i ulicę: pilsudczy-
cy uważali, że kwestie polityczne powinny być rozstrzygane w ramach instytu-
cji rządowych. OZN krytykował więc endecję za "sekciarski nacjonalizm" i
twierdził, że konsekwencją przeciwstawiania narodu władzom państwowym jest
"absenteizm od prac państwowych", oraz "absurdalna a niesłychanie szkodliwa...
idea, że w Polsce dzisiejszej nie rządzi naród polski i że władzę tę musi
on dopiero zdobyć" /"Gazeta Polska", 1939/. Zarazem oskarżano endecję o to,
że "nigdy nie wypracowała żadnych planów państwowych" i poprzestawała na
przekonaniu, "że wystarczy, aby przyszła do władzy, wszystko będzie w po-
rządku" /"Zaczyn", 1937/. Oskarżano też endecję o niezdolność do myślenia w
kategoriach interesu państwowego, "werbalizm pustych frazesów", "partyjni-
wo" i często określano ją mianem "polskiego nacjonalizmu partyjnego", ironi-
cznie podkreślając partykularyzm polityczny tego obozu, mimo że pierwotnie
bronił on przecież totalnych interesów narodu /"Gazeta Polska", 1939/.

Terroryzm polityczny natomiast, którym posługiwała się endecja, był
przez pilsudczyków zwalczany jako zagrożenie polskiej kultury politycznej.
Zwalczano go zresztą w imię ideału rządów "silnej ręki": "Czy mamy pewność,
że przy wolności demokratycznej, endecja z przybudówkami nie urządziłaby
gigantycznego pogromu?" /"Zaczyn", 1937/. Uważano, że wyprowadzenie polityki
na ulice jest wielce szkodliwe dla "twórczej pracy państwowej", i że z te-
go punktu widzenia "rozpowszechniła się nad miarę tania i pusta frazeologia
nacjonalistyczna, która niesie ze sobą wiele bałamutów i grozi obniżeniem
poziomu myśli i kultury politycznej narodów" /"Zaczyn", 1937/.

Obok krytyki uprawianej z pozycji antyparlamentarnej i gloryfikującej
porządek, dyscyplinę i pracę jako podstawowe cnoty polityczne, formułowane
były też inne zarzuty. Pilsudczycy wytykali więc narodowym demokratom "sia-
nie nienawiści", upodobanie do pogromów, to, że "głównych klęsk, niepowodzeń,
żałowań /doszukują się/... nie we własnych błędach narodu polskiego, lecz w
ciemnych siłach sprzysiężonych" /"Zaczyn", 1937, "Gazeta Polska", 1939/.
Oskarżali ich wreszcie o zatrącenie "poczucia godności narodowej", "szarganie
Polską" /"Gazeta Polska", 1939/, a to dlatego, że endecja, wyolbrzymiając
niebezpieczeństwo obcych wpływów, podawała w wątpliwość możliwości narodu
polskiego /"Endecy wychowali przerażającą megalomanię Żydów, i mikromanię
wśród swoich adeptów. Zarazili tą chorobą liczne rzesze inteligencji pols-
kiej... Myślenie kategoriami cudzej winy, czynienie z Żydów olbrzymiej po-
tęgi, zamiast dbać o własną świadomą, pozytywną i planową pracę - obniża mo-
żliwości realizacji własnych zadań", "Gazeta Polska", 1939/. Miał to być
jeden z największych błędów endeckiego nacjonalizmu: zaślepienie nienawiś-
cią do "obcych" powodowało, iż narodowi demokraci przyczyniali się do podwa-
żania wiary Polaków we własne siły i zdolności: "Szukanie przyczyn marazmu
poza sobą, stwarzanie deterministycznych i fatalistycznych teorii, uposta-
ciowanie nacjonalizmu w starożytnych bóstwach Mojry i Ananke, czarnowidztwo,
polegające na twierdzeniu, że nic nie można uczynić w kraju bez likwidacji
i unicestwienia mniejszości - to kompleks, wytwarzający bierność narodu
rdzennego, apatię, niewiarę we własne siły i zahamowanie twórczych procesów"
/"Zaczyn", 1938/.

Ostatni typ zarzutów wskazuje dobitnie na istotne różnice dzielące men-
talność kulturalną narodowych demokratów od pilsudczyków.

Endecję cechowały silne uprzedzenia narodowościowe, niechęć do obcych,
etnocentryzm, ksenofobia. Antysemityzm był w tej partii niejako naturalny.
W stosunku zresztą do wszelkich mniejszości opowiedano się za przymusowym
wymarodowieniem /uważając je przy tym za mało realne/, negowano prawo do au-
tonomii kulturalnej i politycznej. W stosunku do Żydów endecja postulowała
emigrację, praktycznie bowiem nie widziała możliwości skutecznej asymilacji,
autonomię zaś i równouprawnienie - wykluczała. Toteż alternatywą, a raczej
uzupełnieniem postulatów emigracji był terror i pogrom.

Stosunek do mniejszości narodowych wynikał bezpośrednio z filozofii ku-
ltury endeckiego nacjonalizmu. Filozofię tę cechowała zdecydowana niechęć
do wszelkich możliwych form pluralizmu społecznego, politycznego, narodowoś-

ciowego; aprioryczne uwielbienie tego, co jednorodne, skłonność do wartości takich, jak siła, dyscyplina, organizacja; upodobanie do świata o formach ujednoliconych. Światopogląd endeckiej był światopoglądem nietolerancyjnym i zabierczym; dopuszczał tylko to, co swojskie i rdzenne, kwestionował wszystko, co odmienne, egzotyczne, obce i zaskakujące, i zawierał postulat upodobnienia urozmaiconych kształtów rzeczywistości do monotonnego krajobrazu nacjonalistycznego ładu.

Inaczej piłsudczycy. Z epoki legionów, walk niepodległościowych i jeszcze wcześniejszego okresu socjalizowania pozostał im na zawsze sztafarz romantyczny. Cenili barwność świata, wielopostaciowość form kulturalnych, zachowali pewną skłonność do idealizmu. Stosunek do odrębnych narodowości i formacji kulturalnych wyrażali najchętniej w formule mesjanizmu narodu polskiego. Było to jednak posłannictwo prometejskie, w którym czuło się klimat kresów polskich z ich niezwykłym skrzyżowaniem ras i kultur, posłannictwo nie mające nic wspólnego z endeckim dążeniem do brutalnej, unifikującej dominacji. A z tradycji zbrojnej insurekcji, szlacheckich powstań i rewolucji społecznej piłsudczycy wynieśli przywiązanie do wartości uniwersalnych. Lekcję patriotyzmu odebraną w tej szkole zawarli w koncepcji federacyjnej. I choć próba władzy zatarła ten szlif tolerancji narodowościowej i kulturalnej, piłsudczycy nigdy nie przeszli na pozycję endeckiej.

W okresie OZN szczycili się mianem nacjonalistów. Lecz sens tego pojęcia dalece odbiegał od znaczenia, w jakie wyposażała je endecka ksenofobia. Sformułowania, które znalazły się w deklaracji OZN, stworzyły wprawdzie możliwość ograniczenia praw mniejszości narodowych, były jednak obwarowane zastrzeżeniami różniącymi wyraźnie stanowisko piłsudczyków od pozycji narodowych demokratów /"burdy antysemitki uchylają godności i powadze wielkiego Narodu"/. Było to bowiem stanowisko ambiwalentne. Widać to najwyraźniej, gdy polemika z wzorem endeckim przybierała formę "racjonalnej perswazji", mającej uzasadnić, dla jakich to przyczyn polityka tolerancji jest korzystniejsza od propozycji narodowych demokratów: "nacjonalizm endecki chciałby naśladować wzór niemiecki... Nacjonalizmu niemieckiego naśladować nie możemy... gdyż w wypadku polityki eksterminacyjnej i ghetta mielibyśmy 29% wrogów". Kiedy indziej zaś pisano: "wykazać, że sprawy straganów są nieistotne, że naczelna zasada w gospodarce nie może być narodowościowa, lecz gospodarcza, bo inaczej musielibyśmy podwoić budżet dla samego wychowania stanu trzeciego i udzielić kilkakrotnie kredyty bankowe do stworzenia narodowych kapitalistów" /"Zaczyn", 1938/.

Hasło nacjonalizmu, które figurowało w programie OZN, mieściło zatem dziwne, niewyraźne treści. Można przypuścić, że po słowo "nacjonalizm" sięgnięto raczej dla celów doraźnych, wybitnie pragmatycznych. OZN zawarł sojusz z prawicą, szukał z nią wspólnego języka. Chciał przy tym uniknąć podejrzeń o konseksje z lewicą. Jednak dystansując się od lewicy starannie baczył, aby nie utożsamiać się z głęboko mu obcym nacjonalizmem spod znaku Dmowskiego: "Nie ma jednego nacjonalizmu. Nie jest tym samym znak nieczu symboliczny i tym samym szable narodowej siły wojennej, wydobytą kiedyś z zardzewiałej pochwy przeciwko zaborcom i skrwawioną w bohaterskich bitwach zakończonych triumfalnym zwycięstwem". O własnym natomiast "nacjonalizmie" pisano: "Nacjonalizm jest realizacją potęgi państwowej... Nacjonalizm to nowa cywilizacja państwowa... Zgadza się nazywać nacjonalistami pod jednym warunkiem: jeśli uzna się, że największym nacjonalistą w Polsce był Józef Piłsudski, tak, ten sam Piłsudski, który nigdy nie nosił tego miana i który z pełną świadomością był 'biczem bożym' na wszystko, co podszywało się pod pojęcie nacjonalizmu... Trudno pogodzić Piłsudskiego z Doboszyńskim. To się nigdy nie uda. Trzeba dokonać wyboru".

OZN osiągał rezultaty dokładnie na miarę swej chwiejnej taktyki. Stronnictwo Narodowe i ONR uznały jego stanowisko w kwestii narodowościowej za połowiczne i niewystarczające, dla Stronnictwa Ludowego /o które OZN zabiegał/, Frontu Morges, a nawet "Naprawy" /współpracującej z OZN/ było ono zbyt daleko posunięte, socjaliści widzieli w nim "triumf koncepcji Romana Dmowskiego".

Piłsudczycy gwałtownie poszukiwali ideologii, która pozwoliłaby im skonsolidować obóz sprawujący władzę i stworzyć szerszą koncepcję polityki państwowej. Znaleźli ją w programie rządów "silnej ręki". Określenie, jakie przybierał OZN dla skokietowania prawicowej klienteli - "nacjonalizm państwowy", "państwowy totalizm" - podszeptał zły duch owego czasu. Popularność można przypisać sile oddziaływania wzorów zagranicznych. Hasła te w dodatku z łatwością znajdowały odzew w polskich sentymentach. Padały na grunt podatny, przygotowany przez słabość krajowej kultury politycznej i jej, urobioną przez wieki niewoli, skłonność do patriotyzmu "zaczepno-obronnego". Lecz polityka piłsudczyków była co najwyżej irrealnym, lustrzanym odbiciem wzorów lansowanych za niedzą. Jak na totalitarną była za bardzo niechętna zmianie ustroju politycznego, jak na rodzimy nacjonalizm - za bardzo piłsudczykowska.

Mimo to sanacji udało się stworzyć nową postać rządów i nową postać ideologii. Ideologia ta różniła się jednak istotnie od tej, którą niegdyś sformułowali endecy. W ujęciu narodowych demokratów stanowiła ona nieodłączną część integryzmu narodowego. W ujęciu obozu rządzącego od początku przedstawiała czystą ideologię silnej władzy państwowej, ideologię integryzmu państwowego, od początku również odwoływała się do właściwego piłsudczykom stylu działania publicznego. Jako idea jednak - i to trzeba przyznać - została wyspą z narodowo-demokratycznej myśli politycznej. Była jak gdyby szkieletem refleksji państwowej wypręparowanym z endeckiego nacjonalizmu.

Piłsudczycy Ozonowi ujrżeli w Romanie Dmowskim, wnet po jego śmierci, mistrza myśli państwowej. Lubili - w późnych latach trzydziestych - sięgać po jego pierwotne idee, przeciwstawiając je zresztą politycznemu dorobkowi Stronnictwa Narodowego. Sterali się wówczas uchodzić za prawdziwych spadkobierców idei Dmowskiego, którzy tym właśnie, że wielili w życie najważniejsze "Myśli nowoczesnego Polaka", zasłużyli sobie na miano przewrotnych dzieciaków idei państwowej: "Piłsudski niejednokrotnie realizował te zasady, których entuzjastą był Dmowski... Piłsudski zwalczał sejmowładztwo - szedł przeciw niemu, Piłsudski tworzył potężną armię - Dmowski, militarysta w teorii, nie zmienia swego do niego stosunku. Piłsudski kładł podwaliny pod nowy silny ustrój, partia Dmowskiego, zwolennika silnego ustroju, głosuje przeciwko konstytucji... Problem zjednoczenia narodowego nie byłby dziś tak palący i tak trudny do zrealizowania, gdyby nie rozpętanie tych namiętności personalnych, grupowych, partyjnych, "orientacyjnych" wreszcie, które pomimo wielokrotnie okazywanej dobrej woli Józefa Piłsudskiego, podsycano, jałowicie i uparcie Stronnictwo Narodowe firmowane autorytetem Dmowskiego" /"Zaczyn", 1939/.

Od Dmowskiego tedy mieli się piłsudczycy nauczyć myślenia kategoriami racji stanu, on przecież pierwszy głosił, że "interes państwa jest najwyższą wartością ponad wszelkie interesy klasowe, społeczne i osobiste". U niego również mieli pobrać pierwszą lekcję właściwego stosunku do parlamentaryzmu, on bowiem rozpoczął dzieło "obniżenia zakłamania pseudodemokratycznego i szerzenia szacunku dla silnej władzy jako jedynie godnej nowoczesnego państwa" /"Zaczyn", 1939/. U niego wreszcie znaleźli podstawy swojej ideologii: wizję narodu "jako bytu do ukształtowania" oraz zasadę, że "nie Polska dla Polaków, ale Polacy dla Polski".

Obe ugrupowania głosiły więc zasadę zdecydowanej nadrzędności władzy nad życiem społecznym i jednostkowym, obie uważały, że silna władza jest wartością naczelną, taką, do której trzeba dostosować wszelkie przejawy ludzkiej aktywności. I w takim tylko sensie można przystać na tezę, jakoby "w Ozonie zwyciężył duch Dmowskiego" /Micewski/. Formacje te oddzielała jednak od siebie cała przepaść różnic.

Piłsudczycy pragnęli oprzeć swoją politykę etatyzmu na sile romantycznych, idealistycznych sentymentów. Narodowi demokraci natomiast filozoficznie i politycznie ciążyli ku darwinizmowi społecznemu.

Narodowi demokraci wierzyli w udatne zespolenie instynktu państwowego z zasadami wolnej gry interesów. Ich wersję solidaryzmu społecznego i politycznego cechowała zatem ufność do prawa walki i do prawa siły. Sądziłi,

że absolutna władza państwa, podstawa nacjonalistycznego ładu, zostanie ustanowiona w wyniku bezwzględnej zwycięstwa ich ideałów. Reguły społecznej harmonii, które były im bliskie, utożsamiały się przeto z regułą politycznej i kulturalnej dominacji i ekspansji. Mieściły jednak zasadę ekonomicznego liberalizmu ograniczonego do ram "unarodowionej" gospodarki polskiej. Toteż walce narodowych demokratów o zdobycie i umocnienie władzy odpowiadały aurze właściwa działaniom zaczepnym, w kwestiach dotyczących zarządzania państwem wykazywali natomiast skłonność do umiaru, pragmatyzmu i rzeczowości.

Poufny związek endecji z ideałami warstw mieszczańsko-ziemiańskich, których interesy rzutowały na taktykę stronnictwa, studiów polityczne ambicje narodowych demokratów, pogłębiając ich niechęć do rewolucjonizmu i zamachu stanu. Przede wszystkim zaś sytuacja ta spowodowała trwałe zahamowanie etatystycznych zakusów endecji, a nawet sprawiła, że narodowi demokraci gotowi byli sprzyjać rozwojowi życia państwowego jedynie w granicach dozwolonych przez zasadę *laissez-faire*. Alternatywa bowiem, wobec której stanęła endecja, partia silna poparciem konkretnych warstw społecznych, zarysowała się tak ostro, że w praktyce stronnictwo to zostało skazane albo na program silnej władzy państwowej i społecznej wokół niej próżnię, albo na demokrację parlamentarną, liberalizm ekonomiczny i skromną /przy jego ambicjach/ rolę politycznego oponenta. Dlatego impetyczne dążenia endecji, spragnionej władzy i dominacji, wyładowywały się raczej w fobiach narodowościowych aniżeli w inicjatywach rozszerzających prerogatywy państwa. Program etg-tyzmu wzbudzał w tym stronnictwie wyraźną rezerwę, a nawet nieufność.

Również aura życia publicznego, która najbardziej odpowiadała endecji, była zupełnie inna aniżeli "państwowotwórczy" idealizm piłsudczyków. Narodowi demokraci cenili życiową zaradność *self-made-mana* i przedkładali zimne wyrachowanie, rzeczowość i zręczność nad wzory altruizmu i poświęcenia. Skłonność do samowyrzeczenia i bezinteresowności, uważaną przez piłsudczyków za najwyższą cnotę obywatelską, uznawali za zgubną. Dążenie, aby na takich cechach oprzeć mechanizm życia państwowego, osądzali jako niebezpieczną iluzję, udaremniającą skuteczne prace czy to gospodarcze, czy to polityczne. Piłsudczycy natomiast, zmierzając do umocnienia władzy państwa, sięgali do zgoła odwrotnych wzorów: pragnęli ograniczenia wolnej gry sił politycznych, a podsycając pierwiastki idealizmu, rozniecali w społeczeństwie romantyczną pasję czynu państwowego. Endecja, partia określonych interesów społecznych, chciała ugruntować władzę państwową na aparacie politycznym jednolitej organizacji narodu, a również /o czym często mówiła/ na aparacie terrorku i sile policji. Piłsudczycy, przeciwnie niż endecja, pragnęli ograniczyć rolę systemu politycznego i przede wszystkim rozbudowywali aparat administracji państwowej. Początkowo zamierzali oprzeć się na stowarzyszeniach społecznych. Była to jednak tylko sentymentalna teoria. W rzeczywistości - a w okresie OZN mówiono już o tym wyraźnie - dążyli do ukształtowania nowego stanu społecznego - biurokracji państwowej. Urzędnicy i wojsko mieli stać się główną siłą polityczną kraju i podstawą rządów sanacji. Kombatancki natomiast stanowili ledwo ozdobę tego modelu władzy, przyczyniając się wszakże do wytworzenia odpowiedniej aury ideowej życia państwowego. Stanowili bowiem żywy wzór bohaterstwa wyrzeczeń poniesionych w imię ideału państwa. Praktyka polityczna obozu rządzącego była obciążona koteryjnością, woluntaryzmem, dziełami w sferze walki o władzę, zaniedbaniami i lekceważeniem prawa i praworządności, beztrzęsłą łatwością w stwarzaniu doniosłych faktów dokonanych w życiu państwa, nieufnością do społeczeństwa i jego inicjatyw, niechęcią do demokracji przedstawicielskiej. Wszystkie cechy z jednej wynikały pokusy - pokusy przewrótowości.

Pociąg piłsudczyków do polityki był jednak silnie zabarwiony idealistycznymi pierwiastkami poświęcenia, posłannictwa, walki i ofiary. Nic bardziej obcego endecji, która nie lubiła iluzji i posługiwała się raczej koncepcją egoistycznych interesów.

Potrzeba szerszej koncepcji politycznej, a zwłaszcza ideologii, dała o sobie znać wraz z kryzysem, który ogarnął rządy sanacji po śmierci Piłsudskiego. Oboz rządzący, rozbitý przez walki wewnętrzne i zagrożony przez opozycję, przystąpił do ofensywy. Doszło wówczas do założenia OZN. Od samego

początku był on pomyślany jako instrument walki o utrzymanie władzy. Hasła "obronności kraju" oraz "konsolidacji społeczeństwa" były jedynymi propozycjami, na jakie stać było pilsudczyków, nienawykłych do doktrynerstwa ideologicznego, niezdolnych do myślenia obejmującego zagadnienia szersze, aniżeli mogły pomieścić kategorie doraźnej polityki.

OZN nie zmienił zasady rządów pilsudczyków, nie doprowadził również do istotnej modyfikacji życia państwowego. Udało się go co prawda przekształcić w dość szeroką reprezentację społeczeństwa. Ponieważ jednak do organizacji zgłaszały na ogół akces autonomiczne /często indolentne/ stowarzyszenia społeczne i zawodowe, ponadto zaś pryncypalne ugrupowania polityczne, a znacząco nie rządowej osoby indywidualne, OZN nie stał się nigdy rzutkiem wykonawcą polityki państwowej. Przyczynił się jednak do poszerzenia bazy rządów sanacji. Był też, przez pewien czas, dość sprawnym instrumentem walki frakcyjnej przysparzając sukcesy grupie Rydza-Śmigłego i Koca. Nawet jednak i ta przypadająca na pierwszy rok istnienia OZN aktywność Koca i Związku Młodej Polski /młodzieżowej organizacji OZN, pozostającej pod wpływami ONR/, choć nadała organizacji pewne znamię wywrótowości, radykalizmu politycznego i nacjonalizmu, nie była na tyle ważką, żeby mogła zmienić profil rządów sanacji. Co więcej - zakusy tej frakcji zostały ukrócone przez samą sanację. Teza, iż w tym okresie rządy pilsudczyków przechyliły się w stronę totalitaryzmu, czy integryzmu nacjonalistycznego, jest wielce przesadna. Strategia pilsudczyków - i tych Ożonowych, i tych, którzy pozostawali poza obrębem organizacji - była wprawdzie kształtowana przez pokusę silnej władzy państwowej, lecz gust pilsudczyków do tradycyjnej społeczności politycznej i tradycyjnych form ustrojowych ograniczał linię tej strategii o tyle, że nigdy nie sięgła ona poza program etatyzmu możliwy do realizacji bez zmiany reżimu. I chociaż ten program etatyzmu, ideologia władzy i formuła integryzmu państwowego zostały stworzone dopiero w okresie OZN, była to tylko próba intelektualizacji dotychczasowej strategii pilsudczyków.

x

Zastanówmy się nad przyczynami, które powodują, że czasem pochopnie utożsamiamy odmienne formacje polityczne. Cóż wytworzyło tę skłonność?

Wydaje się, że po pierwsze, nie umiemy się oprzeć wpływowi doświadczeń, które określiły naszą świadomość. Nadmiernie ujednolicający walec historii zatękał kontury zróżnicowanego i bogatego krajobrazu politycznego, my zaś utraciliśmy wrażliwość w widzeniu i analizowaniu zjawisk życia politycznego. Cechuje nas upodobanie do odnajdywania ogólnych trendów, silnych podobieństw, umiślowanie kreski grubej i pewnej, niechęć do niuansów. Niewątpliwie wielokrotnie musimy używać owej grubej kreski: zawdzięczamy jej przecież jasność obrazu. Jednak umiejętności odnajdywania ogólnego kierunku przemian politycznych powinno towarzyszyć wyczuwanie specyfiki poszczególnych formacji, specyfiki decydującej nie tylko o miejscu każdej formacji na tle innych, lecz również o roli, jaką ta formacja w istocie odgrywała w owym ogólnym trendzie historycznym.

Wydaje się, że doświadczenie totalitarne przyczyniło się do istotnego wypaczenia naszej świadomości politycznej, obciążając ją dwoma błędami.

Pierwszy błąd - to błąd ideologizmu. Przywykliśmy traktować ideologię jako decydujący czynnik w ustalaniu tożsamości politycznej poszczególnych ugrupowań. A przecież bywają formacje - i tak stało się również w wypadku pilsudczyków - nieczułe na pokusę doktrynerstwa. Mimo to tę nieważną, mgławicową ideologię traktuje się jako siłę samodzielna, decydującą o charakterze polityki pilsudczyków. Tak na przykład Tadeusz Jędruszcak, autor monografii Ożonu, zestawia ogólnikowe sformułowania deklaracji OZN z programem ONR i znajdując pewne werbalne podobieństwa obu tych programów formułuje tezę o zagrożeniu totalitarnym, które jakoby zawisło nad Polską w dobie OZN. A przecież pilsudczycy stronili od planu radykalnej reformy życia państwowego oraz od politycznej mobilizacji mas. Zarówno przewrótów, jak i łamanie prawa dopuszczali się jedynie w walce o władzę. Nigdy natomiast nie byli skory do podejmowania takich kroków, aby przeobrazić życie gospodarcze i społeczne kraju. W tych dziedzinach cechowała ich daleko posunięta ostrożność. Niechęć do eksperymentów, nowatorstwa - to była spuścizna jeszcze po Pilsudskim.

Epoka OZN nie wniosła specjalnych zmian. Cechowało ją wzmożenie zapędów dyktatorskich, autorytatywność rządów, niszczenie podstaw demokracji parlamentarnej. OZN przyciągał, podobnie jak kiedyś BBWR, głównie arywistów. Najliczniej byli w nim reprezentowani urzędnicy państwowi, dużą rolę odgrywali wojskowi. W oparciu o OZN pilsudczycy mogli zatem pokusić się o jeszcze jeden zamach stanu i istotnie doszło nawet do próby takiego zamachu. Był to jednak rodzaj puczu, a nie krok, który mógłby doprowadzić do nowego systemu. Myśl o raptownej zmianie ustroju była im obca. Pokusy takiej nigdy nie zaznali, podobnie jak nie zaznali pociągu do ideologicznej utopii.

Demonizujemy przeto pilsudczyków pomawiając ich o intencję totalitarną. Tymczasem w formacji tej najciekawsze wydaje się właśnie jej dwoistość. Pilsudczycy bowiem z jednej strony opowiadali się za rządami autorytatywnymi, ograniczali demokrację parlamentarną i rolę systemu partyjnego, z drugiej zaś żywnie wyrażali niechęć do modelowych wzorów państw totalitarnych. Ich ideał był inny: silna władza wykonawcza wsparta na administracji i wojsku /ale również na organizacjach i stowarzyszeniach społecznych/, istotnie ograniczona rola systemu parlamentarnego /ale również uznawanie go - podobnie jak układu partyjnego - za podstawę reżimu politycznego. Decydowało, mimo wszystko, swoiste przywiązanie do tradycji oraz nieufność do dynamicznych i prężnych kierunków reprezentowanych przez młodszą generację kwestionującą XIX-wieczne wzory polityczne. Dlatego właśnie pilsudczycy, powołując OZN, mogli utrzymywać, iż konsolidacja społeczeństwa powinna być przeprowadzona po to, "by bez przymusów i obozów koncentracyjnych zrozumieli wszyscy, że ponad racją cząstkową nie tylko istnieje, ale rozstrzygnąć musi naszeli interes państwa jako całości".

Błąd drugi to błąd intelektualizmu. Polega on na tym, że rzeczywistość polityczna przedstawia się nam jako demon ulotna. Często na podstawie wypowiedzi, które słyszymy, możemy sądzić, że komus polityka przedstawia się tak, jak gdyby natura jej była czysto umysłowa i par excellence ahistoryczna, jak gdyby więc polityka stanowiła rejon ożywiony jedynie grą dowolnej i nieograniczonej spekulacji intelektualnej. Pilsudczycy Osonowi bywają więc utożsamiani już to z ONR-em i zagrożeniem totalitarnym, już to z endecją i z zagrożeniem nacjonalistycznym. Oczywiście, musimy się zgodzić, iż pewne hasła tych ugrupowań były analogiczne. Ale też analogie te kłótnieją tylko na papierze, to znaczy jako zręczne formuły teoretyczne, na ogół niezależne od rzeczywistości politycznej. Pomijają zatem to, co najistotniejsze dla charakteru każdej z tych formacji oraz prowadzonej przez nie polityki. I dlatego trudno się zgodzić z tezą, że jakość polityczna jednej lub drugiej formacji jest zjawiskiem li tylko intelektualnym, pozbawionym uwikłania w konkret aktu politycznego, wolnym od zabarwień, często przecieży decydujących, a wynikłych z upodobań i skłonności kulturalnych danej formacji, jej stylu działania publicznego, właściwych jej norm, wyobrażeń i ideałów władu społecznego.

Błąd intelektualizmu, ów der czynienia ahistorycznych i dowolnych fantomów ze zjawisk politycznych, podobnie jak błąd ideologizmu, wyrósł z doświadczenia totalitarnego. Totalitaryzm bowiem faktycznie przekształcił politykę w fantom, oferując, zamiast uczestnictwa w życiu publicznym, ideologiczną utopię i odwołując umysł w sferę doktrynalnej nierzeczywistości. Jeśli zatem uczynił nas po latach wrażliwymi na rolę ideologii i odcisnął się na naszych zainteresowaniach skierowując je na zjawiska, które, być może, zapowiadały późniejszą jakość polityczną naszej historii, częściej jednak były opanem i nazbyt dowolnie interpretowane, to teraz, kiedy są powody, by sądzić, iż doświadczenie nasze wchodzi w nową fazę, pora wykazać nieco więcej troski o własną kulturę polityczną. Błąd intelektualizmu może więc - a nawet powinien - zostać zrównoważony przez intelektualizację życia politycznego. A więc również przez troskę o możliwie pełne uwzględnianie specyfiki i odrębności formacji politycznych. Jest to jednak niemożliwe bez wyzbycia się pokusy ideologizmu.

Jeśli myślenie kategoriami realizmu politycznego uważamy za konieczność, to powinniśmy pamiętać, że polega ono nie tylko na umiejętnej ocenie

ambicji i celów reprezentowanych przez rozmaite ugrupowania. Realizm - to na le wszystko wiedza o bogactwie krajobrazu politycznego, pamięć, że kultura polityczna poszczególnych frakcji może być odmienna, że ich dążenia i ideały mogą się różnić i że jeśli mamy się z nimi porozumiewać lub polemiczować, albo nawet rozumieć je tylko, to nade wszystko musimy ujrzeć je w ich swoistości i odrębności, pomni, że nikt nie wie, w którą stronę toczy się historia i jakie cechy kultury politycznej okażą się w niej najważniejsze, pomni również, że ze wszystkich błyskotek życia politycznego doktryna ideologiczna okazała się najbardziej zwodząca i że wie-my już, jak złudne i pozorne bywają jej krzykliwe hasła.

Barbara Toruńczyk

R E C E N Z J E

Adam Michnik

COSAS DE POLONIA

Jan Nowak: "Kurier z Warszawy". Londyn 1978. Odnowa, str. 534

Tytuł niniejszych uwag zapożyczyłem od Ksawerego Pruszyńskiego, który nazywał tak jedną ze swoich "trzynastu opowieści". Pruszyńskiemu owe "rzeczy polskie" wydawały się czymś charakterystycznym dla polskiej mentalności - czy też - szerzej - dla polskiego losu.

Mysł o tak rozumianych "rzeczach polskich" narzuca się wprost nieustannie podczas lektury książki Jana Nowaka "Kurier z Warszawy".

Nowak - Zdzisław Jeziorański - znany jest dobrze polskiej opinii jako długoletni dyrektor polskiej sekcji Radia "Wolna Europa", której to funkcji zawdzięcza nienawiść oficjalnej propagandy. Dzięki swemu pamiętnikowi stał się uczestnikiem "nocnych rozmów rodaków", bowiem przywołał przeszłość wciąż żywą i bolesną.

Tę książkę czyta się jak kryminał, jak barwną, po mistrzowsku skonstruowaną powieść Karola Maya o przygodach Old Shatterhanda wśród wrogich plemion Indian, jak sienkiewiczowską epopeję o peregrynacjach pana Skrzetuskiego i jego przewagach w starciach z wrogami Rzeczypospolitej. I tylko nie ma happy-endu... I tylko dokumenty zgromadzone w załączonym aneksie przypominają wciąż, że nic tu ze zmyślenia, że każde słowo jest ściśle wyważoną prawdą...

Jest to więc fascynująca opowieść o pracy konspiratora, uczestnika akcji "N", jest to trzymający w napięciu serial o wędrówkach kuriera polskiego podziemia poprzez pilnie strzeżone przez hitlerowców granice. Ale jest to również książka o "przeklętych problemach" Polaków, o losie sprawy polskiej na Zachodzie w latach II wojny, o polskich sprawach poprzedzających moment, w którym odwróciła się karta Historii zapisana przez ludzi II Rzeczypospolitej i Państwa Podziemnego.

Te sprawy trafiły już do podręczników. Postaci Nikołajczyka czy Sosnkowskiego równie odległe są dzisiejszym dwudziestolatkom jak Sierakowski czy Traugutt. Jak umiejętnie Jan Nowak ożywia tych ludzi! Są dlań żywymi rozmówcami, są jego partnerami sprzed lat i partnerami dialogu - dzisiaj. Żywa staje się tamta epoka, dylematy tamtych ludzi, będących czołową ówczesnej sceny politycznej, kiedy to Jan Nowak przybył końcem 1943 roku do Londynu jako wysłannik władz krajowego podziemia.

Panujące wtedy nastroje charakteryzuje autor w kilku celnych zdaniach. Ludzie z Komendy Głównej AK, zwłaszcza z BIP-u, mieli - zdaniem Nowaka - świetną orientację w sytuacji wewnętrznej. Rzepecki i jego współpracownicy, zwłaszcza inż. Makowiecki, Aleksander Gieysztor, Antoni Szymanowski, Ludwik Widerszal i Henryk Oliński - wszyscy byli rozmówcami autora - formułowali pogląd, iż "społeczeństwo uległo w czasie wojny znacznej radykalizacji, a z PPR trzeba walczyć jej bronią - występując z programem daleko idących reform społecznych i ustrojowych". Sam Nowak odnosił wrażenie, że autorzy tych ocen, będąc zwolennikami takich reform, używali "straszaka komunistycznego dla ich przeforsowania". Zdaniem Nowaka reformy były konieczne, zwłaszcza reforma rolna, lecz "przeprowadzenie ich czy nawet sama zapowiedź nie mogły dokonać się bez walki i musiałyby doprowadzić do rozbicia jedności narodowej w Podziemiu". Społeczeństwo uległo demokratyzacji raczej niż radykalizacji, a "komuniści nie starali się przelicytować stronnictw działających w Podziemiu i Armii Krajowej, oraz rządu polskiego w Londynie zapowiedziami zmiany ustroju społecznego, lecz fałszywymi hasłami patryotycznymi i wezwaniami do natychmiastowej zbrojnej walki z okupantem". W środowisku BIP-u "przeceniano poważnie wpływ i pozycję rządu polskiego, pokładając wyolbrzymione nadzieje w sojusznikach zachodnich. Natomiast niebezpieczeństwo sowieckie - powiada Nowak - oceniane było w całej rozciągłości".

Gorzej było w innych kręgach. W tym samym czasie - po sprawie Katynia i śmierci generała Sikorskiego - "grupy opozycji prawicowej NSZ i Konfederacja Narodu /przedwojenna "Falanga" Piaseckiego/ postulowały na wschodzie granicę sprzed pierwszego rozbioru, tj. z roku 1772, a na zachodzie granicę na Odrę. Stronnictwo Narodowe okazywało nieco większy umiar: domagało się "tylko" wcielenia Litwy i oparcia granicy wschodniej o górną Dźwinę i Dniepr. Za aneksją Litwy wypowiadał się w swych publikacjach także sanacyjny OPW /Obóz Polski Walczącej/. Ambicje terytorialne chadeków i zbliżonej do nich "Unii" nie ustępowały tamtym. Snuto projekty federacji i konfederacji w różnych odmianach: z Czechosłowacją, Węgrami, Ukraińcami - nie troszcząc się zbytnio o to, czy tego samego życzą sobie przyszli partnerzy".

Również departament spraw zagranicznych Delegatury Rządu "żył w krainie czarów". Jego dyrektor, Roman Knoll, koncentrował się w rozmowie z Nowakiem na miążdzącej krytyce polityki Becka oraz snuł koncepcje, które "bardziej były fantazjowaniem niż planowaniem". Knoll, wspomina Nowak, "podobnie jak wielu innych, wyobrażał sobie Polskę jako mocarstwo wsparte całą potęgą Stanów Zjednoczonych i Anglii, dyktujące przy stole konferencyjnym warunki pokojowe nie tylko Niemcom, ale i Rosji".

Jakby dla kontrastu, charakteryzuje autor w nader pozytywnych słowach "świetną i doświadczoną ekipę dyplomatów" przy rządzie w Londynie, a wśród nich Edwarda Raczyńskiego, Tadeusza Romera, Kajetana Morawskiego, Władysława Kulskiego czy Józefa Zaruskiego.

Wreszcie portrety głównych bohaterów: Kazimierza Sosnkowskiego i Stanisława Mikołajczyka; portrety pełne krwi i życia. "Naczelnny Wódz i Premier stanowili jaskrawe przeciwieństwo zarówno w zewnętrznym wyglądzie, jak i w ruchach, sposobie myślenia i w charakterze. Sosnkowski, gdyby ubrać go w dechę i w kontusz, wyglądałby jak hetman żywcem zdjęty ze starego portretu. Mikołajczyk, mały, krępy, łysy, był typowym okazem polskiego chłopca, którego zewnętrznej ogłady nauczyło życie i obcowanie z ludźmi... Zacięte, małe usta, skupiony, zamknięty w sobie wyraz twarzy, zdradzały człowieka o wielkim uporze, zaciętości i woli... Z rozmów z Mikołajczykiem i Sosnkowskim można się było zorientować, na czym polegają różnice rozumowania między jednym a drugim. Kiedy mając w pamięci to co usłyszałem od Generała, zapytałem kiedyś Mikołajczyka, czy nie należałoby grać na zwłokę i odczekać aż układ się zmieni na naszą korzyść, Premier z miejsca odpalił: - Doskonale wiem, kto panu tę myśl podrzucił. Sosnkowski jest przekonany, że czas gra na naszą korzyść, bo prędzej czy później dojdzie do konfliktu Anglosasów z Rosją. A ja w tym wypadku wierzę Churchillowi, że do wojny z Sowietami nie dojdzie. Czas pracuje nie dla nas. Stalin także gra na zwłokę, unika porozumienia z Anglikami w sprawie Polski, bo liczy na to, że za rok zajmie cały kraj, będzie mógł stworzyć fakty dokonane, jakie mu się podoba, i usadzi w Warszawie Związek Patriotów jako rząd Polski".

Gdy czyta się opis tych pasjonujących sporów, a także późniejszych o powstanie warszawskie, przychodzi na myśl refleksja poczyniona przez Antoniego Słonimskiego na marginesie lektury książki Jasienicy o agonii Rzeczypospolitej. "Ale nie mogę czytać Jasienicy - notował poeta - Nie mogę już czytać o żołnierzach i sprzedawczykach, o klęskach, bitwach przegranych, zdradach, korupcji i tchórzostwie, o słabości szlachetnych i chytrości podłych. Uciekam od naszej historii, której scenariusz chyba szatan napisał, bo tak wszystko nieubłagane, nieomylnie na zło się obraca. Wbrew logice i sprawiedliwości, na przekór prawom ludzkim i boskim".

Jakże przejmująco brzmi głos Słonimskiego. Albowiem nader rzadką w naszych dziejach jest prosta sytuacja, w której jedni mają słuszość, a drudzy błędą. Częściej zdarza się sytuacja dramatyczna, gdy racje były podzielone i obie strony miały jakąś słuszość. Ale bywają też układy tragiczne, kiedy żadne z dających się pomyśleć rozwiązań nie rokuje sukcesu. Takie było położenie Polski w latach II wojny światowej. Zgodzić się wypada z gorzką refleksją Nowaka, iż rację miał Karasi, inny kurier z Warszawy, kiedy powiedział na początku 1944 r.: "Idzie o to, jak tę wojnę przegrać". Rzecz w tym jednak, że

tak mógł w owym czasie rozumować człowiek "prywatny", tak nie mógł rozumować rząd, sztab wojskowy ani - tym bardziej - społeczeństwo.

Nowak rozważa wszystkie możliwe drogi polityki polskiej i ich konsekwencje. Sprawnie i obiektywnie rekonstruuje zaplecze intelektualne poszczególnych stanowisk. Jego argumenty i wnioski przekonują mnie niemal całkowicie. Niemal... Bowiem w jednej sprawie chciałbym się z autorem posprzeczać.

Opisując swą ostatnią rozmowę z Mikołajczykiem, wspomina Jan Nowak, że przywódca ruchu ludowego odrzucił bezkompromisowość rządu Arciszewskiego, zaakceptował ugodę jałtańską i przyjechał do Kraju. "Ratując życie - kontynuuje autor - powrócił z Polski schowany w bagażniku limuzyny ambasadora Stanów Zjednoczonych. Ambasador zobowiązał go nie tylko do dyskrecji, ale do wymyślenia i ogłoszenia bajeczki osłaniającej prawdziwe okoliczności tej ucieczki. W kilka lat później ten sam ambasador bezceremonialnie, bez żadnych skrupułów etycznych, w swoich własnych pamiętnikach ujawnił prawdę wystawiając na śmieszność byłego Premiera rządu tego kraju, który prezydent Roosevelt nazwał "natchnieniem świata".

Jakiż w tych słowach gorzki i jednoznaczny osąd Mikołajczyka i jego działalności w Polsce AD. 1945-47! Trudno mi się z tym zgodzić. Podczas tego dramatycznego dwulecia, kiedy odbywała się w Polsce zacięta walka o zachowanie suwerenności społeczeństwa, Mikołajczyk umiał skupić wokół siebie przytłaczającą większość Polaków i umiał stać się symbolem ich narodowych aspiracji. Przegrał, ale bez takich - choćby i przegranych - prób nie byłibyśmy dziś może społeczeństwem, które chce i potrafi bronić swej tożsamości i podmiotowości.

Jest to krótkiej polemiki. W całej książce uderza skromność autora. Jan Nowak w pełni świadom swej podrzędnej roli w tamtych czasach, co jest tym bardziej ujmujące, że w chwili spisywania wspomnień, był już niewątpliwie jedną z najwybitniejszych osobistości polskiej emigracji.

Uderza również specyficzne rozdwojenie - jakby powiedzieli literaturoznawcy - autora i narratora. Narrator: młodziutki oficer obdarzony kmicioową odwagą i darem bystrej obserwacji. Autor natomiast to dojrzały polityk, który kreśli swe uwagi nie tylko dla sporządzenia wiernego obrazu czasów minionych, ale także ku pouczeniu i przestrodze współczesnych. Jeśli bowiem przeminęła epoka II Rzeczypospolitej i Państwa Podziemnego, to nie zamknięte są przecież spory o identyczność narodową i sens polskości, które były udziałem ludzi tamtej epoki. Po lekturze książki Nowaka czytelnik powraca do pytań i dziś aktualnych: kompromis czy "niezłomność", insurekcja czy "ekonomia krwi"? I stale szuka odpowiedzi na pytanie, jak tę przekłętą alternatywę przezwyciężyć.

Jest dla mnie książka Jana Nowaka jedną z najznakomitszych kontynuacji nurtu pisarskiego, który spopularyzował Ksawery Pruszyński. O Borze-Komorowskim czytamy: "Wbrew jakby jemu samemu pchały go nieustannie w górę wojenne okoliczności i dziwny polski system selekcji zapewniający największe szanse temu, na którego wszyscy najłatwiej się godzą, bo nikomu nie przeszkadza".

To zdanie brzmi, jakby żywcem było wyjęte z "Trzynastu opowieści" Pruszyńskiego. A jest takich uwag więcej... Wszelako podobieństwo na tym się nie kończy. Chociaż Nowaka i Pruszyńskiego dzieli zasadniczo opcja poczyniona w roku 1946 - Nowak akceptował "niezłomną" linię Arciszewskiego, Pruszyński powrócił do Polski - łączy ich nieufny stosunek do Zachodu. Pruszyński zawarł swą przestrożę w gorzkim i przejmującym opowiadaniu "Cień Gruzji". Nowak - w szokujących opisach kontaktów z osobistościami angielskiej sceny politycznej. Oba - jeden zza grobu, drugi z kart książki opublikowanej w Londynie - powiada do nas: nie liczcie na pomoc Zachodu.

Czekamy więc teraz na dalszy ciąg tego znakomitego pamiętnika.

Adam Richnik

Tadeusz Nyczek

DZIESIEĆ LAT PÓŹNIEJ

Adam Zagajewski: "Drugi oddech". Wydawnictwo "Znak", Kraków 1978, str. 148

Jedną z mniej efektownych i jednocześnie najmniej docenionych spośród ważnych powieści ostatnich lat dziesięciu, "Ciepło, zimno" Adama Zagajewskiego, książka przypominająca swoim klimatem egzystencjalnym i myślowym powieści Adama Ważyka /przedwojenne "Mity rodzinne", powojenny "Epizod"/, kończy się pewną niezwykłą sceną, realną i metaforyczną zarazem: rozmową głuchoniemych. Jest rok 1968. Bohater powieści, student Krzysztof Oremus, opuścił tego dnia zajęcia na uczelni, by udać się do pewnego klubu publicznej użyteczności kulturalnej, gdzie miała go oczekiwać wiadomość o przyznaniu mu bądź nie przyznaniu ryczałtu będącego wstępem do przyszłego etatu pracownika tegoż klubu. Przywołajmy tę scenę:

"Był już marzec, wietrzna stacja w kołowrocie roku. Na ulicy natknął się na grupę głuchoniemych, eleganckich, w paltach, z odsłoniętymi kołnierzykami białych koszul, w których jak w gniazdach tkwiły węzły krawatów. Gestykulowali rozbawieni, rozgadani, wykonywali tak szybkie ruchy palcami, że niemal słyszało się wyładowania elektryczne, które musiały powstawać gdy stykała się sucha skóra ich dłoni, przechylali się do siebie i to było niezwykłe, że przechodząc obok nich nie słyszał żadnego dźwięku, mimo że oni byli rozgadani i powtarzali sobie wiadomości, które wydawałyby się zupełnie zwykłe, gdyby je ktoś wypowiadał po prostu na głos".

Metafora tej sceny, jeśli przyjmiemy kryteria metafory właśnie, wydaje się aż nadto jasna. Krzysztof Oremus mógł być wówczas taką p r a w d z i w ą rozmowę publiczną usłyszeć tylko w wydaniu głuchoniemych; paradoksu przydaje konstatacja, że wiadomości przekazywane sobie przez rozmówców wydawałyby się "zupełnie zwykłe, gdyby je ktoś wypowiadał po prostu na głos". Oremus, w chwilę później ogłoszony ryczałtowym organizatorem fikcyjnych, choć głośnych rozmów klubowych, oceniony został przez krytykę - już jako bohater literacki - w zasadzie negatywnie. Nie jestem pewien, czy także i dla powodów wyżej przytoczonych: zaangażowania się w pracę mającą na celu organizację, prowadzenie i rozsądzanie /czytaj: godzenie stanowisk skrajnych/ fikcyjnych /wobec problemów rzeczywistych/ dyskusji. Oto wychowanek naszej małej stabilizacji lat sześćdziesiątych. Krótko ostrzyżony student pozbawiony określonego światopoglądu, wyczulony natomiast na światopoglądowe oferty płynące z otaczającej rzeczywistości.

Ale książka "Ciepło, zimno" ma w gruncie rzeczy jakby dwa zakończenia. Jedno, faktyczne, zamyka pewną epokę. Drugie, domyslnie, otwarte jest na przyszłość. Nieprzypadkowo, chłodny marzec, o którym mowa, jest tylko "wietrzną stacją w kołowrocie roku". Właśnie stacją. Pociąg, zwany Krzysztof Oremus dojechał do niej, zatrzymał się - w tej stop-klatce utrwalił go autor. A przecież w "życiu" pociąg ten ruszyłby dalej. Czy po tych samych torach?

Dziesięć lat później, w 1978, Adam Zagajewski, autor książki krytycznej "Drugi oddech", napisze w tytułowym szkicu: "Jeśli przynajmniej od dziesięciu lat jest się świadkiem, i, choćby ułamkowo, uczestnikiem tego, co zwykło się nazywać życiem umysłowym, a więc publicznej wymiany poglądów, zaczyna się nieco inaczej patrzeć na całość tych zjawisk. Odkrywa się mianowicie rzecz tyle prostą, co zdumiewającą, taką oto, że ów świat kultury, w który się kiedyś jakoś wierzyło, do którego się odnosiło własne spostrzeżenia, który uczyniło się poniekąd miarą i wszechwładnym kryterium swych zainteresowań i zajęć, że ten świat nie ze srebra czy złota jest zrobiony, tylko z tworzyw sztucznych. Myśli i horyzonty poznawcze, które traktowało się serio, zaczynają się cofać i karleć, na ich miejsce wyrastają nowe".

Wyrażona myśl o rozpadzie wiary w opisany świat kultury odnosi się, co

autor wyraźnie zanotował, do okresu zawartego w owym dziesięcioleciu 1968-78.

Na razie uparcie przywołujemy daty, cyfry. Popłoniąjąc ponadto oczywisty błąd metodologiczny, wtłaczamy do głów studentom pierwszego roku polonistyki: że pierwszym grzechem badacza literatury jest sugerowanie, jakoby autor był postacią wymienną z narratorem bądź bohaterem. Tymczasem błąd ów został tu jakby mimowiednie powtórzony. Najpierw powieść, teraz zbiór szkiców. Tylko daty się zgadzają, ale to przecież nie jest żadne usprawiedliwienie. A więc oczywiście: Krzysztof Oremus to postać osobna, autor-narrator szkicu "Drugi oddech" to znów ktoś inny. Ale ten grzech nie był taki mimowiedny. Nie wdając się w dalsze usprawiedliwianie nieusprawiedliwialnego przyjmijmy jedynie, w ramach swobodnej gry literackiej, iż zważywszy swoistą otwartość zakończenia powieści "Ciepło, zimno" - dalszy, nie napisany los Krzysztofa Oremusa mógłby być także podobny do losu autora słów o dziesięciu latach doświadczeń w wiadomym życiu umysłowym.

Krzysztof Oremus zatem, przed którym nie było zamknięte, który mógł być jeszcze każdym, kim chciałby zostać, albo kim uczyniłoby go życie, więc wyobraźmy sobie, że niedługo potem, kilka dni po owym spotkaniu grupy głuchoniemych /a może zaraz następnego dnia?/, idąc pośpiesznie do swojego klubu usłyszał jakieś podniesione, rozgorączkowane głosy. To na zbiegu dwóch ulic stało paru jego kolegów, gestykulujących, krzyczących, powtarzających sobie wiadomości, które były zwykłe i niezwykłe zarazem, a może także i dlatego niezwykłe, że wypowiadali je na głos. Student Oremus, przykładny student Oremus, subtelny orędownik zgody zamiast kłótni, zwolennik rozjemstwa w miejsce sporu, entuzjasta racji pośredniej, stanął przy rozgorączkowanych kolegach, już gotów do podjęcia negocjacji, napięty do wysłuchania racji obu stron, i nagle usłyszał, że oni mówią o jednym i tym samym, napięcie nie jest ich wewnętrzną kłótnią, ale dialogiem z racją zewnętrzną, z twardą racją świata, z którym i o którym postanowili porozmawiać. I, być może, nastąpiła wówczas rzecz dla Oremusa niespodziewana: zaczął gwałtownie, namiętnie podzielać racje kolegów. Stanął po ich stronie. Być może, to właśnie wówczas świat przestał mu się rozdwajać na strony gotowe do rozjemstwa, jeśli tylko znajdzie się ktoś, kto będzie umiał je pogodzić. Być może, racja jednej strony wydała mu się ważniejsza, bliższa. Wybrał więc tę rację - przeciw drugiej.

Być może, przyszedł wtedy do domu, jeszcze podniecony tą rozmową, to właśnie, być może, wtedy zapisał na pustej kartce papieru kilkanaście, kilkadziesiąt słów, które ułożyły się w wiersz. Tych wierszy mogłoby przybyć jak dni, jak lat. Te wiersze kiedyś zebrałby w tomik, który nazwałby może "Komunikatem", to jest czymś, co chce być komuś przekazane jako ważna, najważniejsza wiadomość. Być może, z następnych wierszy powstałby następny i następny tomik. Gdzieś po drodze okazałoby się, że to nie wystarczy. Pojawiłby się pierwszy szkic, polemika, recenzja, wypowiedź. Potem powstałaby, z biegiem gorącego, napiętego czasu, coraz więcej tych szkiców. Upominających się o nowy świat kultury. O przedstawienie tego świata. Pojawiłaby się, nieuchronnie, ocena zastanego systemu wartości. Także projekcja przyszłego. Zaczęłoby przybywać przykładów na możliwość realizacji tych idei. W pewnej chwili, w środku tych sporów, tych polemik, w ogniu walki, zjawiałaby się także naturalna myśl, że warto by sięgnąć do niedalekiej przeszłości, odnaleźć drogę do tej postawy, spojrzeć na los pokolenia /wtedy mówiłoby się bardzo dużo o pokoleniu/, na jego dzieciństwo i młodość. Krzysztof Oremus, dobiegający trzydziestki autor wielu znanych wierszy, jeden z tych, o których się mówiło: nadzieja polskiej kultury, siadłby do napisania powieści. Tę powieść nazwałaby może "Ciepło, zimno", bo takie było niegdysiejsze życie, życie po omacku, jego bohatera, który w pewien mroźny dzień spotkał na ulicy rozgestykulowaną grupę głuchoniemych.

Potem upłynęłoby jeszcze trochę czasu. I oto któregoś dnia były, dawno były student Krzysztof Oremus, spełniona nadzieja polskiej kultury /przy czym polska kultura nie spełniłaby jego nadziei/, autor kilku ważnych i liczących się książek, natknąłby się na ulicy na taką oto scenę: grupka jego kolegów, byłych kolegów, a może tylko dawno nie widzianych kolegów /dom, rodzina, coś

z życiem nie tak/ mówiłaby głośno do siebie słowami, które były mu znane, bo mieściły się w słowniku języka, którym i on się posługiwał, tylko że nie roz-
 miałby porządku tych słów. A jeśli by nawet - wysiliwszy nieco mózg - zrozu-
 miał ten porządek, stwierdziłby, że nie jest to jego język, choć niby taki
 sam; że mówią wyraźnie, ale obco, ciszej niż niegdyś, ale złożyłby to na karb
 wieku, zmęczenia, późnej pory, ogólnej sytuacji duchowej; powstałby może przy
 nich chwile, zapytał o zdrowie, rodziny, jak im się w ogóle wiedzie, pochwalił-
 by może książkę jednego, tom wierszy drugiego, bo byłiby to wszyscy, którzy
 tak jak on byli kiedyś nadziejami polskiej kultury, a potem, już za zakrętem
 ulicy, zrozumiałby jeszcze to jedno: że ów świat kultury, w który się kiedyś
 jakoś wierzyło, do którego się odnosiło własne spostrzeżenia, który uczyniło
 się poniekąd miarą i wszechwładnym kryterium swych zainteresowań i zajęć, że
 ten świat nie ze srebra czy złota jest zrobiony, tylko z tworzyw sztucznych.

I tak zamknęłoby się paradoksalne koło, które zatoczyliśmy przy pomocy
 dwóch cytatów umieszczonych na początku tego szkicu, cytatów z powieści "Cie-
 pło, zimno" oraz zbioru krytycznego "Drugi oddech". Istnieje między tymi książ-
 kami więź jeszcze inna, ale kilka słów o niej zostawmy na koniec, a przynaj-
 mniej bliżej końca.

Dlaczego tyle tu o biologii, o czasie? Zobowiązuje już wprawdzie sam ty-
 tuł - "Drugi oddech"; ale nie tylko. Jeśli pierwszym oddechem było wejście w
 świadome życie umysłowe, ten debiut sprzed lat dziesięciu, którego wyrazem
 stał się w jakiejś mierze napisany wspólnie z Julianem Kornhauserem "Świat nie
 przedstawiony", z roku 1974, do którego szkice powstawały w ciągu tanych lat
 sześciu, to drugi oddech jest nie tylko wejściem w świat po przekroczeniu
 smugi cienia, ale i wyrazem symptomatycznej zmiany optyki kulturowej. "Świat
 nie przedstawiony" był manifestem, rozejrzeniem się w zastanej rzeczywistości
 kultury, próbą weryfikacji świadomości literackiej, polemiką z tradycją - naj-
 bliższą - w imię nowych wartości. "Drugi oddech" jest cofnięciem się w czas, w
 przeszłość, w źródła, w tradycje, w europejski, nie tylko rodzimy, świat kul-
 tury. Wszystko prawie mówi sama statystyka: dziewięć szkiców dotyczy książek
 z przeszłości, trzy traktują o współczesnych, trzy dotyczą tematów ogólniej-
 szych, na pograniczu dawnych i nowszych czasów.

Ta zmiana optyki nie jest czynem zaskakującym. Przeciwnie, w praktyce my-
 śli krytycznej bodaj naturalna. Żeby ograniczyć się tylko do pokolenia autora
 "Drugiego oddechu": po manifestacyjnych "Nieufnych i zadufanych" Stanisław
 Barańczak wydaje poszerzoną gatunkowo i czasowo "Ironię i harmonię". Tomasz
 Burek, którego krytyczny debiut książkowy "Zamiast powieści" /1971/ sytuował
 się w pewnym stopniu w kręgu myśli "młodej kultury" /przypomnijmy też jego ów-
 czesne szkice zamieszczone w "Orientacji", "Twórczości", "Studencie"/, wydaną
 dwa lata później książką "Dalej aktualne" zanurzał się głęboko w historię kul-
 tury i literatury, by stamtąd oceniać współczesność. Interesujące mogłoby być
 też przywołanie przykładów z innego podwórka: młodej myśli teatralnej. Z po-
 dobnych co młoda poezja pobudek myślowych wyrosłe teatry studenckie początku
 lat siedemdziesiątych często drugie lub trzecie premiery odnosiły do dalszej
 lub bliższej przeszłości, tam szukając istotnych źródeł dzisiejszych postaw.
 Najcharakterystyczniejsze zjawisko teatralne pierwszej połowy lat siedemdzie-
 siątych, Teatr STU, po jakże współczesnym i aktualnym pod każdym względem
 "Spadaniu" /1970/ dał rok później "Sennik Polski" złożony w ogromnej większo-
 ści z tekstów historycznych albo odwołujących się do historii, a i jego myśl
 przewodnia wyraźnie zdążała w kierunku poszerzenia w czasie perspektywy oglą-
 du bieżącej teraźniejszości. W teatrze, dodajmy na marginesie, drugi oddech
 przychodzi jednak znacznie wcześniej, na co wskazuje sama natura tej najulot-
 niejszej ze sztuk. Czas między pierwszym a drugim zaczerpnięciem powietrza z
 perspektywy krytyki literackiej znacznie się wydłuża, nie tylko ze względu na
 dłuższy czas tworzenia i wydawania /przynajmniej u nas/ książek. Inny, wol-
 niejszy jest rytm organizmu sterczącego się objąć syntetyczną wizją całość
 przemian zachodzących w kulturze; wnioski mogą być potem sformułowane choćby
 na podstawie samoobserwacji: oto autorowi "Drugiego oddechu" kulturowe dziś
 jawi się - w stosunku do tak jeszcze niedawnej oceny - jako budowla z tworzyw
 coraz bardziej sztucznych.

Powiedzmy więcej o samej książce, jej bezpośredniej zawartości. Są to w większości, jak wspomnieliśmy, recenzje z książek rozbudowane zazwyczaj do wymiarów szkiców krytycznoliterackich o ambicjach znacznie wykraczających poza prezenterskie opisanie zawartości danej pozycji. Dobór lektur na pierwszy rzut oka może się zdawać całkiem przypadkowy. Cóż mają do siebie "Listy" Lwa Tołstoja i "Szumy, zlepy, ciągi" Kirena Białoszewskiego? Monografia Beethovena i publicystyka Gombrowicza? Powieść Peipera "Ma lat 22" i szkice Waltera Benjamina pod wspólnym tytułem "Twórca i wytwórca". Zapomniana powieść młodość polska St. S. Luellera "Henryk Flis" i będąca dziś u szczytu popularności, obecna na konkursach recytatorskich i w teatrzykach amatorskich poezja Wisławy Szymborskiej? Korespondencja między Tomaszem a Henrykiem Mannami i "Apokryf rodzinny" Malewskiej?

Czy tylko to, że stanowią pewien fragment dzisiejszego życia literackiego, najzupełniej przypadkowo sąsiadując ze sobą w księgarniach, prawem wydawniczego kaduka, udostępnione polskiemu czytelnikowi w ostatnich trzech latach? Że są wynikiem recenzenckiej rzetelności podczas wykonywania obowiązku krytycznego: piszę o tym, co jest, czym żywi się mózg współczesnego czytelnika tych książek, więc i mój, ich prezentura: oto wspólnota lektury i adresu, swoiste poczucie więzi. Więc przypadek, który da się wytłumaczyć.

A jednak, Zagajewski, przecież nie zawodowy recenzent, opatruje swoją książkę króciutkim wstępem: "Drugiego oddechu" to zbiór artykułów i recenzji. Nie składają się one w jednolitą tematycznie całość, a mimo to - wydaje mi się - podporządkowane są jednej zasadzie. Wyrastają bowiem z potrzeby poszukiwania coraz to nowych /co nie znaczy, że sprzecznych z tradycją/ punktów widzenia dla oglądu literatury i poprzez nią - kultury, zastanej przez nas i przez nas tworzonej". Dalej dodaje Zagajewski, że zbiór ten nie chce być przeciwnikiem "Świata nie przedstawionego", nie chce go też /prawie/ korygować, ale jedynie poszerzyć i pogłębić niektóre jego tezy.

Podczas lektury sprawa wyjaśnia się ostatecznie. Zagajewski, czytelnik uważny i precyzyjny, nie stara się nic uronić z rzeczywistej zawartości danej książki. Bada ją tak, jakby nie zależało mu na niczym innym, jak tylko na rzetelnym przedstawieniu wszelkich treści i myśli tam zawartych: niech czytelnik decyduje czy warto sięgnąć po lekturę. A przecież szkice te są wyraźnie nacechowane intencją autorską: tak, opiszę cię z całym dobrodziejstwem inwentarza, ale pozwól, że tę całość, jaką jesteś, tę kulę informacji, myśli, historii, pojedynczych losów i losów zbiorowych pewności i wahań autora, obrosną w interpretacje, w kożuch dotyków tysięcy rąk i tysięcy oczu, tę kulę dziś mi na biurku zjawioną potoczę tam właśnie, gdzie będzie potrzebna mojej literaturze, mojej kulturze. I popycha ją, najpierw lekko, potem coraz bardziej zdecydowanie, i choć niby stoi w miejscu, unieruchamiana gęstniejącą siatką analiz, przecież czemuś coraz jawniej służy, przecież jest kulą informacji toczącej się w kierunku nadanym przez badacza, wydaje z siebie coraz wyraźniejsze, konkretniejsze dźwięki, te, które współbrzmiały z naszą epoką, naszym językiem, wrażliwością, sądem o świecie.

To delikatne przynierzanie, prawie muzyczne, czy aby tonacja się zgadzała, czy głos jest już słyszalny, to poszukiwanie wspólnoty dźwięków jest przy lekturze "Drugiego oddechu" przygodą fascynującą. Bywa, że Zagajewski na słuch absolutny, tak czyta - niczym listy bliskich, a jakże dalekich przyjaciół - książki Tołstoja, Gombrowicza, Peipera, Luellera. Czasem ten dźwięk wspólnoty dobywa się z głębi, jest ledwo słyszalny, właściwie zginąłby w powodzi innych, głośniejszych, gdyby nie to podtrzymywanie w nim życia, podmuchanie na ten płomyk; i nagle to on właśnie, on jedyny, zdaje się dla nas nobilitować książki dawno umarłe, wygasłe. Płomyk tłacy się choćby w "Ma lat 22", w "Henryku Flisie", w korespondencji braci Mannów, we współczesnej, a przecież zdeklarowanej anachronicznej publicystyce i krytyce Pawła Hertza. W powieści Peipera będzie to moment przełamywania się w młodym człowieku ideologii "przyjętej" i ideologii "wybranej"; w korespondencji Mannów analiza względności rzekomo jednoznacznych postaw /w życiu i literaturze/ konserwatywnych, tradycyjnych - i funkcjonalnych, nastawionych na atakowanie teraźniejszości. W "Henryku Flisie" próba odnalezienia - i usprawiedliwienia - klucza autorskiej postawy "środkowej", między wymagającymi autotelicznymi hasłami modernizmu a racją rzetelnej

życiowej obserwacji, wniosków płynących z materii życia.

Czy z "Drugiego oddechu" wynika, że niegdyś istniała wielka, wspaniała, trwała i twórcza kultura, która dziś uległa degeneracji, podziałom i utracie społecznej wolności? Teza taka, zrozumiała jako swoista strategia krytyczno-literacka, o tyle strategia właśnie, a nie prawdziwa konstatacja, że jednowymiarowa, płaska, efektowna i właściwie banalna, mogłaby się pojawić na wstępnym etapie walki o rozpoznanie realiów otaczającego świata. Po dziesięciu latach, o których ciągle tu pamiętajmy, bo czas - rozumiany wielofunkcyjnie - gra w tej książce niezwykle ważną rolę. Świat ów znanadto się komplikuje, zagra nadto się wywracają pewne i niewzruszone, zdawałoby się, prawdy i wiary; dlatego, myślę, takie odczytanie intencji "Drugiego oddechu" byłoby i mylne, i krzywdzące. To prawda, że czytamy niejedną raz w książce, że dzisiejszy świat jest jakby "gorszy", "niższy", podrzędniejszy, bardziej zakompleksiony, połamowany. Dyskusje w nim jałowsze, te wielkie dyskusje prezentujące zdecydowane stanowiska i postawy. Łatwiej o wielką przyjaźń niż o wielki spór. Słowa, które odrywają się niemal codziennie od swoich znaczeń, nawet wczorajszych, krążą po zachmurzonym niebie i leniwie opadają na ziemię, by przy żywszym podmuchu wiatru znów unieść się w powietrze. To prawda, coż to za kultura, kultura tworzyw sztucznych. Ale jest przecież w niej coś, co nie pozwala na sądy zbyt pochopne. Po pierwsze: nasza egzystencjalna i duchowa odmiennność od epok minionych, wymagająca odmiennych kryteriów /wniosek antyklasycystyczny/. Po drugie: więź kulturowa, przejmowanie, nieuchronne, wzorów z wybiórzej tradycji, wzorów nie tylko złych, ale i pozytywnych, moralnych /wniosek antyromantyczny/. Po trzecie wreszcie: to, co współcześnie w tej kulturze powstaje, i co jest godne obrony, wywyższenia, ochronienia. Na przykład poezja Wisławy Szymborskiej, o której tak entuzjastyczny szkic zamieścił Zagajewski w książce, gdzie największe pochwały, obok tej poezji, zebrali właściwie tylko klasycy. To też symptomatyczne, te proporcje.

Ocalić od zapomnienia nie tylko książki, ale i myśli, formy, jednostkową wielkość. W "Drugim oddechu" właściwie niewiele jest odezów czy wskazówek pod adresem współczesnej literatury, tak jak poken ich był "Świat nie przedstawiony". Jeśli wynika z tej drugiej książeczki jakieś przesłanie, to takie, żeby raczej dowierzać bogactwu i barwności *p r a w d z i w e g o ż y c i a*. Które jest większe od literatury. Które może być treścią pożywką literatury, jeśli zostanie tylko właściwie i wielostronnie przeżyte, przemyślane, a następnie - nie roniąc nic z tego bogactwa - delikatnie przeniesione na karty książek, dzieł sztuki. A jednocześnie, zdaje się mówić i wierzyć Zagajewski, ta sama kultura jest jakoś od tego życia większa. Bo to ona dostarcza wzorów postępowania, krzepi moralnie, przypomina, że to, co się wydaje niemożliwe /dziś niemożliwe/ było i chyba jest realne. Może nie w tej samej, nawet na pewno nie w tej samej formie i proporcji. Ale jednak. Możemy to życie, tę kulturę, przerobić, spróbować przerobić ze sztucznej na prawdziwą. Zamiast plastiku skórę, zamiast plexiglasu szkło, zamiast tapety drewnopodobnej - żywe drewno.

Nie jesteśny samotną wyspą na rozszalałym morzu, gdzie nie widać lądów ani latarni morskich. Przeciwnie, jesteśny jakoś tam jednak zakotwiczeni, skądś się wzięliśmy; ta Europa, ta kultura europejska, o której mówi się dziś z ironicznym przekąsem, to jednak nasza prawdziwa i poważna ojczyzna. To cofnięcie się w czasie, któremu poświęcony jest "Drugi oddech", ma być nabraniem oddechu, odbiciem się od niegdyśniejszych faktów, które dziś mogą być źródłem utraconej wiary.

Pora wrócić na chwilę do Krzysztofa Orenusa. Po momencie jasności, po iluminacji, która odkryła mu satysfakcję jednoznacznych wyborów, kiedy już porzucił w klubie stanowisko etatowego rozsądnego pozornych sporów, powołnym, ale nieuchronnym zamęceniu się w nim tej jasności, zamęceniu się, wiednięciu świata, kiedy to jedne wartości usychają jak kwiaty w imienniku młodości, inne przechodzą w stan zasłużonego odpoczynku albo pozoru, po tej smutnej, były student Krzysztof Orenus, dziś w wieku Chrystusowym, kiedy wiele się wybaczają, ale pewnych rzeczy nie wybaczają się nigdy, mógłby napisać książkę

o tym, że tak w życiu, jak i w kulturze nie ma jest jednoznaczne, określone i zamknięte. Wszędzie czynią pułapki nieprawdy, załamania i zaciemnienia, ale to życie i ta kultura mimo wszystko, na przekór wszystkiemu, co jest rozumnym zwątpieniem i świadomością pytań bez odpowiedzi, jednak istnieją, choć w tak szczątkowym stanie, i coś z tymi szczątkami trzeba jednak zrobić. Może przynajmniej jeszcze raz je przeżywać.

A gdyby jeszcze mógł spojrzeć na tę książkę z zewnątrz, z perspektywy zwykłego czytelnika, dostrzegłby w niej zjawisko co najmniej zdumiewające: oto jak po dziesięciu latach jego stanowisko wobec życia i kultury przypomina tamto stanowisko sprzed owych lat dziesięciu, gdy spontanicznie, z pełną wiarą godził sprzeczności, z prawd skrajnych ulepił środkowe, z racji wrogich czynił neutralne. Zobaczyłby, jak w dziele, którego myśli są mu bliskie, doszukuje się myśli innych, może z tantymi sprzecznymi, a może tylko dopełniającymi. Jak odruchowo niemal staje po stronie słabszej, tylko dlatego, żeby nie uronić nic z wartości, które, być może, tkwią także i po tamtej stronie. Jak wydziela, sprawiedliwie, uważnie, delikatnie te wartości wcale tak dla niego nie jednoznaczne, jak stara się zrozumieć racje odmienne, jak domyśla się, a potem już wie, że wszędzie tam, gdzie chodzi o rzeczywiste poszukiwania prawdy, racja przeciwna może też mieć rację. Być może właśnie tylko z tego powodu napisałby szkic o głośnej książce Bachtina "Twórczość Franciszka Rabelaisa" a kultura ludowa średniowiecza i renesansu", gdzie spoza pomnika wystawionego żywiołowi spontanicznej kultury ludowej starałby się dostrzec walory oficjalnej, sformalizowanej, dostojnej kultury dworskiej i kościelnej.

Ale to nastawienie w gruncie rzeczy ma nic albo niewiele wspólnego z tym, którym chlubił się student Oremus. Tanto było godzeniem sprzeczności w imię świętego spokoju, to jest poszukiwaniem racji odmiennych w imię wzbogacenia ubożającej myśli, ożywienia życia duchowego i intelektualnego. Jakby odwrotnie: rysuje się marzenie o Wielkim Sporze, który przywróciłby godność kulturze i szacunek człowiekowi tej kultury. Dlatego, właśnie dlatego Oremus napisałby i zamieściłby w takiej książce szkic o próbie Wielkiego Sporu, podjętego kilka lat temu przez Stanisława Barańczaka i Krzysztofa Karaska na kanwie pewnego motywu "Ozarodziejskiej góry" Tomasza Manna. Szkic ten, jeden z najważniejszych w książce, byłby istotny także i z innego względu. Mianowicie udowodniłby, że w tej dialektyce racji, tym /pozornym/ godzeniu /prawdziwych/ sprzeczności, tym swoistym balansie między tradycją a teraźniejszością, klasycyzmem a romantyzmem, jasnością i ciemnością, o s o b i s t y w y b ó r autora zostałby już dawno dokonany, stanowisko określone, decyzje podjęte. Że te spory, te wyważania racji, te opukiwania dzieł i biografii z wielu stron są dokonywane z określonego punktu widzenia.

Tym punktem widzenia, tym stanowiskiem jest: jasność przeciwko chaosowi, szukanie pewności przeciw ułganiu zwątpieniu, spokojna mądrość przeciw szaleństwu przypadku, silna wiara przeciw grze losu.

Tadeusz Nyczek

Ryszard Krynicki

ANTOLOGIA PRZEKŁADÓW, A NIE POEZJI

"W cieniu Lorelei", Antologia wierszy poetów Republiki Federalnej Niemiec /do roku 1965/. Wybór: Stefan H. Kaszyński, przedmowa Witold Nawrocki. Wydawnictwo Poznańskie 1978, str. 257, 3 nlb.

Po antologiach: "Opowiedzenie świtu" /pierwsze jej wydanie ukazało się w r. 1969 na dwudziestolecie istnienia NRD/ oraz "Przybliżenia", zawierającej powstałe w NRD wiersze o Polsce, Stefan H. Kaszyński wydał teraz, poprzedzoną wstępem-parasolem W. Nawrockiego antologię wierszy poetów Republiki Federalnej Niemiec. Obejmuje ona wiersze powstałe mniej więcej od utworzenia Republiki do r. 1975. Trudno się oprzeć wrażeniu, że redaktorska działalność poznańskiego germanisty ma charakter okolicznościowy i związany z doraźnym zapotrzebowaniem polityki kulturalnej /dla której dzielenie było zawsze jedną z głównych metod postępowania/. Dlaczego, na przykład, wydaje się akurat wiersze poetów NRD o Polsce, a nie wiersze poetów niemieckich o Polsce, skoro w antologii "W cieniu Lorelei" znajdujemy tak wiele wierszy o tematyce polskiej?

Sama konieczność mechanicznego oddzielania poezji NRD od poezji RFN wydaje mi się zabiegiem dosyć drastycznym, mamy wtedy bowiem do czynienia z tendencją do dzielenia żywego organizmu poezji niemieckiej według sztywnych kryteriów politycznej konieczności. Rzeczywistość poezji jest inna, wystarczy powiedzieć, że np. Brecht ma więcej kontynuatorów w RFN, niż w NRD.

Skądinąd, jak wiemy, już po wydaniu u nas antologii poezji NRD, kilku poetów żyjących dotąd po tej stronie muru, często nie z własnej przecież woli, jak np. Wolf Biermann, Sarah Kirsch czy Reiner Kunze, lecz zmuszanych do tego siłą, opuściło NRD i zamieszkało w RFN czy Berlinie Zachodnim. Czy automatycznie stali się przez to li tylko poetami RFN? A Peter Huchel i wielu, wielu innych?

To nie poeci wzniesli mur berliński i poezja niemiecka ignoruje ten mur. Począwszy od Brechta /kiedy muru jeszcze nie było/ najlepsi poeci żyjący w NRD wydają swoje książki jednocześnie w RFN. Z drugiej strony w antologiach poetyckich, które ukazują się w Republice Federalnej, znajdują się zazwyczaj wiersze z całego niemieckiego obszaru językowego. Decyduje raczej kryterium czasu /np. antologia Heinza Piontka "Deutsche Gedichte seit 1960"/ lub przedmiotu poezji niż miejsca zamieszkania. Dzieje się tak nawet w ciekawej antologii Jürgena Theobalda "Und ich bewege mich doch" /1977/, zawierającej wiersze "sprzed i po 1968", gdzie siłą rzeczy przeważają wiersze poetów RFN, ale też rok 1968 znaczył zupełnie co innego dla młodej inteligencji RFN niż NRD.

Sam autor przedmowy do antologii bezwiednie /tzn. z niewiedzy/ zdaje się ulegać wrażeniu, że poezja niemiecka jest swojego rodzaju jednością ponad podziałami politycznymi. Dzieje się tak dlatego, że przedmowa Nawrockiego sprawia wrażenie, jakby mówił on o rzeczach niezbyt dobrze sobie znanych i przez to nosi ona ślady dużego uzależnienia od książki Norberta Honszy "Kształt i struktura", a szczególnie od jej rozdziału "Metamorfoza liryki współczesnej". Wkład Nawrockiego sprowadza się głównie do odpowiedniego "dointerpretowania" intencji politycznych i społecznych poszczególnych poetów. A że Honsza pisał o liryce niemieckojęzycznej w ogóle, co umknęło zapewne uwadze Nawrockiego, więc w stanowiącym skrót tej przedmowy artykule "Czysty ton. O poezji RFN" /"Życie Literackie", 34/78/ przypisał on poezji RFN także Ingeborgę Bachmann, Paula Celana i Ericha Frieda. Redaktor antologii wykreślił Nawrockiemu Bachmann i Celana, zostawiając mu Frieda, i jest w tym jakaś racja, skoro Fried /z urodzenia wiedeńczyk/, ale po wcieleniu Austrii do Rzeszy musiał uciekać do Anglii, gdzie żyje do tej pory/, wydaje swoje książki w RFN i w RFN znajduje najwięcej wrogów i wyznawców. Podobnie zresztą jak wielu innych austriackich liryków. Nawiasem mówiąc, o Celanie, który dla niego miał być poetą RFN, pisał Nawrocki, że "dobrowolnie żył na emigracji", co może świadczyć albo o niezro-

zumieniu, albo świadomym naginaniu faktów, bo przecież Celan, jeżeli skądś wyemigrował, to chyba z sowietysowanej Rumunii. /Dla poetów spoza dyktatur totalitarnych życie poza krajem nie oznacza jeszcze emigracji i nie można byłoby o Handkem czy o Hłizerze myśleć jako o emigrantach, chociaż od lat żyją w Paryżu, a książki wydają przeważnie w Republice Federalnej/.

Myli się Nawrocki, kiedy zapalczywie głosi, że "twórczość surrealistów, Walta Whitmana, Pabla Nerudy, wyklętych przez faszyzm ekspresjonistów, odzywa się echem /podk. moje - R.K./ w lirycie Golla, Hansa Arpa..." Jeżeli echem /ale skąd Neruda?/ to chyba własnym, bo Goll był i ekspresjonistą, i surrealistą a Arp i dadaistą, i surrealistą, i to nie naśladowcami, lecz współtwórcami tych ruchów. Nie wierzymy Nawrockiemu, kiedy banalizuje: "Linia Brechta nie postulowała artystycznego nowatorstwa i eksperymentu formalnego jako samodzielnego celu, co fascynowało uczniów Benna, europejskich nowatorów i amerykańskich wynalazców poezji Konkretnej". Tego rodzaju "skrót myślowy" mogą się brać tylko z niewiedzy. Nie wydaje mi się, że tomy Frieda "mieszczą się" jakoby "w nurcie stworzonym i określanym przez Hansa Magnusa Enzensbergera". Nie dziwię się specjalnie, kiedy Nawrocki pisze, że "w społeczeństwie konsumpcyjnym, w społeczeństwie wielu postaw nie ma właściwie miejsca na żadną postawę i na jakąkolwiek poważną refleksję. Pluralistyczne społeczeństwo nie warto jest miłości...", bo z wygłaszania podobnie karkołomnych, samym sobie zaprzeczających sloganów Nawrocki żyje, ale czemu imputuje je młodym poetom zachodniemieckim?

Mniejsza jednak o wstęp /równie dobrze mógłby go napisać Misiorny/. Przypuszczalnie umieszczono go po to, abyśmy nie podejrzewali, że mamy do czynienia z ideologiczną dywersją. Nie wstęp decyduje o antologii, lecz wiersze w niej zawarte. Jest to pierwsza antologia tej poezji i siłą rzeczy musi w niej zabraknąć wielu poetów, zważywszy zwłaszcza na szmat czasu, jaki obejmuje. Można się jednak obawiać, że na długi czas pozostanie to antologia jedyna. Na pewno brakuje tu wierszy Wilhelma Klemma czy Rosy Auslander. Jak zawsze w tego rodzaju wyborach na plan pierwszy wysuwa się poezja lat ostatnich i poetów najmłodszych, chociaż jeżeli akurat o nich chodzi, to brak tu zwłaszcza Petera Chotjewitza czy Petera-Paula Zahla. Szczególnie Zahla, bo jest on w młodej literaturze niemieckiej postacią niesłychanie wyrazistą, jako że jego postawa polityczna doprowadziła go do pewnych decyzji i czynów ekstremalnych, i z kolei on sam stał się ofiarą pewnych, do ekstremum doprowadzonych nastrojów w społeczeństwie.

Poeta ten /ur. 1944/ do 1953 żył w NRD. Właściciel małej drukarni w Berlinie Zachodnim i małego wydawnictwa, w którym wydawał także własne pismo "Spartacus". Za postrzelenie dwóch policjantów, którzy nachodzili jego drukarnię, od 1972 w więzieniu. W 1974 skazany na cztery lata, w 1976 pod koniec kary, już na fali antyterrorystycznej histerii, podwyższono mu wyrok do 15 lat więzienia, co jak na warunki Republiki Federalnej jest wyrokiem bardzo wysokim. Już będąc w więzieniu opublikował dwa tomy wierszy, tom szkiców krytycznych i nowe wydanie swej debiutanckiej powieści. III Kongres Pisarzy RFN /1974/ upominał się m.in. w oficjalnej rezolucji o zwrot manuskryptu powieści Zahla pt. "Izolacja", zatrzymanej przez władze więzienne, kiedy wysłał ją wydawnictwu "Rotbuch". Erich Fried, upominający się o uwolnienie Zahla, jemu m.in. zadedykował zbiór swoich wierszy "So kam unter die Deutschen".

Przypadek Zahla jest raczej szczególny, niż typowy dla RFN. Tak czy inaczej, szkoda, że poskąpił mu Kaszyński miejsca w swojej antologii, tym bardziej, że jego wiersze mogłyby być nawet dobrym jej zamknięciem, jako że jego pierwsza książka poetycka ukazała się właśnie w r. 1975.

Kaszyński nie chce być konsekwentny. Skoro ograniczył swoją antologię do terenu RFN, czemu wklacza w te wąskie ramy twórczość Hansa Arpa czy Yvana Golla. /Nawiasem mówiąc, skoro już się na to zdecydował, to szkoda, z kolei, że zamieścić akurat te wiersze, które czytelnikowi mogą być znane z innego, choć może nie tak dosłownego przekładu/. Ci dwaj wielcy poeci języka niemieckiego /przy tym Arp jeszcze jako światowej miary rzeźbiarz i malarz/ bardziej chyba czuli się obywatelami świata sztuki, międzynarodowej, pozbawionej na-

cjonalistycznych uprzedzeń wspólnoty artystycznej, niż li tylko poetami niemieckimi, czy wręcz RFN. Obaj, zaprzyjaźnieni zresztą ze sobą, pisali zarówno po niemiecku jak i po francusku /stad Hans Arp znany jest także jako Jean Arp/. Obaj w czasie pierwszej wojny światowej przebywali w neutralnej Szwajcarii. W Szwajcarii w ostatnich latach swojego życia żył i wydawał swoje książki Arp. Goll /skądinąd zupełnie pominięty przez "Mały słownik pisarzy niemieckich, austriackich i szwajcarskich"!/ lata powojenne spędził w Paryżu, gdzie umarł przedwcześnie w r. 1950. Sam zresztą już w roku 1912 tak napisał o sobie: "Yvan Goll nie ma żadnej ojczyzny: przez zrzucenie losu Żyd, z przypadku urodzony we Francji, przez papiery urzędowe został określony Niemcem". Po co poetów tej miary wtłaczać w ograniczone przestrzenie?

Jeżeli jednak dobór tłumaczonych poetów można uznać za umiarkowany, gorzej jest z doбором wierszy - i tłumaczy. Jest to zresztą jedno z drugim ściśle powiązane. Rezygnując z dobrych tłumaczy, musiał się Kaszyński ograniczyć do wierszy, które potrafił przełożyć filolog germanista. Szkoda, bo przez to twórczość tak wielkich poetów, jak Benn czy Nelly Sachs, została przedstawiona w martwych przekładach, raczej filologicznych niż poetyckich. Benn w tej antologii nie różni się szczególnie od innych poetów. A mógł przecież Kaszyński skorzystać z już istniejących świetnych przekładów Witolda Wirpszy czy Stanisława Barańczaka.

"W cieniu Lorelei" sprawia wrażenie, jakby nie była antologią poezji, lecz przekładów. Przekładów, które nie różnią się specjalnie jedne od drugich, i na podstawie których nie wiemy, czy obcujemy z utworami pierwszo- czy drugorzędnymi. Jest to zresztą odbicie ogólniejszego procesu w naszej twórczości przekładowej, która coraz częściej zabija lirykę, dając nam w zamian tekst. Drastycznie wiadać to w działalności Bernarda Antochewicza, zwłaszcza w tym, co zrobił on z "Faustem". /Skądinąd warto byłoby porównać ten przekład z zegadkowiczowskim i zobaczyć, co z tego wyniknie/.

Nie chciałbym być drobiazgowy, ale zdarzają się w tej antologii /w której przekłady są raczej wierne literze tekstu niż duchowi oryginału/ potknięcia /skądinąd normalne w pracy każdego nieomal tłumacza/ wymagające sprostowania. Antochewicz np. w wierszu Arpa /"Moje szczęśliwe nogi"/ "schreit ein Käuzchen" tłumaczy jako "miauczy kotek", zamiast "krzyczy sówka" /lub "puszczyk"/ jak jest w oryginale. Ale to błąd wynikły zapewne z omyłki kopisty niemieckiego tekstu /bo trzeba pamiętać, że dostęp do tekstów jest u nas często utrudniony przez brak książek/. Gorzej, kiedy Alfred Kowalkowski, w wierszu Enzensbergera, którego tytuł możemy oddać po polsku mniej więcej przez "Do wypisów dla klas wyższych" /albo "Do czytanki w ostatniej klasie", jak czyni to tłumacz/, istotnemu w tym wierszu wersowi "in die Lungen der Macht zu blasen" nadaje postać "by w płuca możnych wdychować". Tłumacz posługuje się tu bowiem zamiennią, zrodzoną chyba nie przez co innego niż cenzurę wewnętrzną, a jest to absolutnie sprzeczne z duchem utworów Enzensbergera. Rodzi się podejrzenie, że ktoś /chyba jednak wydawca/ przestraszył się tej "władzy" /chyba naszej miejscowej?/

Ponieważ tak się składa, że dotychczasowe przekłady tego wiersza /Floriana Smieji, Jana Prokopa, Krzysztofa Karaska, Antochewicza no i Kowalkowskiego/ w różnych miejscach kłócą się z oryginałem, może warto tu przytoczyć wariant kompromisowy /dokonany przez tłumacza anonimowego/:

Nie czytaj ód, mój synu, czytaj rozkłady jazdy:
są dokładniejsze. Rozwiń mapy mórz,
póki nie jest za późno. Bądź czujny, nie śpiewaj.
Nadchodzi dzień, kiedy oni znowu spisy do bram
przybiją i tym, którzy będą przeciw, nakreślą na piersiach
znak. Ucz się przechodzić nie rozpoznany, naucz się więcej niż ja:
zmieniać dzielnicę, paszport, twarz.
Wyrozumiały bądź dla małej zdrady,
tego codziennego, brudnego ratunku. Przydają się
encykliki na podpałkę,
manifesty: żeby w nie masło pakować i sól
dla bezbronných. Złość i cierpliwość są konieczne,

żeby wdmuchiwać w płuca władzy
zabójczy miazgi pyłu, zmielony
przez tych, którzy się wiele nauczyli,
którzy dokładni są, przez ciebie.

Enzensberger, choć przedstawiony w miarę obszernie, w ogóle nie ma szczęścia w tej antologii. Nie rozumiem, dlaczego poemat "Piana" przedrukował Kaszyński jedynie we fragmentach znanych z książki Szewczyka o literaturze niemieckiej, i to bez kilku linijek zakończenia, nie zaznaczywszy nawet tego bezsensownego opuszczenia /ani źródła samego przekładu/. Przy okazji zauważmy jeszcze, że wszyscy tłumacze wiersza "An alle Fernsprechteilnehmer" uparli się, żeby tytuł ten tłumaczyć jako "Do wszystkich użytkowników radia" /albo "Do wszystkich abonentów telefonicznych"/, skoro, jak się zdaje, chodzi o wszystkich "uczestników rozmowy telefonicznej", więc także i tych, którzy ją właśnie podsłuchują. Szkoda także, że nie znalazły się tu przekłady Zdzisława Warzyńskiego z "Mauzoleum", drukowane kiedyś w "Studencie".

Nie powinno być chyba miejsca w tej antologii, w której jak już mówiłem, panuje raczej wierność wobec tekstu, na taki volapük, jak w przekładzie Wachowiaka z Ernsta Meistra:

/A ja nie chciałem przecież
przymierzać oka
według nas wzdłuż genitaliów/.

Jest dobrą tradycją antologii niemieckich, że podają zazwyczaj w przypisach dokładne dane bibliograficzne każdego utworu. Nie ma tego niestety w tej antologii /ale są za to przynajmniej niemieckie tytuły/. Nieźle opracowane są noty biograficzne /dla mnie to najżywsza część antologii/, nie oczekuję od autora takiej dokładności, że np. Horst Bienek /świetnie, że w antologii znalazło się "Gliwickie dzieciństwo"/ został w NRD w roku 1951 skazany z przyczyn politycznych na 25 lat prac przymusowych i wysłany do Workuty, gdzie przeżył cztery lata w stalinowskim łagrze, po czym udało mu się wrócić do NRD, a potem przenieść do RFN.

Chociaż jest w zredagowaniu tej antologii coś małostkowego, dobrze, że się ukazała. Poza przedwojennymi antologiami Stefana Napierskiego nie ukazywały się u nas, niestety, większe wybory liryki niemieckojęzycznej. Dobrze więc i to. Dobrze, że ta antologia jest, chociaż jest ona bardziej do posiadania, niż do czytania.

Ryszard Krynicki

St. B.

"INDEX ON CENSORSHIP": CENZURA NA CENZUROWANYM

Jak wiedzą nasi krajowi, a zwłaszcza zagraniczni Czytelnicy, "Zapis" ukazuje się, w wersji drukowanej, również na Zachodzie, gdzie jego nakładcą jest czasopismo "Index on Censorship". Pojawił się właśnie w tej mutacji "Zapis nr 7" - jak zwykle wydany niezwykle elegancko i starannie - i jest to dobra, acz niewybaczalnie spóźniona, okazja, aby przedstawić wreszcie bliżej odbiorcom krajowym, z których zapewne tylko niewielka część miała "Index" kiedykolwiek

w ręku, naszego zagranicznego mecenasa i przyjaciela. Albowiem działalność "Indexu" jako wydawcy zagranicznych mutacji "Zapisu" /w języku polskim/ jest tylko jego szczególną funkcją uboczną. Rola zasadnicza polega na tym, że sam "Index" niezależnie od "Zapisu", jest międzynarodowym czasopismem, które ukazuje się w języku angielskim. Tę jego rolę zamierzamy tu omówić.

Słowo "index", w tytule użyte, ma w angielszczyźnie kilka znaczeń, przede wszystkim jednak oznacza "palec wskazujący": słowa "censorship" nie trzeba chyba tłumaczyć. W wolnym przekładzie najzgrabniej byłoby oddać tytuł czasopisma jako "Cenzura na cenzurowanym". W istocie "Index" to, jak się zdaje, jedyne na świecie czasopismo, które jako podstawowe zadanie stawia przed sobą konsekwentną walkę z cenzurą - z wszelkimi jej możliwymi formami i wszędzie, gdziekolwiek się pojawia. Na odwrocie strony tytułowej zagranicznej mutacji "Zapisu" czytamy: "INDEX ON CENSORSHIP jest pismem poświęconym problemom wolności intelektualnej i twórczej na całym świecie. W INDEXIE ukazują się utwory zakazane w poszczególnych krajach przez cenzurę". Pismo, którego naczelnym redaktorem jest Michael Scammell, wychodzi od maja 1972 /początkowo jako kwartalnik, od r. 1977 jako dwumiesięcznik/; choć siedzibą redakcji jest Londyn, jej skład jest międzynarodowy i obejmuje m.in. publicystów z Ameryki Łacińskiej, Azji i Afryki. Imponujący jest skład grupy "patronów" pisma, wśród których widzimy nazwiska tak sławne, jak np. skrzypek Yehudi Menuhin, rzeźbiarz Henry Moore, pisarze Iris Murdoch i Angus Wilson. Wreszcie - autorzy: w ciągu ośmiu lat istnienia czasopisma publikowali w "Indexie" m.in. Cetin Altan, Lee Ao, Andriej Amalrik, Reza Baraheni, Mary Benson, Wolf Biermann, Josif Brodski, Ernesto Cardenal, Julio Cortazar, Milovan Dzilas, Martin Esslin, Jürgen Fuchs, Athol Fugard, Eduardo Galeano, Aleksander Galicz, Paul Goma, Natalia Gorbaniewska, Nadine Gordimer, Piotr Grigorienko, Václav Havel, Bessie Head, Victor Jara, Yasar Kemal, Kim Chi-ha, Pavel Kohout, Jerzy Kosiński, Milan Kundera, Rainer Kunze, A.J.Liehm, Paweł Litwinow, Giorgios Mangakis, Mary McCarthy, Roy i Zores Miedwiediewowie, Mihajlo Mihajlov, Arthur Miller, George Moldau, Wiktor Niekrasow, Herberto Padilla, Jose Cardoso Pires, Andriej Sacharow, Giorgios Seferis, Jaroslav Seifert, Aleksander Sołżenicyn, Stephen Spender, Andriej Twierdochlebow, Ludvik Vaculik, Władimir Wojnowicz, Can Yucel, Said Zahari. Z naszych autorów krajowych pierwszy bodaj pojawił się na łamach "Indexu" Jacek Bieriezin /w 1975 r./, później zaś, zwłaszcza od momentu powstania "Zapisu", polskie nazwiska widać było w czasopiśmie coraz częściej.

Wymienione tu przykładowo nazwiska autorów uderzają międzynarodową różnorodnością. Polski czytelnik odnajdzie wśród nich bez trudu luminarzy kultury świata zachodniego lub wybitnych "dysydenckich" twórców z Europy Wschodniej, napotka jednak również egzotyczne i na ogół mniej nam znane nazwiska z terenu Azji, Afryki, Ameryki Łacińskiej. Jest to wynik świadomej polityki redakcyjnej "Indexu", którego ambicją, jak już napomknęliśmy, jest dostrzeganie, analizowanie i piętnowanie ograniczeń wolności intelektualnej i twórczej wszędzie, gdziekolwiek się pojawiają, bez różnicowania na kraje mniej lub bardziej pod tym względem pokrzywdzone. Takie stanowisko wydaje się bezwarunkowo słuszne. Z naszej, wschodnioeuropejskiej perspektywy jakże często nie zauważamy, że nie tylko nam przecież knebluje usta cenzura; że podobna, choć różna co do nasilenia i techniki wykonawczej przemoc dotyka wolne słowo w niezliczonych krajach świata, od Urugwaju po Kambodżę, od Korei po Republikę Południowej Afryki, od Iraku po Nikaragwę. Podobnie jak - na innej płaszczyźnie działania - organizacja Amnesty International z założenia nie czyni różnicy pomiędzy "więźniami sumienia" w Chile i na Syberii, tak też i "Index on Censorship" wskazuje palcem na nadużycia cenzury niezależnie od systemu politycznego czy ideologicznego, który tę cenzurę wyprodukował i który z jej usług korzysta.

Konsekwencją pisma w tym zakresie idzie tak daleko, że zajmuje się ono nie tylko działalnością cenzury w instytucjonalnym sensie tego słowa, lecz również wszelkimi przejawami ograniczania wolności wypowiedzi w sposób nieformalny i ukryty. Co za tym idzie, pojawiają się w "Indexie" także artykuły, obnażające istnienie tego rodzaju problemów w krajach, które z naszego szczególnego punktu widzenia wydają się tradycyjnie oazą swobody i tolerancji: a

więc w Anglii, Stanach Zjednoczonych, krajach skandynawskich... Chodzi tu o takie zjawiska, jak wynikająca z praw rynkowej konkurencji możliwość nacisku producenta na twórcę, jak omijanie pewnych tematów stanowiących w danej społeczności niepisane tabu, jak rozmaite formy autocenzury wynikające z zawodowego uzależnienia twórcy od instytucji. Obyśmy mieli tylko takie zmartwienia - westchnie w tym miejscu polski czytelnik, mający na co dzień do czynienia z prasą, radiem, telewizją, kinem, literaturą itd. kompletnie sparaliżowanymi przez samowolną, niejawną i nie podlegającą żadnej społecznej kontroli państwową cenzurę przewencyjną. Pamiętajmy jednak, że jeśli ktoś opowiada się za pełną wolnością sumienia i słowa - musi walczyć nie tylko z jej ograniczeniami najbardziej uciążliwymi, ale w ogóle z wszelkimi ograniczeniami: także takimi, które mają charakter nieformalny, cząstkowy, "stosunkowo znośny". Jeśli w tym czy innym kraju demokratycznym twórca zmuszony bywa do nieznacznej choćby retuszowania swojego dzieła, nie jest mu wcale lżej dzięki świadomości, że w krajach niedemokratycznych państwowa cenzura dopuszcza się ingerencji znacznie bardziej brutalnych, planowych i nieodwołalnych. I jakkolwiek w Polsce życzylibyśmy sobie wszyscy gorąco, aby w tym względzie zapanowały u nas stosunki chodzące takie jak w Szwecji czy Anglii, nie możemy przecież zaprzeczyć, że intelektualisci tych krajów postępują słusznie, dążąc do tego, aby zagwarantowanym prawem wolności wypowiedzi było rzeczywiście i bez żadnych ograniczeń realizowane.

O różnorodności tematycznej każdego numeru "Indexu" decyduje jednak nie tylko rozległość geograficzno-polityczna spraw, których dotyczą poszczególne artykuły, lecz także osadzenie problematyki wolności słowa w wielu szerszych kontekstach. Jest to, przede wszystkim, ogólny kontekst praw człowieka, których gwałcenie bywa i przyczyną, i wynikiem naruszania zasad swobody wypowiedzi i dyskusji; stąd w kolejnych rocznikach "Indexu" znalazło się miejsce i na opis tragedii Tatarów Krymskich, i na rozważania o skutkach wprowadzenia stanu wyjątkowego w Turcji, na Filipinach czy w Iranie; i na analizę stanu świadomości społecznej w poinwazyjnej Czechosłowacji, i na interwencje w sprawie tortur i prześladowań w Ameryce Łacińskiej lub dyskryminacji rasowej w Płd. Afryce. Dalej: istotną rolę odgrywają w "Indexie" również artykuły, które dotyczą problemów - nazwijmy je tak - technicznych, związanych z ograniczeniami wolności słowa w różnych krajach i sposobami przełamywania tych ograniczeń; chodzi więc np. o prawodawstwo określające w tych krajach granice swobody wypowiedzi, o konkretne metody nacisku państwa lub innych instancji na twórców, formy kontroli nad środkami przekazu i rozpowszechniania, sposoby dyskryminowania "niewygodnych" autorów czy wydawców, z drugiej zaś strony - rozmaite formy samizdatu i innych przejawów uniezależniania się twórczości od zewnętrznej kontroli. Szczególnie wreszcie interesujący kontekst stanowi problematyka języka: wiele artykułów w "Indexie" traktuje bezpośrednio lub pośrednio o różnorodnych postaciach "nowo-mowy" kształtowanej przez państwa totalitarne, i o rozmaitych próbach odkłamywania języka przez niezależną publicystykę i literaturę.

Przejrzyjmy spisy treści kilku dowolnie wybranych numerów "Indexu" z ostatnich lat, aby mieć choćby ogólne pojęcie o tematycznej i problemowej różnorodności pisma. Nr 1 z 1975: Paweł Litwinow, Ruch praw człowieka w ZSRR; Carl-Gustaf Lilius, Autocenzura w Finlandii; Milovan Djilas, Refleksje o Mihajlović; ankietna na temat bojkotu kulturalnego Płd. Afryki; Andrew Graham-Yooll, Prasa argentyńska pod rządami Perona; Richard Kostelanetz, Wolność publikowania w USA; Renata Hammer, Polska: pisarze i cenzor. To tylko niektóre pozycje tego numeru. Podobnie wrywkowo przejrzyjmy parę następnych. Nr 1 z 1977 r.: David Astor, Jak prasa brytyjska sama siebie cenzuruje; Diana Smith, Telewizja portugalska - nie ma miejsca dla dyskusji; Jiri Otava, Wolność wyznania w Czechosłowacji; Natalia Gorbaniewska, Pisanie dla samizdatu oraz Dwanaście wierszy; Richard Owen, Demonstracje w Rosji 1876-1976; kronika represji poczerwcowych w Polsce. Nr 4 z tegoż roku /szczególnie dla nas istotny, gdyż anonujący obszernie pierwszy numer zagranicznej mutacji "Zapisu"/: Ludvik Vaculik, Filiżanka kawy z oficerem śledczym; St. Barańczak, Dlaczego "Zapis";

Vasyl Stus, Poeta prześladowany; Eduardo Galeano, W obronie słowa /problem cenzury w Urugwaju/; Enrique Rodriguez Larreta, Porwany w Buenos Aires; Miguel Cabezas, "Nowa Pieśń" w Chile; David Brookshaw, Pisarze murzyńscy w Brazylii; Stuart Hampshire i Louis Bloom-Cooper, Cenzura? /dyskusja nad definicją i granicami pojęcia/. Wreszcie ostatni, jaki do nas dotarł, nr 1 z bieżącego 1979 roku: Lek Hor Tan, Totalna rewolucja w Kambodży /ze szczególnie interesującymi uwagami o "nowo-mowie", wprowadzanej siłą przez reżym Pol-Pota/; Ernesto Cardenal, Koniec Solentiname i Julio Cortazar, Apokalipsa w Solentiname /dzieje wspólnoty religijno-artystycznej, założonej w Nikaragui przez Cardinala, a po 11 latach zniszczonej przez wojska Somozy/; Geoffrey Cobb Ryan, Dziesięć drażliwych tematów w amerykańskich mass-mediach; Victor Ndovi, Cenzura w Malawi; Ruben Bareiro Saguier, Paragwaj - kultura strachu; Piotr Grigorienko, Mój przyjaciel Mykoła Rudenko; John Ziman, Nauka a prawa człowieka. Dodać trzeba, że poza artykułami, prozą, wierszami itd. każdy numer zawiera "krótkie doniesienia" na temat łamania praw człowieka w różnych krajach świata, kronikę "Indeks INDEXU" rejestrującą represje, jakimi w poszczególnych państwach nęka się niezależnych publicystów i twórców, wreszcie recenzje książkowe i inne stałe działy. Doskonałym pomysłem redakcyjnym jest wstawianie w teksty artykułów krótkich, ujętych w ramkę, tekstów uzupełniających: okolicznościowych wierszy, informacji statystycznych, cytatów, przykładów totalitarnej "nowo-mowy", często również - anegdot. Wśród tych ostatnich szczególnie często trafiają się polonica...

Skoro już o tych ostatnich mowa, podkreślimy raz jeszcze, że materiały polskich autorów lub Polski dotyczące pojawiają się w "Indexie" coraz częściej właśnie w ostatnich paru latach - co jest chyba wynikiem tak zaostrzenia się cenzury krajowej, jak i narodzin niezależnego obiegu wydawniczego, związanego z demokratycznymi inicjatywami społecznymi. Największą jednak zasługą "Indexu" dla polskiej kultury jest niewątpliwie wydawanie i rozpowszechnianie na Zachodzie kolejnych numerów "Zapisu". Jesteśmy - my, redaktorzy i autorzy "Zapisu" - dumni z tego, że wyjście w szeroki świat zapewnia nam czasopismo tak doskonale redagowane, tak powszechnie cenione i tak konsekwentnie występujące w obronie wspólnych nam wartości.

St. B.

K R O N I K A

Papież o kulturze

Dziennik watykański "L'Osservatore Romano" w numerach z 3-12 czerwca br. przynosi teksty przemówień Papieża Jana Pawła II z dni pobytu w Polsce - w postaci, w jakiej zostały wygłoszone, tzn. po polsku /a specjalny dodatek zawiera tłumaczenia włoskie/.

Przemówienia Papieża przez kilka tygodni z rzędu drukował "Tygodnik Powszechny" /nr nr 23-27/, a także pisma PAX-owskie; niechybnie znajdują się one również w przygotowywanych do druku numerach miesięczników katolickich, a wreszcie złożą się na piękną i pełną poruszających treści księgę, do której nie-raz będziemy wracali.

W tym miejscu, dla upamiętnienia wielkich chwil, które przeżyliśmy, pragniemy zadeedykować czytelnikom "Zapisu" jeden tylko fragment - o k u l t u - r z e - z wypowiedzi Ojca Świętego na spotkaniu z młodzieżą 3 czerwca w Gnieźnie:

"Kultura jest wyrazem człowieka. Jest potwierdzeniem człowieczeństwa. Człowiek ją tworzy - i człowiek tworzy przez nią siebie. Tworzy siebie wewnętrznym wysiłkiem ducha: myśli, woli, serca. I równocześnie tworzy kulturę we wspólnocie z innymi. Kultura jest wyrazem komunikacji i współmyślenia i współdziałania ludzi. Powstaje ona na służbie wspólnego dobra - i staje się podstawowym dobrem ludzkich wspólnot.

Kultura jest przede wszystkim dobrem wspólnym narodu. Kultura polska jest dobrem, na którym opiera się życie duchowe Polaków. Ona wyodrębnia nas jako naród. Ona stanowi o nas przez cały ciąg dziejów. Stanowi bardziej niż siła materialna. Bardziej nawet niż granice polityczne. Wiadomo, że naród polski przeszedł przez ciężką próbę utraty niepodległości, która trwała z górą sto lat - a mimo to pośród tej próby pozostał sobą. Pozostał duchowo niepodległy, ponieważ miał swoją kulturę. Co więcej, w okresie rozbiorów kulturę tę ogromnie jeszcze wzbogacił i pogłębił, bo tylko tworząc kulturę można ją zachować.

Kultura polska od początku nosi bardzo wyraźne znamiona chrześcijańskie. Chrześcijaństwo, który w ciągu całego milennium przyjmowały pokolenia naszych Rodaków, nie tylko wprowadzał ich w tajemnicę Śmierci i Zmartwychwstania Chrystusa, nie tylko czynił dziećmi Bożymi przez Łaskę, ale znalazł bogaty rezonans w dziejach myśli, w twórczości artystycznej, w poezji, muzyce, dramacie, plastyce, malarstwie i rzeźbie.

I tak jest do dzisiaj. Inspiracja chrześcijańska nie przestaje być głównym źródłem twórczości polskich artystów. Kultura polska stale płynie szerokim nurtem natchnień mających swe źródło w Ewangelii. To przyczynia się zarazem do gruntowania humanistycznego charakteru tej kultury - to czyni ją tak głęboko, tak autentycznie ludzką, ... albowiem - jak pisze Mickiewicz w Księgach pielgrzymstwa polskiego - cywilizacja, prawdziwie godna człowieka, musi być chrześcijańska'.

W dziejach kultury polskiej odzwierciedla się dusza Narodu. Żyją w nich jego dzieje. Jest ona nieustającą szkołą rzetelnego i uczciwego patriotyzmu. Właśnie dlatego też umie stawiać wymagania i podtrzymywać ideały, bez których trudno człowiekowi uwierzyć w swoją godność i siebie samego wychować".

Spotkanie Jana Pawła II z redaktorami pism katolickich

Podróż Ojca Świętego Jana Pawła II po Polsce obfitowała w spotkania z ludźmi, w wypowiedzi i rozmowy w różnych miejscach i w różnej formie, zawsze jednak ważne, nie przypadkowe, choć niekiedy wywołane zbiegiem okoliczności. Poza dostępnymi ogólnie czy też dla większych grup ludzi, były też spotkania i audyencje o charakterze zamkniętym, bardziej osobistym. Do takich zaliczyć można na przykład krótką audyencję w Mogile dla grona byłych żołnierzy Armii Krajowej. Szczególne zainteresowanie wywołała też audyencja udzielona przez Ojca Świętego w rezydencji arcybiskupów krakowskich zespołom redakcyjnym

"Tygodnika Powszechnego" i miesięcznika "Znak", a także przedstawicielom redakcji miesięcznika "Znak" oraz czterech Klubów Inteligencji Katolickiej. Biuro Prasowe Stolicy Apostolskiej uznało za słuszne ogłoszenie - wspólnie z Biurem Prasowym Episkopatu Polskiego - specjalnego komunikatu o tej audyencji.

Wymienione w komunikacie /który podał "Tygodnik Powszechny" nr 24 z 17 VI 1979/ trzy katolickie pisma niekościelne - to te właśnie pisma, które w odczuciu lepiej zorientowanych kół opinii publicznej są jedynymi związanymi autentycznie z Kościołem i niezależnymi od dyrektyw partyjnych pismami laikatu w Polsce. Nie znaleźli się więc w tym gronie przedstawiciele prasy PAXu i tzw. Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, ani też redaktorzy "Chrześcijańszczyzny w Świecie", organu grupy ludzi, którzy w porozumieniu z partią dokonali w 1976 roku zamachu na mienie i przywłaszczenia nazwy zasłużonej grupy "Znak" w celu wprowadzenia w błąd środowisk katolickich w kraju i za granicą. Komunikat wymienia jako uczestników audyencji przedstawicieli Klubów Inteligencji Katolickiej z Warszawy, Krakowa, Wrocławia i Torunia. Wiadomo jednak, że oprócz tych czterech istnieją w Polsce jeszcze trzy kluby używające podobnej nazwy: w Poznaniu - opanowany przed trzema laty przez wspomnianą już grupę dywersyjną, oraz nowoutworzone pod skrzydłami Urzędu do Spraw Wyznań - KIK w Lublinie i tzw. Polkik /Polski Klub Inteligencji Katolickiej/ w Warszawie. Dla jasności dodać można, że do uczestnictwa w audyencji upoważniało pisemne, dzienne zaproszenie obecnego metropolity krakowskiego, księdza kardynała Franciszka Macharskiego, który występował w roli gospodarza. Ojciec Święty zaś, jako były zastępca przewodniczącego Episkopatu Polski, należy przecież od lat do osób najkompetentniej zorientowanych: co jest co i kto jest kto w życiu społecznym naszego kraju.

W numerze 25 "Tygodnika Powszechnego" /z 24 VI 1979/ zamieszczono fotografię z krakowskiego spotkania, mało czytelna, gdyż "Tygodnikowi" przydzielony jest papier drukowy najgorszej jakości, nie podano natomiast liczby uczestników. Kim byli? Pisarzami i dziennikarzami redagującymi i współwypełniającymi treścią dwa krakowskie pisma katolickie o ogólnopolskim znaczeniu, z którymi ksiądz biskup, arcybiskup, wreszcie kardynał Karol Wojtyła związany był od roku 1949 czyli w ciągu lat bez mała trzydziestu. W obu tych pismach publikowano nie tylko Jego teksty filozoficzne i teologiczne, studia, homilie, kazania, listy pasterskie, odezwy i komunikaty, ale także utwory literackie podpisywane: Andrzej Jawień, A.J., Stanisław Andrzej Gruda; ogłoszono też kilka ważnych Jego listów otwartych adresowanych do redakcji obu pism - nakreślone w nich były zdania, jakie stawiał im ówczesny arcypasterz metropolii krakowskiej, a także wyrażona aproba i zaufanie dla codziennej praktyki pisarskiej obu redakcji. Stykał się też obecny Ojciec Święty niejednokrotnie, i to z różnych okazji, z redaktorami warszawskiej "Więzi" i działaczami Klubów Inteligencji Katolickiej.

Nic więc dziwnego, że audyencja nabrała od razu charakteru pełnej zrozumienia rozmowy i nacechowanego serdeczną powagą pożegnania. Dla każdego ze znanych sobie uczestników spotkania znalazł Jan Paweł II odpowiednie słowo, zależne od stopnia indywidualnej znajomości. W ogólnej zaś części spotkania padło kilkanaście ważnych zdań wyrażających bez niedomówień doskonałą orientację w problematyce środowisk reprezentowanych przez obecnych, subtelne zrozumienie sytuacji "Tygodnika Powszechnego", "Znaku", "Więzi" i ludzi z nimi związanych w Polsce współpracą i lekturą. Także zrozumienie roli wszelkich niezależnych wydawnictw w kształtowaniu opinii publicznej, mówieniu prawdy, tutaj i teraz, mimo wszystko. Wyrażono Ojcu Świętemu wdzięczność za treść jego wypowiedzi w Oświęcimiu. Z Jego odpowiedzi wynikało potwierdzenie, że wszystko, co tam mówił, było sprawą najgłębszej osobistej potrzeby i współprzeżywania sytuacji z wiernymi. Uczestnicy spotkania opuścili je w przekonaniu, że ich generalna postawa, codzienna praca, taktyka postępowania spotykają się z całkowitym zrozumieniem i poparciem Tego, który dla wierzących jest Następcą św. Piotra na ziemi, a dla wszystkich myślących - wielkim człowiekiem naszych czasów.

W audyencji uczestniczyli:

członkowie redakcji "Tygodnika Powszechnego" - Jerzy Turowicz /redaktor naczelny/ i /w porządku alfabetycznym/: ks. Andrzej Bardecki, Władysław Bartoszewski, Józefa Nennelowa, Stefan Kisielewski, Jerzy Kołataj, Krzysztof Kozłowski, Henryk Krzeczowski, Hanna Malewska, Bronisław Mamon, Andrzej Micewski, Mieczysław Pszon, Jerzy Skąpski, Marek Skwarnicki, Stanisław Stomma, Jacek Susseł, Tadeusz Szyma, Jacek Woźniakowski, Tadeusz Żychiewicz;

członkowie redakcji miesięcznika "Znak" - Stefan Wilkanowicz /redaktor naczelny/ i Franciszek Blajda, Halina Bortnowska, Bohdan Cywiński, Stanisław Grygiel, Henryk Woźniakowski;

przedstawiciele redakcji miesięcznika "Więź" - Tadeusz Mazowiecki /redaktor naczelny/, Zdzisław Szpakowski, Wojciech Wieczorek.

Kluby Inteligencji Katolickiej reprezentowali: prof. dr Andrzej Święcioki i Andrzej Wielowieyski /Warszawa/, Andrzej Potocki /Kraków/, dr Józef Puciłowski i Maciej Zięba /Wrocław/, dr Jerzy Matyjek i dr Andrzej Tyc /Toruń/ oraz Jędrzej Śulkowski z Gdańska, Michał Flater ze Szczecina jako przedstawiciele związanych z KIK grup inteligencji katolickiej na Wybrzeżu.

Uczestnikiem audyencji był też artysta fotografik i fotoreporter Adam Bujał oraz jeden z księży z kurii krakowskiej jako osoba towarzysząca. Nie mógł uczestniczyć w spotkaniu złożony śmiertelną chorobą Antoni Gołubiew, oraz oczekujący już na uroczystość w Nowym Targu w imieniu redakcji "Tygodnika Powszechnego" ks. Andrzej Boniecki.

Spośród wymienionych uczestników krakowskiego spotkania sześć osób należy do grona współzałożycieli Towarzystwa Kursów Naukowych i sygnatariuszy deklaracji TKN z 22 stycznia 1978 roku, a wiele stoi w rzędzie powszechnie uznawanych obecnie w naszym życiu społecznym autorytetów moralnych i umysłowych.

50 Sesja Polskiej Akademii Nauk i sprawa cenzury

Jak podaje "Biuletyn Informacyjny" nr 4/1979, na 50 Sesji Zgromadzenia Ogólnego PAN, 25 maja 1979, wystąpili z przemówieniami profesorowie Jan Kielanowski i Edward Lipiński.

Oto jak referuje swoją wypowiedź prof. Lipiński:

"Wskazałem na niszczące działanie braku wolności słowa w dziedzinie nauk społecznych. Zniekształca się historię narodu, hamuje rozwój badań socjologicznych, do upadku doprowadzono nauki ekonomiczne. Obecny kryzys gospodarczy - tak ostro dziś odczuwany - jest nie tylko efektem nieudolności władz, jest także wynikiem braku wolnej dyskusji, w której ujawnić by się mogły głosy krytyczne. Byłyby te głosy przestroga przed podejmowaniem decyzji jawnie błędnych.

Nieszczęsna teza Lenina o 'partyjności' nauki uniemożliwia rzeczywistą analizę zjawisk społecznych...

Ostatnie wyniki rozbijania, przy pomocy zbójceckich napadów, prób niezależnej myśli społecznej są jaskrawym dowodem deprawacji moralnej... Te najczystsze metody faszystowskie są honorowane przez samego Gierka, który wręczył legitymację partyjną przywódcy zbójceckiego napadu, co transmitowała telewizja".

Sesja trwała długo i wielu jej uczestników opuściło zebranie jeszcze zanim udzielono głosu prof. Lipińskiemu. W trakcie jego przemówienia kilkakrotnie usiłował mu przerwać prof. Witold Nowacki, prezes Akademii. Następnie prof. Nowacki odczytał z kartki przygotowaną replikę, która dotyczyła jednak nie tyle spraw poruszonych przez prof. Lipińskiego, co nie wygłoszonego jeszcze w owym momencie przemówienia prof. Kielanowskiego /m.in. na temat Towarzystwa Kursów Naukowych/.

Prof. Kielanowski zabrał głos później /i jemu również przerywano/, przypominając założenia TKN, a wśród nich - walkę z tabu, obejmującym w Polsce wiele wydarzeń historycznych. "W dalszym ciągu przemówienia powiedziałem, że gdy w chwili powstania TKN troską naszą było przełamanie nakazu milczenia w naukach humanistycznych, dzisiaj przeciwstawić się powinniśmy dezinformacji, która obejmuje ogromnie szeroki zakres wiadomości, dotycząc również obecnego stanu gospodarczego kraju... Aby na trudności gospodarcze, na ogólne zubożet-

nienie społeczeństwa i na szerzącą się demoralizację znaleźć środki zaradcze - nade wszystko potrzebna jest nieczym nie skrepowana, publiczna, ogólnonarodowa dyskusja. Na przeszkodzie stoi tylko jedno: cenzura, uosobiona przez działający wbrew konstytucji i Karcie Praw Człowieka i Obywatela - Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk".

Prof. Kielanowski zaproponował przegłosowanie wniosku o następującym brzmieniu:

"Członkowie Polskiej Akademii Nauk, zebrani na Zgromadzeniu Ogólnym dnia 25 maja 1979 r., w trosce o wolność słowa jako podstawowy warunek rozwoju kultury, nauki i gospodarki narodowej, zwracają się do Rządu PRL z wnioskiem o zniesienie cenzury książek, prasy i innych środków przekazu. Podstawą ich kontroli stać się powinna demokratyczna ustawa, oparta o orzecznictwo sądowe, przy czym Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk powinien zostać rozwiązany".

W krótkiej dyskusji wypowiedzieli się dwaj wiceprezesi PAN: prof. Jan Szczepański wyraził pogląd, że państwa nowoczesne nie mogą obejść się bez cenzury, a prof. Szczepan Pieniążek oskarżył opozycję o "wynoszenie zagranicę" spraw krajowych. Następnie prof. Nowacki poddał pod jawne głosowanie wniosek o nie głosowanie w wnioskach prof. Kielanowskiego w sprawie cenzury - i uzyskał większość. Przeciwno zdumiewającemu wnioskowi prezesa PAN podniosło się zaledwie pięć rąk. Stosunkowo liczni członkowie wstrzymali się od głosu, a najliczniejsi - nie podnosząc ręki - w ogóle nie wzięli udziału w głosowaniu.

Tydzień Kultury Żydowskiej 1979

Pisaliśmy swego czasu o dorocznych Tygodniach Kultury Żydowskiej, organizowanych przez sekcję kultury warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej z inicjatywy Krzysztofa Sliwińskiego i innych działaczy. W tym roku impreza ta odbyła się w dniach 25-29 czerwca. Zgodnie z wieloletnią tradycją, codziennie w godzinach 14⁰⁰ - 18⁰⁰ pracowano przy sprzątanu cmentarza żydowskiego przy ulicy Okopowej, następnie spotykano się na mszy świętej w kaplicy liceum Sióstr Zmartwychwstanek. Wreszcie, po wspólnej kolacji - odczyt połączony z dyskusją.

Sprzątanie cmentarza ma charakter raczej symboliczny, chociaż nie wyłącznie, bo umożliwia oczyszczenie niektórych zabytkowych nagrobków i odsłonięcie ciekawych. A tych jest sporo, zarówno z artystycznego punktu widzenia, jak i ze względu na pochowane tam osoby: od syna Szmula Zbytkowera, poprzez różne osobistości żydowskie, do Szymona Askenazego czy Ludwika Zamenhofs. Ważnym zadaniem jest sporządzenie dokumentacji, w czym pomagali niektórzy spośród pracujących na cmentarzu. Trudno jednak coś zrobić, aby olbrzymi teren cmentarza nie zamienił się w dżunglę. Normalnie grobami opiekują się rodziny i potomkowie zmarłych. Ale tu najczęściej nie ma potomków.

W sprzątanu i wieczornych spotkaniach brało udział codziennie od około dwudziestu do pięćdziesięciu osób. Pierwszego wieczora Władysław Bartoszewski przedstawił uczestnictwo Żydów i Polaków pochodzenia żydowskiego w polskim życiu kulturalnym, naukowym i politycznym w pierwszej połowie naszego stulecia. Dwa odczyty poświęcone były wybitnym filozofom współczesnym, czerpiącym między innymi z tradycji judaistycznej: Hanna Buczyńska-Garewicz mówiła na temat "Martin Buber i dylematy subiektywności", zaś Kazimierz Wóycicki - o filozofii Emanuela Levinasa. Marian Fuks opowiadał o muzyce żydowskiej oraz o żydowskich kompozytorach i muzykach. Monika Krajewska - o sztuce nagrobków żydowskich. Odczyt ilustrowany był przezroczami z różnych cmentarzy żydowskich, a oprawę muzyczną w postaci pieśni synagogałnych z płyt zapewniła Aline Cała.

Oświadczenie redakcji "Zapisu"

Redakcja "Zapisu" wydała 27 maja 1979 następujące oświadczenie:

"Powstanie wydawnictw i pism niezależnych - a wśród nich pisma literackiego "Zapis" - stało się wyrazem samoobrony społeczeństwa przed uciskiem cenzu-

ralnym, zakłamaniem, dyskryminacją dzieł i autorów.

W samoobronie tej uczestniczy - współredagując, powielając i kolportując wydawnictwa niecenzurowane - wiele osób; należy do nich aresztowany 18 kwietnia br. fotografik Tomasz Michalak, w którego mieszkaniu znaleziono m.in. negatywy i diapozytywy okładek "Zapisu". Aresztowanego oszkalow^{ano} w prasie, przedstawiając go jako fałszerza pieniędzy i dokumentów. Nie jest to pierwszy wypadek insynuowania przestępstw kryminalnych ludziom walczącym o wolność słowa i prawa obywatelskie.

W dniu 22 maja br. funkcjonariusze milicji zarekwirowali w Warszawie znaczną część nakładu "Zapisu" nr 9. Numer ten zawiera teksty literackie i publicystyczne pisarzy polskich różnych pokoleń, których twórczość znana jest czytelnikom nie od dzisiaj. Rekwizycję tę uważamy za akt bezprawny, godzący w wolność kultury.

Domagamy się niezwłocznie uwolnienia Tomasza Michalaka oraz zwrócenia zarekwirowanych egzemplarzy "Zapisu" nr 9. Żądamy zaniechania tego rodzaju niezgodnych z konstytucją praktyk.

Za redakcję "Zapisu" oświadczenie podpisali: Jerzy Andrzejewski, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys i Wiktor Woroszyński.

Jednocześnie Niezależna Oficyna Wydawnicza zapowiedziała ponowne wydanie "Zapisu" nr 9.

Tomasz Michalak został zwolniony z aresztu śledczego 17 lipca 1979 roku.

Historia "Miazgi"

W folderze Niezależnej Oficyny Wydawniczej, rozpowszechnianym w maju br. na kiermaszach książki, można było przeczytać m.in. zapowiedź wydania powieści Jerzego Andrzejewskiego "Miazga". W chwili, w której ten numer "Zapisu" dotrze do rąk czytelnika, z pewnością również i "Miazga" znajdzie się już w obiegu. "Zapis", który zorganizował subskrypcję na "Miazgę", ułatwiającą wydrukowanie książki, figuruje na jej okładce - obok Niezależnej Oficyny Wydawniczej - jako współwydawca.

Z okazji ukazania się "Miazgi" warto przypomnieć historię powstania i perypetie wydawnicze tej blisko 700-stronicowej /w maszynopisie/ powieści. Pierwszy jej pomysł sięga początku roku 1963. Jeszcze w trakcie pracy nad "Idzie skacząc po górach" Andrzejewski zaczął szkicować utwór, który miał się nazywać "Delegacja służbowa". Bohaterem tego tekstu miał być jakiś X, który zgubiwszy po pijanemu delegację służbową trafił na dygnitarskie przyjęcie w Jabłonie. Wkrótce potem pomysł "Delegacji służbowej" został zarzucony na rzecz "Wesela", w którym z pierwotnej wersji pozostała jedynie sceneria /Jabłonna/ oraz wizja dygnitarskiego bankietu. Idea całości zmierzała jednak w zupełnie już innym kierunku. Rzecz składająca się z czterech części-rozdziłów: "Zapowiedzi", "Ślub cywilny", "Ślub kościelny", "Wesele w Jabłonie" miała być historią pewnego wesela, w którym - tak jak to było u Wyspiańskiego - odbiłoby się całe ówczesne życie kraju. Jednakże i zamysł "Wesela" długo się nie utrzymał. Gdzieś pod koniec roku 1963, po kilku mniej ważnych wariantach pośrednich, powstała nowa koncepcja i nowy tytuł, który okazał się ostatecznym: "Miazga" czyli rzecz niespełniona i o niespełnieniu. Istotą tej koncepcji był pomysł, że wesele - główne wydarzenie powieści - nie odbędzie się. Ponieważ jednak bez niego nie można się obejść, należy je opisać... w trybie warunkowym, czyli tak, jakby mogło przebiec i jak by zapewne przebiegło, gdyby się rozegrało. W ten sposób uzyska się nową myśl i ciekawsze przesłanie: obecna rzeczywistość jest tak rozbita, tak "miazgowata", że współczesne "wesele" - które, gdyby się odbyło, wyglądałoby prawdopodobnie tak - nie dochodzi nawet do skutku. Początkowo akcja "Miazgi" miała się rozgrywać 16 maja 1964. Ponieważ jednak rzeczywistość zewnętrzna rozwijała się szybciej aniżeli praca nad książką, autor przeniósł jej czas trwania o rok - na sobotę 15 maja 1965. Jak się później okazało, nie było to ostatnie ściganie się z czasem.

W roku 1966, przed wyjazdem do Niemiec Zachodnich, Andrzejewski złożył w "Twórczości" kilkadziesiąt stron maszynopisu. Fragmenty te ukazały się w październikowym numerze tego roku. Kolejne partie tekstu miał nadesłać z za-

granicy. Tam jednak skradziono mu bagaż, w którym znajdowała się teczka z częścią rękopisu i maszynopisami. Materiałów tych nigdy nie odzyskał. I chyba to właśnie wydarzenie stało się przyczyną, dla której praca nad "Miazgą" utknęła w martwym punkcie. W latach 1967-1968 Andrzejewski, zapytywany wielokrotnie o losy "Miazgi", odpowiadał, że książka, która jest o niespełnieniu, sama winna być niespełniona czyli w danym wypadku... niedokończona. W początkach 1969 pojął jednak, że owo niespełnienie, o którym mówi, musi być "zrobione", "skonstruowane", a nie przypadkowe. I znów powrócił do pisania. Po raz ostatni zmienił czas akcji przenosząc ją na dzień 19 kwietnia 1969 i w ten sposób wzbogacając o całą rzeczywistość Marca 1968.

Dzieło zostało ukończone w lipcu 1970. Od tego momentu zaczyna się historia ^{jego} nieobecności na rynku księgarskim.

Andrzejewski, zgodnie z umową wydawniczą, złożył "Miazgę" w PIW-ie. Książka przeleżała tam równo dwa lata. Już na samym początku zażądano od autora poważnych skrótów, obejmujących głównie fragmenty o charakterze politycznym, jak na przykład wszelkie rozważania o Rosji albo oceny wypadków marcowych. Autor, wiedziony wolą wydania książki, zgodził się na skróty. Na początku roku 1972 gotowa była pierwsza korekta. Wtedy to właśnie jeden z egzemplarzy powędrował do wydziału kultury KC PZPR. Jesienią 1972 roku dyrektor PIW-u poinformował autora, że książka nie ukaże się na skutek zakazu, jaki wydał członek Biura Politycznego - Jan Szydłak. Andrzejewski wystosował wówczas do Szydłaka pismo wzywające do odwołania decyzji. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Po jakimś czasie zadzwoniono tylko z sekretariatu PIW-u, skąd przekazano, że wydział kultury KC uprzejmie informuje, iż wszelkie sprawy związane z wydaniem "Miazgi" leżą w gestii wydawnictwa...

W obecnym wydaniu przywrócono, oczywiście, skreślone swego czasu fragmenty.

Plan "Czytelnika" na rok 1980

19 czerwca br. odbyło się Walne Zgromadzenie Spółdzielni Wydawniczej "Czytelnik" oraz posiedzenie Rady Programowej "Czytelnika", na którym przedstawiono plan wydawniczy na rok 1980.

W dyskusji przedstawiciel bibliotek publicznych w mocnych słowach wyraził zaniepokojenie niskością nakładów dzieł wartościowych w porównaniu z wielokrotnie wyższymi nakładami tzw. czytałek. Wspomniał też o fatalnym introligatorstwie /okładki, klej/, co w warunkach bibliotecznych powoduje bardzo szybkie niszczenie książek.

Upominano się o książki dla dzieci - o Konopnicką, Jachowicza, Brzechwę, Tuwima.

Jeden z dyskutantów wyraził zdziwienie, że zbiór felietonów Antoniego Słonimskiego, przewidziany w planie na rok 1977 /i dotąd nie wydany/, zniknął z planu; wyraził także opinię, że czas najwyższy pomyśleć o dziełach zebranych tego pisarza.

Ostro skrytykowano też plan przekładów z literatury obcych, wskazując na rażące dysproporcje między ogromnymi nakładami /120 lub więcej tysięcy egzemplarzy/ tytułów z dziedziny literatury rozrywkowej /kryminały itp./, a nader skromnymi nakładami pozycji wartościowych lub choćby wartościowszych. Dotyczy to zarówno piśmiennictwa tak bogatego jak amerykańskie, jak i literatury niemieckojęzycznej, skandynawskiej, radzieckiej czy nawet rumuńskiej. Dyrekcja w odpowiedzi tłumaczyła się brakiem papieru w ogólności i koniecznością za drukowania dostarczanego papieru niskiej klasy, odpowiednim gatunkiem literatury.

Pamięci Jerzego Zawieyskiego

18 czerwca 1979 roku - w dziesiątą rocznicę tragicznej śmierci Jerzego Zawieyskiego - ksiądz Bronisław Dembowski odprawił mszę świętą w warszawskim kościele św. Marcina, a ksiądz Prymas Stefan Wyszyński wygłosił homilię poświęconą heroicznemu życiu i twórczości Zmarłego. Po mszy ksiądz Prymas odsłonił tablicę pamiątkową w wirydarzu klasztoru Sióstr Franciszkanek Służebnic

Krzyża. Płaskorzeźba na tablicy przedstawia głowę pisarza, a napis brzmi: "Jerzy Zawieyski 1902-1969. Pisarz, przyjaciel ludzi poszukujących. Życiem i twórczością dał świadectwo prawdzie, miłości Boga i Polski".

Nazajutrz odbył się w PEN-Clubie wieczór pamięci Zawieyskiego. Przemawiali: Tomasz Burek, Zofia Małynicz, Halina Mikołajska, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz i Juliusz Żuławski. W nocce sprawozdawczej w "Tygodniku Powszechnym" /nr 26 z dn. 1 lipca 1979/ cenzura usunęła nazwiska Burka i Mikołajskiej.

"Żywa śmierć"

Po kilkuletnim przeleżeniu się w cenzurze i po żmudnych zabiegach ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego proza Ewy Lipskiej, pt. "Żywa śmierć" - z nielicznymi, ale godnymi odnotowania ingerencjami Urzędu.

Na str. 8 w pytaniu: "Dlaczego nie mak wschodni?" - skreślono słowo "wschodni".

Na str. 16 w hasle: "SPOŁECZNY CZYN OCZYSZCZA Z WIN" - skreślono "społeczny".

Na str. 19 w końcu dłuższego zdania: "i śpiewały rewolucyjne kołysanki..." - skreślono - "rewolucyjne".

Na str. 22 zdanie: "Wznoszą okrzyki, a często sami wznoszą się do góry" przybrało postać: "Wznoszą okrzyki, a często sami wznoszą się, wznoszą się - "

Na str. 38 zamiast: " - Towarzysze! - krzyczą - towarzysze!" jest:

" - Obywatele! - krzyczą - obywateli!" 12

Na str. 39 w zdaniu: "Wygłaszam przemówienie na temat grzechu pierworodnego, na temat polityki partii, propagandy i nawozów sztucznych..." - skreślono "partii".

Wreszcie na str. 42 fragment liryczny: "Tylko dla niej sadziłem kwiaty w czynie społecznym. Dla niej zapisałem się do organizacji, dla niej głosowałem na listę władz" - brzmi obecnie: "Tylko dla niej sadziłem kwiaty w czynie. Dla niej zapisałem się, dla niej głosowałem - -"

Cenzura działa

Przypominamy, że podawane przez nas informacje o praktykach cenzury są zawsze fragmentaryczne i zaledwie w niewielkim stopniu ilustrują działalność Urzędu.

Oto garść wiadomości o nekaniu przez cenzurę "Tygodnika Powszechnego" w okresie poprzedzającym wizytę Papieża w Polsce. Prawie zawsze - w różnych kontekstach - usuwano nazwisko Czesława Miłosza, m.in. zdjęto recenzję Bohdana Barana z wyboru Eliota /Wydawnictwo Literackie/ ze względu na to, że spora jej część dotyczyła tłumaczeń Miłosza; zatrzymano również Psalm Dawidowy w przekładzie tego autora.

Skonfiskowano większą część przemówienia J.S.City na zamknięciu Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej w Warszawie, a w sprawozdaniu z Tygodnia wykreślono informację o uczestnikach imprezy.

Nie mógł się ukazać szkic Andrzeja Licewskiego "Tradycje narodowe a nasładownictwo" z licznymi cytatami z Mickiewicza; o ok. 1/3 skrócono artykuł tegoż publicysty "Europa a Niemcy", którego tytuł trzeba było zmienić na "Wartości nadrzędne a partykularyzm".

Skonfiskowano szkic Tadeusza Szymy pt. "Święty Stanisław w poezji barskiej".

W przeglądach prasy często zdejmowano /za "tendencyjny" dobór/ cytaty z innych pism; tak ocenzurowano m.in. odcinek przeglądu z cytatami z ogłoszonego w "Więzi" artykułu Artura Hutnikiewicza /chodziło o okres międzywojenny/.

Wcześniej zakazano publikacji artykułu Andrzeja Romanowskiego "O poezji legionowej i żołnierskiej".

Musiano zatrzymać maszyny drukarskie, żeby wykupić podpis pod zdjęciem ze spektaklu Jerzego Jarockiego "Sen o Bezgrzesznej", przedstawiającym jednego z aktorów w roli Józefa Piłsudskiego.

Często zdejmowano felietony Kisielea /m.in. ten, w którym próbował on odpowiedzieć na atak Wiesława Górnickiego w "Kulturze" warszawskiej/ i Piotra Wierzbickiego.

W felietonie H. Brzozowskiego zmieniono tytuł "Szkłane domy" na "Domy" i wycięto pointę nawiązującą do Żeromskiego.

Od pewnego czasu funkcjonuje zapis na wszelkie wzmianki o Olive'ie Harrisie /zatrzymano też felieton o nim ks. Bonieckiego/.

Z "Notesu" ks. Bonieckiego wycięto aluzję do wędrującego po domach obrazu Matki Boskiej...

Za szczególnie gorliwego uchodzi w Krakowie cenzor Ryszard Kruk, specjalista od "Tygodnika Powszechnego", a także dyrektor Siwkowa w krakowskim oddziale cenzury.

W majowej "Więzi" skonfiskowano m.in. jeden z trzech wierszy Witolda Dąbrowskiego /publikację przygotowano na pierwszą rocznicę śmierci poety/ a w czerwcowej - felieton Wiktora Woroszyńskiego, którego znaczny fragment dotyczył Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej w Warszawie.

Nowi rewizjoniści?

"Raport o stanie Rzeczypospolitej i o drogach jej naprawy /wersja wstępna/" - tak brzmi tytuł liczącego 160 stron materiału, który jest owocem prac rozpoczętych w listopadzie 1978 r. przez Konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość", złożone - według własnego określenia - "zarówno z członków partii, jak działaczy katolickich, a także specjalistów różnych dziedzin". "Zapis" informował swego czasu o pierwszym zebraniu tego zespołu, wyróżniając rolę Stefana Bratkowskiego jako jednego z inicjatorów "DiP" i zwracając uwagę na niejasny lub co najmniej niejednorodny stosunek władz do tej inicjatywy oraz na pewne oznaki, że może ona niebawem zostać ukrócona.

Przypuszczenie okazało się słuszne. We wstępie do "Raportu", datowanego 19 maja 1979, czytamy: "Niestety, z powodu uniemożliwienia odbywania zebrania plenarnych. Stąd powstała konieczność szukania innej płaszczyzny wymiany poglądów. Tak też zrodziła się myśl ankiety". Rozpisanie takiej ankiety wśród kilkudziesięciu członków "DiP" i pewnej liczby osób spoza konwersatorium zajął się Zespół Usługowy, wybrany na pierwszym /a zarazem ostatnim/ zebraniu i działający w następującym składzie: Stefan Bratkowski, Kazimierz Dziewanowski, Bogdan Gotowski, Jan Górski, Andrzej Krasinski, Jan Malanowski, Klemens Szaniawski, Andrzej Wielowieyski, Andrzej Zakrzewski, Witold Zalewski. Czynny udział w pracach Zespołu wzięli też: Wojciech Adamiecki, Kazimierz Długokęcki, Jan Strzelecki, Jerzy Zieleński /członkowie konwersatorium/. Opinią i pomocą służyli osobno: Jerzy Stembrowicz i Lech Tomaszewski.

Do osób ankietowanych /znowu określonych jako "przedstawiciele różnych środowisk światopoglądowych, różnych dyscyplin nauki lub twórczości artystycznej, a także publicyści i działacze społeczni"/ zwrócono się z pytaniami m.in. o to, jakie są węzłowe problemy kraju, jakie zagrożenia i jakie konieczne reformy. Otrzymano 50 pisemnych odpowiedzi. "Raport" jest obszerną "syntetyzacją" tych opinii. Nazwiska osób ankietowanych, "zgodnie ze zwyczajem przyjętym w tego rodzaju badaniach", nie zostały podane do wiadomości.

"Raport" przesłano I Sekretarzowi PZPR, Przewodniczącemu Rady Państwa i Marszałkowi Sejmu, a ponadto Prymasowi Polski i prof. Kotarbińskiemu. Jak zastrzegają autorzy opracowania, nie jest to jednak petycja do władz. W słowie wstępnym podkreśla się natomiast, że możliwe byłoby "warunkowe odbudowanie zaufania do władzy". Ale "w miarę upływu czasu cena uzyskania tego kredytu będzie wzrastać, a warunki będą coraz trudniejsze".

Treść "Raportu" podzielić można z grubsza na dwie części: opisową i postulatywną. Opisowa poświęcona jest przejawom kryzysu, który występuje niemal we wszystkich dziedzinach życia w Polsce, od struktur i mechanizmów władzy po- cząwszy, przez stosunki międzynarodowe, stosunki społeczne, gospodarkę, finansy, kulturę, na zdrowiu społeczeństwa i stanie środowiska naturalnego kończąc. Część postulatywna próbuje naszkicować ograniczony program reform, które dałyby się wprowadzić "tu i teraz", bez naruszenia podstaw ustroju, zagranicznych

sojuszy i z zachowaniem pełnej kontroli PZPR nad krajem.

Zdaniem autorów, głównym źródłem katastrofalnego stanu PRL jest "brak uzgodnionych porozumień" jako fundamentu sprawowania rządów. Sama partia, która z zewnątrz wygląda na organizm autokratyczny, narzucający swą władzę społeczeństwu, składa się z konkurencyjnych i skłóconych grup /przeważnie grup interesu, bo motywacje ideologiczne niemal w niej zanikły/. Partia wchodzi też w kompetencje administracji. Prawo traktuje się w państwie instrumentalnie, jako środek manipulacyjny, wskutek czego autorytet prawa nie istnieje. W polityce społecznej stosowana jest zasada korupcji i "kupowania spokoju" tam, gdzie ma się nóż na gardle. Groteskowa propaganda budzi "społeczne poczucie niewiarygodności" i nawet w prawdziwą informację przestają ludzie wierzyć. Dominują: chaos gospodarczy, nierówność społeczna, pozorność i przerażające absurdy we wszelkich poczynaniach publicznych, frustracja, pijaństwo, upadek etyki pracy. A oto niebezpieczeństwa, których można się spodziewać: jeszcze większa zależność "od obcych", jeszcze gorsze warunki życia, dalszy regres oświaty i kultury, wreszcie "nie kontrolowany wybuch". Niebezpieczeństwom tym nie zapobiegną ani "twarde metody rządzenia", ani "taktyka na przetrwanie" uprawiana bez powodzenia od trzech lat.

Cóż więc mogłoby im zapobiec? Stan stosunków z ZSRR musi być znany społeczeństwu, a same stosunki "bardziej równoprawne". Należy oddzielić partię od aparatu administracji, gospodarki i sądownictwa oraz wprowadzić zasadę, że partia kieruje życiem państwa wyłącznie przez swoich członków w organach przedstawicielskich. Partii zagwarantowałoby się bezwzględną większość, ale wyborca powinien móc faktycznie wybierać między kandydatami, również partyjnymi. Prerogatywy ciał przedstawicielskich uległyby "zasadniczemu rozszerzeniu". Rotacja na wszystkich stanowiskach, określone czasowo kadencje, powołanie urzędu "strażnika prawa", który mógłby zawieszać decyzje administracyjne w razie potrzeby, stworzenie autentycznych związków zawodowych bez "funkcji mobilizacyjnej", autentycznej spółdzielczości, autentycznego ZSL! /na wsi, a przede wszystkim ujawnienie prawdy przed społeczeństwem: oto droga do naprawy Rzeczypospolitej.

Cenzura miałaby jednak pozostać, i to w zadziwiająco szerokim zakresie. Ale byłaby legalna.

Raczej marginesowo wspomina "Raport" o takich rzeczywistych i już istniejących, a nie wymagających dopiero stworzenia, siłach w kraju, jak np. Kościół. Mowa jest o gwarancjach dla wierzących, tolerancji i pewnych koncesjach dla Kościoła.

Ponadto "Raport" zauważa, iż podczas kryzysów /np. 1956, 1970/71, 1976/ pojawiały się "grupy pretendujące do wyrażania potrzeb i interesów społecznych" /np. komitety fabryczne na Wybrzeżu/. Ostatnio "niektóre z tych grup stawiają sobie za cel społeczną i prawną ochronę interesów pracowników i chłopów, inne zmierzają do przełamania monopolu informacji... Niektóre... określają siebie jako opozycyjne, innym miano to nadają środki oficjalnej propagandy".

Sami autorzy "Raportu" wyraźnie dbają, by nikt ich za opozycję nie wziął. Stąd - nieśmiałość części postulatywnej ich opracowania; nie zmniejsza to jednak wymowy części opisowej, ani nie chroni partyjnych członków Zespołu Usługowego przed przesłuchaniami w Komisji Kontroli Partii.

Kuśmierek w "Krytyce"

Ukazał się trzeci numer "Krytyki", datowany: "Zima 1978/1979. Szczególnie godną uwagi pozycją, publikowaną, jak zaznacza redakcja, bez upoważnienia autora, jest w tym numerze "O czym wiedziałem" Józefa Kuśmiera - tekst, którego gatunek trudno określić, zawiera bowiem elementy memoriału o stanie państwa /jeszcze jednego w ostatnim okresie!/, rozprawy ekonomicznej i statystycznej, wreszcie żywego zwiadu reporterskiego z elektrowni, placów budowy, portów, kolei, punktów przeładunkowych itd. Kuśmierek zaskutecznie cieszy się sławą wybitnego reportera i niejednokrotnie udawało mu się dostrzec, a nawet ogłosić

prawdę o różnych sytuacjach społeczno-gospodarczych w PRL, odbiegającą od oficjalnego obrazu pomyślności powszechnej. Również "O czym wiedziałem" autor przeznaczył dla prasy oficjalnej, tekst ten okazał się jednak nie do przyjęcia dla monopolistów informacji i kształtowania opinii w kraju: pełen konkretnych szczegółów, jest czymś więcej niż ich sumą, ukazuje bowiem cały system absurdu gospodarczego, indolencji, kłamstwa, lekceważenia dobra publicznego i wręcz złej woli, system, w którym żyjemy i pogrążamy się coraz głębiej. Publikując obszerną rozprawę Kuśmiera redakcja stwierdza w słowie wstępnym: "Tekst ten powinien być znany wszystkim Polakom jako dokument epoki".

W tymże numerze "Krytyki" między innymi: Stanisława Barańczaka "Czerwony sztandar nad dyskoteką" /o kulturze masowej w PRL/, fragmenty słynnych "Przepełnionych wyżyn" Aleksandra Zinowiewa /inne fragmenty tej wybitnej książki ukazały się wcześniej w "Kulturze" paryskiej i w "Pulsie"/. "O kulturze - w 60 lat po odzyskaniu niepodległości" Andrzeja Wernera /wypowiedź skonfiskowana w "Polityce"/ oraz "Wschód w oczach Zachodu" Władysława Bieńkowskiego /uwagi na marginesie książki "L'URSS et nous" pięciu komunistów francuskich/.

Sztuka o targowiczanych - nie na czasie

Reżyser Bohdan Korzeniowski przygotowywał w warszawskim teatrze Ateneum prapremierę sztuki historycznej Jerzego S. Sity /drukowanej w roku 1978 w "Dialogu"/ pt. "Polonez". Tematem sztuki są między innymi paratraktacje targowiczanych z Katarzyną II i przebieg sejmu rozbiorowego w Grodnie. Scenografię opracował Marian Kołodziej, w czołowych rolach obsadzono znakomitych aktorów /m.in. carycę miała zagrać Aleksandra Śląska/. W trzecim tygodniu prób decyzją Wydziału Kultury Urzędu Miasta Warszawy prace nad wystawieniem "Poloneza" wstrzymano. Nie pomogła nawet interwencja prezesa Związku Literatów Polskich, Jarosława Iwaszkiewicza. Na pociechę oznajmiono jedynie, że nie oznacza to zakazu sztuki, lecz jedynie "odsunięcie" premiery na bliżej nie określoną przyszłość.

Nowy teatr w systemie "Eref"

W rodzinie teatrów, które wypączkowały z osławionego "Erefu" Filipskiego, pojawił się kolejny: "Scena propozycji - Horyzont" w Warszawie. "Widzowi potrzebny jest teatr polityczny" oświadczył w rozmowie z tygodnikiem "Ekran" /nr 21 z 27 maja 1979/ kierownik nowej placówki, Wojciech Brzozowicz. Podobnie jak inne teatry z tej rodziny, "Horyzont" zaczął więc od wystawienia sztuki Ryszarda Gontarza o bezkompromisowych działaczach partyjnych pt. "Nasza patetyczna".

Nowe kierownictwo kinematografii

Stanowisko wiceministra Kultury i Sztuki odpowiedzialnego za sprawy kinematografii i popularnie zwanego "ministrem kinematografii" objął Antoni Juniewicz, uprzednio funkcjonariusz komitetów partyjnych różnych szczebli - od dzielnicowego do centralnego. Na spotkaniu z Klubem Krytyki Filmowej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich minister określił swój program: będzie on identyczny z uchwałami Biura Politycznego KC PZPR. Na spotkaniu z członkami sekcji filmu dokumentalnego i oświatowego Stowarzyszenia Filmowców zapowiedź działalności nowego kierownika zabrzmiała konkretniej: wy róbcie filmy, a ja będę je kładł na półki.

Drugie najwyższe stanowisko w resorcie - dyrektora programowego Naczelnego Zarządu Kinematografii - przypadło Michałowi Misiornemu, publicyście znanemu z agresywnych wystąpień na łamach "Trybuny Ludu" i innych pism.

Poprzednik Misiornego na tym stanowisku, Jerzy Bajder, został mianowany I zastępcą redaktora naczelnego "Literatury".

"Na srebrnym globie"

Swego czasu - jak podawaliśmy - wiceminister Wilhelmi przerwał produkcję filmu reżysera Andrzeja Żuławskiego "Na srebrnym globie", motywując to przekroczeniem budżetu.

Stowarzyszenie Filmowców od dłuższego czasu stara się o zmianę tej decyzji i zgodę na ukończenie filmu. Nowe kierownictwo kinematografii, po krótkim wahaniu, odmówiło zgody, tym razem powołując się - być może, szczerzej - na "powody programowe". Przystano jedynie na sporządzenie jednej kopii dla celów archiwalnych. Andrzej Wajda jako prezes Stowarzyszenia Filmowców wystosował list protestujący przeciw arbitralnej decyzji.

Filmy na 35-lecie

Prezydium Stowarzyszenia Filmowców Polskich zainicjowało zorganizowanie z okazji 35-lecia PRL seryjnej projekcji filmów z tego okresu - przy czym każdy wybitny reżyser miał być reprezentowany jednym tytułem, tym, który zebrał najwięcej nagród w kraju i za granicą. Komisja ustaliła listę proponowanych filmów /mają one wędrować po całej Polsce/, a Naczelny Zarząd Kinematografii zatwierdził, skreślając jedynie dwa tytuły /a tym samym - dwóch reżyserów/: "Ostatni dzień lata" Tadeusza Konwickiego oraz "Nóż w wodzie" Romana Polańskiego.

"Życie na gorąco"

Taki tytuł nosi serial telewizyjny, pióra Andrzeja Zbycha /pseudonim spółki autorskiej: Zbigniew Safian i Andrzej Szypulski/, w reżyserii Andrzeja Konica, emitowany wiosną roku 1979 w programie I Telewizji Polskiej. Po kilku odcinkach cykl nagle urwano - nie wiadomo, czy ze względu na zbyt widoczny bezsens przygód nadczłowieka rodzimego chowu, dziennikarza Maja /tak interpretowała tę decyzję usłużna prasa/, czy raczej /co prawdopodobniejsze/ wskutek intryg i rozgrywek wewnętrznych w kierownictwie aparatu propagandowego. Jednocześnie wszakże w księgarniach ukazało się dziewięć tomików, stanowiących "literacki" odpowiednik nadanych i nie nadanych odcinków serialu. Z metryczek na odwrocie karty tytułowej można odczytać, że całą operację przygotowywano od paru lat: tomiki "Monachium", "Bolzano" i "Tupanaca" oddano do składania i podpisano do druku już w roku 1976, następnie zaś kolejno w różnych miesiącach roku 1976 i 1977. Trudziły się nad tym przedsięwzięciem Opolskie Zakłady Graficzne im. Jana Łągowskiego w Opolu, papier druk.sat. kl.V na 80 000 egzemplarzy każdego tomiku pochodził z fabryki papieru w Karpaczu /na tomik "Rzym" - z fabryki w Myszkowie/, oficyną zaś, która za jedne 108 zł oferowała znak-nionemu czytelnikowi wszystkie przygody zdobywcy tajnych planów i ponętnych brunetek, są Wydawnictwa Radia i Telewizji Warszawa.

Kto się nadaje na członka Związku Literatów

Na burzliwym posiedzeniu Zarządu Głównego ZLP zatwierdzono decyzję /niejednogłośnie/ Komisji Kwalifikacyjnej, przyjmującą do Związku Ryszarda Wojnę, dziennikarza z "Trybuny Ludu" i propagandystę partyjnego, w którego utworach trudno dopatrzeć się bliższych związków z literaturą. Kandydatura Wojny była zresztą na posiedzeniu ZG bardzo zagrożona i prawdopodobnie przepadłaby, gdyby doszło do postulowanego przez niektórych tajnego głosowania. Do tego jednak nie dopuszczono, a w jawnym głosowaniu członkowie partii musieli poprzeć swojego towarzysza, i w ten sposób Wojna - większością jednego głosu - przeszedł.

Ta sama nikła większość - na tym samym posiedzeniu ZG ZLP odrzuciła kandydaturę Marcina Króla, wybitnego eseisty, historyka, współpracownika "Znaku" i "Tygodnika Powszechnego", tłumacza kilku wydanych książek.

Koło Młodych

Koło Młodych przy Oddziale Warszawskim Związku Literatów Polskich wybrało nowy zarząd, którego prezesem został Antoni Pawlak, a członkami: Piotr Bratkowski, Maciej Ciało, Ryszard Holzer i Marek Zieliński. Wśród imprez zorganizowanych przez nowy zarząd na początku kadencji warto wymienić spotkania ze Stefanem Kisielewskim, z Janem Walcem i z Andrzejem Jagodzińskim /na temat polityki kulturalnej Czechosłowacji/.

Podobno w sprawie niepożądanego składu zarządu Koła Młodych i jeszcze mniej pożądanego tematyki spotkań wzywano do KC PZPR prezesa Oddziału Warszawskiego ZLP Wandę Żółkiewską i domagano się ukrócenia niesfornej młodzieży literackiej. Zarzutów padało wiele /np., że w turnieju poetyckim, który odbył się w czerwcu, zwyciężyły "antysocjalistyczne" wiersze/, nie zabrakło także pogroźek.

Pisarze-kombatanci i "Mała Ziemia"

Jak pisał komunikat PAP /"Życie Warszawy" 19-20 maja 1979/, "do Związku Radzieckiego przybyła grupa polskich pisarzy-kombatantów, która razem z pisarzami radzieckimi uczestniczy w dyskusji na temat roli książki Leonida Breżniewa "Mała ziemia" w wychowaniu patriotycznym. Podobne forum dyskusyjne pisarzy polskich i radzieckich odbyło się niedawno w Polsce".

Forum w Polsce /czy także na temat dzieła Breżniewa?/ odbyło się widać dyskretnie, bo dowiadujemy się o nim poniewczasie. Jeśli chodzi o tanto w ZSRR, to kolejny komunikat /"Życie Warszawy", 30 maja/ doniósł nam o składzie delegacji polskich pisarzy: Eugeniusz Banaszczyk, Czesław Czerniawski, Adam Kaska, Waldemar Kotowicz, Andrzej Przytkowski, Alojzy Sroga, Igor Sikirycki, Józef Wójcicki, Juliusz Znamierowski i Wojciech Żukrowski. Poszczególni członkowie delegacji /każdy z osobna/ ogłaszali następnie relacje o swoich przeżyciach w ZSRR na łamach "Życia Literackiego", "Literatury" i innych czasopism. "Największe wrażenie - powiedział przewodniczący delegacji, Alojzy Sroga, w rozmowie z przedstawicielem PAP - zrobiła "Mała ziemia". Ten skrawek ładu koło Noworosyjska... wydarli hitlerowcom i bronili przez 225 dni żołnierze 18 armii desantowej. Na czele wydziału politycznego tej armii stał wówczas Leonid Breżniew. Jego książka "Mała ziemia" stała się punktem wyjścia do dyskusji podczas dwudniowej sesji polskich i radzieckich pisarzy-kombatantów na temat roli literatury żołnierskiej i wojennej w procesie wychowania młodego pokolenia w duchu patriotyzmu i internacjonalizmu".

Nagroda wrocławskiego SKS-u

Studencki Komitet Solidarności we Wrocławiu przyznał Kazimierzowi Brandysowi nagrodę za najlepszą książkę wydaną w roku 1978 poza obrębem cenzury.

Autorowi "Nierzeczywistości" wręczono symboliczną kompozycję w drzewie, przedstawiającą pałkę policyjną przebitą piórem pisarza.

Nowa książka Marka Nowakowskiego

Tom Marka Nowakowskiego pt. "Tutaj całować nie wolno" ukazał się nakładem księgarni "Polonia" w Chicago, należącej do Edwarda Puacza, publicysty polskiego, swego czasu związanego z PPS. Wcześniej "Polonia" wydała kilka innych tytułów, m.in. "Polonia w USA - dziś i jutro" samego Puacza, "Generał ostatniej legendy" Olgierda Terleckiego /o generale Sikorskim, wydanie tej książki zostało uniemożliwione w kraju/, "Moje dzwony trzydziestolecia" Stefana Kisielewskiego. Nowa książka Nowakowskiego składa się z 22 krótkich opowiadań, w większości nie znanych czytelnikom w Polsce.

Seria wydawnicza "Libelli"

Paryska księgarnia "Libella", należąca do państwa Kazimierza i Zofii Romanowiczów, rozpoczęła wydawanie nowej serii książek pod hasłem "Historia i teraźniejszość". Przedsięwzięciu patronuje Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu, a w skład komitetu wydawniczego wchodzi profesorowie uniwersytetów krajowych i zagranicznych: Czesław Miłosz, Piotr Wandycz, Henryk Wereszycki, Jacek Woźniakowski i Czesław Zgorzelski. Jako pierwsza /choć opatrzona numerem drugim/ ukazała się jakiś czas temu książka Andrzeja Micewskiego pt. "Współrzędzić czy nie kłamać /Pax i Znak w Polsce 1945-1976/", odnotowana już przez nas i pilnie czytana w kraju; jako druga /opatrzona numerem pierwszym/ - "Historia polityczna Polski 1864-1918" Henryka Wereszyckiego. Niebawem ukaże się trzecia: "Style politycznego myślenia" Marcina Króla, a w zapowiedziach figuruje też czwarta: Romana Zimanda "W nocy od 12 do 5 rano nie spałem" - próba lektury dziennika Adama Czerniakowa /przewodniczącego gminy żydowskiej w getcie warszawskim/.

Co nowego w "Kulturze"

"Kultura" paryska zyskała nowego cennego współpracownika w osobie Aleksandra Zinowiewa, znakomitego filozofa i pisarza rosyjskiego, od niedawna przebywającego na Zachodzie. W n-rze 6 /czerwcowym/ "Kultura" zamieszcza artykuł tego autora pt. "Opozycja w społeczeństwie komunistycznym", a w 7-8 /lipcowo-sierpniowym/ - "Wschód i Zachód"; w obydwóch w sposób tyleż oryginalny co wnikliwy, Zinowiew na nowo charakteryzuje społeczeństwo komunistyczne, jego elementy występujące nie tylko na obszarze niepodzielnego panowania komunizmu, podstawy jego stabilności, wreszcie symptomy rysowania się jego gmachu.

Ponadto w n-rze 6 i 7-8 m.in.: kompetentna "Próba bilansu niezależnych inicjatyw obywatelskich", pióra znanej naszym czytelnikom /por. "Zapis" nr 8/ Jadwigi Kwiatkowskiej; "Moja podróż do Moskwy" Zbigniewa Romaszewskiego /przedruk z "Biuletynu Informacyjnego"/; K. Jeleński pisze o "Ziemii Ulro" Miłosza, M. Broński - o "Etyce i poetyce" Barańczaka, Wł. Brus - o dyskusjach ekonomicznych w krajowej prasie niezależnej. W "Dzienniku pisanym nocą" Gustaw Herling-Grudziński m.in. przeprowadza zabójczą wivisekcję bliźniaczej pary autorów: Bratny-Wojna.

Kisielewski w "Spotkaniach"

"Spotkania" nr 6, datowane: styczeń 1979, przynoszą wiele materiałów związanych z pontyfikatem Karola Wojtyły - Jana Pawła II, w tym - obszerne fragmenty wielkopostnych listów pasterskich Kardynała z lat 1973-1978, fragmenty homilii z Bożego Ciała 1977 oraz doniosły list do studentów Krakowa - ostatni przed wyjazdem na "historyczne konklawe" do Rzymu.

Stefan Kisielewski w szkicu pt. "Kiedy spotkają się literackie nurty?" nie zajmuje się tym razem polityką, lecz polską literaturą powojenną, w której wyróżnia na początek dwa nurty: emigracyjny i krajowy, "w bezprecedensowy sposób od siebie odgraniczone". Na emigracji powstawała tuż po wojnie literatura antyrosyjska, w kraju - antysemita; "obie strony opiewały swoje minione cierpienia". Z biegiem lat obraz zaczął się komplikować, zarówno w planie życiorysów pisarskich, jak podejmowania tych czy innych tematów i ich ujmowania; ze sporządzonych przez Kisielewskiego skrupulatnych rejestrów nazwisk, a także tytułów i problematyki książek, widać, jak zmieniały się miejsca pobytu, akcesy i opcje literatów polskich, jak wszystko było płynne i dramatyczne. I wreszcie kolejna komplikacja - "pojawił się nurt trzeci, twórczość autorów krajowych, lecz wydających swe utwory bez cenzury za granicą" /tu Kisielewski wymienia 25 nazwisk/, a w ślad za nim - szerszy jeszcze "czwarty nurt", autorów publikujących poza obrębem cenzury w kraju. Warto tu dorzucić, że w nie cenzurowanych pismach krajowych coraz częściej drukują także wybitni twórcy zamieszkali na emigracji!

"W tej sytuacji - konkluduje autor - można zacząć wierzyć, że dzieje pol-

skie od roku 1939 nie pozostaną bez autorskiego świadectwa, że na świadectwo owo złożą się wszystkie, zjednoczone kiedyś po latach, oczyszczone z kłamstw, z fałszów, z korektur cenzury nurty piśmiennictwa". I podkreśla: "... nie ma literatury narodowej bez tematyki dnia dzisiejszego, nie ma obrazu Polski Ludowej bez swobodnej, obiektywnej, wolnej od jakichkolwiek celów politycznych, wielokierunkowej relacji o komunizmie. Relacja ta, wierzę w to absolutnie, wyłoni się z dzisiejszego polskiego czteronurtowego piśmiennictwa, mimo jego powikłań, komplikacji, zewnętrznych trudności..."

Druga "Res Publica"

W drugim numerze "Res Publica" autorzy /tym razem bez wyjątku sygnujący swoje teksty inicjałami/, podobnie jak w pierwszym, inteligentnie obserwują i komentują życie polityczne /na ogół - z pozycji "konserwatywno-liberalnych"/, zastanawiają się nad sytuacją Polski w Europie, a zwłaszcza pomiędzy sąsiadami, nad lekcjami historii, nad sensem nawiązywania do tradycji. WK pisze więc o "Cieniu Piłsudskiego", BT próbuje zinterpretować "renesans prodeckich zainteresowań i nastrojów", MK w eseju pt. "Zastygły obraz przeszłości" rozpatruje pułapki i słabości tego, co nazywa "opozycyjnym tradycjonalizmem i solidaryzmem".

JS w "Oswajaniu kryzysu" charakteryzuje prawidłowości powtarzających się kryzysów ekonomiczno-politycznych w Polsce Ludowej; ciekawe są zwłaszcza uwagi o "rytualizacji procesów kryzysowych"; choć, naszym zdaniem, autorka przesadza, dostrzegając w Październiku 1956 jedynie "dramat rytualny", wyreżyserowany przez część ekipy rządzącej i pozostawiający społeczeństwu li tylko rolę manipulowanej "publiczności". JS jest zapewne młoda, ludzie zaś trochę starsi pamiętają, że Październik był także autentycznym i znaczącym ruchem społecznym, i że jego efektem był nie tylko "swoisty mit funkcjonujący w świadomości".

Z życia pisarzy NRD

Zebrań członków oddziału berlińskiego Związku Pisarzy NRD w dniu 7 czerwca br. usunęło ze Związku dziewięciu swoich dotychczasowych kolegów. Najbardziej znany z usuniętych - to Stefan Heym, w czasach hitlerizmu - emigrant, który po powrocie do Niemiec w roku 1952 osiedlił się w NRD, wydał wiele książek tłumaczonych na wszystkie języki i w roku 1959 otrzymał Nagrodę Państwową NRD. Kiedy jednak niedawno Heym zdecydował się na wydanie w RFN kolejnej swojej książki - zawierającej krytyczny obraz społeczeństwa, w którym żyje, i nie mającej szans na ukazanie się w Berlinie Wschodnim - rozpoczęto przeciwko niemu nagonkę prasową, postępowanie karne /pisarza obłożono wysoką grzywną/ i teraz usunięto ze Związku.

Pozostali usunięci to literaci młodszych pokoleń: Kurt Bartsch, Adolf Endler, Karl-Heinz Jakobs, Klaus Poche, Klaus Schlesinger, Rolf Schneider, Dieter Schubert i Joachim Seyppel. Kilku z nich ukarano za list do Ericha Honeckera w obronie Heyma, a Schneider także wydał był powieść w RFN.

Na 350 obecnych na zebraniu literatów około pięćdziesiątki głosowało przeciwko usunięciu kolegów, a pewna ilość wstrzymała się od głosu. Prezydium Związku zatwierdziło jednogłośnie werdykt, w którego uzasadnieniu mowa jest o tym, iż wbrew statutowi Związku, który zobowiązuje do roli aktywnych współtwórców "rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego w NRD", wymienieni pisarze występowali "w oszczerczy sposób" przeciwko polityce kulturalnej NRD.

Decyzję Związku Pisarzy poparł publicznie sam Erich Honecker, zabierając głos w trakcie spotkania z wyższymi funkcjonariuszami kulturalnymi. W wypowiedzi swojej Honecker uznał wolność sztuki za "drogocenne dziedzictwo rewolucyjne", którego należy strzec przed "nadużyciem"; pisarze dotknięci represjami byli właśnie tymi, którzy "nadużyli wolności".

Z życia pisarzy radzieckich

Informowaliśmy już naszych czytelników o powstaniu w Moskwie - poza zasięgiem cenzury - almanachu literackiego "Metropol". Opieraliśmy się wówczas na wiadomościach z prasy zachodniej i ze źródeł prywatnych. Obecnie dotarł do Warszawy numer 5 /maj 1979/ miesięcznika Związku Pisarzy ZSRR "Literatura Radziecka", wydawanego w Moskwie w języku polskim /jak i w innych językach/. Zawiera on oficjalne wypowiedzi na interesujący nas temat, m.in. artykuł sekretarza oddziału moskiewskiego Związku Pisarzy Radzieckich Feliksa Kuzniecowa, zamieszczony w piśmie "Moskowskij Litierator".

Kuzniecowa określa "Metropol" jako "tak zwany almanach, będący w rzeczywistości zbiorem tendencyjnie dobranych materiałów" na dowód czego przytacza kilka zdań z przedmowy do almanachu. W przedmowie tej o sytuacji w radzieckim życiu literackim mówi się co następuje: "chroniczna choroba, którą można określić jako strach przed literaturą", "młdy bezwład, który wywołuje stan ustawicznego cichego zaleknienia", a w rezultacie powstanie "całego nietkniętego odłamu rodzimego piśmiennictwa skazanego na długoletnią tułaczkę i bezłomność". W charakterystykach tych, według Kuzniecowa, "nie ma najmniejszego śladu troski o literaturę radziecką, jest za to wiele nieprawdy o niej".

"A teraz - czytamy dalej - jakież jest poziom literacki włączonych do almanachu utworów? Nie ma tu odkryć natury estetycznej, nie ma poważnych osiągnięć artystycznych. Nawet tacy doświadczeni literaci, jak A.Bitow czy F.Iskander, S.Lipkin czy I.Lisniańska zamieścili w almanachu utwory będące wyrażeniem poniżej poziomu ich możliwości".

Wydanie "Metropolu" Kuzniecowa ocenia jako "blamaż" i "zwykłą prowokację polityczną", wspomina też o "grafomanii i pornografii", "estetyzacji przestępczego świata", "naśladownictwach Kafki i teatru absurdu", "obrażaniu godności człowieka i godności literatury".

Dalej następują zwięzlejsze wypowiedzi trzydziestu literatów radzieckich - sądząc z formy, są to fragmenty przemówień na jakimś zebraniu - potępiające organizatorów i autorów "Metropolu". "To śmieci, nie literatura" - mówi na przykład Rimma Kazakowa, "dział poezji w znacznej części jest sprzeczny z moralnością społeczną" - stwierdza Aleksander Michajłow, a Sergiusz Michajłow zapowiada w związku z osobą znanego tłumacza poezji wschodniej Siermiona Lipkina: "Przedstawiciele literatur narodowych, których epos Lipkin przełożył, zastanawiają się teraz, czy nie należy odłożyć jego wydania i poczekać, aż znajdzie się inny Lipkin!".

Jak się dowiadujemy, dwóch członków redakcji "Metropolu" - Wiktora Jerofiejewa i Eugeniusza Popowa - pozbawiono członkostwa Związku Pisarzy Radzieckich. Pozostali współredaktorzy ogłosili, że jeżeli decyzja ta nie zostanie zrewidowana, sami wystąpią ze Związku.

Kronikę zamknięto 25 lipca 1979

W Y J A Ś N I E N I E

W przypisie do wypowiedzi Stanisława Dygata /"Zapis" nr 11, Dokumenty, "Nie spotykamy się tu dla rozrywki"/ podaliśmy, że nie wiemy, jaką książkę miał on na myśli w swoim przemówieniu. Otóż chodziło o wydaną przez PIW książkę pt. "Beethoven", której autorem jest George R.Marck.

Red.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Witold Gombrowicz, "Wspomnienia polskie", Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1979, str.168. Przedruk z wydania "Biblioteki Kultury", Instytut Literacki. Paryż 1977.

Jerzy Ficowski, "Gryps", Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1979, str. 62. Poezje.

Osip Mandelsztam, "Późne wiersze". Wybór, przekład i opracowanie Stanisław Barańczak. Niezależna Oficyna Wydawnicza. Warszawa 1979. str. 79, 1 nlb. Przedruk z wydania Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1977.

NOTY O AUTORACH

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI

Urodzony w roku 1922. Historyk, publicysta, stały współpracownik "Tygodnika Powszechnego". Debiutował w roku 1942 na łamach prasy podziemnej. Wydał m.in.: "Warszawski pieścien śmierci" /1967/, "Straceni na ulicach miasta" /1970/, "1859 dni Warszawy" /1974/. Opracował wspólnie z Zofią Lewinówną: "Ten jest z ojczyzny mojej".

JACEK BOCHENSKI

Urodzony w roku 1926. Prozaik, eseista, tłumacz literatury antycznej. Już czwarty rok z rzędu objęty zakazem druku. W "Zapisie" opublikował konfiskowany kilkakrotnie przez cenzurę fragment książki o Tyberiuszu /nr 1/, a także eseje o tematyce współczesnej /nr nr 2 i 3/ oraz recenzję /nr 5/. Refleksje o przyjacielu - Arnoldzie Słuckim - zostały wygłoszone przez Bocheńskiego na wieczorze w Związku Literatów Polskich, który relacjonowaliśmy swego czasu w kronice.

KAZIMIERZ BRANDYS

Urodzony w roku 1916. Prozaik, eseista, dramaturg. Objęty zakazem publikowania w wydawnictwach oficjalnych. W "Zapisie" nr 1 ogłosiliśmy obszernie fragmenty książki pt. "Nierzeczywistość", która następnie ukazała się w całości nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej w kraju /dwukrotnie/ oraz Instytutu Literackiego w Paryżu. W "Zapisie" nr 11 zamieściliśmy po raz pierwszy fragment nowej książki, nad którą Brandys obecnie pracuje, pt. "Miesiące" - dalsze fragmenty tej samej książki zamieszczamy w tym numerze.

TOMASZ BUREK

Urodzony w roku 1938. Badacz literatury i krytyk literacki. W "Zapisie" publikuje poczynając od numeru pierwszego. W minionym roku akademickim prowadził seminarium poświęcone Jerzemu Andrzejewskiemu w ramach Towarzystwa Kursów Naukowych. Esaj, oparty m.in. na wynikach pracy tego seminarium, powstał specjalnie dla "Zapisu".

KAZIMIERZ DEJMEK

Urodzony w roku 1924. W latach 1944-1949 student szkół dramatycznych i aktor teatrów w Rzeszowie, Jeleniej Górze, Krakowie i Łodzi. Następnie aktor, reżyser, dyrektor i kierownik artystyczny Teatru Nowego w Łodzi /1949-1961/ oraz Teatru Narodowego w Warszawie /1962-1968/. W latach 1968-1969 reżyser w teatrze Ateneum /Warszawa/, przez kilka lat /1969-1974/ gościnnie reżyserował w różnych teatrach w kraju i za granicą, wreszcie w latach 1975-1979 reżyser, dyrektor i kierownik artystyczny Teatru Nowego w Łodzi.

RYSZARD KRYNICKI

Urodzony w roku 1943. Poeta, tłumacz, krytyk poezji. Od dłuższego czasu objęty zakazem publikowania w wydawnictwach oficjalnych. Ostatnią książkę pt. "Nasze życie rośnie" ogłosił w Instytucie Literackim /Paryż, 1978/. W "Zapisie" nr nr 1, 2, 5 i 8 drukowaliśmy wiersze Krynickiego, a w "Zapisie" nr 11 - przekłady z Hansa Magnusa Enzensbergera.

ADAM MICHNIK

Urodzony w roku 1946. Historyk, publicysta. Dotknięty zakazem druku, publikował w pismach krajowych pod pseudonimami. Wydał książkę "Kościół, lewica, dialog" w Instytucie Literackim /Paryż 1977/, ogłosił też liczne eseje i artykuły na tematy historyczne i polityczne w pismach zagranicznych. W "Zapisie" nr 8 wydrukowaliśmy jeden z esejów historycznych Michnika, a w numerze 9-ym - esej polemiczny na temat postaw inteligencji polskiej.

TADEUSZ NYCZEK

Urodzony w roku 1945. Badacz literatury polskiej, krytyk związany z tzw. "nową falą", był redaktorem krakowskiego "Studenta". W "Zapisie" nr 4 omawialiśmy książkę Nyczka "Świat jeszcze istnieje", zakazaną przez cenzurę i krążącą, w niewielkiej ilości egzemplarzy, w obiegu pozacenzuralnym. Recenzja, którą publikujemy w tym numerze, została skonfiskowana przez cenzurę w "Twórczości".

ISAAC BASHEVIS SINGER

Urodzony w roku 1904 we wsi Leoncin pod Warszawą. W latach 1938-1935 mieszkał w Warszawie, następnie wyemigrował do Ameryki, gdzie mieszka do dzisiaj. Pisarz języka jidysz, laureat Nagrody Nobla 1978. Debiutował w prasie w roku 1925, debiut książkowy: "Szatan w Gorażu" /1935/. Autor m.in. "Rodziny Moskátów" /1950/, "Sztukmistrza z Lublina" /1960/, "Spinozy z ulicy Targowej" /1961/ i "Shoshy" /1978/. Obszerniejsze wiadomości o pisarzu zawiera artykuł Jakuba Święcickiego w tym numerze "Zapisu" oraz udzielony "Zapisowi" wywiad.

ARNOLD ŚLUCKI

Urodzony w roku 1920, zmarł w roku 1972. Poeta, tłumacz poezji. Wydał m.in. "Ziemia jaśnieje" /1950/, "Słońce nasz towarzysz" /1951/, "Życie w pieśni" /1955/, "Dzwony nad Wisłą" /1958/, "Mity na wiosnę" /1962/, "Dolina dziwów" /1964/, "Faktura światła" /1965/, "Eklogi i psalmodie" /1966/. W roku 1968 - jeszcze przed wyjazdem na emigrację - objęty zakazem druku, który nie został uchylony nawet po śmierci Śluckiego. Wiersze zamieszczone przez nas, pisane częściowo przed rokiem 1968 w Polsce, częściowo już za granicą, pochodzą z nie wydanych tomików: "Biografia anioła", "Requiem dla osła" i "Z buszu".

LESZEK SZARUGA

Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, prozaik. Również w poprzednich numerach "Zapisu" publikowaliśmy jego wiersze, eseje i recenzje.

ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

Urodzony w roku 1924. Prozaik, publicysta. Wydał m.in. powieści: "Czas przeżył" /1961/, "Godzina zero" /1961/, "Ucieczka Abła" /1962/, "Za murami Sodomy" /1963/, "Msza a miasto Arras" /1971/, "I ominęli Emaus" /1974/.

JAKUB ŚWIĘCICKI

Urodzony w roku 1949. Studiował sinologię na Uniwersytecie Warszawskim, a następnie - sinologię i nauki polityczne na Uniwersytecie Sztokholmskim. Publikuje artykuły w "Tygodniku Powszechnym" i w prasie szwedzkiej.

BARBARA TORUŃCZYK

Urodzona w roku 1946. Absolwentka wydziału socjologii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W "Zapisie" nr 1 drukowała esej pt. "Poezja i wojna". Uczestniczyła w redagowaniu "Zapisów" nr 1-9

AN WALC

Urodzony w roku 1948. Polonista, krytyk literacki, publikował m.in. w "Polityce" i "Literaturze na świecie". Od dłuższego czasu objęty zakazem druku, współpracuje z prasą nie cenzurowaną. Jeden z tekstów polemicznych Walca zamieściliśmy w "Zapisie" nr 6..

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazały się:

- Jerzy Andrzejewski
- Stanisław Barańczak
- Władysław Bieńkowski
- Kazimierz Brandys
- Josif Brodski
- Tomasz Burek
- Józef Czapski
- Jerzy Ficowski
- Władysław Gnomacki
- Witold Gombrowicz
- Günter Grass
- Bohumil Hrabal
- Paweł Jasienica
- Zdzisław Jaskuła
- Władimir Jerofiejew
- Andrzej Kijowski
- Tadeusz Konwicki
- Tadeusz Konwicki
- Jacek Kuroń

- + Antonin H. Idehm
- Osip Mandelsztam
- + Adam Michnik
- + Czesław Miłosz
- Czesław Miłosz
- + Czesław Miłosz
- Czesław Miłosz
- + Czesław Miłosz
- Jan Nowak
- + George Orwell
- + Maria Ossowska
- + Józef Piłsudski
- Dominique de Roux
- + Jan Strzelecki
- Janusz Szpotański
- + Marek Tarniewski
- Piotr Wierzbicki
- Piotr Wierzbicki
- + Kazimierz Wierzyński
- + Witold Wirpsza
- Wiktor Woroszyński
- Stefan Żeromski

MIA ZGA
JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE
SOCJALIZM PO 60 LATACH
NIERZECZYWISTOŚĆ
WIERSZE I POEMATY
JAKIEJ HISTORII LITERATURY POTRZEBUJEMY
WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE
GRYPS
TOW. SZMACIAK
WSPOMNIENIA POLSKIE
BLASZANY BEBENEK
ZEYT GŁOSNĄ SAMOTNOŚĆ
ROZWAŻANIA O WOJNIE BOMOWEJ
DWA POEMATY
MOSKWA - PIETUSZKI
NIEDRUKOWANE
KOMPLEKS POLSKI (Zapis nr 3)
MAŁA APOKALIPSA (Zapis nr 10)
ZASADY IDEOWE, MYŚLI O PROGRAMIE,
UWAGI O STRUKTURZE RUCHU
NOWA UMOWA SPOŁECZNA
POŹNE WIERSZE
CIENIE ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW
TRAKTAT POETYCKI, TRAKTAT MORALNY
KRÓL POPIEL I INNE WIERSZE
MIASTO BEZ IMIENIA
GDZIE SŁOŃCE WSTAJE I KĘDY ZAPADA
ZNIWOLONY UMYŚL
KURIER Z WARSZAWY
FOLWARK ZWIERZECY
O PEWNYCH PRZEMIENACH ETYKI WAIKI
BIBUŁA
ROZMOWY Z GOMBROWICZEM
ZAPISKI 1950-1953
UTWORY WYBRANE
DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ
CYRK
GNIDZI PARNAS
CZARNY POLONEZ
POLAKU, KIM JESTEŚ?
JESTEŚ I INNE WIERSZE
NA PROBOSTWIE W WYSZKOWIE

Antysemityzm (wybór) * Dwie rozmowy - Moskwa 1960 (stenogramy rozmów polsko-chińskich) * Uwagi o sytuacji gospodarczej kraju * Eurokomunizm (wybór) * Nocne rozmowy z Josefem Smrkovskim * Z księgi zapisów GUKPPIW * Śpiewnik domowy i uliczny * Śpiewnik warchoła * Dokumenty bezprawia (opracowanie KSS "KOR") * Pakty praw człowieka i obywatela * Opracowania zespołów problemowych PPN * Język propagandy (zeszyt TKN) * Kultura (wybór z rocznika 1978) * Prawda (wybór artykułów z września 1939) * Raport o stanie Rzeczypospolitej (opracowanie DiP) * Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazują się
kwartalniki literackie PULS i ZAPIS oraz Zeszyty TOWARZYSTWA
KURSÓW NAUKOWYCH

Druk: Wolna Wątkowo-Bębnowa Drukarnia Polowa im. J.P.
Warszawa, styczeń 1980

